



R I C K Y A N C E Y

# PIATA FAŁA

OSTATNIA GWIAZDA

ZA CZTERY DNI WSZEŁKI ŚLAD PO LUDZKOŚCI  
ZNIKNIE Z POWIERZCHNI ZIEMI.  
ODLICZANIE WŁAŚNIE SIĘ ROZPOCZĘŁO

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

R I C K Y A N C E Y

# PIATA FALA

## OSTATNIA GWIAZDA

TŁUMACZENIE  
MARIA BORZOBHATA-SAWICKA

moondrive

KRAKÓW 2016



*Dla Sandy*  
*Nowy początek po końcu świata*

„Nie rozpaczajcie,  
choć pośród najciemniejszej nocy  
gaśnie ostatnia gwiazda nadziei”.

Christoph Martin Wieland

## DZIEWCZYŃKA, KTÓRA UMIAŁA LATAĆ

Dawno temu, jako dziesięcioletni chłopiec, jej ojciec wsiadł do dużego żółtego autobusu i pojechał do planetarium.

Tam sklepienie rozprysło się na milion połyskliwych odłamków światła. Chłopiec rozdziawił usta w zdumieniu, a jego małe palce zacisnęły się na krawędzi drewnianej ławki. Nad jego głową wirowały punkciki białego ognia, tak nieskalane jak w dniu, w którym Ziemia narodziła się jako osmolona, dziobata kula – przeciętna planeta orbitująca wokół przeciętnej gwiazdy na obrzeżach przeciętnej galaktyki w nieskończonym wszechświecie.

Wielki Wóz. Orion. Wielka Niedźwiedzica. Monotonna pogadanka astronoma. Dzieci podniosły twarze – ich usta były rozchylone, a oczy bez mrugnięcia spoglądały w sufit. Pod bezmiarem tego sztucznego nieba chłopiec czuł się niebywale mały.

Miał zapamiętać ten dzień do końca życia.

Wiele lat później, kiedy jego córka była malutka, biegła do niego na tłuściutkich nóżkach, a gdy silne ramiona unosiły ją w górę, jej oczy błyszczały w radosnym oczekiwaniu. „Tatusiu! Tatusiu!”, wołała, rozcapierzając pulchne paluszki i wyciągając ręce do niego, do nieba.

Rzucała się naprzód w nieustraszone skoku w pustkę, ponieważ był nie tylko jej ojcem... Był jej tatusiem. Wiedziała, że ją złapie. Że nie pozwoli jej upaść.

„Leć, tatusiu! Leć!”, wołała.

I frunęła w górę, szybując w stronę bezkresu nieba, rozwierając ramiona, by objąć nieskończoność. Odchylała głowę i mknęła tam, gdzie spotykają się groza i zdumienie. Jej piski odzwierciedlały czystą radość płynącą z poczucia, że jest lekka i wolna, że jest bezpieczna w jego ramionach, że żyje.

Cassiopeia.

Od czasu tamtej wycieczki do planetarium, choć jej życie miało się zacząć dopiero piętnaście lat później, nie miał wątpliwości co do tego, jakie nada jej imię.

## Posiedzę z Tobą

„Oto ciało moje”.

W najniższej komorze jaskini ksiądz unosi ostatnią hostię – jego zapas się wyczerpał – ku formacjom, które kojarzą mu się z zastygłą w połowie ryku paszczą smoka. Nacieki połyskują w świetle lampy na żółto i czerwono niczym kły.

Tragedia boskiej ofiary w zasięgu jego dłoni.

„Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy...”

Następnie kielich z ostatnimi kroplami wina.

„Bierzcie i pijcie z niego wszyscy...”

Północ pod koniec listopada. W głębokich jaskiniach garstka ocalałych znajdzie ciepło i schronienie, a zapasy pozwolą im przetrwać do wiosny. Od miesięcy zaraza nikogo nie zabiła. Wydaje się, że najgorsze minęło. Są tu bezpieczni, całkowicie bezpieczni.

„Wyznając Twoją miłość i miłosierdzie, spożywam Twoje ciało i piję Twoją krew...”

Jego szept niesie się echem w głąb jaskini. Słowa wspinają się po gładkich ścianach i prześlizgują wąskimi korytarzami w kierunku wyższych komór, gdzie podobni jemu uciekinierzy zapadli w niespokojny sen.

„Niech ten czyn nie skazuje mnie na potępienie, ale uzdrowi mój umysł i moje ciało”.

Nie ma już chleba ani wina. To jego ostatnia komunია.

„Ciało Chrystusa niech mnie strzeże na życie wieczne”.

Czerstwy kawałek chleba mięknie mu na języku.

„Krew Chrystusa niech mnie strzeże na życie wieczne”.

Skwaśniałe wino piecze go w gardło. Bóg w jego ustach. Bóg w pustym żołądku. Ksiądz szlocha. Wlewa do kielicha kilka kropel wody. Jego dłoń drży. Pije drogocenną krew zmieszaną z wodą, po czym wyciera kielich do czysta puryfikaterzem.

Skończone. Wieczna ofiara została spełniona. Dotyka policzków tym samym płóciennym ręczniczkiem, którym wyczyścił kielich. Łzy człowieka i krew Boga, nierozłączne. Nie ma w tym nic nowego.

Wyciera patenę, po czym wtyka puryfikaterz do kielicha i odstawia go na bok. Ściąga z szyi



zieloną stulę, ostrożnie ją składa i całuje. Uwielbiał każdy aspekt bycia księdzem. A najbardziej kochał odprawiać mszę.

Jego wilgotna od potu i łez koloratka zwisa luźno wokół szyi – schudł siedem kilogramów, odkąd nadeszła zaraza i odkąd porzucił swoją parafię, żeby pokonać ciągnącą się przez setki kilometrów drogę do jaskiń na północ od Urbany. W podróży dołączyło do niego wielu wyznawców – w sumie ponad pięćdziesięciu, choć trzydzieścioro dwoje zmarło od infekcji przed dotarciem do celu. Kiedy stawali przed obliczem śmierci, wypowiadał rytualne słowa – nie miało znaczenia to, czy konający był katolikiem, protestantem czy żydem. „Niech Pan w swoim nieskończonym miłosierdziu wspomóż cię łaską Ducha Świętego...” Znaczył rozpalone czoła kciukiem, kreśląc na nich znak krzyża. „Pan, który odpuszcza ci grzechy, niech cię wybawi i łaskawie podźwignie...”

Krew, która sączyła się z ich oczu, mieszała się z olejem, który wcierał im w powieki, a nad polami unosił się dym, opadał na lasy i pokrywał drogi jak lód skuwający ospałe rzeki w środku zimy. Pożary w Columbus. Pożary w Springfield i Dayton. W Huber Heights i London, i Fairborn. We Franklin, w Middletown i Xenii. Wieczorami światło bijące z tysiąca ognisk nadawało dymowi ciemnopomarańczowy odcień, a niebo zniżało się, by zawisnąć kilka centymetrów nad ich głowami. Ksiądz przedzierał się przez tłący się krajobraz, powłócząc nogami, z wyciągniętą ręką, a drugą przyciskając szmatkę do nosa i ust, podczas gdy po policzkach spływały mu łzy sprzeciwu. Pod jego połamanymi paznokciami gromadziła się zaschnięta krew, zbierała się też w liniach znaczących jego dłonie i na podeszwach butów. „Już niedaleko – podnosił na duchu swoich towarzyszy. – Nie zatrzymujcie się”. Po drodze ktoś przezwał go Ojcem Mojżeszem, ponieważ wyprowadzał ludzi z ognia i ciemności dymu ku ziemi obiecanej, którą tworzyły „Najbarwniejsze jaskinie w całym Ohio!”.

Na miejscu czekali na nich oczywiście inni. Ksiądz się tego spodziewał. Jaskinia nie płonie. Opiera się czynnikom atmosferycznym. A najlepsze jest to, że łatwo ją obronić. Oprócz baz wojskowych i budynków rządowych jaskinie były najpopularniejszym schronieniem przed Przybyszami.

Zgromadzono zapasy, wodę oraz niepsujące się produkty, koce, bandaże i lekarstwa. Oczywiście zebrano też broń. Karabiny, pistolety, strzelby i mnóstwo noży. Chorych poddano kwarantannie w budynku informacji turystycznej nad ziemią, układając ich na łózkach polowych wzdłuż półek sklepienia z pamiątkami, a ksiądz codziennie ich odwiedzał, rozmawiał i modlił się z nimi, wysłuchiwał spowiedzi, rozdawał komunię i szeptał słowa, które pragnęli usłyszeć: „*Per sacrosancta humanae reparationis mysteria...*” Przez święte misterium ludzkiego odkupienia...

Jeszcze setki miały umrzeć, zanim umieranie dobiegło końca. Na południe od budynku informacji turystycznej wykopali dół szeroki na trzy metry i głęboki na dziesięć metrów, żeby spalić zwłoki. Ogień tlił się dzień i noc, a odór zwęglonych ciał stale unosił się wokół, tak że prawie przestano go zauważać.

Listopadowa noc, w najniższej komorze podnosi się ksiądz. Choć nie jest wysoki, musi się zgarbić, żeby nie uderzyć głową w sufit lub w jeden z kamiennych zębów, którymi najeżone jest podniebienie smoczej paszczy.

„Ofiara spełniona. Idźcie w pokoju Chrystusa”.

Zostawia kielich i puryfikaterz, patenę oraz stulę. To teraz relikty, artefakty z epoki, która odchodzi w przeszłość z prędkością światła. „Zamieszkiwaliśmy jaskinie na początku – myśli ksiądz, wspinając się na górę – i do jaskiń powróciliśmy”.

Nawet najdłuższa podróż odbywa się po okręgu, a historia zawsze zatoczy koło do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło. Podobnie jak zapisano w mszale: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz”.

Ksiądz wznosi się niczym nurek płynący w stronę migoczącej nad wodą kopuły nieba.

Dno wąskiego korytarza, który wiję się łagodnie w górę pomiędzy kamiennymi ścianami, jest gładkie jak tory na kręgielni. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej maszerowały tędy gęsiego wycieczki szkolne – dzieci przesuwali palcami po skalnych ścianach i w zaciemionych szczelinach szukały potworów. Były jeszcze na tyle małe, by wierzyć w ich istnienie.

Ksiądz powstaje jak lewiatan z mrocznej otchłani. Droga na powierzchnię prowadzi obok Tapczanu Jaskiniowca oraz Kryształowego Króla do Dużego Pokoju, głównego pomieszczenia zajmowanego przez uciekinierów, a w końcu do Pałacu Bogów, jego ulubionej części jaskiń, gdzie krystaliczne formacje migoczą jak zamrożone odłamki księżycowego światła, a sklepienie faluje zmysłowo niczym morskie bałwany rozbryzgujące się o brzeg. W tym miejscu, tuż pod powierzchnią, powietrze się rozrzedza, staje się bardziej suche, przesycone dymem pożarów. Płomienie wciąż trawia świat, który ukryci tu ludzie zostawili za sobą.

„Panie, pobłogosław popiół, który przypomina nam, iż jesteśmy prochem”.

Po głowie krążą mu strzępki modlitw. Urywki pieśni. Litanie i błogosławieństwa oraz słowa rozgrzeszenia. „Bóg niech ci udzieli przebaczenia i pokoju, i ja odpuszczam tobie grzechy...” A także fragmenty Biblii: „Do posad gór zstąpiłem, zawory ziemi zostały poza mną na zawsze”<sup>\*</sup>.

Kadzidło palące się w trybularzu. Łagodne, wiosenne światło rozszczępione przez witraż. Ławki skrzypiące w niedzielę niczym skorupa starożytnego okrętu na pełnym morzu. Dostojna miara pór roku – kalendarza, zgodnie z którym od niemowlęctwa płynęło jego życie. Adwent, Boże Narodzenie, Wielki Post, Wielkanoc. Zdaje sobie sprawę z tego, że lubił w nich nie to, co trzeba – rytuały i tradycje, celebry i bufonadę, za które osoby postronne winiły Kościół. Uwielbiał formę, a nie istotę. Chleb, a nie Ciało.

Nie oznaczało to jednak, że był złym kapłanem. Był cichy i skromny, i wierny swojemu powołaniu. Lubiał pomagać ludziom. Nigdy dotąd nie czuł się tak spełniony jak w czasie tych kilku tygodni w jaskini. Cierpienie sprowadza Boga do jego naturalnego domu, do żłobu przerażenia i zamętu, bólu i utraty, gdzie sam się narodził. „Wystarczy odwrócić monetę cierpienia – myśli ksiądz –

by ujrzeć Jego twarz”.

Wartownik siedzi tuż obok wejścia nad Pałacem Bogów, a jego krzepka sylwetka odcina się na tle gwiazd. Silny północny wiatr zwiastujący zimę oczyścił niebo. Mężczyzna ma naciągniętą na czoło bejsbolówkę i znoszoną skórzaną kurtkę. W dłoniach trzyma lornetkę, a na jego kolanach spoczywa karabin.

Wita księdza skinieniem głowy.

– Gdzie twój płaszcz, ojcze? Noc jest zimna.

Ksiądz uśmiecha się blado.

– Obawiam się, że pożyczyłem go Agacie.

Mężczyzna chrząka ze zrozumieniem. Agatha to największa maruda w grupie. Zawsze jej zimno. Zawsze głodna. Zawsze coś. Wartownik podnosi lornetkę do oczu i uważnie obserwuje niebo.

– Widziałeś jeszcze jakiś? – pyta ksiądz.

Pierwszy srebrnoszary, podłużny jak cygaro obiekt zauważyli tydzień wcześniej. Przez kilka minut wisiał nieruchomo nad jaskiniami, po czym bezdźwięcznie wzbił się w górę i zniknął, zostawiając po sobie drobną bliznę w bezkresie nieba. Kolejny (a może ten sam) pojawił się dwa dni później. Sunął ponad nimi bezgłośnie, aż zniknął za horyzontem. Mieszkańcy jaskini nie mieli wątpliwości co do pochodzenia tych statków – wiedzieli, że nie są ziemskie. Tym, co ich przerażało, była zagadka ich przeznaczenia.

Mężczyzna opuszcza lornetkę i pociera oczy.

– Co tam, ojcze? Nie możesz zasnąć?

– Ostatnio niewiele śpiam – odpowiada ksiądz, po czym dodaje: – Jest tyle do zrobienia. – Nie chce, by mężczyzna pomyślał, że narzeka.

– W okopach nie ma ateistów. – Banalne stwierdzenie zawisa w powietrzu jak zapach zjełczałego tłuszczu.

– Ani w jaskiniach – mówi ksiądz.

Odkąd się spotkali, kapłan próbował lepiej poznać mężczyznę, on jednak przypomina zatrzaśnięty pokój o drzwiach zaryglowanych gniewem, smutkiem i rozpaczliwym strachem skazańca, którego dni są policzone. Przez wiele miesięcy nie mają jak od tego uciec ani jak się przed tym schować. Niektórzy uważają śmierć za akuszerkę wiary. Inni za jej oprawcę.

Z kieszeni na piersi mężczyzna wyciąga paczkę gumy do żucia, ostrożnie odwija listek i wtyka go do ust. Przelicza pozostałe listki, po czym wsuwa paczkę z powrotem do kieszeni. Nie częstuje księdza.

– To moja ostatnia paczka – wyjaśnia. Poprawia się na zimnym kamieniu.

– Rozumiem – odpowiada ksiądz.

– Czyżby? – Żuchwa przeżuwanego mężczyzny porusza się w hipnotycznym rytmie. – Naprawdę

ksiądz rozumie?

Suchy chleb, skwaśniałe wino. Na języku wciąż czuje ich smak. Mógł połamać chleb i rozdzielić wino. Nie musiał celebrować mszy w samotności.

– Wierzę, że tak – potwierdza ksiądz.

– Ja nie – cedzi mężczyzna powoli i wyraźnie. – Ja w nic nie wierzę.

Ksiądz się rumieni. Jego łagodny, zażenowany śmiech przypomina tupot dziecięcych stóp na schodach. Nerwowo muska koloratkę.

– Kiedy wysiadł prąd, wierzyłem, że wróci – mówi wartownik. – Wszyscy w to wierzyli. Prąd wysiada, a potem pojawia się z powrotem. To wiara, prawda? – Przeżuwał gumę, przesuając zieloną masę językiem w tę i z powrotem. – Potem przedostają się wiadomości, że wybrzeży już nie ma, a Reno to teraz fantastyczna miejscowość nadmorska. Wielki mi problem. Co z tego? Zdarzały się już trzęsienia ziemi. I tsunami. Komu potrzebny Nowy Jork? Co takiego wyjątkowego jest w Kalifornii? Odbijemy się od dna. Zawsze udawało nam się od niego odbić. Wierzyłem w to.

Wartownik kiwa głową, wpatrując się w nocne niebo i jarzące się zimnym blaskiem gwiazdy. Oczy spoglądają wysoko, głos przemawia nisko.

– Potem ludzie zaczęli chorować. Antybiotyki. Kwarantanny. Środki dezynfekujące. Zakładaliśmy maski i szorowaliśmy dłonie aż do krwi. A większość z nas i tak umarła.

Mężczyzna z karabinem patrzy w gwiazdy, jak gdyby sądził, że oderwą się z czarnego sklepienia i spadną na Ziemię. Dlaczego nie miałyby się tak stać?

– Moi sąsiedzi. Przyjaciele. Żona i dzieci. Wiedziałem, że przecież nie wszyscy umrą. Czy to możliwe? Niektórzy się rozchorują, ale większość ocaleje, a reszta wyzdrowieje, prawda? To wiara. W to właśnie wierzyliśmy.

Wartownik wyciąga z buta wielki nóż myśliwski i czubkiem ostrza zaczyna wydłubywać brud zza paznokci.

– To właśnie jest wiara: dorastasz, idziesz do szkoły, znajdujesz pracę, bierzesz ślub, zakładasz rodzinę.

Kończy pracować nad jedną dłonią i przechodzi do drugiej. Każdy paznokieć to rytuał przejścia.

– Twoje dzieciaki dorastają, idą do pracy, biorą ślub, zakładają rodziny. – Jeden paznokieć, drugi. Trzeci, czwarty, piąty. Wierzchem dłoni trzymającej nóż odsuwa czapkę z czoła. – Nigdy nie byłem specjalnie religijny. Od dwudziestu lat nie byłem w kościele. Ale wiem, czym jest wiara, ojcze. Wiem, jak to jest w coś wierzyć. Światło wysiada, a po jakimś czasie wraca. Przychodzi powódź, po czym woda się cofa. Ludzie chorują i wracają do zdrowia. Życie toczy się dalej. To prawdziwa wiara, co nie? Całe to wasze bełkotanie o niebie i piekle, grzechu i zbawieniu można wyrzucić do kosza, a i tak zostanie właśnie to. Nawet największy wróg Kościoła wierzy, że życie toczy się dalej.

– Tak – przytakuje ksiądz. – Życie toczy się dalej.

Wartownik obnaża zęby. Wymierza nóż w klatkę piersiową księdza.

– Nie słyszałeś ani jednego słowa z tego, co powiedziałem – warczy. – Właśnie dlatego nie znoszę takich jak ty. Palicie te swoje świece, mamroczenie te swoje zaklęcia po łacinie i modlicie się do boga, który nie istnieje albo ma nas gdzieś i jest po prostu obłąkany lub okrutny, a może jedno i drugie. Świat płonie, a wy wychwalacie dupka, który to wszystko wywołał albo który machnął na to ręką.

Drobny ksiądz unosi dłonie, te same dłonie, które konsekrowały chleb i wino, jak gdyby chciał pokazać mężczyźnie, że są puste, że nie ma złych zamiarów.

– Nie udaję, że znam zamysły Boga – zaczyna kapłan, opuszczając ręce. Spogląda na nóż. – „O rzeczach wzniosłych mówiłem. To zbyt cudowne. Ja nie rozumiem”<sup>\*\*\*</sup> – cytuje Księgę Hioba.

Zapada niezręczna cisza, kiedy mężczyzna bardzo długo się w niego wpatruje, w zupełnym bezruchu, jeśli nie liczyć szczęki przeżuwaną wyzuty ze smaku listek gumy.

– Będę z tobą szczery, ojciec – mówi beznamiętnie. – Mam ochotę cię teraz zabić.

Ksiądz ponuro kiwa głową.

– Obawiam się, że może się tak stać. Kiedy dotrze do ciebie prawda.

Wyciąga nóż z drżącej dłoni mężczyzny, po czym dotyka jego ramienia.

Mężczyzna cofa się, ale nie wrywa.

– Czym jest prawda? – pyta szeptem wartownik.

– Tym – odpowiada drobny ksiądz, po czym zanurza nóż głęboko w piersi mężczyzny.

Nóż jest bardzo ostry – bez trudu przedziera się przez koszulę, wsuwa pomiędzy żebra, aż w końcu zatapia się w sercu na głębokość siedmiu centymetrów. Ksiądz przyciąga mężczyznę do piersi i całuje go w czubek głowy. „Bóg niech ci udzieli przebaczenia i pokoju”. Po chwili jest już po wszystkim. Guma wypada z ust mężczyzny, a ksiądz podnosi ją i rzuca w głąb jaskini. Opuszcza bezwładne ciało na zimną kamienną podłogę i wstaje. Wilgotny nóż połyskuje w jego dłoni. „Oto krew nowego i wiecznego przymierza...”

W sercu księdza buzuje wściekłość i odraza, kiedy przygląda się twarzy martwego mężczyzny. Nie musi już kryć obrzydzenia. Ludzka twarz jest odrażająca, nieznośnie groteskowa.

Kapłan wraca do Dużego Pokoju, podążając wydeptaną ścieżką do głównej komory, podczas gdy pozostali wiercą się i przewracają w niespokojnym śnie. Wszyscy poza Agathą, która opiera się o tylną ścianę komory. Wątła kobieta niemal tonie w podszytym futrem płaszczu pożyczonym od księdza. Jej kręcone włosy to kłębowisko szarości i czerni. Brud zgromadził się w głębokich brzdach jej zwiędłej twarzy, wokół ust pozbawionych dawno zagubionej sztucznej szczęki oraz oczu zatopionych w fałdach obwisłej skóry.

„Oto ludzkość – myśli kapłan. – Oto jej twarz”.

– To ty, ojciec? – mówi ledwo dosłyszalnym głosem, który przypomina popiskiwanie myszy,

przenikliwie pojękiwanie szczura.

Oto głos ludzkości.

– Tak, Agatho. To ja.

Kobieta przygląda się ukrytej w cieniu ludzkiej masce, którą mężczyzna nosi od niemowlęctwa.

– Nie mogę spać, ojczy. Posiedzisz ze mną przez chwilę?

– Tak, Agatho. Posiedzę z tobą.

---

\* Jon 2, 7. Wszystkie cytaty biblijne za: *Biblia Tysiąclecia*, wyd. 5 na nowo oprac. i popr., Poznań 2012 (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

\*\* Hi 42, 3.

Wynosi ciała swoich ofiar – po dwa naraz, po jednym pod każdą pachą – i wrzuca je do dołu, bez ceremonii, po czym wraca po kolejny ładunek. Po Agacie resztę ludzi zabił we śnie. Nikt się nie obudził. Ksiądz działał cicho i szybko zręcznymi dłońmi, a jedynym odgłosem niosącym się po jaskini był szept przedzieranej tkaniny, kiedy ostrze zanurzało się w sercach czterdzieściorga sześciorga uciekinierów, aż pozostało tylko jedno bijące serce – jego własne.

O świcie zaczyna padać śnieg. Kapłan przez chwilę stoi na zewnątrz i wznosi twarz do pustego szarego nieba. Płatki osiadają na bladych policzkach. To jego ostatnia zima na bardzo długi czas. Kiedy nadejdzie równonoc, a kapsuła wyląduje na Ziemi, żeby zabrać go z powrotem na statek matkę. Tam poczeka na ostateczne oczyszczenie ludzkiej zarazy przez tych, którzy zostali do tego wyszkoleni. Gdy znajdzie się na statku, ze spokojnej pustki będzie obserwował, jak zrzucają bomby, które zrównają z ziemią wszystkie miasta i zetrą ostatnie ślady ludzkiej cywilizacji. Apokalipsa, o której ludzkość śniła od początku własnej świadomości, w końcu się dokona – nie za sprawą rozwścieczonego Boga, ale obojętnie i zimno, tak jak robił to drobny ksiądz, kiedy zanurzał nóż w sercach swoich ofiar.

Śnieg topi się na uniesionej twarzy. Do końca zimy pozostały cztery miesiące. Sto dwadzieścia dni do czasu, kiedy spadną bomby, a następnie przetoczy się piąta fala i wyszkolone pionki zaczną zabijać swoich. Do tego czasu ksiądz zabije każdą ocalałą osobę, która wkroczy na jego terytorium.

Już prawie po wszystkim. Są już prawie u celu.

Ksiądz schodzi do Pałacu Bogów i łamie post.

**Ringer Siedzący obok Brzytwa wyszeptał: – Uciekaj.**

Jego broń wystrzeliła tuż przy moim uchu. Jego celem była najmniejsza rzecz, która jest sumą wszystkich rzeczy, a jego kula mieczem przecinającym łańcuch, który mnie z nią związywał.

Filizanka.

Kiedy Brzytwa umierał, podniósł na mnie swoje łagodne, smutne oczy.

– Jesteś wolna. Uciekaj.

Uciekłam.



Wyskakuję, rozbijając zamknięte okno wieży strażniczej, a ziemia pędzi mi na powitanie. Ląduję na asfalcie, ale nie łamię żadnej kości. Nie czuję bólu. Wróg wzmocnił mnie, żebym przetrwała poważniejsze upadki niż ten. Mój ostatni upadek zaczął się na wysokości tysiąca pięciuset metrów. Ten to przy nim pestka.

Ląduję, podnoszę się i biegnę za wieżę, a następnie pasem startowym w stronę betonowej bariery oraz ogrodzenia zwieńczonego drutem kolczastym. Wiatr wrzeszczy mi do ucha. Jestem teraz szybsza niż najszybsze zwierzę na Ziemi. Gepard to w porównaniu ze mną żółw.

Ustawieni na obrzeżach wartownicy muszą mnie widzieć, podobnie jak strażnik w wieży, ale nie pada żaden strzał, nie zostaje wydany żaden rozkaz, żeby mnie zdjąć. Pędzę pasem startowym niczym wystrzelony pocisk.

*Nie złapią cię. Jakim cudem mogliby cię złapać?*

Procesor umieszczony w moim mózgu dokonał kalkulacji, jeszcze zanim uderzyłam o ziemię, i zdążył przekazać właściwe informacje tysiącom nanorobotów przydzielonych do mojego układu mięśniowego. Nie muszę myśleć o prędkości, czasie ani punkcie ataku. Wyręcza mnie w tym procesor.

Koniec pasa. Skaczę. Podeszwa mojej stopy przez ułamek sekundy styka się ze szczytem betonowej bariery, po czym odpycha się i katapultuje mnie w stronę ogrodzenia. Drut kolczasty szybuje w stronę twarzy, a moje palce wślizgują się pomiędzy pięciocentymetrowe odstępy jego zwojów a górny pręt, aby wykonać salto w tył nad ogrodzeniem. Przelatuję nad nim z wygiętym kręgosłupem i wyciągniętymi ramionami.

Zeskakuję bez problemu i znów przyspieszam do pełnej prędkości, a dystans stu metrów otwartej przestrzeni dzielącej ogrodzenie i las pokonuję w niecałe cztery sekundy. Nie dościga mnie żadna kula. Nie słyszę warkotu silnika motocykla podążającego moim śladem. Drzewa zamykają się za mną niczym zaciągana kotara. Stawiam pewne kroki na śliskim, nierównym podłożu. Docieram do rzeki, w której kotłuje się czarna woda. Moje stopy ledwo muskają jej powierzchnię, kiedy przedostają się na drugi brzeg.

Po drugiej stronie las przechodzi w otwartą tundrę, niczym niezakłóconą przestrzeń ciągnącą się aż po północny horyzont, niezmiernie pustkowie, w którym się zagubię – niezauważona i pozostawiona w spokoju.

Wolna.

Biegnę przez wiele godzin. Podtrzymuje mnie dwunasty układ, który zasila moje stawy i kości. Wzmacnia mięśnie, dodaje mi mocy, wytrzymałości, likwiduje ból. Muszę się tylko temu poddać. Muszę zaufać, a przetrwam.

VQP. Przy świetle płomieni trawiących setki płonących ciał Brzytwa wyciął sobie te trzy litery na przedramieniu. VQP. Zwycięża, kto wytrwa.

„Niektóre rzeczy, nawet najmniejsze, dorównują wartością sumie wszechrzeczy”, powiedział mi tej nocy, gdy umarł.

Brzytwa wiedział, że nie ucieknę bez Filiżanki, skazawszy ją na cierpienie. Powinna wiedzieć, że zdradzi mnie, by mnie ocalić. Od początku tak robił. Zabił Filiżankę, żebym mogła przeżyć.

Otacza mnie nijaki krajobraz. Słońce chyli się ku krawędzi bezchmurnego nieba. Przenikliwy wiatr szczypie mnie w twarz, a łyzy zamarzają, spływając. Dwunasty układ chroni przed cielesnym bólem, jest jednak bezsilny wobec bólu, który druzgocze duszę.

Mija wiele godzin, a ja wciąż biegnę. Ostatnie promienie słońca sączą się z nieba, na którym pojawiają się pierwsze gwiazdy. Na horyzoncie unosi się statek matka przypominający patrzące w dół, pozbawione powieki zielone oko. Nie ma od niego ucieczki. Ani schronienia. Nie można do niego dotrzeć, nie można go zdobyć. Będzie tu jeszcze długo po tym, jak ostatni człowiek rozsypie się w pył – nieprzejednany, nieprzenikniony, niepoznawalny. Bóg został zdetronizowany.

Biegnę więc dalej. Przez pierwotny krajobraz nieskażony żadnym ludzkim wytworem, przez świat taki, jaki był, zanim zaufanie i współpraca wyzwoliły bestię postępu. Świat zatacza krąg i staje się taki, jakim znaliśmy go wcześniej. Raj utracony. Raj przywrócony. Pamiętam uśmiech Voscha – smutny i rozgorączony. „Tym właśnie jestem? Zbawicielem?”

Uciekając w stronę niczego, uciekając od niczego, uciekając po pustkowiu nieskalanej bieli, pod bezmiarem obojętnego nieba, zaczynam to widzieć. Wydaje mi się, że rozumiem. Zredukować ludzką populację do zrównoważonego poziomu, a następnie ją zmiażdżyć, ponieważ to właśnie zaufanie i współpraca stanowią prawdziwe zagrożenie dla delikatnej równowagi natury, są niedopuszczalnymi grzechami, które zepchnęły świat nad krawędź przepaści. Przybysze doszli do wniosku, że jedynym sposobem na ocalenie świata jest unicestwienie cywilizacji. Nie z zewnątrz, ale od wewnątrz. Jedynym sposobem na unicestwienie ludzkiej cywilizacji jest przekształcenie ludzkiej natury.

Nie przestawałam biec w głąb pustkowia. Wciąż nie dostrzegałam żadnej pogoni. Dni mijały, a ja coraz mniej przejmowałam się tym, że nadlecą helikoptery i zrzucą na mnie drużynę desantową, a coraz bardziej zajmowało mnie to, żeby się ogrzać, znaleźć wodę pitną i białko, którego potrzebowałam, by utrzymać funkcjonowanie żywiciela dwunastego układu. Na noc wykopywałam kryjówki w ziemi i sklecałam zadaszenie, pod którym mogłam się przespać. Ostrzyłam gałęzie i używałam ich jak włóczni, polując na króliki i łosie, po czym jadłam ich surowe mięso. Nie odważyłam się rozpalić ogniska, choć to potrafiłam. W obozie Przystań nauczył mnie tego wróg. Wróg nauczył mnie wszystkiego, co powinnam wiedzieć o przetrwaniu w dziczy, a następnie wyposażył mnie w kosmiczną technologię, która pomogła mojemu ciału zaadaptować się do takich warunków. Nauczył mnie, jak zabijać i jak nie zostać zabitym. Nauczył mnie tego, o czym ludzie zapomnieli po dziesięciu wiekach współpracy i zaufania. Nauczył mnie, czym jest lęk.

Życie to krąg otoczony lękiem. Lękiem drapieżnika. Lękiem ofiary. Bez lęku życie by nie istniało. Próbowałam to raz wyjaśnić Zombie'emu, ale chyba nie zrozumiał.

Przetrwałam czterdzieści dni w dziczy. I owszem, dostrzegłam pewną symbolikę.

Mogłabym wytrzymać dłużej. Dwunasty układ utrzymałby mnie przy życiu przez ponad sto lat. Królowa Marika, samotna stara łowczyni, pozbawiona duszy skorupa obgryzająca wysuszone kości martwych zwierząt, niepodważalna władczyni pozbawionych znaczenia włości, do czasu aż układ w końcu padnie, jej ciało ulegnie rozkładowi lub zostanie pożarte przez padlinożerców, a jej kości będą bieleć pośród opustoszałego krajobrazu niczym nieodczytane runy.

Zawróciłam. Zrozumiałam, dlaczego mnie nie ścigają.

Vosch zawsze wyprzedzał mnie o dwa posunięcia. Zawsze tak było. Filiżanka nie żyła, ale ja wciąż byłam związana nigdy niezłożoną przysięgą z kimś, kto też prawdopodobnie już nie żył. Jednak rachunek prawdopodobieństwa przestał mieć teraz jakiegokolwiek znaczenie.

Wiedział, że nie mogę porzucić Zombie'ego. Nie teraz, skoro istniała szansa, że mogę go ocalić.

A mogłam to zrobić tylko w jeden sposób. Vosch także o tym wiedział.

Musiałam zabić Evana Walkera.

# I DZIEŃ PIERWSZY

## Cassie

Zabiję Evana Walkera.

Tego ponurego, zagadkowego, skrytego sukinsyna. Uwolnię jego biedną, umęczoną, ludzko-kosmiczną hybrydę duszy od tej męczarni. „Jesteś jętką. Jesteś tym, za co warto umrzeć. Przebudziłem się, gdy spojrzałem na siebie twoimi oczami”. Rzyg.

Zeszłej nocy umyłam Sama – po raz pierwszy od trzech tygodni – a on prawie złamał mi nos, choć powinnam właściwie powiedzieć, że prawie powtórnie złamał mi nos, jako że dawna dziewczyna Evana (albo przyjaciółka od seksu, czy jak ją tam nazwać) zrobiła to już kiedyś, wciskając mi twarz w drzwi, za którymi stał mój młodszy brat, ten gówniarz. Staralam się go uratować, a on właśnie niemal złamał mi nos po raz drugi. Dostrzegacie ironię? Pewnie kryje się w tym jakaś symbolika, ale jest późno, a ja nie spałam trzy dni, więc dam sobie spokój.

Wróćmy do Evana i do tego, dlaczego zamierzam go zabić.

Krótko mówiąc, chodzi o alfabet.

Po tym jak Sam rozkwasił mi nos, przemoczona wypadłam z łazienki i zderzyłam się z klatką piersiową Bena Parisha. Ben czał się w korytarzu, jak gdyby odpowiadał za wszystko, co ma związek z Samem, wspomnianym wcześniej gnojkiem, który puścił wiązaną przekleństw za moimi plecami – jedyną suchą częścią mojego ciała po tym, jak próbowałam go umyć, a Ben Parish, istne uosobienie ulubionej powiedzonki mojego ojca, że lepiej mieć szczęście niż rozum, spojrzał na mnie wzrokiem, jak gdyby chciał zapytać: „Co tam?”, i był tak kretyńsko uroczy, że kusilo mnie, by to jemu złamać nos tak, by przestał wyglądać jak cholerny Ben Parish.

– Powinieneś nie żyć – rzuciłam. Wiem, wiem. Przed chwilą pisałam, że zabiję Evana, ale musicie coś zrozumieć... Walić to. Nikt tego nie przeczyta. Kiedy umrę, na świecie nie będzie już nikogo, kto potrafiłby czytać. Nie piszę więc tego dla ciebie, przyszły czytelniku, który i tak nie będziesz istniał. Piszę to dla siebie.

– Pewnie tak – odparł Ben.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś, kogo znałam z dawnych czasów, wciąż tu będzie?

Zamyślił się. A przynajmniej udawał, że myśli. W końcu to facet.

– Około siedmiu miliardów do jednego?

– Raczej około siedmiu miliardów do dwóch, Ben – odpowiedziałam. – Albo trzy koma pięć

miliarda do jednego.

– Nieźle. Aż tyle? – Wskazał głową drzwi łazienki. – Co z Nuggetem?

– Z Samem? Ma na imię Sam. Jeszcze raz nazwiesz go Nuggetem, a strzelę cię kolanem w twoje nuggetsy.

Uśmiechnął się. Albo udawał, że dopiero po chwili załapał, co do niego powiedziałam, albo zrozumiał to od razu... Tak czy siak, zacisnął wargi, a jego uśmiech ustąpił miejsca minie, która świadczyła o urażonej dumie.

– Są odrobinę większe niż nuggetsy – powiedział. – Odrobinę. – Nagle: klik! Na jego twarzy znów pojawił się uśmiech. – Mam z nim pogadać?

Odpowiedziałam, że gówno mnie obchodzi, co robi. Miałam ważniejsze sprawy na głowie, na przykład zamordowanie Evana Walkera.

Rzuciłam się w głąb korytarza i wpadłam do salonu, ale wciąż znajdowałam się na tyle blisko – lub wciąż jeszcze nie znajdowałam się dość daleko – że usłyszałam, jak Sam krzyczy:

– Mam to gdzieś, Zombie! Mam to gdzieś, mam to gdzieś. Nienawidzę jej!

Dumbo i Megan siedzieli na kanapie, układając puzzle, które ktoś znalazł w dziecięcym pokoju – scenkę z bajki Disneya czy coś w tym stylu – a kiedy obok nich przebiegałam, odwrócili wzrok, jak gdyby chcieli powiedzieć: „Nie przejmuj się nami, nie będziemy cię zatrzymywać, wszystko okej, nikt niczego nie widział”.

Na zewnątrz na werandzie zimno jak diabli, bo wiosna się na nas wypięła. Nie nadejdzie, bo wkurzyła ją ta cała zagłada. A może obcy zaaranżowali kolejną epokę lodowcową, no bo mogą, no bo po co zadowalać się tym, że ludzie umierają, skoro mogą być dodatkowo zziębnięci, głodujący i nieszczęśliwi? To o wiele bardziej satysfakcjonujące.

Opierał się o balustradę, żeby odciążyć chorą kostkę. Jak zwykle miał na sobie pognieciony mundurek, czyli kraciatą koszulę i dżinsowe rurki, a w zgięciu łokcia trzymał karabin. Rozjaśnił się, kiedy zobaczył, jak z trzaskiem otwieram parawanowe drzwi. Pożerał mnie wzrokiem. Rany, ewanowość tego wszystkiego, to, w jaki sposób spija moją obecność niczym facet, który idąc przez pustynię, natknął się na oazę.

Uderzyłam go w twarz.

– A to za co? – zapytał po tym, jak nie udało mu się znaleźć odpowiedzi po przekopaniu się przez dziesięć tysięcy lat kosmicznej inteligencji.

– Wiesz, dlaczego jestem mokra? – zapytałam.

Pokręcił głową.

– Dlaczego jesteś mokra?

– Kąpałam brata. Wiesz, dlaczego go kąpałam?

– Bo był brudny?

– Z tego samego powodu, dla którego sprzątałam tę norę po tym, jak się tu wprowadziliśmy. – Może i była supernaładowaną, technologicznie wzmocnioną ludzko-kosmiczną hybrydą o wyglądzie norweskiej królowej śniegu i takim samym sercu, ale Grace była też koszmarną gospodynią. Kurz pokrywał wszystkie kąty niczym zasy śnieżne, pleśń porastała pleśń, a kuchnia zawstydziliby niejednego kompulsywnego zbieracza. – Bo tak właśnie zachowują się ludzie, Evan. Nie obrastamy brudem. Kąpiemy się. Myjemy włosy, szczotkujemy zęby i golimy niechciane włosy...

– Sam musi się golić? – silił się na dowcip.

Głupi pomysł.

– Zamknij się! Teraz ja mówię. Kiedy ja mówię, ty milczysz. Kiedy ty mówisz, ja milczę. To kolejna rzecz, którą robią ludzie. Traktują się z szacunkiem. Z szacunkiem, Evan.

Posępnie pokiwał głową.

– Z szacunkiem – powtórzył, co jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło. Manipulował mną.

– We wszystkim chodzi o szacunek. Również w tym, żeby być czystym i nie śmierdzieć jak świnia.

– Świnie nie śmierdzą.

– Zamknij się – wycedziłam.

– Po prostu dorastałem na farmie, to wszystko.

Pokręciłam głową.

– O nie, to wcale nie wszystko. Nawet nie połowa. Ta część ciebie, którą uderzyłam, nie dorastała na żadnej cholernej farmie.

Oparł karabin o balustradę i kuśtykając, podszedł do huśtawki. Usiadł. Utkwił oczy gdzieś w oddali.

– To nie moja wina, że Sama trzeba było wykąpać.

– Oczywiście, że twoja. To wszystko twoja wina.

Spojrzał na mnie.

– Cassie, myślę, że powinnaś wrócić do środka – powiedział spokojnie.

– Bo co? Stracisz nad sobą panowanie? Proszę, niech to się w końcu wydarzy. Chciałabym to zobaczyć.

– Zmarzłaś.

– Wcale nie.

Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że stoję przed nim w mokrych ciuchach i cała się trzęsę. Lodowata woda ściekała mi po karku i płynęła strumyczkiem wzdłuż kręgosłupa. Zaplotłam ramiona na piersi i zmusiłam swoje (świeżo umyte, niezwykle czyste) zęby, żeby przestały szczekać.

– Sam nie pamięta alfabetu – oznajmiłam.

Gapił się na mnie przez cztery długie sekundy.

– Że co, przepraszam?

– Nie pamięta alfabetu. Chyba wiesz, o co chodzi, ty międzygalaktyczny świniopasie.

– Cóż. – Oderwał wzrok od mojej twarzy i przeniósł go na pustą drogę po drugiej stronie pustego podwórza, która ciągnęła się po pustym horyzont, za którym znajdowało się jeszcze więcej pustych dróg, lasów, pól, miast i miasteczek, a świat był wielką wydrążoną dynią, wiadrzem na pomyje wypełnionym pustką. Opróżnionym przez kreatury takie jak on, przez tych, do których należał, zanim wdarł się do ludzkiego ciała niczym dłoń w tyłek pacynki.

Pochylił się do przodu i ściągnął kurtkę, tę samą głupią kurtkę z nazwą drużyny kręglarskiej, którą miał na sobie, zjawiając się wtedy w dawnym hotelu („Tumany z Urbany”), i podał mi ją.

– Proszę.

Może nie powinnam jej brać. Zaczynałam dostrzegać pewien wzorzec: jest mi zimno, on mnie ogrzewa. Jestem ranna, on mnie leczy. Jestem głodna, on mnie karmi. Upadam, on mnie podnosi. Przypominam dół na plaży, który co rusz wypełnia się wodą.

Jestem drobna, więc jego kurtka całkiem mnie pochłonęła. Podobnie jak ciepło jego ciała. Uspokoiło mnie to. Nie ciepło pochodzące z jego ciała, ale ciepło jako takie.

– Alfabet to kolejna rzecz, jakiej uczą się ludzie – powiedziałam. – Żeby mogli czytać. Żeby mogli się uczyć historii, matematyki, nauk ścisłych i innych rzeczy, w tym tak ważnych spraw, jak sztuka, kultura i religia, i tego, dlaczego pewne rzeczy się dzieją, a inne nie, i dlaczego wszystko w ogóle istnieje.

Głos uwiązał mi w gardle. W mojej głowie znów bez zaproszenia pojawił się obraz ojca po trzeciej fali ciągnącego czerwony wózek wyładowany książkami oraz jego wykład o konieczności utrwalenia wiedzy i odbudowania cywilizacji po tym, jak przegonimy tych natrętnych kosmitów. Boże, jakie to smutne, jakie żałosne: łysiejący, przygarbiony mężczyzna powłóczący nogami i wlokący po opustoszałej ulicy wózek wypełniony książkami zszabrowanymi z biblioteki. Podczas gdy inni kradli konserwy, broń i artykuły żelazne, żeby zabezpieczyć domy przed rabusiami, mój ojciec uznał, że najmądrzejszym posunięciem będzie zapewnienie sobie lektury.

– Przecież znów może go opanować – zasugerował Evan. – Nauczysz go.

Ostatkiem sił powstrzymałam się, żeby znowu go nie uderzyć. Był czas, kiedy myślałam, że jestem ostatnią żyjącą osobą na Ziemi, a więc że stanowią całą ludzkość. Nie tylko Evan zaciągnął niemożliwy do spłacenia dług. Ja należę do ludzkości, a on do nich. Po tym, co nam zrobili, ludzkość powinna połamać im wszystkie kości.

– Nie o to chodzi – powiedziałam. – Chodzi o to, że nie rozumiem, dlaczego tak to rozegraliście. Mogliście nas wszystkich pozabijać i nie musieliście być tacy okrutni. Wiesz, co jeszcze odkryłam oprócz faktu, że mój młodszy brat mnie nienawidzi? Zapomniał więcej niż alfabet. Nie pamięta, jak



wyglądała nasza mama. Nie pamięta twarzy własnej matki.

Straciłam nad sobą panowanie. Opatuliłam się tą durną kurtką z „Tumanami” i rozryczałam, bo miałam już gdzieś, czy Evan to zobaczy, bo jeśli ktokolwiek miał to zobaczyć, to właśnie on – snajper mordujący ludzi z dystansu, mieszkający wygodnie na swojej farmie, podczas gdy trzysta kilometrów nad jego głową statek matka uwolnił trzy nasilające się fale zniszczenia. Pierwszy atak pochłonął pięćset tysięcy ofiar, drugi miliony, trzeci miliardy. A podczas gdy świat płonął, Evan Walker wędził sarni mostek, przechadzał się po lesie i odpoczywał przy buzującym ogniu, polerując swoje perfekcyjne paznokcie.

Powinien obejrzeć cierpienia ludzkości z bliska. Zbyt długo zachowywał się jak statek matka unoszący się ponad całym tym horrorem, niewzruszony i nieskończenie daleki. Musi to zobaczyć, dotknąć, przycisnąć do tego swój idealnie sklepiiony nos i wciągnąć ten zapach.

Tak jak Sammy. Miałam ochotę wbiec do środka, wyciągnąć go z wanny i nagiego wywlec na werandę, by Evan Walker mógł policzyć jego sterczące żebra, dotknąć wątlých nadgarstków, musnąć zapadnięte skronie, przyjrzeć się bliznom i ranom na ciele małego chłopca, którego torturował, dziecka, którego umysł opróżnił ze wspomnień i którego serce wypełnione jest nienawiścią, rozpaczą oraz bezsensownym gniewem.

Evan zaczął się podnosić – zapewne po to, by mnie objąć, pogłaskać po włosach, osuszyć moje łzy i wyszeptać, że wszystko będzie dobrze, jak to miał w zwyczaju – ale szybko się zreflektował. Usiadł.

– Przecież już ci mówiłem, Cassie – zaczął łagodnie. – Nie chciałem, żeby tak to wyglądało. Walczyłem z tym.

– Aż w końcu się poddałeś. – Wciąż próbowałam wziąć się w garść, ale słowo „poddajeś” wypowiedziałam w czterech sylabach. – I co właściwie masz na myśli, mówiąc, że nie chciałeś, by tak to wyglądało?

Usadowił się wygodniej. Huśtawka zaskrzypiała. Wzrok Evana znów powędrował w stronę pustej drogi.

– Bez końca mogliśmy żyć między wami niezauważeni. Ukryci, niewidoczni. Mogliśmy zająć czołowe role w waszym społeczeństwie. Mogliśmy dzielić się z wami wiedzą, znacznie zwiększając wasz potencjał i przyspieszając waszą ewolucję. Możliwe, że dalibyśmy wam jedyną rzecz, której zawsze pragnęliście, a której nigdy nie doświadczyliście.

– Czyli co? – Wciągnęłam gile z powrotem do nosa. Nie miałam chusteczki, ale i tak nie obchodziło mnie, że wygląda to obrzydliwie. Inwazja całkiem zmieniła definicję słowa „obrzydliwy”.

– Pokój – odparł.

– „Dalibyśmy”. Tryb przypuszczający.

Skinął głową.

– Kiedy ta możliwość została odrzucona, wnioskowałem o coś... szybszego.

– Szybszego?

– O asteroidę. Nie mieliście technologii, która by ją powstrzymała, a nawet gdyby udało wam się taką technologię opracować, zabrakłoby wam czasu. To byłoby proste, ale jednak zbyt niechlujne rozwiązanie. Świat nie nadawałby się do zamieszkania przez tysiąc lat.

– A jakie to ma znaczenie? Jesteście czystą świadomością, nieśmiertelni jak bogowie. Czymże jest dla was tysiąc lat?

Wyglądało na to, że odpowiedź na to pytanie jest zbyt skomplikowana. Albo że Evan nie chce się nią ze mną podzielić.

– Przez dziesięć tysięcy lat mieliśmy coś, o czym wy przez dziesięć tysięcy lat tylko marzyliście – powiedział po chwili i prychnął pozbawionym wesołości śmiechem. – Żywot bez bólu, głodu i innych fizycznych potrzeb. Ale nieśmiertelność ma swoją cenę. Pozbawieni ciał, nie mieliśmy również tego, co się łączyło z ich posiadaniem. Na przykład autonomii czy życzliwości. Współczucia. – Rozłożył rękę, jak gdyby chciał mi pokazać, że są puste. – Nie tylko Sam zapomniał alfabet.

– Nienawidzę cię – rzuciłam.

Pokręcił głową.

– Nieprawda.

– Chcę cię znienawidzić.

– Mam nadzieję, że ci się to nie uda.

– Przestań się okłamywać, Evan. Nie kochasz mnie, tylko wyobrażenie o mnie. Wszystko ci się pomieszało. Kochasz to, co sobą reprezentuję.

Przekrzywił głowę. Jego brązowe oczy błyszcząły mocniej niż gwiazdy.

– A co takiego sobą reprezentujesz, Cassie?

– To, co wydawało ci się stracone. To, co wydawało ci się niemożliwe do zdobycia. Ja tym nie jestem. Ja to po prostu ja.

– Czyli?

Wiedziałam, co ma na myśli. A jednocześnie nie miałam pojęcia. Łączyło nas właśnie to coś, czego żadne z nas nie potrafiło nazwać: nierozzerwalna więź pomiędzy miłością i lękiem. Evan jest miłością. Ja – lękiem.

Ben czekał, żeby na mnie naskoczyć, kiedy tylko wejdę do środka. Wiedziałam, że czeka, żeby na mnie naskoczyć, bo kiedy tylko weszłam do środka, naskoczył na mnie.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Otarłam łzy i parsknęłam śmiechem. Jasne, Parish, jeśli nie liczyć tej całej irytującej apokalipsy kosmitów, wszystko gra.

– Im więcej mi tłumaczy, tym mniej rozumiem – odparłam.

– Mówiłem ci, że z tym kolesiem jest coś nie tak – rzucił, wyraźnie starając się nie użyć frazy: „A nie mówiłem?”. Chociaż nie. Od tego przecież zaczął.

– A co ty byś zrobił, gdybyś przez dziesięć tysięcy lat nie miał ciała, a potem nagle je dostał? – zapytałam.

Przekrzywił głowę, starając się nie uśmiechać.

– Pewnie poleciałbym się załatwić.

Dumbo i Megan zniknęli. Byliśmy sami. Ben stał przy kominku, a złote światło migotało na jego twarzy, która zdążyła się nieco zaokrąglić w ciągu sześciu tygodni pobytu w domu Grace. Wystarczyło dużo odpoczynku, jedzenia, wody pitnej i antybiotyków, żeby Ben znów stał się sobą sprzed inwazji. Prawie. Już nigdy nie będzie tym samym Benem. W jego oczach wciąż czaił się niepokój. Był nieufny jak królik na łące obserwowanej przez jastrzębie.

Nie był w tym odosobniony. Po dotarciu do kryjówki przez dwa tygodnie zbierałam się na odwagę, żeby spojrzeć w lustro. To tak, jakbyście wpadli na kogoś niewidzianego od czasów gimnazjum – rozpoznajecie go, ale przede wszystkim zwracacie uwagę na zmiany, jakie w nim zaszły. Nie pasują one do waszego wyobrażenia wyglądu tej osoby i przez chwilę wytrąca was to z równowagi, bo wasze wspomnienie o niej to ona. Kiedy więc spojrzałam w lustro, ujrzałam siebie niepasującą do mojego wspomnienia o mnie, inny był zwłaszcza nos, który za sprawą Grace był teraz lekko przekrzywiony na prawo. Odpuściłam, nie żywię urazy. Może i mam krzywy nos, ale jej wyparował – wraz z resztą ciała.

– Jak Sam? – zapytałam.

Ben wskazał głową w głąb domu.

– Siedzi z Megan i Dumbo. Wszystko okej.

– Nienawidzi mnie.

– Nieprawda.

– Tak mi powiedział.

– Dzieciaki mówią, co im ślina na język przyniesie.

– Nie tylko dzieciaki.

Skinął głową i spojrzał ponad moim ramieniem w stronę drzwi wejściowych.

– Ringer miała rację, Cassie. To wszystko nie trzyma się kupy. Gość uprowadza ludzkie ciała, żeby móc wymordować wszystkie nieuprowadzone ludzkie ciała. Któregoś dnia uznaje, że woli jednak mordować swoich, by uratować nieuprowadzone ludzkie ciała. Ale nie chce zamordować jednego czy dwóch swoich ziomków. Chce załatwić ich wszystkich. Chce zniszczyć całą swoją cywilizację. I po co? Dla dziewczyny. Dla dziewczyny!

Zagalopował się. On także to wiedział. Ale na wszelki wypadek bardzo wolno odparłam:

– Wiesz, Parish, to chyba odrobinę bardziej skomplikowane. On ma w sobie też pierwiastek ludzki.

Jezu, Cass, co z tobą? Przed chwilą byłaś na niego wściekła, a teraz zaczynasz go bronić.

Twarz Bena stężała.

– Nie przywiązywałbym do tego zbyt wielkiej wagi. Wiem, że jej nie lubiłaś, ale Ringer jest cholernie mądra i miała rację, mówiąc, że skoro nie potrzebują ciał, to nie potrzebują planety. A jeśli nie potrzebują planety, to po co przybyli na naszą?

– Nie wiem – warknęłam. – Może zapytasz Ringer, skoro uważasz, że jest taka bystra?

Nabrał powietrza i powiedział:

– Taki mam plan.

Minęła sekunda, zanim pojęłam, o co mu chodzi. Kolejna, zanim zrozumiałam, że mówi poważnie. I trzecia, zanim myśli z dwóch pierwszych do mnie dotarły, i aż musiałam usiąść.

– Sporo o tym myślałem... – zaczął i natychmiast urwał. Miałam wrażenie, że owija w bawełnę. I to w rozmowie ze mną! Pomyślałby kto, że jestem wybuchowa czy coś. – Chyba wiem, co o tym powiesz, ale zanim to zrobisz, musisz mnie wysłuchać. Po prostu mnie posłuchaj, dobrze? Jeśli Walker mówił prawdę, za cztery dni przyleci kapsuła, a on odejdzie, żeby robić to, co do niego należy. Zdążę wrócić.

– Niby skąd, Ben?

– Nie pójdę sam. Zabiorę ze sobą Dumbo.

– Okeeej. Dokąd? – Po chwili wszystko do mnie dotarło. – Do jaskiń...

Ben skinął głową z ulgą, że sama na to wpadłam.

– To mnie męczy, Cassie. Nie mogę przestać o nich myśleć. Może Filizanka dołączyła do Ringer, a może nie... Może nie żyje. Podobnie jak Ringer. Cholera, pewnie właśnie tak jest. Ale może nie. Może dotarły do jaskiń, a Ringer wróciła po nas do hotelu, tylko że nas tam nie było, bo nie było już hotelu. Tak czy siak, tutaj ich nie ma, żywych ani martwych. A jeżeli żyją, nie mają pojęcia o tym,

co nadchodzi. I jeżeli ktoś nie wróci po nie, zginą.

Wziął głęboki, drżący oddech – pierwszy, odkąd wystrzelił tę werbalną raketę.

– Wrócić po nie – powiedziałam. – Tak jak wróciłeś po Sama. Tak jak nie wróciłeś po...

– Tak. Nie. Cholera. – Jego twarz zrobiła się czerwona i z pewnością nie dlatego, że stał zbyt blisko ognia. Wiedział, co mam na myśli. – To nie ma nic wspólnego z moją siostrą...

– Uciekłeś i od tego czasu próbujesz wrócić.

Zrobił krok w moją stronę. Z dala od blasku kominka jego twarz pograżyła się w mroku.

– Nie rozumiesz tego. Pewnie strasznie cię to denerwuje, bo przecież Cassie Sullivan wie wszystko, prawda?

– Czego ode mnie chcesz, Ben? Nie jestem twoją matką ani dowódcą. Rób, co ci się podoba.

Wstałam, po czym znowu usiadłam. Nie miałam dokąd iść. Mogłam co najwyżej wejść do kuchni i zrobić sobie kanapkę, tylko że nie mieliśmy ani chleba, ani wędliny, ani sera. Nie znam szczegółów, ale jestem pewna, że w niebie na każdym rogu mają Subwaya. I sklepy z czekoladkami Godiva. Drugiego dnia tutaj znalazłam zapas czterdziestu sześciu pudełek tych czekoladek należący do Grace. Nie, żebym je liczyła.

– Mam zły dzień – wyjaśniłam. Mój braciszek mnie znienawidził, mój osobisty, kosmiczno-ludzki ochroniarz wyznał, że nie odróżnia empatii od homeopatii, a teraz jeszcze okazało się, że moja dawna miłość z liceum wybiera się na samobójczą misję, żeby uratować dwie zaginione i prawie na pewno nieżyjące osoby. Co więcej, marzyłam o kanapce, której już nigdy nie dostanę. Od czasu inwazji nachodziły mnie zachcianki godne kobiety spodziewającej się trojaczków, a w dodatku zawsze miałam ochotę na jedzenie, którego już nigdy nie posmakuję. Czekoladowe lodowe rożki. Mrożoną pizzę. Bitą śmietanę w sprayu. Bułeczki cytrynowe, które mama piekła w każdy niedzielny poranek. Frytki z McDonalda. Bekon. Zaraz, zaraz, bekon wciąż znajdował się w moim zasięgu. Musiałabym tylko wytropić świnię, zarznąć ją, wypatroszyć, zamarynować mięso, a następnie je usmażyć. Myśl o bekonie – o możliwości zjedzenia bekonu – daje mi nadzieję. Widać nie wszystko stracone, skoro istnieje bekon.

Poważnie.

– Przepraszam – odparł Ben. – Nie powinienem cię atakować.

Podszedł do mnie i usiadł o jakieś pięć centymetrów za blisko. Kiedyś fantazjowałam o tym, że siedzimy z Benem Parishem pod jednym kocem na kanapie w moim domu i do pierwszej w nocy oglądamy stare horrory, a on trzyma na kolanach miskę popcornu. Wyobrażałam sobie, że jest sobotnia noc i że zrezygnował z mniej więcej sześciu zajebistych imprez z fajniejszymi ode mnie ludźmi, ale wcale tego nie żałował – wystarczało mu moje towarzystwo.

A teraz był obok, tylko że wokół nie trwały zajebiste imprezy, nie mieliśmy telewizora, koca ani cholernego popcornu. Kiedyś na świecie istniało dwóch Benów – ten prawdziwy, który nawet nie

wiedział o moim istnieniu, i ten wymarzony, który karmił mnie popcornem, wtykając mi go do ust wysmarowanymi masłem palcami. Teraz było ich trzech. Pierwsi dwaj i ten, który siedział o pięć centymetrów za blisko, ubrany w obcisły czarny sweter, z twarzą pokrytą zarostem, dzięki któremu wyglądał jak gwiazda indie rocka czekająca za kulisami w przerwie koncertu. Przyznacie, że to całkiem sporo Benów jak na jeden mózg. Powinnam ochrzcić ich różnymi imionami, żeby mi się nie pomylili: Ben, eks-Ben i Ben-którym-nie-będziesz.

– Spoko – rzuciłam. – Ale dlaczego musisz wyruszyć teraz? Dlaczego nie możesz poczekać? Jeśli Evanowi się uda...

Pokręcił głową.

– To, czy mu się uda, i tak nie będzie miało znaczenia. To nie obcy w kosmosie są dla nas zagrożeniem, tylko ludzie tu, na Ziemi. Muszę odszukać Ringer i Filiżankę, zanim zrobi to piąta fala.

Ujął moje dłonie, a z głębi mojej duszy dobyło się ciche: „Ben”. Ten ledwo słyszalny głosik należał do gimnazjalistki o mocno kręconych włosach, która postanowiła, że nie umrze, do piegowatej, przemądrzałej introwertyczki, nieśmiałej i niezdarnej pomimo licznych lekcji tańca i karate oraz bezustannego dopingu rodziców, dziewczyny dźwigającej na ramieniu pękatą torbę z sekretami – głupiutkimi, prozaicznymi, melodramatycznymi sekretami nastolatki, które wprowadziłyby popularne, atrakcyjne dzieciaki w osłupienie, gdyby tylko się o nich dowiedziały.

O co w tym chodzi? Dlaczego ta dziewczyna po prostu sobie nie pójdzie? Nie dość, że nosiłam w sobie zbyt wielu Benów, to na dodatek miałam na głowie też zbyt wiele Cassie. Trzech Benów, dwie Cassie, kilku Samów i oczywiście dosłowną dualność w postaci Evana Walkera. Nikt nie stanowił już integralnej całości. Nasze prawdziwe „ja” połyskiwały jak fatamorgana bezustannie cofająca się w głąb pustyni.

Ben dotknął mojej twarzy, delikatnie muskając palcami policzki. Ten cichy głosik w mojej głowie, ten zanikający krzyk: „Ben”.

W końcu mój prawdziwy głos:

– Zginiesz.

– No raczej – powiedział z uśmiechem. – Ale stanie się to tak, jak powinno. Nie na ich warunkach, tylko po mojemu.

Drzwi wejściowe zaskrzypiały na zardzewiałych zawiasach.

– Ona ma rację, Ben. Powinieneś zaczekać – powiedział ktoś.

Ben odsunął się ode mnie. Evan opierał się o futrynę.

– Nikt cię nie pyta o zdanie – rzucił Ben.

– Ten statek jest kluczowym punktem następnej fazy – powiedział Evan powoli i wyraźnie, jak gdyby rozmawiał z szaleńcem albo idiotą. – Wysadzenie go w powietrze to jedyny sposób, żeby to wszystko zakończyć.

– Nie obchodzi mnie, co wysadzisz w powietrze – odparł Ben i odwrócił się, jakby nie mógł nawet patrzeć na Evana. – Co więcej, mam gdzieś, czy to wszystko się zakończy. Może trudno to zrozumieć komuś z kompleksem zbawiciela, ale ja nie chcę ocalić świata. Chcę ocalić tylko dwie osoby.

Wstał, zrobił krok ponad moimi nogami i ruszył w stronę korytarza. Evan krzyknął za nim coś, co sprawiło, że Ben stanął jak wryty.

– Równonoc wiosenna jest za cztery dni. Jeśli nie dotrę do tego statku i nie wysadzę go w powietrze, wszystkie miasta na Ziemi zostaną zgładzone.

Cholera jasna! Wymieniliśmy z Benem spojrzenia, po czym oboje popatrzyliśmy na Evana.

– Mówiąc „zgładzone”, masz na myśli... – zaczęłam.

– Wysadzone w powietrze – dokończył Evan. – To ostatni krok przed uruchomieniem piątej fali.

Ben powoli kręcił głową. Widać było, że mieszają się w nim przerażenie, wstręt i wściekłość.

– Dlaczego?

– W ten sposób łatwiej będzie dokończyć oczyszczanie. I pozbyć się jakichkolwiek ludzkich śladów.

– Ale dlaczego teraz? – zapytał Ben.

– Uciszacze schronią się z powrotem na pokładzie statku. Tam jest bezpiecznie. Znaczący, dla nas. Tam jest bezpiecznie dla nas.

Odwróciłam głowę. Zrobiło mi się niedobrze. Powinnam się była tego domyślić. Kiedy wydawało mi się, że nie może być już gorzej, sytuacja się pogarsza.

## Zombie

Wywołuję Dumbo z pokoju. Sullivan może sobie mówić, co chce. Ten mały zawsze będzie dla mnie Nuggetem. Dzieciak wychodzi za nami na korytarz, a ja każę mu się cofnąć. Zamykam drzwi i zwracam się do Dumbo:

– Zabieraj rzeczy. Wyruszamy.

Oczy Dumbo rozwierają się ze zdumienia.

– Kiedy?

– Natychmiast.

Z trudem przełyka ślinę i spogląda w stronę salonu.

– Tylko ty i ja, sierżancie?

Wiem, czym się martwi.

– Wszystko w porządku, Bo. – Dotykam miejsca, w które Ringer wpakowała mi kulę. – Jeszcze nie na sto procent, raczej na osiemdziesiąt sześć koma pięć, ale dam radę.

Kiedy sięgam po leżący na najbliższej półce plecak, ból wbija mi się w bok jak nóż. No dobra, odejmijmy półtora punktu, niech będzie osiemdziesiąt pięć. To i tak bliżej setki niż zero. Tak czy siak, czy na tym etapie gry istnieje jeszcze ktokolwiek, kto byłby w stu procentach cały? Nawet ten dobry-zły kosmita miał złamaną kostkę.

Grzebię w plecaku, chociaż nie ma tam zbyt wiele do wygrzebania. Będę musiał zabrać wodę pitną i trochę zapasów z kuchni. Przydałby się też nóż. Sięgam do zewnętrznej kieszonki. Pusta. Co jest, do cholery? Przecież go tu wkładałem. Co się z nim stało?

Klęczę na podłodze w sypialni, trzeci raz przeglądając rzeczy, kiedy do pomieszczenia wchodzi Dumbo.

– Sierżancie?

– Był tutaj. Wkładałem go tu! – Muszę mieć nietęgą minę, bo gdy podnoszę wzrok, chłopak aż się cofa. – Ktoś musiał go zabrać. Chryste, kto mógł coś takiego zrobić, Dumbo?

– Co zabrać?

Odchylam się z powrotem na pięty i macam się po kieszeniach. Cholera. Jest. Dokładnie tam, gdzie go włożyłem. Wisiorek mojej siostry, ten sam, który został mi w ręce tej nocy, gdy zostawiłem



ją na śmierć.

– Dobra, już w porządku. – Podnoszę się, biorę plecak z podłogi i karabin z łóżka. Dumbo obserwuje mnie uważnie, ale niemal tego nie dostrzegam. Ten dzieciak od miesiący trzęsie się nade mną jak kura nad jajkiem.

– Myślałem, że wyruszamy jutro w nocy – rzuca.

– Jeśli nie znajdziemy ich na odcinku dzielącym ten dom od hotelu albo przynajmniej od miejsca, gdzie kiedyś stał hotel, będziemy musieli przejść przez Urbanę. I to dwa razy – wyjaśniam. – A ja nie chciałbym być w okolicy Urbany, kiedy te gnoje zafundują jej drugie Dubuque.

– Dubuque? – Jego twarz bieleje. Boże, znowu to Dubuque!

Zarzucam plecak na jedno ramię, a karabin na drugie.

– Buzz Astral powiedział nam właśnie, że planują wysadzić miasta.

Dumbo potrzebuje chwili, żeby przetrwać tę informację.

– Które?

– Wszystkie.

Opada mu szczęka. Wychodzi za mną na korytarz, a następnie skręca do kuchni. Woda w butelce, kilka nieotwartych paczek z suszonym mięsem, krakersy, garść batonów proteinowych. Dzielę zapasy po równo i wręczam Dumbo jego część. Muszę się spieszyć, zanim Nugget uruchomi swój radar, wypadnie z pokoju i przylepi się do mojej nogi.

– Wszystkie? – pyta Dumbo, marszcząc brwi. – Przecież Ringer mówiła, że nie wysadzą miast.

– Cóż, myliła się. Albo Walker kłamie. Pieprzył coś o tym, że najpierw zabiorą stąd uciszaczy. Wiecie, co postanowiłem, szeregowy? Nie zamierzam się już martwić sprawami, o których nie mam pojęcia.

Dumbo kręci głową. Wciąż nie może tego pojąć.

– Wszystkie miasta na Ziemi?

– Łącznie z zadupiami, gdzie jest tylko jeden słup sygnalizacji świetlnej.

– Jak?

– Statek matka. Przyleci za cztery dni, okrąży planetę, a w czasie lotu zrzuci bomby. Chyba że wcześniej Walkerowi uda się wysadzić statek, choć jakoś w to nie wierzę.

– Dlaczego?

– Bo nie wierzę w Walkera.

– Wciąż tego nie kumam, Zombie. Dlaczego mieliby czekać aż do teraz, żeby zacząć zrzucać bomby?

Cały się trzęsie, łącznie z głosem. Traci nad sobą panowanie. Kładę mu ręce na ramionach i zmuszam, żeby na mnie spojrział.

– Już ci mówiłem. Chcą ewakuować uciszaczy. Wyślą kapsuły i zabiorą wszystkich zarażonych, co do jednego, poza szychami takimi jak Vosch. Kiedy już ich stąd wyciągną i zrównają miasta z ziemią, uciekinierzy nie będą się mieli gdzie schronić, a te biedne sukinsyny z wypranymi mózgami dostaną ich jak na dłoni. Piąta fala. Rozumiesz?

Kręci głową.

– To bez znaczenia. Idę tam, gdzie ty, sierżancie.

Za jego plecami porusza się jakiś cień. Cień w kształcie cholernego Nuggeta. Długo mu to zajęło.

– Zombie?

– W porządku – wzdycham. – Dumbo, daj nam chwilę.

Wychodzi z kuchni, mamrocząc pod nosem jedno słowo: „Dubuque!”.

Zostaliśmy tylko ja i Nugget. Nie chcę tego, ale tak naprawdę przed niczym nie da się uciec. Wszystko stanowi krąg. Ringer próbowała mi to wytłumaczyć. Bez względu na to, jak daleko lub szybko biegniesz, prędzej czy później dotrzesz do miejsca, z którego wyruszyłeś. Wściekłem się, kiedy Sullivan wspomniała o mojej siostrze, ale oboje wiedzieliśmy, że ma rację. Sissy nie żyje. Sissy nigdy nie umrze. Już zawsze będę wyciągał do niej rękę. Ona już zawsze będzie spadać, a srebrny łańcuszek zrywać się pod moimi palcami.

– Gdzie są szeregowie Filizanka i Ringer? – pytam go.

Podnosi ku mnie świeżo wyszorowaną buzię. Wydyma dolną wargę.

– Nie wiem.

– To tak jak ja. Dlatego ja i Dumbo się tego dowiemy.

– Idę z wami.

– Nie zezwalam, szeregowy. Musicie pilnować siostry.

– Ona mnie nie potrzebuje. Ma jego.

Nie zaprzeczam. Jest zbyt bystry, bym mógł z nim wygrać.

– Cóż, w takim razie powierzam ci opiekę nad Megan.

– Mówiłeś, że się nie rozdzielimy. Choćby nie wiem co.

Przyklękam. Jego oczy błyszczą od łez, ale nie płacze. To twardy sukinsyn, o wiele starszy, niż można by sądzić po jego metryce.

– Nie będzie mnie tylko kilka dni. – *Déjà vu*: praktycznie to samo powiedziała przed odejściem Ringer.

– Obiecujesz?

I praktycznie o to samo ją zapytałem. Ringer nie obiecała. Była na to za mądra. Czego nie można powiedzieć o mnie.

– A czy kiedykolwiek złamałem obietnicę? – Ujmuję jego dłoń, odginam mu palce i wtykam mu

do ręki medalion Sissy. – Pilnuj tego – rozkazuję.

– Co to? – pyta, wpatrując się w połyskujący metal.

– Część łańcuszka.

– Jakiego łańcuszka?

– Takiego, który wszystko ze sobą łączy.

Potrząsa głową skonsternowany.

Nie jest w tym osamotniony. Też nie mam pojęcia, co to było, co ma znaczyć to zdanie i dlaczego je wypowiedziałem. Ten fragment kiczowatego wisiorka stanowiącego część kostiumu... Wydawało mi się, że trzymam go z poczucia winy i wstydu, żeby pamiętać o tamtej porażce, o wszystkich rzeczach, które zostały mi odebrane, ale może istnieje jeszcze inny powód, którego nie potrafię ubrać w słowa, bo nie istnieją one w moim słowniku. Może w ogóle ich nie ma.

Idzie za mną do salonu.

– Ben, nie przemyślałeś tego – mówi Walker. Stoi w tym samym miejscu, w którym go zostawiłem, w drzwiach wejściowych. Ignoruję go.

– Albo są w jaskiniach, albo ich tam nie ma – informuję Sullivan, która siedzi przed kominkiem, oplatając się ramionami. – Jeśli tam są, przyprowadzimy je tutaj. A jeśli nie, to nie.

– Bunkrujemy się tu od sześciu tygodni – oznajmia Walker. – W innych okolicznościach już byśmy nie żyli. Nie zginęliśmy tylko dlatego, że zneutralizowaliśmy agentkę patrolującą ten sektor.

– Grace – tłumaczy mi Cassie. – Żeby dotrzeć do jaskiń, będziecie musieli przekroczyć trzy...

– Dwa – poprawia ją Walker.

Wywraca oczami. Daruj.

– Dwa terytoria patrolowane przez uciszaczy takich jak on. – Cassie zerka na Walkera. – No, może niekoniecznie takich samych. To nie będą dobrzy uciszacze. To będą bardzo źli uciszacze bardzo dobrzy w uciszaniu.

– Może wam się poszczęści i jednego z nich ominiecie – mówi Walker. – Ale na pewno nie dwóch.

– Ale jeśli poczekać, nie będzie już uciszaczy do omijania. – Cassie stoi teraz obok mnie i z błagalną miną dotyka mojego ramienia. – Wszyscy znajdą się z powrotem na statku matce. Wtedy Evan zrobi to, co planuje, a wy... – urywa. Brakuje jej tchu, którego potrzebuje, by mnie przekabacić.

Nie patrzę na nią. Patrzę na Walkera. Wiem, co teraz powie. Wiem, bo powiedziałbym to samo: nie ma mowy, żebyśmy z Dumbo dotarli do jaskiń i nie ma szans, żeby zdołały tam dotrzeć Ringer i Filizanka.

– Nie znasz Ringer – mówię. – Jeśli komukolwiek miałoby się to udać, to właśnie jej.

Walker kiwa głową. Ale zgadza się z pierwszą częścią mojej wypowiedzi, nie drugą.

– Po przebudzeniu wszyscy zostaliśmy wyposażeni w technologię, która sprawia, że jesteśmy niemal niezniszczalni. Zamieniliśmy się w żywe maszyny do zabijania, Ben. – Po chwili ten tępy sukinsyn bierze głęboki oddech i w końcu to z siebie wyrzuca. – Niemożliwe, żeby tak długo przetrwały, mając nas za przeciwnika. Wasze przyjaciółki nie żyją.

I tak wyruszyłem. Pierdolić to. Pierdolić go. Pierdolić wszystko. Dość długo siedziałem na tyłku, czekając, aż świat się skończy.

Ringer nie dotrzymała obietnicy. Ja dotrzymam. W jej imieniu.



## Ringer

Wartownicy wyglądali mnie przy bramie. Natychmiast zostałam odprowadzona do wieży górującej nad lądowiskiem, gdzie oczekiwał mnie Vosch. Odniosłam wrażenie, że przez ostatnie czterdzieści dni nie ruszał się z miejsca. Kolejny krąg się domknął...

– Zombie żyje – powiedziałam. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że stoję na plamie krwi w miejscu, w którym umarł Brzytwa. Kilka metrów dalej, obok konsoli, kula Brzytwy zabiła Filiżankę. Filiżankę.

Vosch wzruszył ramionami.

– To niepotwierdzone.

– Dobra, może nie Zombie, ale ktoś, kto mnie zna, wciąż żyje. – Nie odpowiedział. Znając moje szczęście, to pewnie Sullivan, pomyślałam. – Wiesz, że nie mogę się zbliżyć do Walkera, jeśli nie znajdę kogoś, komu on ufa i kto będzie mógł za mnie poręczyć.

Vosch zaplótł długie, silne ramiona na piersi i spojrzał na mnie z góry, a jego jasne, niemal ptasie oczy zabłyśły.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie – powiedział. – Czy jestem człowiekiem?

– Tak – odparłam bez wahania.

Uśmiechnął się.

– I wciąż wierzysz, że to oznacza brak nadziei? – Nie czekał na odpowiedź. – To ja jestem nadzieją świata. Los ludzkości spoczywa w moich rękach.

– Cóż to musi być za potworne brzemię – rzuciłam.

– Bardzo zabawne.

– Potrzebowali takich ludzi jak ty. Organizatorów i menadżerów, którzy wiedzieli, po co przyszli i czego chcą.

Kiwał głową, a jego twarz pałała dumą. Był ze mnie zadowolony. Był też zadowolony z siebie i gratulował sobie, że mnie wybrał.

– Nie mieli wyboru, Mariko. Co oczywiście oznacza, że my też go nie mieliśmy. Każdy możliwy scenariusz przewidywał, że jesteśmy skazani na to, by zniszczyć własną rasę i dom. Jedynym rozwiązaniem była radykalna interwencja. Zniszczenie ludzkiej osady, aby ją ocalić.

– Nie wystarczyło zgładzić siedem miliardów ludzi – powiedziałam.

– Oczywiście, że nie. Gdyby było inaczej, roznieśliby tę planetę w pył. Nie, najlepszym rozwiązaniem jest dziecko wśród pszenicy.

Na to wspomnienie ścisnęło mnie w żołądku. Malec przedzierający się przez martwe zboże. Mała grupka uciekinierów, która zabiera go do domu. Resztki zaufania eksplodujące w przebłysku piekielnego zielonego światła.

W dniu, w którym go poznałam, walnął mi mowę. Jak każdemu rekrutowi. „Najważniejsza bitwa w dziejach tej planety nie odbywa się w górach, na polach, w dżungli ani na oceanie”...

– Walka toczy się tutaj. – Dotknęłam piersi.

– Tak. W przeciwnym razie ten cykl by się powtórzył.

– Dlatego Walker jest taki ważny.

– Program, który mu załadowano, nie zdał egzaminu. Z powodów, które powinny być dla ciebie oczywiste, musimy zrozumieć, dlaczego tak się stało. Jest tylko jeden sposób, żeby to osiągnąć.

Nacisnął guzik na znajdującej się obok konsoli. Drzwi za mną otworzyły się i do pomieszczenia weszła kobieta w średnim wieku z belkami porucznika na kołnierzyku munduru. Uśmiechała się. Miała idealnie równe, bardzo duże zęby i szare oczy. Jej popielate włosy ściągnięte były w ciasny kucyk. Od razu ją zniechęciłam. Była to instynktowna reakcja.

– Pani porucznik, proszę odprowadzić szeregową Ringer do szpitala na badanie poprzedzające ponowne wcielenie do oddziału. Zobaczymy się w sali konferencyjnej o czwartej rano.

Odwrócił się. Skończył ze mną. Na razie.

W windzie popielatowłosa zapytała, jak się czuję.

– Spierdalaj.

Z jej warg nie zniknął uśmiech i można by pomyśleć, że odpowiedziałam: „Dobrze, a pani?”.

– Jestem porucznik Pierce. Ale możesz nazywać mnie Constance.

Rozległ się dźwięk dzwonka i drzwi się rozsunęły. Kobieta uderzyła mnie pięścią w szyję. Zrobiło mi się ciemno przed oczami i ugięły się przede mną kolana.

– To za Claire – powiedziała. – Pamiętasz ją.

Podniosłam się i grzmotnęłam ją nasadą dłoni w podbródek. Tył jej głowy uderzył w ścianę z przyjemnym chrupnięciem. Następnie walnęłam ją pięścią w brzuch tak mocno, jak pozwoliły mi na to moje wzmocnione mięśnie. Upadła u moich stóp.

– A to za siedem miliardów. Pamiętasz je.

W szpitalu dokładnie mnie przebadano i przeprowadzono testy diagnostyczne dwunastego układu, upewniając się, że jest w pełni sprawny. Następnie sanitariusz przyniósł tacę uginającą się od jedzenia. Rzuciłam się na nie. Od ponad miesiąca nie jadłam przyzwoitego posiłku. Kiedy talerz był pusty, sanitariusz wrócił z kolejnym. Jego zawartość także pochłonęłam.

Przynieśli mój stary mundur. Rozebrałam się i możliwie starannie umyłam w umywalce. Czułam unoszący się wokół odór ciała niemytego od czterdziestu dni, co z jakiegoś powodu mnie zawstydziło. Nie było szczoteczki do zębów, więc potarłam je palcem.

Zastanawiałam się, czy dwunasty układ chroni moje szkliwo. Naciągnęłam ciuchy i ciasno zawiązałam sznurówki wojskowych butów. Poczułam się lepiej. Jak dawna Ringer – ta cudownie nieświadoma, naiwna, nieulepszona Ringer, która tamtej nocy zostawiła Zombie’ego z niewypowiedzianą obietnicą: „Wrócę. Jeśli zdołam, to wrócę”.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Constance. Zdążyła zdjąć mundur porucznika i włożyć pogrubiające dżinsy z wysoką talią oraz znoszoną bluzę z kapturem.

– Chyba źle zaczęłyśmy znajomość – powiedziała.

– Spierdalaj.

– Teraz jesteśmy partnerkami – kontynuowała słodko. – Koleżankami. Powinnyśmy się dogadywać.

Podążyłam za nią schodami w dół do położonego trzy kondygnacje niżej podziemnego bunkra, na który składała się płatanina szarych korytarzy tu i ówdzie poprzecinana nieoznaczonymi drzwiami, pod światłami jarzeniówek sączących jednostajny, sterylny blask przypominający mi godziny spędzone z Brzytwą, kiedy moje ciało toczyło z góry przegraną walkę z dwunastym układem. Graliśmy w szachowy baseball, wymyślaliśmy sekretne kody i planowaliśmy fałszywą ucieczkę, która miała mnie zawieść z powrotem pod to trupioblade światło, do kolejnego kręgu otoczonego niepewnością i strachem.

Constance szła przede mną. Nasze kroki niosły się echem po pustej przestrzeni. Słyszałam jej oddech. Tak łatwo byłoby cię teraz zabić, pomyślałam leniwie, po czym odsunęłam od siebie ten pomysł. Miałam nadzieję, że odpowiedni czas nadejdzie, ale jeszcze nie teraz.

Kobieta pchnęła skrzydło podobne do pięćdziesięciu innych mijanych wcześniej nieoznakowanych drzwi i weszłam za nią do sali konferencyjnej. Ekran projektora pod ścianą. Długi stół przed ekranem.



Mała metalowa skrzynka pośrodku blatu.

Vosch siedział za stołem. Podniósł się, kiedy weszliśmy. Światło przygasło, a na jaśniejącym ekranie pojawiło się zdjęcie z powietrza ukazujące dwupasmową drogę biegnącą przez puste, pofałdowane pola. W centrum kadru znajdował się prostokątny dach domu. Po lewej stronie prostokąta migotała pojedyncza kropka – czujnik ciepła wykrył obecność wartownika. Pęczek jarzących się smug wewnątrz budynku. Najpierw je przeliczyłam, a dopiero potem nazwałam: Dumbo, Pączek, Sullivan, Nugget, Walker, a ta ostatnia to pewnie Zombie.

Cześć, Zombie.

– To obraz z lotu zwiadowczego przeprowadzonego sześć tygodni temu – wyjaśnił Vosch. – Mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów na południowy wschód od Urbany. – Ekran na chwilę zrobił się czarny, po czym obraz wrócił. Ta sama wąska czarna wstęga drogi, ten sam ciemny prostokąt domu, jednak wewnątrz mniej jarzących się smug. Dwóch brakowało.

– To z poprzedniego wieczoru.

Kamera się oddaliła. Lasy, pola, kolejne skupiska czarnych prostokątów, ciemne plamy na tle szarego krajobrazu, opustoszały, porzucony, wyjałowiony świat. Wąska czarna wstęga drogi ześlizgnęła się z obrazu. Wtedy ich ujrzałam: dwie rozjarzone kropki daleko na północny zachód. Ktoś się przemieszczał.

– Dokąd idą? – zapytałam, ale chyba już się domyślałam odpowiedzi.

Vosch wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć z całą pewnością, ale najprawdopodobniej kierują się tutaj.

Transmisja się zatrzymała. Vosch wskazał na punkcik u góry ekranu i spojrzał na mnie znacząco.

Zamknęłam oczy. Ujrzałam Zombie’ego w tej ohydnej żółtej bluzie, opartego o kontuar w lobby dawnego hotelu. Ścisnął w dłoniach tę głupią broszurę, a ja mówiłam: „Sprawdzę to i wrócę za kilka dni”.

– Kierują się w stronę jaskiń – powiedziałam. – Szukają mnie.

– Tak właśnie myślę – zgodził się Vosch. – I właśnie ciebie znajdą. – Pomieszczenie rozblęskło światłem. – Zrzucimy cię tam dziś w nocy, na długo przed ich przybyciem. Porucznik Pierce otrzymała rozkaz przejęcia celu. Twoim zadaniem jest pomóc jej, żeby znalazła się w zasięgu strzału. Po wykonaniu misji porucznik Pierce i Walker zostaną ewakuowani i przetransportowani do bazy.

– I co wtedy? – zapytałam.

Zamrugął powoli. Spodziewał się, że będę wiedzieć.

– Wtedy ty i twoi towarzysze będziecie mogli odejść.

– Dokąd?

Delikatny uśmiezek.

– Gdzie was poniesie. Sugeruję jednak, żebyście się trzymali otwartej przestrzeni. Obszary

miejskie nie będą bezpieczne.

Skinął głową do Constance, która precyzyjnie się obok mnie w drodze do drzwi.

– Bierz to, cukiereczku. Przyda ci się.

Patrzyłam, jak wychodzi. „Bierz to”? Niby co?

– Mariko. – Vosch przywołał mnie palcem. – Chodź tu.

Nie poruszyłam się.

– Dlaczego wysyłasz mnie tam razem z nią? – Po chwili sama sobie odpowiedziałam: – Nie zamierzasz nas wypuścić, prawda? Kiedy dorwiesz Walkera, zabijesz nas.

Jego brwi uniosły się w górę krótko ostrzyżonej czaszki.

– Dlaczego miałbym cię zabijać? Bez ciebie świat byłby o wiele mniej interesujący. – Szybko odwrócił wzrok, przygryzając dolną wargę, jak gdyby powiedział za dużo. Wskazał leżącą na stole skrzynkę. – Już się nie zobaczymy – powiedział szorstko. – Uznałem, że to będzie odpowiednie.

– Co to takiego?

– Prezent pożegnalny.

– Niczego od ciebie nie chcę. – To nie była moja pierwsza myśl. Pierwsza była taka, żeby wsadził to sobie w dupę.

Przesunął pudełko w moją stronę. Uśmiechał się.

Uniosłam wieczko. Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Może podróżnego zestawu szachowego na pamiątkę tych wszystkich miłych chwil, które spędziliśmy razem? W pudełku, na piankowej poduszce, spoczywała zielona kapsułka pokryta przezroczystym plastikiem.

– Świat jest zegarem – powiedział łagodnie. – Nadchodzi czas, kiedy nietrudno będzie dokonać wyboru pomiędzy życiem i śmiercią, Mariko.

– Co to jest?

– Tamto dziecko ukryte w pszenicy miało w gardle zmodyfikowaną wersję tej kapsułki, tylko że ten model jest sześć razy silniejszy. Wszystko, co znajdzie się w obrębie dziesięciu kilometrów od ciebie, w jednej chwili wyparuje. Umieść tę kapsułkę w ustach i przegryź folię, a potem tylko odetchnij.

Pokręciłam głową.

– Nie chcę tego.

Skinął głową. Jego oczy błyszczały. Spodziewał się, że odmówię.

– Za cztery dni nasi dobroczyńcy zrzucą ze statku matki bomby, które rozniosą w pył wszystkie miasta na Ziemi. Rozumiesz, Mariko? Wszelkie ślady ludzkiej rasy zostaną usunięte. To, co zbudowaliśmy w ciągu dziesięciu tysiącleci, zniknie w jeden dzień. Następnie żołnierze piątej fali zaatakują ocalałych i rozpocznie się wojna. Ostatnia wojna, Mariko. Niekończąca się wojna. Wojna,

która będzie się toczyć, aż zostanie wystrzelona ostatnia kula, a walczący sięgną po kije i kamienie.

Moja zdezorientowana mina musiała działać mu na nerwy. Jego ton zrobił się surowy.

– Jaka nauka płynie z historii o dziecku wśród pszenicy?

– Nie można ufać nikomu z zewnątrz – odpowiedziałam, wpatrując się w zieloną kapsułkę na posłaniu z pianki. – Nawet dziecku.

– A co się dzieje, kiedy nikomu nie można zaufać? Jacy się stajemy, kiedy każdy napotkany człowiek może być potencjalnym „obcym”?

– Bez zaufania nie ma współpracy. A bez współpracy nie ma postępu. Historia staje w miejscu.

– Tak jest! – Promieniał z dumy. – Wiedziałem, że zrozumiesz. Odpowiedzią na problem ludzkości jest zgładzenie tego, co czyni z nas ludzi.

Podniósł rękę i wyciągnął dłoń w moją stronę, jak gdyby chciał mnie dotknąć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Pierwszy raz wydawał się czymś zmartwiony. Gdybym go nie znała, pomyślałabym, że się boi.

Ale to byłoby absurdalne.

Vosch opuścił rękę i się odwrócił.

Powłoka samolotu C-160 lśniła w świetle zachodzącego słońca. Na pasie startowym panował mróz, ale promienie słoneczne igrały na moich policzkach. Do równonocy wiosennej pozostały cztery dni. Cztery dni do czasu, kiedy statek matka zrzuci ładunek. Cztery dni do końca.

Obok mnie Constance ostatni raz sprawdzała swój sprzęt, podczas gdy obsługa naziemna przeprowadzała końcowy przegląd samolotu. Zabrałam ze sobą tylko broń osobistą, karabin i nóż, ciuchy, które miałam na sobie, i małą zieloną tabletkę, którą wsunęłam do kieszeni.

Przyjęłam prezent pożegnalny Voscha.

Rozumiałam, dlaczego chciał mi go dać. Wiedziałam też, co oznacza jego propozycja – dotrzymania obietnicy. Kiedy Constance pochwyci Walkera, będziemy wolni.

Czy stanowiliśmy jakiegokolwiek zagrożenie? I tak nie ma gdzie się ukryć. Może minąć wiele miesięcy, zanim staniemy przed ostatecznym wyborem pomiędzy śmiercią na ich warunkach a tą na własnych. A kiedy zostaniemy przyparci do muru albo schwytani, oprócz tych dwóch opcji będę miała jeszcze ten dar. Będę miała wybór.

Spojrzałam w dół na Constance przeszukującą plecak. Jej odsłonięty kark połyskiwał złotym blaskiem w gasnących promieniach zmierzchu. Wyobrażałam sobie, że biorę nóż i aż po rękojęść zatapiam w jej szyi. Nienawiść nie była odpowiedzią. Wiedziałam o tym. Constance była taką samą ofiarą jak ja. Jak siedem miliardów trupów, jak dziecko biegnące przez łąk pszenicy. Prawda jest taka, że ona i Walker oraz tysiące zakażonych w ramach programu tworzenia uciszaczy to najsmutniejsze, najbardziej żałosne ofiary.

Przynajmniej kiedy będę umierać, zrobię to z szeroko otwartymi oczami. Będę znała prawdę.

Kobieta podniosła wzrok i na mnie spojrzała. Nie mam pewności, ale chyba czekała, aż znowu powiem jej, żeby spierdała.

Nie zrobiłam tego.

– Znałaś go? – zapytałam. – Evana Walkera. Wszyscy musieliście się znać, prawda? Spędziliście tam ze sobą dziesięć tysięcy – powiedziałam, wskazując głową zieloną smugę na niebie. – Wiedziałaś, że się zbuntuje?

Constance obnażyła swoje duże zęby. Nie odpowiedziała.

– Dobra, to jakaś ściema – rzuciłam. – Wszystko, co uważasz za prawdę, to ściema. To, za kogo się uważasz, twoje wspomnienia, wszystko. Zanim przyszedł na świat, wszczepili ci do mózgu

program, który załadował się, gdy osiągnęłaś wiek dojrзewania. Była to prawdopodobnie reakcja chemiczna zapoczątkowana przez wyrzut hormonów.

Skinęła głową, wciąż się szczerząc.

– Pocieszaj się dalej.

– Zainfekowano cię wirusowym programem, który dosłownie tak pospinał przewody w twoim mózgu, żebyś pamiętała rzeczy, które się nie wydarzyły. Nie jesteś kosmiczną świadomością zesłaną tu, by zgładzić ludzkość i skolonizować Ziemię. Jesteś człowiekiem. Takim jak ja czy Vosch. Takim jak pozostali.

– Nic nas nie łączy – odparła.

– Pewnie myślisz, że w którymś momencie powrócisz na statek matkę i pozwolisz piątej fali dokończyć ludobójstwo, ale tak się nie stanie, ponieważ oni tego nie zrobią. To ty będziesz walczyć z armią, którą stworzyliście, aż zabraknie amunicji, a historia stanie w miejscu. Zaufanie otwiera drogę współpracy, która otwiera drogę postępowi, ale koniec z postępem. To nie będzie nowa epoka kamienia, tylko wieczna epoka kamienia.

Constance zarzuciła plecak na ramię i podniosła się z płyty lotniska.

– Fascynująca teoria. Podoba mi się.

Westchnęłam. Nie udało mi się do niej dotrzeć. Nie winiałam jej za to. Gdyby obwieściła mi: „Twój ojciec nie był artystą i pijakiem, tylko wstrzemięźliwym pastorem Kościoła baptystów”, też bym jej nie uwierzyła. *Cogito, ergo sum*. Bardziej prawdziwym od sumy naszych doświadczeń dowodem na rzeczywistość są nasze wspomnienia.

Silniki samolotu ryknęły. Wzdrygnęłam się. Przez czterdzieści dni przebywałam w dziczy, gdzie nic nie przypominało mi o istnieniu zmechanizowanego świata. Otoczył mnie zapach spalin, a wibrujące na mojej skórze powietrze sprawiło, że w sercu poczułam ukłucie tęsknoty, ponieważ to także się skończy. Ostateczna bitwa jeszcze się nie zaczęła, ale wojna już dobiegła końca.

Słońce opadło za horyzont niemal z westchnieniem znużenia. Zielone oko pojaśniało na tle zmierzającego nieba. Constance i ja truchtem wspięłyśmy się po platformie do samolotu, usiadłyśmy obok siebie i zapięłyśmy pasy.

Drzwi zamknęły się z głośnym sykiem. Chwilę później zaczęliśmy kołować w stronę pasa startowego. Spojrzałam na Constance – jej zastygły w miejscu uśmiech i ciemne oczy pozbawione wyrazu jak u rekina.

Moja dłoń wystrzeliła i wbiła się w jej przedramię. Czułam nienawiść przedzierającą się przez tkaninę jej ciężkiej parki. Promieniujące od niej nienawiść, gniew i wstręt spływały na mnie kaskadą i już wiedziałam: bez względu na otrzymane rozkazy i obietnice Voscha, kiedy tylko przejmie cel, a my będziemy jej już niepotrzebni, Constance zabije mnie, Zombie’ego i pozostałych. Z darowaniem nam życia wiązało się zbyt wielkie ryzyko.

Wychodziło więc na to, że to ja muszę ją zabić.

Samolot szarpnął. Przewracało mi się w żołądku i poczułam falę mdłości. Dziwne. Nigdy wcześniej nie miałam choroby lokomocyjnej.

Oparłam się o zagłówek i zamknęłam oczy. Odpowiadając na moje pragnienia, procesor odciął słuch i zmysł dotyku. W otaczającej mnie odrętwiałej ciszy analizowałam różne możliwości.

Constance musiała zginąć, ale zabicie jej potęgowało problem, jaki mieliśmy z Evanem. Vosch może wysłać drugiego agenta, jednak straci przewagę taktyczną. Jeśli zabiję Constance, może potraktować nas rakieta Hellfire.

Chyba że nie musi zabijać Walkera.

Chyba że Walker już by nie żył.

Poczułam kwaśny smak w ustach. Przełknęłam ślinę, próbując nie zwymiotować.

Vosch powinien przepuścić Walkera przez Krainę Czarów. Tylko w ten sposób można się było dowiedzieć, dlaczego Evan zbuntował się przeciw sposobowi, w jaki go zaprogramowano – czy to Walker był wadliwy, czy program, a może była to kwestia jakiejś toksycznej kombinacji ich obu. Fundamentalna wada programu doprowadziłaby do stworzenia nietrwałego paradygmatu.

Ale gdyby Walker zginął, Vosch nie mógłby zidentyfikować wady w systemie i cała operacja zakończyłaby się porażką. Nie można toczyć wojny, zwłaszcza tej wiecznej, jeśli wszyscy znajdują się po tej samej stronie. To, co „popsuło się” w Walkerze, mogło się też popsuć w innych uciszaczach. Musiał się dowiedzieć, dlaczego program Evana zawiódł.

Nie mogę do tego dopuścić. Nie mogę zaryzykować i pozwolić, by Vosch dostał to, czego chce.

Pozbawienie go tego, czego pragnie, mogło być dla nas jedyną nadzieją. A istniał tylko jeden sposób, żeby do tego doprowadzić.

Evan Walker musiał zginąć.

### Sam

Zombie kurczący się na drodze. Zanikający Zombie i Dumbo idący pustą drogą skąpaną w świetle gwiazd. Sam wyciąga srebrny łańcuszek z kieszeni i zamyka go w dłoni.

„Obiecujesz?”

„Czy kiedykolwiek złamałem obietnicę?”

Zombie niknie w ciemności jak w paszczy bestii i po chwili już go nie ma, jest tylko bestia, tylko ciemność. Drugą dłoń przyciska do zimnej szyby. W dniu, w którym autobus zawiózł go do obozu Przystań, spoglądał na Cassie stojącą na brunatnej drodze, tulącą misia, kurczącą się w nicość, pochłoniętą przez pył tak, jak Zombie został pochłonięty przez ciemność. Za jego plecami Cassie gniewnym głosem mówi do Evana Walkera:

– Dlaczego go nie powstrzymałeś?

– Próbowałem – odpowiada Evan Walker.

– Za słabo.

– Nie wiem, co mógłbym zrobić. Chyba tylko połamać mu nogi.

Kiedy Sam odrywa rękę, szkło zatrzymuje wspomnienie o niej, tak jak kiedyś zatrzymała je szyba autobusu: zamglony odcisk w miejscu, do którego kiedyś przyłgnęła jego dłoń.

– Czy po tym, jak straciłaś Sama, ktokolwiek zdołał cię powstrzymać przed jego odszukaniem? – pyta Evan Walker, po czym wychodzi na zewnątrz.

Sam dostrzega w szybie odbicie siostry. Cassie się zmieniła, tak jak wszystko inne, odkąd tamci się zjawili. Nie jest już tą samą Cassie kurczącą się na zakurzonej drodze. Ma lekko przekrzywiony nos, jak u osoby przyciskającej twarz do szyby.

– Sam – woła. – Już późno. Może... będziesz spał dziś w moim pokoju?

Chłopiec potrząsa głową.

– Muszę pilnować Megan. To rozkaz Zombie’ego.

Cassie zaczyna coś mówić, ale urywa.

– Dobrze. Przyjdę za chwilę, żeby zmówić z tobą pacierz – mówi po chwili.

– Nie będę się modlił.

– Sam, musisz.

– Modliłem się za mamusię, a i tak umarła. Modliłem się za tatusia, ale on też umarł. Kiedy modlisz się za ludzi, oni umierają.

– To nie dlatego umarli, Sam.

Cassie wyciąga do niego rękę, ale chłopiec się wrywa.

– Nie będę się już za nikogo modlić – informuje ją. W sypialni na łóżku siedzi Megan, tuląc do siebie misia. – Zombie odszedł – mówi Sam.

– Dokąd? – szepcze Megan. Szept to najgłośniejszy dźwięk, jaki wydobywa się z jej krtani. Kiedy Cassie i Evan Walker wyciągali bombę w kapsułce z gardła dziewczynki, coś jej uszkodzili.

– Wyruszył na zwiady, żeby odszukać Ringer i Filizankę.

Megan kręci głową. Nie wie, kim są Ringer i Filizanka. Ścisną dłoń głowę misia, a pyszczek maskotki wydyma się jak do pocałunku.

– Ostrożnie – mówi Sam. – Uważaj na jego głowę.

Okno w sypialni jest zabite deskami. Nie widać stąd świata zewnętrznego. W nocy, kiedy zgasi się lampę, mrok staje się tak ciężki, że zdaje się przygniatać całe ciało. Z sufitu zwisają luźne kable i dwie kule, o których Zombie powiedział, że to Jowisz i Neptun. To w tym pokoju Evan Walker próbował zabić złą panią Grace za pomocą drutu z modelu Układu Słonecznego. Na dywanie wciąż widnieją plamy krwi, a jej rozpryski pokrywają ściany. Tak wyglądała sypialnia matki Sama po tym, jak zachorowała na czerwoną zarazę i przez cały czas leciała jej krew z nosa. Mama krwawiła z nosa i ust, a pod koniec z oczu, a nawet uszu. Sam pamięta jej krew. Nie pamięta jej twarzy.

– Myślałam, że wszyscy mamy tu zostać do czasu, aż Evan wysadzi statek w powietrze – szepcze Megan, ściskając misia.

Sam otwiera drzwi garderoby. Obok ubrań i butów, które wciąż lekko zalatują zarazą, znajdują się tu gry planszowe, figurki superbohaterów i spora kolekcja samochodzików Hot Wheels. Któregoś dnia Cassie weszła do pokoju i zobaczyła, jak brat bawi się na podłodze zabawkami zmarłych dzieciaków. Patrzyła, jak siedzi na dużej plamie krwi pośrodku pokoju. Rozbił obóz wraz ze swoim oddziałem – oddziałem pięćdziesiątym trzecim, mieli jeepa, samolot i byli na misji, żeby zinfiltrować zaatakowaną twierdzę. Tylko że dostrzegli ich zarażeni, a ich drony zrzuciły na nich bomby i ucierpieli wszyscy oprócz Sama, a Zombie powiedział mu wtedy: „Teraz wszystko zależy od was, szeregowy. Tylko ty możesz nas ocalić”. Jego siostra przez kilka chwil obserwowała, jak Sam się bawi, po czym zaczęła płakać bez powodu, a on się rozzłościł. Nie wiedział, że Cassie go obserwuje. Nie rozumiał, dlaczego płacze. Zawstydzila go. Był teraz żołnierzem, a nie dzieckiem, które zajmuje się zabawkami. Po tym wydarzeniu przestał się bawić.

Przed wejściem do garderoby przez chwilę się waha. Megan obserwuje go z łóżka. Nie zna jego sekretu. Nikt go nie zna. Ale Zombie wydał mu rozkaz i Sam musi go wypełnić. Zombie jest jego dowódcą.



– Jeśli będzie próbował wysadzić statek, to czy nie wysadzi także siebie? – pyta Megan.

Sam spogląda na nią przez ramię, po czym wchodzi do garderoby.

– Mam nadzieję, że tak – odpowiada.

Zombie mówił, że nie ufa Evanowi Walkerowi. Był zarażony i nie miało znaczenia, że im pomaga.

„Wróg to wróg, a zdrajcom nie można ufać”, powiedział Zombie. Cassie zapewniała, że Evan Walker nie jest jej chłopakiem, ale Sam widział, jak na niego patrzy, i słyszał, w jaki sposób z nim rozmawia, i nie wierzył, kiedy jego siostra mówiła, że można mu zaufać i że on wszystko naprawi. Ufał żołnierzom w obozie Przystań, a przecież okazali się wrogami.

W garderobie przykłęka przy stercie ubrań rzuconych pod ścianą. Nikt nie wie, co tam ukrył, nawet Zombie.

Kiedy pierwszy raz weszli do tego domu, przeszukali wszystkie pomieszczenia, aż została tylko piwnica, a Zombie nie pozwolił mu tam zejść. Dowódca zabrał na dół Dumbo i Evana Walkera, a kiedy wchodzili z powrotem po schodach, byli uzbrojeni. Nieśli karabiny, pistolety, materiały wybuchowe i bardzo dużą broń w kształcie tuby z podstawką na ramię, którą Zombie nazywał pociskiem FIM-92 Stinger. Zombie tłumaczył, że można nim zestrzelić helikopter albo samolot, po prostu zdmuchnąć go z nieba. Potem poinformował Sama, że chłopiec nie ma prawa wstępu do piwnicy. Sam nie mógł tam wchodzić ani dotykać broni. Chociaż był takim samym żołnierzem jak Dumbo czy Zombie. To było niesprawiedliwe.

Sam sięga pod stos ubrań i wyciąga broń. Pistolet. Berettę M9. Superową.

– Co tam robisz? – pyta Megan, skubiąc ucho misia. Nie powinna tego robić. Tysiąc razy jej powtarzał. Odkąd znaleźli się w tym domu, Dumbo już dwa razy przyszywał Misiowi ucho. Sam pozwolił Megan zatrzymać pluszaka, chociaż odkąd pamiętał, zawsze należał on do niego, i chociaż dziewczynka ściska mu głowę, ciągnie go za uszy i nazywa innym imieniem. Już raz się o to pokłócili.

– On ma na imię Miś – powiedział jej wtedy Sam.

– To nie jest imię. On jest misiem. Nazwałam go Kapitanem.

– Nie możesz.

Wzruszyła ramionami.

– Mogę.

– Jest mój.

– To mi go odbierz. Mam to gdzieś.

Sam potrząsnął głową. Nie chciał maskotki z powrotem. Nie był już dzieckiem. Był żołnierzem. Chciał tylko, żeby Megan nazywała pluszaka jego prawdziwym imieniem.

– Ty miałeś na imię Sam, a teraz nazywasz się inaczej – oznajmiła.

– To nie to samo. Miś nie jest członkiem oddziału.

Nie przestała tego robić. Kiedy odkryła, że chłopiec nienawidzi nowego imienia misia, cały czas

nazywała go Kapitanem, tylko po to, żeby wkurzyć Sama.

Odwrócony plecami do Megan wtyka pistolet za pasek spodni i opuszcza obszerną czerwoną bluzę na brzuch, żeby zamaskować wypukłość.

– Sam? Kapitan chce wiedzieć, co tam robisz.

Tamtej nocy zapytał Zombie’ego, czy może sobie wziąć jakiś pistolet. Było ich tam kilkadziesiąt. „To cholerny arsenał”, powiedział, ale i tak odmówił Samowi. Cassie stała w pobliżu, więc Sam odczekał, aż siostra wyjdzie z pokoju i znów zapytał Zombie’ego, czy może sobie wybrać broń. To niesprawiedliwe, że uzbrojeni byli wszyscy oprócz niego i Megan, ale ona się nie liczyła. Była cywilem. Nie została przeszkolona tak jak on.

Zabrali ją z autobusu i ukrywali, aż nadszedł czas, żeby wetknąć jej do gardła bombę w kapsułce. Powiedziała, że nie była jedyna. Mnóstwo dzieciaków wyciągali z autobusów. Były ich setki i nawet Evan Walker przyznał, że każde z nich wykorzystano, aby oszukać ocalałych. Dzieci były transportowane drogą powietrzną lub przewożone w miejsca, w których wrogowie odkryli ludzkie kryjówki. Ludzie przygarniali dzieci, żeby je ocalić. Potem ci ludzie ginęli.

A Cassie powiedziała, że muszą zaufać Evanowi Walkerowi!

Na nagiej skórze czuje chłodny pistolet. To przyjemne uczucie, lepsze niż przytulenie. Nie boi się broni. Niczego się nie boi. Dostał rozkaz pilnowania Megan, ale Zombie nie zostawił nikogo na straży Evana Walkera. Sam zajmie się więc także nim.

Żołnierze z obozu Przystań obiecali, że będą go chronić. Powiedzieli, że nic mu nie grozi. Że wszystko będzie dobrze. I kłamali. Kłamali o wszystkim, bo wszyscy są kłamcami. Składają obietnice, których nie dotrzymują. Nawet jego mamusia i tatuś kłamali. Kiedy pojawił się statek matka, obiecali, że go nie zostawią, a i tak to zrobili. Obiecali, że wszystko będzie dobrze, a nie jest.

Kładzie się na łóżku naprzeciwko Megan i wbija wzrok w obnażone kable oraz dwie zakurzone metalowe kule zwisające z sufitu. Megan go obserwuje, tuląc misia, a jej usta są lekko rozchylone, jak gdyby uciekało z nich powietrze.

Odwraca głowę do ściany. Nie chce, żeby Megan widziała, że płacze.

Nie jest dzieckiem. Jest żołnierzem.

Nie można już stwierdzić, kto jest człowiekiem. Evan Walker wyglądał jak człowiek, ale nim nie był, nie w środku – nie tam, gdzie to naprawdę ma znaczenie. Nawet osobom takim jak Megan, które prawdopodobnie są ludźmi, nie można ufać, bo nie wiadomo, co zrobił z nimi wróg. Zombie, Cassie, Dumbo... Im tak naprawdę też nie można ufać. Mogą być tacy sami jak Evan Walker.

W przygniatającej ciemności pod zepsutym modelem Układu Słonecznego tętno Sama przyspiesza. Może wszyscy próbują go oszukać. Nawet Zombie. Nawet Cassie.

Oddech więźnie mu w gardle. Nie może złapać tchu. „Musisz się modlić”, powiedziała Cassie. Kiedyś modlił się co noc, przez cały czas, a jedyną odpowiedzią, jakiej udzielał mu Bóg, było „nie”.

„Boże, niech mamusia przeżyje”. Nie. „Boże, niech tatuś wróci”. Nie. Bogu też nie można ufać. Nawet Bóg jest kłamcą. Umieszcza tęczę na niebie w obietnicy, że już nigdy nikogo nie zabije, po czym pozwala, żeby przylecieli Przybysze i zrobili to za niego. Wszyscy ludzie, którzy umarli, także musieli się modlić, a Bóg odpowiadał: „Nie, nie, nie” siedem miliardów razy, siedem miliardów nie. „Nie, nie, nie”.

Chłodny metal pistoletu na jego nagiej skórze niczym przyciśnięta do jego czoła chłodna dłoń. Megan oddychająca przez usta, przywodząca na myśl bomby detonowane ludzkim oddechem.

„Oni nigdy nie przestaną”, myśli. Nie przestaną, aż wszyscy będą martwi. Bóg na to pozwolił, bo tego właśnie chce. A z Bogiem nikt nie wygra. To przecież Bóg.

Oddech Megan cichnie. Łzy Sama schną. Dryfuje w nieskończonej, pustej otchłani. Nie ma tu niczego ani nikogo, tylko pusta przestrzeń ciągnąca się w nieskończoność.

„Może to koniec”, myśli. Może nie pozostał już żaden człowiek. Może wszyscy są zarażeni.

Co oznaczałoby, że jest ostatni. Jest ostatnim człowiekiem na Ziemi.

Chłopiec przyciska dłoń do pistoletu. Dotykanie broni działa kojąco. Megan ma misia. Sam ma broń.

Jeśli to podstęp, jeśli wszyscy są kosmitami w przebraniu, nie pozwoli im wygrać. Jeśli będzie musiał, wszystkich pozabija. Wtedy wsiądzie do kapsuły ratunkowej, polecą na statek matkę i wysadzi go w powietrze. Przegrają – ostatni człowiek zginie – ale przynajmniej Przybysze nie wygrają.

Bóg powiedział „nie”. On też może.

# II

## DZIEŃ DRUGI

## Zombie

Dotarcie do znaku „Urbana, na wprost” na rogatkach zajęło nam mniej niż godzinę. Przed wkroczeniem do miasta ściągam Dumbo z drogi. Zastanawiałem się, czy mu o tym powiedzieć, ale przecież nie mam wyboru. Musi wiedzieć.

– Wiesz, kim jest Walker – szepczę.

Kiwa głową. Dumbo spogląda na lewo, potem na prawo, a w końcu znów patrzy mi w twarz.

– To pieprzony kosmita.

– Tak. Kiedy był dzieckiem, załadowano mu do mózgu program. Są tacy jak Vosch, którzy kierują obozami, i inni, tacy jak Walker, samotni agenci, którzy patrolują przydzielone im strefy i strzelają do ocalałych.

Oczy Dumbo ześlizgują się z mojej twarzy, żeby znów zmierzyć się z ciemnością.

– To snajperzy?

– Musimy przeciąć dwie spośród takich stref. Jedna znajduje się pomiędzy Urbaną i jaskiniami. A druga zaczyna się po przeciwnej stronie tego znaku.

Chłopak ociera usta wierzchem dłoni. Pociąga za płatek ucha.

– Okej.

– Są przygotowani na najgorsze. Nie wiem... naszprycowali ich jakąś technologią, dzięki której mają nadludzką siłę i zmysły, rozwijają nadludzką prędkość i tak dalej. Musimy iść szybko i cicho. – Nachylam się ku niemu. To ważne, żeby zrozumiał. – Jeśli coś mi się stanie, przerywasz misję. Wracasz do kryjówki.

Kręci głową.

– Nie zostawię cię, sierżancie.

– Zostawisz. To rozkaz, szeregowy. Na wypadek, gdybyście mieli jakieś wątpliwości.

– Ty byś mnie zostawił?

– Masz to jak w banku. – Klepię go w ramię. Dumbo w milczeniu obserwuje, jak wyjmuję wizjer z plecaka i przystawiam go do oczu. Przez soczewki widzę rozświetloną głowę chłopca, jasną kulę zielonego ognia. Rozglądam się wokół, szukając innych ostrzegawczych zielonych plam, podczas gdy Dumbo wkłada własny wizjer.

– Jeszcze jedno, Bo – szepczę. – Nie ma czegoś takiego jak przyjaciele.

– Słucham, sierżancie?

Przełykam ślinę. W ustach czuję suchość. Szkoda, że nie ma innego sposobu. To wszystko budzi we mnie wstręt, ale przecież nie ja wymyśliłem tę grę. Ja tylko próbuję utrzymać się przy życiu, by móc w nią grać.

– „Zarażeni się zielenią”. Zdejmujemy wszystkie świecące cele. Bez wahania. Bez wyjątków. Zrozumiano?

– To się nie sprawdzi, Zombie. A jeśli to będzie Ringer albo Filiżanka?

Cholera. O tym nie pomyślałem. Nie przemyślałem też opcji, jakie miała do wyboru Ringer, które pokrywały się z moimi. Najpierw strzelać, a potem zadawać pytania? Czy strzelać dopiero wtedy, gdy ktoś będzie strzelał do mnie? Chyba wiem, co by wybrała. W końcu to Ringer.

Głosik w mojej głowie szepcze: „Dwie osoby to podwójne ryzyko. Odeślij Dumbo z powrotem”. Chłodny, spokojny głos rozsądku, który – odkąd poznałem Ringer – brzmi zupełnie jak jej głos. Argumenty, z którymi nie można polemizować, jak gdy ktoś mówi ci, że granit jest twardy, a woda mokra.

Dumbo potrząsa głową. Przeszliśmy przez to całe gówno razem. Zna mnie.

– Lepsze dwie pary oczu niż jedna, sierżancie. Przejdziemy, jak powiedziałaś, cicho i szybko, i przy odrobinie szczęścia wypatrzymy ich, zanim oni wypatrzą nas.

Na jego twarzy pojawia się uśmiech, który w zamierzeniu ma być pokrzepiający. Odpowiadam mu skinieniem głowy z nadzieją, że wygląda to przekonująco. Wyruszamy.

Poruszamy się szybkim marszem wzdłuż głównej ulicy po wypalonym, zagruzowanym, opanowanym przez szczury, zabitym dyktą, zasmarowanym graffiti, zalanym ściekami podbrzuszu Urbany. Poprzewracane samochody i poprzerywane linie wysokiego napięcia, śmieci usypane pod fundamentami przez wiatr i wodę, śmieci pokrywające trawniki i parkingi, śmieci zwisające z ogołoconych przez zimę gałęzi. Plastikowe worki i gazety, ubrania, buty, zabawki, połamane krzesła i materace, telewizory. Wygląda to tak, jakby kosmiczny olbrzym chwycił naszą planetę w obie dłonie i z całej siły nią potrząsnął. Może gdybym był nikczemnym kosmicznym władcą, też wysadziłbym wszystkie miasta w powietrze, chociażby po to, by pozbyć się tego całego bałaganu.

Powinniśmy byli pewnie ominąć ten piekielny krajobraz, wybrać raczej boczne drogi i otwartą przestrzeń – jestem pewien, że tak właśnie zrobiłaby Ringer – ale jeśli ona i Filiżanka gdzieś się ukrywają, na pewno są w jaskiniach, a to najkrótsza droga.

Szybko i cicho, myślę, kiedy kroczyliśmy chodnikiem, rozglądając się na wszystkie strony. Szybko i cicho.

Mijamy czwartą przecznicę i dochodzimy do mierzącej niemal dwa metry barykady blokującej drogę – stos samochodów, gałęzi i roztrzaskanych mebli przyozdobionych wyblakłymi

amerykańskimi flagami – która, jak się domyślam, została zbudowana po tym, jak druga fala ustąpiła trzeciej, kiedy ludzie pojęli, że ich bracia są większym zagrożeniem niż unoszący się trzysta kilometrów nad ziemią obcy statek. Nie mogę uwierzyć w to, jak szybko popadliśmy w anarchię, po tym jak wyciągnęli nam wtyczkę. W to, jak łatwo było zasiać w nas zwątpienie, lęk i nieufność. I w to, jak szybko upadliśmy. Można by pomyśleć, że wspólny wróg zmusi nas do odsunięcia na bok wszelkich różnic i zwania szyków przeciw nasilającemu się zagrożeniu. Zamiast tego wzniesiliśmy barykady. Zgromadziliśmy żywność, zapasy i broń. Odrzuciliśmy obcego, ten byt o nieznannej twarzy. Już w dwa tygodnie po inwazji popękały fundamenty cywilizacji. A potem wystarczyły dwa miesiące, by zawaliła się niczym wysadzony w powietrze budynek, podczas gdy wokół rósł stos martwych ciał.

W drodze przez Urbanę widzieliśmy kilka takich stosów. Od sterty poczerniałych kości po zwłoki od stóp do głów pozawijane w porwane prześcieradła i stare koce, leżące na ziemi, jak gdyby zostały zrzucone z nieba, pojedynczo lub w grupach po dziesięć i więcej. Tyle ciał, że zlewały się z krajobrazem, kolejny element bałaganu, kolejna forma miejskiej rzygowiny.

Dumbo bezustannie rozgląda się wokół, szukając w ciemności zielonych ognistych kul.

– To porąbane – sapie. Choć jest zimno, na jego czoło wystąpił pot. Trzęsie się jak trawiony gorączką. Po drugiej stronie barykady zarządzam przerwę. Woda. Batonik energetyczny. Dostałem niemal obsesji na punkcie batoników energetycznych. W kryjówce znalazłem ich całą skrzynkę i teraz nie mogę się bez nich obejść. Znajdujemy mały załom w prowizorycznej barykadzie i mościmy się w środku, zwróceniem na północ Main Street. Nie ma wiatru. Niebo jest bezchmurne, usiane gwiazdami. Czuje się to w kościach, bo to coś starszego niż zmysły: zima odchodzi, a ziemia sunie na spotkanie wiosny. Zanim stałem się Zombie'em, oznaczało to bal maturalny, kucie do egzaminów i nerwowy gwar na korytarzu pomiędzy zajęciami, bo zbliżał się koniec liceum – innego rodzaju apokalipsa, po której już nic nie miało być takie samo.

– Byłeś już kiedyś w Urbanie, Dumbo? – pytam.

Kręci głową.

– Jestem z Pittsburgha.

– Serio? – Nigdy o to nie zapytałem. Tak brzmiała niepisana zasada panująca w obozie: rozmowa o przeszłości byłaby jak trzymanie w dłoni rozżarzonych węgli. – W takim razie... Do boju, Steelersi!

– E, tam. – Odgryza kawałek batonika i powoli go przeżuwa. – Kibicowałem Packersom.

– Sam trochę grałem.

– Jako rozgrywający?

– Skrzydłowy.

– Mój brat grał w baseball. Na pozycji łapacza.

– Ty nie?

– Kiedy miałem dziesięć lat, rzuciłem Małą Ligę.

– Dlaczego?

– Nie szło mi. Za to zajebiście sobie radzę w e-sportach.

– W e-sportach?

– No na przykład w CODzie.

– To znaczy w programowaniu?

Potrząsa głową z uśmiechem.

– Nie. W Call of Duty, Zombie.

– Aha! Jesteś graczem.

– Byłem już jedną nogą w MLG.

– A, w MLG, jasne. – Nie mam pojęcia, o czym on mówi.

– Maksymalny *level*, dwanaście prestiżów.

– Naprawdę? Nieźle! – Kręcę głową, jestem pod wrażeniem. Problem w tym, że nic z tego nie kumam.

– Przecież ty nie masz pojęcia, o co chodzi. – Zgniatą opakowanie w dłoni. Spogląda na śmieci, pod którymi tonie Urbana, po czym chowa papierek do kieszeni. – Coś mnie gryzie, sierżancie. – Odwraca się do mnie. W jego nieosłoniętym oku dostrzegam lęk. – Na długo przed przybyciem ich statku załadowali się w mózгах dzieci i „obudzili się” dopiero, jak te stały się nastolatkami.

Kiwam głową.

– Tak mówił Walker.

– W zeszłym tygodniu były moje urodziny. Mam trzynaście lat.

– Serio? Cholera, Dumbo, czemu nic nie powiedziałaś? Upiekłbym ci tort.

Nie uśmiecha się.

– A jeśli mam w sobie obcego, sierżancie? Jeśli jeden z nich obudzi się w moim mózgu i przejmie nade mną kontrolę?

– Chyba nie mówisz poważnie? Dajcie spokój, szeregowy, to jakaś bzdura.

– Skąd wiesz? Mówię serio, Zombie. Skąd wiesz? A jeśli tak się stanie, jeśli cię zabiję, a potem wrócę do domu i pozabijam resztę...?

Chłopak traci nad sobą kontrolę. Chwytam go za ramię i zmuszam, żeby na mnie spojrział.

– Posłuchaj mnie, ty wielkouchy sukinsynu, spróbuj mi się zamienić w dorotkę, a skopię ci tyłek jak stąd do Dubuque.

– Proszę – jęczy – nie wspominaj więcej o Dubuque.

– Nie śpi w tobie żaden obcy, Dumbo.

– Dobra, ale jeśli jednak tak jest, to się tym zajmiesz, prawda?

– Że co? – pytam, chociaż wiem, co ma na myśli.



– Zajmij się tym, Zombie – błaga. – Zabij tego skurwysyna.

Kurde, wszystkiego najlepszego, Dumbo. Przez tę rozmowę czuję się trochę wydygany.

– Dobra – uspokajam go. – Jeśli obudzi się w tobie jakiś obcy, rozwalę ci łeb.

Dumbo wzdycha z ulgą.

– Dzięki, sierżancie.

Wstaję, podaję mu rękę i podciągam go do góry. Nagle unosi ramię i odpycha mnie na bok. Podrywa karabin. Celuje w położony pół przecznicy dalej salon samochodowy. Przystawiam broń, zamykam prawe oko i spoglądam przez wizjer. Nic.

Dumbo potrząsa głową.

– Wydawało mi się, że coś widziałem – szepcze. – Chyba jednak nie.

Czekamy minutę. Wokół panuje cholerna cisza. Można by sądzić, że po mieście będą krążyć sfory rozszczekanych dzikich psów i zdziczałych, wyjących kotów albo że wokół pohukiwać będzie sowa, ale nic z tego. Czy to wszystko dzieje się w mojej głowie, czy jesteśmy obserwowani? Czy jest tu coś, czego nie widzę, ale co z pewnością widzi mnie? Zerkam na Dumbo, który wydaje się tak samo przerażony jak ja.

Ruszamy dalej, nie maszerujemy już jednak żwawo, ale przechodzimy na drugą stronę ulicy, gdzie przesuwamy się ostrożnie wzdłuż ściany magazynu konsygnacyjnego znajdującego się naprzeciwko salonu samochodowego („Z okazji Dnia Pamięci mamy dla Was pamiętne zniżki!”). Zatrzymujemy się dopiero przed następnym skrzyżowaniem. Patrzymy w prawo, w lewo, a potem na wprost, w stronę leżącego trzy przecznice dalej centrum. Kanciaste bryły wieżowców rysują się na tle rozgwieżdżonego nieba.

Przechodzimy przez skrzyżowanie, po czym przystajemy po drugiej stronie ulicy, przyciskając plecy do ściany i czekając – sam nie wiem na co. Przesuwamy się obok rozwalonych drzwi i roztrzaskanych okien, a dźwięk odłamków szkła chrzęszczącego pod naszymi buciorami jest głośniejszy niż grom. Kolejna przecznica – i ten sam scenariusz, na lewo, za róg, na prawo, wzdłuż Main, potem bieg do zapewniającego względne bezpieczeństwo budynku po przeciwnej stronie.

Po kolejnych pięćdziesięciu metrach Dumbo ciągnie mnie za rękaw i prowadzi przez rozbite drzwi w głąb ciemnego sklepu. Pod naszymi stopami skrzypią brązowe kamyki. Nie, to nie kamyki. Zapach jest słaby, ledwo wyczuwalny pod znajomym odorem ścieków i zarazy przypominającym skwaśniałe mleko, ale obaj go rozpoznajemy i ogarnia nas nagła tęsknota. Kawa.

Dumbo podchodzi do kontuaru i siada, spoglądając w stronę drzwi, a ja patrzę na niego pytająco: „Co jest?”.

– Uwielbiałem Starbucksa – wzdycha. Jak gdyby to zdanie wszystko wyjaśniało. Zajmuję miejsce obok niego. Nie wiem, może chłopak musi odpocząć. Nie rozmawiamy. Minuty ciągną się w nieskończoność.

– Musimy się wynieść z tego miejsca przed wschodem słońca – mówię w końcu.

Dumbo kiwa głową. Nie porusza się.

– Tam ktoś jest – mówi.

– Widziałeś ich?

Kręci głową.

– Ale ich wyczuwam. Kumasz? Wyczuwam ich.

Zastanawiam się nad tym, co powiedział. Paranoja. To musi być to.

– Możemy ich sprowokować do otworzenia ognia – mówię, żeby go udobruchać.

– Albo odwrócić ich uwagę – odpowiada, rozglądając się po sklepie. – Możemy coś wysadzić. –

Szpera w plecaku i wyciąga granat.

– Nie, Dumbo. To nie jest dobry pomysł. – Wyjmuję mu granat z ręki. Jego palce są zimniejsze niż metal..

– Ruszą za nami – nie odpuszcza. – Nawet się nie zorientujemy.

– Cóż, chyba wolałbym się nie zorientować.

Uśmiecham się do niego. Nie odpowiada uśmiechem. Dumbo zawsze był najtwardszym zawodnikiem w drużynie – to pewnie dlatego wybrali go na medyka. Tego dzieciaka nic nie ruszało. Przynajmniej aż do teraz.

– Sierżancie, mam pomysł – mówi i nachyla się tak blisko, że czuję w jego oddechu zapach czekoladowego batonika. – Zostań tutaj. Ja ruszę naprzód, ale w innym kierunku. Kiedy ich odciągnę, ty możesz zawlec tyłek prosto na północ i...

Przerywam mu.

– To fatalny pomysł, szeregowy. Naprawdę fatalny.

Nie słucha.

– Dzięki temu chociaż jednemu z nas się uda.

– Nie pieprz. Obaj przeżyjemy.

Dumbo kręci głową.

– Nie sędzę, sierżancie – odpowiada łamiącym się głosem. Zdejmuje z głowy wizjer i przez bardzo długą, niezręczną chwilę wpatruje się we mnie. Wydaje się przestraszony, jak gdyby zobaczył ducha. Nagle wstaje i rzuca się w moją stronę z rozwartymi ramionami, jak gdyby chciał mnie chwycić za gardło i udusić.

Instynktownie unoszę ręce, żeby odeprzeć atak. Chryste, ten wielkouchy sukinsyn miał rację: to coś się w nim obudziło.

Chwytam go za kurtkę. Głowa Dumbo odskakuje. Jego ciało sztywnieje, po czym staje się bezwładne.

Nagle rozlega się huk karabinu snajperskiego, takiego z laserowym celownikiem, który chwilę wcześniej wystrzelił kulę wymierzoną prosto w moją głowę.

Kulę, która trafiła Dumbo i którą on przyjął bez wahania, bo to ja jestem szefem, dowódcą, tępym kretyńcem, któremu wróg w swojej nieskończonej mądrości powierzył misję zachowania naszych tyłków przy życiu.

Chwytam go za ramiona i wciągam za kontuar. Jesteśmy poza linią strzału, ale znaleźliśmy się w pułapce. Nie mamy zbyt wiele czasu. Kładę go na brzuchu, podciągam mu kurtkę oraz dwie warstwy ciuchów, żeby odsłonić ranę. Dziura wielkości ćwierćdolarówki na środku pleców. Kula musiała utkwąć w jego ciele – w przeciwnym razie ja też bym oberwał. Jego pierś się porusza. Oddycha. Nachylam się i szepczę mu do ucha:

– Powiedz, co mam robić, Dumbo. Powiedz.

Nie odpowiada. Pewnie całą energię zużywa na oddychanie.

*Zombie, nie możesz tu zostać.* Znów ten spokojny głos w stylu Ringer. *Zostaw go tu.*

Jasne. Zostaw. To właśnie wychodzi mi najlepiej. Taki mam styl. Zostawiłem swoją siostrę, zostawiłem Pączka. Oni opadają na dno, a ja mogę iść dalej.

Pierdolić to.

Wypełzam przed kontuar, chwytam torbę Dumbo i wracam do niego. Leży skulony, przyciskając kolana do klatki piersiowej, a jego powieki drgają jak u kogoś, kto ma koszmary. Grzebię w jego apteczce, szukając gazy. Trzeba tamponować ranę. Tylko tyle pamiętam z jedyne kursu opatrywania ran odniesionych na polu walki, jaki przeszedłem w obozie Przystań. Jeśli nie wepchnę mu do niej tamponu, i to szybko, Dumbo wykrwawi się, nim upłyną trzy minuty.

Jest jeszcze coś, co pamiętam z tego kursu: to piekielnie boli. Boli tak cholernie, że w pierwszej kolejności trzeba odebrać pacjentowi broń.

Wyciągam mu pistolet z kabury i wtykam go sobie za pasek na plecach.

W apteczce powinien się znajdować cienki metalowy pręcik – używa się go do wpychania gazy do rany – ale nie mogę go znaleźć.

*Daj sobie spokój, Zombie. Skończył ci się czas.*

Palcem wpycham gazę do dziury na jego plecach. Plecy Dumbo wyginają się w łuk. Krzyczy. Instynktownie próbuje uciekać, szuka dłonią podstawy kontuaru, żeby móc się go chwycić, ale wolną ręką oplatom jego szyję, żeby utrzymać go w miejscu.

– Już dobrze, Bo. Wszystko dobrze... – szepczę mu do ucha, podczas gdy mój palec zanurza się w jego ciele, wpychając do środka kłębek gazy. Więcej gazy. Musisz wpychać ją do oporu. Jeśli kula przecięła tętnicę...

Wyciągam palec. Dumbo znów wyje jak potępieniec, a ja ujmuję jego brodę, zmuszając go, by

zamknął usta. Nie robię tego powoli. Nie jestem delikatny. Wbijam mu do rany kolejny zwitek gazy. Dumbo szarpie się, szlochając bezradnie. Leżę obok niego na boku i przerzucam nogę nad jego biodrem, żeby go unieruchomić.

– Jeszcze tylko raz, Bo – szepczę. – Zaraz kończę...

Jest po wszystkim. Gaza wystaje z rany. Więcej się nie zmieści. Rozrywam opakowanie bandażu zębami i owijam nim moje dzieło. Przetaczam się na plecy, próbując złapać oddech. Pewnie jest już za późno. Leżący obok Dumbo wciąż płacze, a jego szloch przeradza się w skomlenie. Czuję, jak drży. To objawy szoku.

Ponownie sięgam do torby i wydaję coś przeciwbólowego. To koniec, on umiera. Jestem tego całkiem pewien, ale przynajmniej mogę mu pomóc odejść spokojnie. Otwieram opakowanie ze strzykawką z morfiną i wbijam ją w odsłonięte biodro Dumbo. Efekt jest prawie natychmiastowy. Jego mięśnie się rozluźniają, usta lekko rozwierają, a oddech uspokaja.

– Widzisz? Nie jest tak źle – mówię mu, jakbym rozstrzygał jakiś spór. – Wrócę po ciebie, Bo. Znajdę tego drania i wrócę.

*Cholera, Zombie, zrobiłeś to.* Ta obietnica jest jak wyrok śmierci, jak zatrzaskujące się drzwi celi, jak kamień zawieszony u szyi, gotowy pociągnąć mnie na dno.

Wybiegam przed kontuar, żeby zabrać karabin. Karabin, pistolet, nóż i kilka granatów hukowych. Nie zapominam też o najważniejszej broni w moim arsenale: sercu wypełnionym gniewem. Zabiorę tego drania, który go postrzelił, z powrotem do ulubionego miasta Dumbo.

Posuwam się na czworakach wzdłuż korytarza do wyjścia awaryjnego („Uwaga! Otwarcie drzwi uruchamia alarm!”). Jestem w bocznej alejce, pod chłodnym blaskiem gwiazd. Pierwszy raz, odkąd zamordowano moją rodzinę, jestem sam. Tylko że tym razem nie zamierzam uciekać. Koniec z tym.

Ruszam na wschód. Skręcam w następną przecznicę i kieruję się na północ, idąc równolegle do Main Street. Jeszcze tylko kilka przecznic i zrobię sobie skrót, przetnę Main i zajdę snajpera od tyłu. Zakładając oczywiście, że sam nie przeszedł na drugą stronę, żeby dokończyć dzieła.

Może to nie uciszacz. Może to cywil, który wyciągnął pierwszą naukę z tej ostatniej wojny.

Nie, żeby to robiło jakąś różnicę.

Jeszcze w kryjówce Cassie opowiedziała mi o tym, jak któregoś dnia szukała pożywienia w sklepie spożywczym i znalazła tam żołnierza. Zabiła go. Myślała, że wyciąga broń, która okazała się krucyfiksem. To ją całkiem załamało. Nie mogła przestać o tym myśleć. Pewnie sądził, że jest największym szczęściarzem na Ziemi. Z dala od swojej jednostki, ciężko ranny, zdolny tylko do czekania na ratunek, liczący się z tym, że ten zapewne nie nadejdzie, i nagle znikąd pojawia się ta przypadkowa dziewczyna – był uratowany! Tylko że ta przypadkowa dziewczyna otworzyła do niego ogień i zamieniła jego ciało w poduszeczkę na igły.

– To nie twoja wina, Sullivan – powiedziałem jej wtedy. – Nie miałaś wyboru.

– Gówno prawda – warknęła. Często na mnie warczała. W sumie nie tylko na mnie. Ta dziewczyna to chodzący warkot. – To kłamstwo. A oni chcą, żebyśmy w nie wierzyli, Parish.

Jestem znów na Main. Na rogu przystaję i wyglądam zza budynku w stronę kawiarni. Dokładnie naprzeciwko niej znajduje się trzypiętrowa kamienica. Okna na parterze są zabite deskami, a na dwóch pozostałych piętrach – porozbijane. Ani w oknach, ani na dachu nic się nie świeci. Przez wizjer nie dostrzegam zielonych połyskliwych kul. Przez kilka sekund stoję nieruchomo i obserwuję front budynku. Znam ten schemat. Muszę przeprowadzić inspekcję budynku. W obozie ćwiczyliśmy to tysiąc razy, tylko że wtedy robiło to siedmioro żołnierzy: ja, Flint, Umpa, Ringer, Filiżanka, Pączek i Dumbo... Teraz został jeden. Zostałem tylko ja.

Przebiegam zgarbiony przez Main Street, czując mrowienie w każdym centymetrze ciała i

oczekując na uderzenie kuli snajpera. Kto wpadł na ten genialny pomysł, żeby ruszyć przez sam środek Urbany? Kto dał temu koleśowi władzę?

Nie zatrzymuj się, nie trać koncentracji, sprawdź tamte okna i tamte drzwi. Ulica zarzucona jest śmieciami i potłuczonym szkłem, śliska od szlamu z uszkodzonych rurociągów i instalacji wodociągowych, a kałuże oleistej wody lśnią w świetle gwiazd. Jeszcze jedna przecznica, a potem skrótem z powrotem na południe. Budynek znajduje się na końcu ulicy, na wprost, więc zmuszam się, żeby zwolnić kroku. Uczą cię, żebyś był tu i teraz, ale ja wybiegam myślami do tego, co będzie, kiedy już unieszkodliwię snajpera. Mam przerwać misję odnalezienia Ringer i Filizanki? Zabrać Dumbo z powrotem do kryjówki? Czy zostawić go tutaj i zabrać dopiero, kiedy będę wracał z jaskiń?

Docieram do końca przecznicy. Czas podjąć decyzję. Kiedy spenetruję budynek, nie będzie odwrotu.

Przechodzę przez wybitą szybę do lobby banku. Podłoga pokryta jest papierzykami: dowodami wpłaty, broszurkami, starymi magazynami, pozostałościami banneru („Najniższe opłaty w historii!”) oraz banknotami o różnych nominałach – wśród pięcio- i dziesięciodolarówek dostrzegam też setki. Oto, czego inwazja nauczyła mnie o pieniądzu: czymkolwiek były, to nie one okazały się źródłem wszelkiego zła.

Wilgotny, gnijący dywan chlupocze mi pod stopami. Ogarniam pokój wzrokiem w niecałe pół minuty. Czysto.

Obok windy dostrzegam drzwi na klatkę schodową i powoli je otwieram. Widoczność jest zerowa, ale nie zamierzam ryzykować i włączać światła. Równie dobrze mógłbym krzyknąć, jak się nazywam, albo wrzasnąć: „Hej, stary, tu jestem!”. Wychodzę na klatkę, słyszę za sobą kliknięcie zamykających się drzwi i nagle ogarnia mnie całkowita ciemność. Stopień, przerwa, nasłuchiwanie, kolejny stopień, przerwa. Słyszę cichutkie jęki budynku przypominające osiadanie starego domu. Ostra zima, popękane rury w ścianach, woda penetrująca zaprawę, zamrażając, rozsadzając i łamiąc kości i ścięgna, które utrzymują tę konstrukcję w jednym kawałku. Gdyby Przybysze za cztery dni nie zamierzali zbombardować tego miasta, Urbana sama by się rozpadła. Za tysiąc lat można by zmieścić całą metropolię w dłoni.

Pierwsze półpiętro, drugie piętro. Wciąż pnę się do góry, trzymając dłoń na metalowej poręczy, krok, przerwa, krok. Zacznę od dachu i będę posuwał się w dół. Nie sądzę, by gdzieś się tu krył. Dumbo i ja siedzieliśmy przykucnięci obok kontuaru w głębi kawiarni, trajektoria łącząca dach z kawiarnią jest zbyt ostra. Bardziej prawdopodobne jest to, że snajper rozłożył się na drugim piętrze, ale podejść do zadania metodycznie. Najpierw porządnie przemyślę każdy krok, a dopiero potem będę działał.

Wyczuwam go w połowie drogi na drugie piętro, w miejscu, gdzie schody zakręcają – wyraźny odór śmierci. Nadeptuję na coś małego i miękkiego. To pewnie martwy szczur. W ciasnej, zamkniętej

przeestrzeni panuje przytłaczający smród. Oczy zaczynają mi łzawić, a żołądek podchodzi do gardła. To kolejny dobry powód do wysadzenia miast, bo to najszybszy sposób na pozbycie się tego zapachu.

Tuż nad sobą dostrzegam cieniutką jak brzytwa smugę złotego światła sączącą się spod drzwi. Cholera jasna i kurwa mać, co za bezczelny sukinsyn.

Przyciskam ucho do drzwi. Cisza. Choć może się to wydawać oczywiste, nie za bardzo wiem, co robić. Te drzwi mogą być zaminowane. A to światło może być fortelem – przynętą, która ma mnie wciągnąć w zasadzkę. W najlepszym razie drzwi są zabezpieczone tak, żeby ich otwieraniu towarzyszył jakiś dźwięk. Nie trzeba być uciszaczem, żeby zastosować ten środek ostrożności.

Kładę dłoń na chłodnej metalowej klamce. Kombinuję coś przy wizjerze, grając na zwłokę. *Nie wchodzić pomatu, Parish. Wedrzyj się do środka.* Jednak to nie wkroczenie do środka jest w tym wszystkim najtrudniejsze, tylko ta krótka chwila przed.

Otwieram drzwi z trzaskiem, gwałtownie rzucam się na lewo, po czym przekraczam próg. Drzwi zamykają się za mną cicho na dobrze naoliwionych zawiasach. Mój palec drży na spuście, kiedy wzdłuż ściany przemyka cień należący do małego, rudego, kudłatego stworzenia zwieńczonego pasiastym ogonem.

To kot.

Zwierzę wypada na korytarz przez otwarte drzwi, z których wylewa się złote światło widoczne z klatki schodowej. Kiedy zbliżam się do jego źródła, zapach rozkładu ustępuje miejsca dwóm zupełnie innym: gorącej zupy, może gulaszu wołowego, walczącemu z wyraźnym odorem brudnej kuwety. Dobiega mnie wysoki, szczebiotliwy głos:

– Wędrując przez lasy i kwietne polany, słysząc ptasząt słodki śpiew...

Słyszałem już tę piosenkę. Wiele razy. Pamiętam refren: „Śpiewam Tobie, Panie, nową pieśń: Wielka łaska Twa! Wielka łaska Twa!”.

Jej głos przypomina mi inny, cienki i chrapliwy ze starości, lekko fałszujący, śpiewający żarliwie z determinacją i pewnością świadczącymi o niezachwianej wierze. Ile razy zdarzyło mi się stać w niedzielę obok babci, kiedy śpiewała tę pieśń? Mój nastoletni umysł śmiertelnie się nudził, w milczeniu przeklinając drapiący kołnierzyk i niewygodne buty. Marzyłem o dziewczynie, w której akurat się podkochałem, i świętokradczo zmieniałem (w głowie) ostatni wers na: „Stoi laska ma! Stoi laska ma!”.

Ta pieśń sprawiła, że w mojej głowie podniosła się tama, przez którą niepowstrzymanym strumieniem zaczynają płynąć wspomnienia. Perfumy babci. Jej grube nogi obleczone białymi pończochami i czarne buty o kwadratowych czubkach. To, w jaki sposób make-up zbierał jej się w zmarszczkach na twarzy, w kącikach ust i wokół życzliwych czarnych oczu. Jej sękaty, powykręcany przez reumatyzm kłykcie i to, jak ścisnęła kierownicę pradawnego samochodu Mercury niczym zdesperowany pływak kurczowo trzymający się ratownika. Czekoladowe ciasteczka prosto z pieca,



szarlotki stygnące na tackach oraz jej podekscytowany głos płynący z sąsiedniego pokoju po tym, jak koleżanka z kółka modlitewnego sprzedała jej najnowszą sensację.

Zatrzymuję się tuż przed progiem i wyciągam jeden z granatów hukowych. Wsuwam palec w zawleczkę. Trzęsą mi się dłonie. Przez środek pleców spływa mi strumyczek potu. To właśnie tak wpada się w ich łapy, tak zabijają w tobie ducha. Nagle pakują ci do gardła twoją własną przeszłość, a w twojej głowie w mgnieniu oka pojawiają się głupie, banalne, niewarte zapamiętania sprawy, o których nie wiedziałeś, że mogą cię zmiażdżyć, jak drżący głos starej kobiety, wysoki i odległy, zapraszający cię do środka na ciepłe ciasteczka i szklanę zimnego mleka.

„Śpiewam Tobie, Panie, nową pieśń!”

Wyciągam zawleczkę i wrzucam granat przez otwarte drzwi. Osłepiający błysk, straszliwy chór kocich jęków i krzyczący z bólu człowiek.

Rzucam się przez drzwi i spoglądam na skuloną sylwetkę w odległym kącie pomieszczenia, której twarz ukryta jest za poświatą zielonego ognia widocznego przez mój wizjer. *Zdejmij ją, Zombie. Jeden strzał i po wszystkim.*

Nie naciskam jednak spustu. Sam nie wiem, co mnie powstrzymuje. Może to przez te koty, przez te kilkadziesiąt kotów skaczących po meblach. Może przez jej śpiew, może przez to, że przypomniała mi babcię i te wszystkie niezliczone rzeczy, jakie utraciłem. Może to przez opowieść Sullivan, przez jej żołnierza z krucyfiksem kulącego się ze strachu w jakimś kącie, bezbronno i skazanego na śmierć. A może to przez ten prosty fakt, że w świetle lampek naftowych porostawianych po pokoju dostrzegam, że kobieta nie jest uzbrojona. Zamiast karabinu snajperskiego ściska w dłoni drewnianą łyżkę.

– Boże, proszę, nie zabijaj mnie! – wrzeszczy starucha, zwijając się w kulkę i zakrywając twarz dłońmi. Szybko skanuję pomieszczenie. W narożnikach czysto, a poza drzwiami, którymi się tu dostałem, nie ma innego wejścia ani wyjścia. Okno od strony Main Street zasłonięte jest ciężką czarną kotarą. Podchodzę i odsuwam materiał lufą mojego karabinu. Okno zabito deskami. Nic dziwnego, że z ulicy nie dostrzegłem światła. To także dowodzi, że nie jest to gniazdo snajpera.

– Proszę! – skomle. – Nie rób mi krzywdy.

Niepokoi mnie blask zielonego ognia wokół jej głowy. Zrywam wizjer. Przy oknie znajduje się mały stolik, a na nim gazowa kuchenka turystyczna, na której bulgocze garnuszek z gulaszem. Obok leży Biblia otwarta na stronie z psalmem dwudziestym trzecim. Jest też sofa zarzucona kocami i poduszkami. Kilka krzeseł. Biurko. Doniczka z plastikową rośliną. Przekrzywione wieże magazynów i gazet. Może nie należy do snajpera, ale to miejsce spokojnie można nazwać gniazdem.

Pewnie siedzi tu, odkąd przez miasto przetoczyła się trzecia fala. A to rodzi ważne pytania: Jak udało jej się przetrwać tak długo? Dlaczego nie zlikwidował jej miejscowy uciszacz?

– Gdzie on jest? – pytam. Nawet ja słyszę, że mój głos brzmi słabo i młodo, jak gdybym cofnął się

w czasie. – Gdzie strzelec?

– Strzelec? – powtarza. Kilka wątych siwych kosmyków wymknęło się spod dzianinowej czapki i opadło po obu stronach jej bladej twarzy. Ma na sobie czarny dres, a na górną połowę ciała naciągnęła kilka warstw swetrów. Kiedy ruszam w jej stronę, cofa się głębiej w kąt, przyciskając do piersi łyżkę. Kocia sierść unosi się i wiruje w przydymionym złotym świetle, a ja kicham.

– Na zdrowie – rzuca automatycznie.

– Musiałaś go słyszeć – mówię, mając na myśli strzał, który powalił Dumbo. – Na pewno wiesz, że on tu jest.

– Nikogo tu nie ma – piszczy. – Tylko ja i moje dziecińki. Proszę, nie krzywdź moich dziecińki!

Dopiero po chwili dociera do mnie, że mówi o kotach. Krążę po pokoju, wzdłuż labiryntu wąskich drózek wijących się wokół stosów starych magazynów, i nie spuszczam kobiety z oka, a jednocześnie rozglądam się w poszukiwaniu broni. W tej graciarni są setki miejsc, w których można by ją ukryć. Macam stos koców na sofie. Sprawdzam pod biurkiem, otwieram kolejne szuflady i zaglądam za plastikową roślinę. Pomiedzy moimi nogami z sykiem przemyka kot. Lawiruję z powrotem do kąta, w którym siedzi starucha, i każę jej wstać.

– Chcesz mnie zabić? – szepcze. Powinienem to zrobić. Wiem, że powinienem. Ryzykuję, pozwalając jej żyć. Kula, którą przyjął na siebie Dumbo, została wystrzelona z tego budynku. Zarzucam karabin na ramię, wyciągam pistolet i znów rozkazuję jej wstać. Oboje się męczymy: ona toczy fizyczną walkę o to, by stanąć na nogi, a ja psychologiczną, opierając się instynktownej pokusie, żeby pomóc staruszce. Kiedy w końcu się prostuje, chwieje się i znowu przyciska do siebie tę cholerną łyżkę.

– Rzuć łyżkę.

– Mam rzucić łyżkę?

– Rzuć ją.

– To tylko łyżka...

– Rzuć tę cholerną łyżkę!

Rzuca tę cholerną łyżkę. Każę jej stanąć twarzą do ściany i położyć ręce na głowie. Tłumi szloch. Staję za nią, kładę dłoń na jej dłoni – jest zimna jak u trupa – i zaczynam ją przeszukiwać. *Okej, Zombie. Jest czysta. Co teraz? Wóz albo przewóz.*

Mogła nie usłyszeć strzału. Pewnie ma kiepski słuch. W końcu to starsza kobieta. Może snajper zdaje sobie sprawę z jej obecności, ale się nią nie przejmuje, bo to tylko stara kociara – czy naprawdę stwarza jakiegokolwiek zagrożenie?

– Kto jeszcze tu jest? – mówię do jej potylicy.

– Nikt, nikt, przyrzekam. Od miesiący nie widziałam żywego ducha. Jestem tu tylko ja i moje dzieci. Tylko ja i moje dzieci...!

– Odwróć się. Trzymaj ręce na głowie.

Odwraca się o sto osiemdziesiąt stopni i spoglądam teraz w jasnozielone oczy, prawie niewidoczne wśród fałd zwiędłej skóry. Warstwy ubrań ukrywają jej chudość, ale jej twarz zdradza oznaki wygłodzenia: wystające kości policzkowe, wklęsłe skronie i zapadnięte oczy otoczone ciemnymi obwódkami. Jej lekko rozchylone usta ukazują bezzębne dziąsła.

Chryste. Fałszywa nadzieja i kłamstwa zamieniły ostatnie pokolenie ludzi w maszyny do zabijania, a z nadejściem wiosny piąta fala przetoczy się przez świat, zabijając wszystkich, którzy staną jej na drodze, wraz z rannymi chłopcami ukrywającymi się przy lodówkach ze swoimi krucyfiksami i starymi kociarami tulącymi do siebie drewniane łyżki.

*Pociągnij za spust, Zombie. Każdemu w końcu kończy się szczęście. Jeśli jej nie zabijesz, ktoś inny to zrobi.*

Unoszę pistolet na wysokość jej oczu.

Pada na kolana i wyciąga do mnie puste dłonie. Nie odzywa się, bo co tu mówić: jest pewna, że umrze.

Wyszkolili mnie do tego, przygotowali na taką sytuację, opróżnili, po czym wypełnili nienawiścią, ale nigdy nikogo nie zastrzeliłem – ani razu przez cały ten czas. Cassie Sullivan ma więcej krwi na rękach niż ja.

„Najtrudniejszy jest pierwszy raz – powiedziała. – Strzelając do ostatniego żołnierza w obozie Przyszań, nic nie czułam. Nie pamiętam nawet, jak wyglądał”.

– Mój przyjaciel został postrzelony – łamie mi się głos. – Albo to ty do niego strzelałaś, albo zrobił to ktoś, kogo znasz. Nie ściemniaj.

– Od tygodni nie wychodziłam z tego pokoju. Okolice nie jest bezpieczna – szepcze. – Siedzę tu z moimi dziećkami i czekam...

– Czekasz? Na co?

Gra na zwłokę. Podobnie jak ja. Nie chcę się mylić... ani mieć racji. Nie chcę przekroczyć tej granicy i stać się osobą, jaką stworzyli Przybysze. Nie chcę zabić drugiego człowieka – winnego czy nie.

– Na Baranka Bożego – odpowiada. – On się zbliża. Lada dzień ziarno zostanie oddzielone od plew, owce od kozłów, a On przyjdzie w chwale, by sądzić żywych i umarłych.

– No tak – wykrztuszam. – Wszyscy to wiedzą.

Kobieta domyśla się tego przede mną: nie nacisnę na spust. Nie mogę. Po jej obliczu rozlał się słodki, niemal dziecięcy uśmiech, który rozjaśnił pobrużdżoną twarz jak poranne promienie słońca wzbijające się ponad horyzont.

Cofam się niezgrabnie i wpadam na stolik przy oknie. Gulasz kipi i wylewa się z garnka, a płomień kuchenki syczy z wściekłością.

– Moja zupa! – krzyczy, z trudem podnosząc się na nogi, a ja cofam się jeszcze dalej, trzymając ją na muszce, chociaż oboje wiemy, że to groźba bez pokrycia. Starucha bierze łyżkę z podłogi i kuśtykając, podchodzi do bulgoczącego garnka. Odgłos drewna stukającego o metalowe ścianki naczynia wywabia z kryjówek kilkadziesiąt kotów. Ścisną mnie w żołądku. Od ponad dwunastu godzin nie miałem w ustach nic poza batonikiem energetycznym.

Babcia zerka na mnie niemal chytrze i pyta, czy chcę się poczęstować.

– Nie mam czasu – mówię jej. – Muszę wracać do przyjaciela.

W jej oczach wzbierają łzy.

– Tylko pięć minut, dobrze? Jestem taka samotna. – Miesza zupę. – Puszki skończyły mi się miesiąc temu, ale jeden wystarcza. – Znów na mnie spogląda. Nieśmiały uśmiech. – Przyrowadź przyjaciela. Mam lekarstwa i moglibyśmy się za niego pomodlić. Pan uzdrawia tych, którzy proszą o to z czystym sercem.

Czuję suchość w ustach, chociaż napływa mi do nich ślina. Krew szumi mi w uszach. Kot ociera się o moją łydkę, najwyraźniej uznając, że nie jestem taki najgorszy.

– To nie jest dobry pomysł – mówię. – Tu nie jest bezpiecznie.

Spogląda na mnie z zaskoczeniem.

– A gdzie jest?

Prawie wybucham śmiechem. Jest stara, ale bystra. I twarda. I nieustraszona. I pełna wiary. Musi tak być, skoro udało jej się tak długo przetrwać. Ten, komu udało się ocaleć, musi mieć jej ducha. Jak nazwała ich Cassie? Zgięci, ale nie złamani. Przez krótką chwilę wypełnioną desperacją rozważam, czy przyjąć propozycję kobiety i zostawić z nią Dumbo, a samemu pobiec do jaskiń, żeby odszukać Filizankę i Ringer. To może być jego najlepsza szansa – nie, to może być jego jedyna szansa.

Odchrząkuję.

– Skończyły ci się puszki? Co więc jest w zupie?

Podnosi łyżkę do ust, zamyka oczy i siorbie brunatny bulion. Siedzący u moich stóp kot unosi pokryty świerzbem łebek i spogląda na mnie wielkimi żółtymi oczami.

Wiem, co odpowie na milisekundę przed tym, nim kobieta otwiera usta.

– Kot.

Starucha bez zawahania ciska mi wrzący płyn w twarz. Cofając się, potykam się o stos magazynów i tracę równowagę. Kobieta dopada mnie, jej palce zaciskają się na mojej kurtce, za którą łapie, żeby rzucić mną na drugi koniec pomieszczenia z łatwością, z jaką dziecko ciska maskotką. Kiedy uderzam o przeciwległą ścianę, z ramienia zsuwa mi się karabin. Leżąc na boku, celuję z pistoletu w migotliwą plamę lejącą w moją stronę.

Jest za szybka, a ja za wolny – wytrąca mi broń z dłoni. Jej palce zaciskają się wokół mojego gardła. Podciąga mnie na nogi, uderza moją głową o ścianę i przysuwa twarz do mojej, a w jej intensywnie zielonych oczach połyskuje bezgraniczne zło.

– Nie powinno cię tu być – syczy. – Jest za wcześnie.

Jej twarz co chwilę traci ostrość. Za wcześnie? Nagle zaczynam rozumieć: zobaczyła wizjer. Myśli, że należę do piątej fali, która nie nadejdzie jeszcze przez tydzień i po której starucha wróci na statek matkę, a Urbana i inne miasta znikną z powierzchni ziemi.

Znalazłem uciszacza z Urbany.



– Zmiana planów – sapię, kiedy starucha pozwala mi zaczerpnąć odrobinę powietrza. Uścisk jej lodowatych palców jest mocny i świadczy o tak wielkiej sile, że kobieta z pewnością mogłaby mi złamać kark jednym ruchem kościstego nadgarstka. To byłoby kiepskie. Kiepskie dla Dumbo, kiepskie dla Ringer i Filiżanki, a już zwłaszcza dla mnie. Żyję nadal tylko dlatego, że kobieta jest zaskoczona moją obecnością wiele kilometrów od najbliższej bazy, w miejscu, które pod koniec tygodnia przestanie istnieć.

*To twoja wina, Zombie. Miałeś szansę ją zneutralizować, ale tego nie zrobiłeś.*

Cóż. Przypominała moją babcię.

Na moje słowa babcia uciszaczka przekrzywia głowę jak zaciekawiony ptak, który wypatrzył smakowity kąsek.

– Zmiana planów? To niemożliwe.

– Wezwano już wsparcie powietrzne – dyszę, podejmując desperacką próbę zyskania na czasie. – Nie słyszałaś samolotu?

Każda sekunda, w której udaje mi się ją zbić z tropu, to kolejna sekunda życia. Z drugiej strony oznajmienie kobiecie, że bombowce już nadlatują, może być najkrótszą ścieżką do szybkiej śmierci.

– Nie wierzę – mówi. – Myślę, że jesteś wstrętnym kłamczuchem.

Mój karabin leży nieco dalej. Bardzo blisko. Za daleko. Kiedy kobieta spogląda na mnie z przechyloną głową, znów przypomina mi ptaka – wygląda jak jakaś przeklęta zielonooka wrona. Wtedy to czuję – nagłe natarcie obcej świadomości, jej świadomości, rozdzierającej mnie niczym wiertło wkręcające się w miękkie drewno. Czuję się tak, jakby ktoś mnie miażdżył, a jednocześnie obdzierał ze skóry. Nie mogę ukryć przed nią żadnej części siebie, nic nie jest bezpieczne ani święte. Przypomina to Krainę Czarów, tylko że ta kobieta nie draży moich wspomnień, ona draży mnie.

– Ile bólu – mruczy. – Ile straty. – Zaciska palce na moim gardle. – Kogo szukasz?

Kiedy nie odpowiadam, odcina mi dopływ powietrza. Przed oczami rozkwitają mi czarne gwiazdy. Z ciemności dobiega mnie głos siostry wypowiadającej moje imię. Chryste, Sullivan, miałaś rację, myślę. Ta wiedźma nie dusiłaby mnie, gdybym nie odpowiedział na to wezwanie. To moja siostra mnie tu sprowadziła, a nie Filiżanka czy Ringer.

Opuszkami palców muskam kolbę karabinu. Ta stara kotożerna uciszaczka o skwaśniałym oddechu i bezzębnych dziąsłach śmieje mi się w twarz, wrzynając mi się w duszę i przeżuważając moje

życie, próbując je ze mnie wydusić.

Wciąż słyszę siostrę, ale przed oczami widzę Dumbo skulonego za kontuarem kawiarni i przywołującego mnie wzrokiem, bo nie ma siły, żeby mówić.

„Idę tam, gdzie ty, sierżancie”.

Zostawiłem go tak, jak zostawiłem siostrę, samego i bezbronnego. Jezu, zabrałem mu nawet broń.

Cholera jasna. Broń.



Pierwszy strzał pada z bliskiej odległości w sam środek obwisłego, wypełnionego kotami brzucha.

Kula nie zwalnia jej uścisku. Choć wydaje się to niewiarygodne, starucha wciąż mnie dusi. Odpowiadam strzałem: druga kula zagnieżdża się w pobliżu jej serca. Załamane oczy lekko się rozszerzają, a mnie udaje się wsadzić rękę pomiędzy nasze ciała i odepchnąć kobietę. Jej powykręcane paluchy odrywają się od mojej szyi, a ja nabieram do płuc haust skwaśniałego, śmierdzącego sierścią powietrza, a zarazem najśłodsze, jakie kiedykolwiek wdychałem. Babcia uciszaczka jeszcze się jednak nie poddała i właśnie łapie drugi oddech.

Rzuca się na mnie. Gwałtownie przetaczam się na prawo, a jej głowa rozbija się o ścianę. Znów strzelam. Nabój przedziera się przez jej żebra, jednak kobieta odpycha się od ściany i pełznie w moją stronę, wykrztuszając strzępki jasnoczerwonej, nasyconej tlenem krwi. To, co napędza to stare ciało, ma dziesięć tysięcy lat i zawiera więcej nienawiści, niż jest wody w oceanie. Poza tym ofiarowano jej technologię, która wzmacnia ją i podtrzymuje przy życiu. „Phi! Czymże jest jedna czy dwie kule. No dalej, synku!” A jednak wciąż mam wrażenie, że to nie technologia ją napędza.

To nienawiść.

Wycofuję się. Ona naciera. Wpadam plecami na stos papierów i z hukiem zwalam się na podłogę. Jej pozadzierane pazury chwytają mój but. Trzymam broń obiema dłońmi, które pokryły się krwią.

Jej kręgosłup wygina się jak u kota przeciągającego się na parapecie. Jej usta się rozchylają, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk – mnóstwo krwi, zero dźwięków. Rzuca się na mnie po raz ostatni. Jej czoło uderza o wylot lufy, kiedy naciskam spust.

Podnoszę karabin – olać pistolet – i wypadam z pomieszczenia. Korytarz, schody, recepcja banku, ulica. W końcu docieram z powrotem do kawiarni i wczółguję się za kontuar. Lepiej, żebyś żył, ty wielkouchy sukinsynu.

Żyje. Ma nierównomierny puls, płytki oddech i ziemistą skórę, ale żyje. Ale co dalej? Wracać do kryjówki? To najbezpieczniejsza opcja, opcja minimalnego ryzyka. Opcja, którą zasugerowałaby mi Ringer, która jest przecież ekspertką od ryzyka. Nie wiem, co znajdę w jaskiniach, nawet jeśli uda nam się do nich dotrzeć: przebywa tam jeszcze jeden uciszacz. Istnieje prawdopodobieństwo, że Ringer i Filiżanka już nie żyją, a więc nie dość, że ruszam na własną egzekucję, to jeszcze prowadzę na śmierć Dumbo.

Chyba że go tu zostawię i odbiorę w drodze powrotnej, pod warunkiem że uda mi się wrócić. Tak będzie lepiej dla nas obu. Teraz jest ciężarem, trzeba wziąć za niego odpowiedzialność.

Chyba jednak zostawię go tutaj. Hej, Dumbo, wiem, że zasłoniłeś mnie przed strzałem i w ogóle, ale teraz jesteś zdany na siebie, kolego. Ja spadam. To chyba zagranie w stylu Bena Parisha, no nie?

*Cholera, Zombie, zdecyduj się. Dumbo zdawał sobie sprawę z ryzyka, a i tak poszedł z tobą. Przyjęcie tej kuli było jego decyzją. Powrót będzie oznaczał, że zrobił to na darmo. Jeśli ma umrzeć, przynajmniej nadaj jego śmierci znaczenie.*

Sprawdzam, czy opatrunek nie przecieka. Delikatnie unoszę głowę Dumbo i wsuwam pod nią plecak, żeby służył za poduszkę. Wyjmuję z apteczki ostatnią strzykawkę z morfiną i wbijam mu ją w przedramię.

Nachylam się i szepczę:

– Widzisz, Bo, wróciłem. – Przyglądam mu włosy dłonią. – Załatwiłem ją. Tę zarażoną sukę, która cię postrzeliła. Sprzedałem jej kulkę między oczy. – Pod palcami czuję jego rozpalone czoło. – Nie mogę tu teraz zostać, Bo. Ale wrócę po ciebie. Wrócę albo zginę w drodze powrotnej. W sumie to pewnie zginę, więc się nie napalaj.

Odwracam wzrok. Ale nie mam na co patrzeć. Jestem nakręcony i zaraz zwariuję. Co rusz jestem świadkiem brutalnej śmierci. W końcu coś ważnego we mnie pęknie.

Ujmuję jego dłoń.

– A teraz mnie posłuchaj, ty słoniouchy skurwysynu. Jak tylko znajdę Filiżankę i Ringer, zgarniemy cię w drodze powrotnej, wrócimy razem do domu i wszystko będzie dobrze. Bo to ja jestem

sierżantem i mówię, że tak właśnie ma być. Rozumiesz? Słuchasz mnie, żołnierzu? Nie wolno ci umrzeć. Zrozumiano? To bezpośredni rozkaz. Nie wolno ci umrzeć.

Oczy drgają mu pod powiekami. Może śni. Może siedzi w swoim pokoju i gra w Call of Duty. Mam nadzieję, że tak jest.

Po tych słowach zostawiam go leżącego wśród ziaren kawy, zwitków papierowych serwetek i porzrzucanych monet.

Dumbo zostaje sam, tak samo jak ja, kiedy zagłębiam się w czarne, martwe serce Urbany. Pięćdziesiąty trzeci oddział zniknął – rozpadł się, umarł, zaginął, umiera lub ucieka.

RIP, oddziale pięćdziesiąty trzeci.

**Cassie**

Muszę to naprawić. Teraz. Natychmiast. To, czyli swoją głowę.

Czwarta rano. Jestem nabuzowana po zbyt dużej dawce czekolady (dzięki, Grace) i zbyt dużej dawce Evana Walkera. Albo niewystarczającej dawce Evana Walkera. To taki prywatny żarcik, jeśli można rzucać prywatnym żarciem w osobistym pamiętniku. Część intymną opiszę później. Ha! Kolejny żart. Kiedy jedyną osobą, która potrafi cię rozśmieszyć, jesteś ty sam, wiedz, że twoje życie stało się bardzo smutne.

Dom jest cichy, a o zabite deskami okna nie uderza nawet leciutki powiew wiatru. Wokół panuje cisza, jak gdyby świat przestał oddychać i jak gdybym była ostatnią osobą na Ziemi. Znowu.

Cholera, szkoda, że nie ma tu nikogo, z kim mogłabym pogadać.

Ben i Dumbo odeszli. Zostali mi tylko Sam, Megan i Evan. Dwoje z nich śpi w swoim pokoju. Ten Przybysz (ha!, jest coraz gorzej) jest przytomny i pełni wartę, a im więcej z nim rozmawiam, tym bardziej miesza mi się w głowie. Już od ponad miesiąca pomału mi się wymyka. Niech to szlag, Evan, gdzie się podziałeś? Wydaje mi się, że wiem, ale świadomość przyczyny nie pomaga mi pokonać wrażenia bezevanowości.

Nie pomaga mi też zapach jego wody kolońskiej unoszący się w pokoju. Kiedy Ben odszedł, Evan się ogolił. Umył włosy i starł z ciała tygodniowy brud. Przyciął nawet paznokcie i zrobił porządek z zaniedbanymi skórkami. Potem wszedł do tego pokoju i wyglądał jak dawny Evan, pierwszy Evan, Evan, o którym myślałam, że jest całkowicie ludzkim Evanem.

Tęsknię za tamtym Evanem, tym, który wyciągnął mnie z zasy, rozmroził, który zrobił mi hamburgery i udawał kogoś, kim nie był, a ukrywał to, kim jest.

Ten spokojny, cichy, stabilny, godny zaufania, silny Evan. Nie ten Przybysz Evan, udęczoney, zaniepokojony, rozdarty Evan, który nie kończy zdań, jakby bał się, że powie zbyt wiele, Evan, który już zniknął, który jest już tam u góry, trzysta kilometrów wyżej bez możliwości powrotu na dół. Nie ich Evan. Mój Evan. Ten niedoskonale doskonały facet.

Dlaczego zawsze dostajemy Evanów, na których zasługujemy, zamiast Evanów, których pragniemy?

Nie wiem, po co w ogóle to piszę. Nikt nigdy tego nie przeczyta... A jeśli to zrobisz, Evanie, zamorduję cię.

Pewnie mogłabym się zwrócić do misia. Zawsze tak łatwo mi się z nim rozmawia. W ciągu tych kilku tygodni, kiedy byliśmy sami i ukrywaliśmy się w lesie, odbyliśmy wiele rozmów, głębokich rozmów. Misiek to świetny słuchacz. Nigdy nie ziewa, nigdy mi nie przerywa i nie wychodzi z pomieszczenia. Nigdy mi się nie sprzeciwia, nie gra w żadne gierki, nie kłamie. „Zawsze idę tam, gdzie ty”. Miś już tak ma.

Miś udowadnia, że prawdziwa miłość nie musi być skomplikowana... A może tak: Evan, jeśli to czytasz, rzucam cię dla pluszowego misia.

Nie, żebyś kiedykolwiek był moim chłopakiem.

Nigdy nie zaliczałam się do dziewczyn, które marzą o ślubie lub o tym, że poznają idealnego faceta, przeprowadzą się na przedmieścia i zajmą się wychowaniem 3,2 dziecka. Ilekroć myślałam o przyszłości, wyobrażałam sobie, że robię karierę w dużym mieście albo że mieszkam w górskiej chacie w lesistym stanie takim jak Vermont, piszę książki, chodzę na długie spacerzy z psem, który wabi się Perykles lub któremu nadam inne przypadkowe greckie imię, żeby pokazać ludziom, jaka to jestem wykształcona i kulturalna. A może zostałabym lekarką i pomagałabym chorym dzieciom w Afryce. Robiłabym coś ważnego. Coś wartego zachodu, co może ktoś by w końcu zauważył, dał mi odznakę, nagrodę lub nazwał ulicę na moją cześć. Aleja Sullivan. Ulica Cassiopei. W moich snach na jawie nie było zbyt wiele miejsca dla facetów.

Na studiach zamierzałam uprawiać seks. Nie po pijaku ani z pierwszym lepszym gościem, ani nie po to, by móc powiedzieć: „Hej, uprawiałam seks”, tak jak ludzie próbujący egzotycznego jedzenia: „Hej, jadłem smażonego konika polnego”. Zrobiłabym to z kimś, na kim by mi zależało. Miłość nie byłaby konieczna, ale miło by było, gdybyśmy okazywali sobie wzajemny szacunek, zainteresowanie i czułość. Byłby to również ktoś, kto by mi się podobał. Za dużo seksu marnuje się na ludzi nieatrakcyjnych. Po co spać z kimś, kto cię nie pociąga? A jednak ludzie to robią. A przynajmniej robili. Nie, pewnie wciąż to robią.

Dlaczego myślę o seksie?

Okej, to wszystko jest nieszczerze. To kłamstwo. Boże, Cass, jeśli nie potrafisz być szczerą we własnym pamiętniku, to gdzie potrafisz? Zamiast pisać prawdę, sypiesz prywatnymi żarcikami i niejasnymi odniesieniami, jak gdyby któregoś dnia za milion lat ktoś miał to przeczytać i cię

zawstydzić.

Poważnie.

Przynajmniej wtedy, kiedy tego wieczoru przyszedł do mojego pokoju, najpierw zapukał. Evan zawsze miał problem z granicami. Zastukał do drzwi, po czym wszedł do środka w czterech etapach: głowa, ramiona, tułów, nogi. Przez mniej więcej minutę stał w drzwiach. „Można?” Natychmiast zauważyłam to, jak się zmienił: świeżo ogolony, z wciąż jeszcze mokrymi włosami, ubrany w czyste dżinsy i koszulkę z logo uniwersytetu w Ohio. Nie pamiętam ostatniego razu – a właściwie pierwszego razu – kiedy zobaczyłam Evana korzystającego z gwarantowanego mu przez drugą poprawkę do konstytucji Stanów Zjednoczonych prawa do posiadania takich wystrzałowych ramion.

Evan Walker miał bicepsy. Nie jest to jakoś specjalnie ważny fakt, jako że bicepsy to mięśnie występujące u większości ludzi. Pomyślałam tylko, że o tym wspomnę.

Miałam nadzieję, że zaprezentuje raczej styl „skruszony” – dawniej, kiedy mieszkaliśmy w tym starym domu na farmie, często go widywałam. Wówczas był to jego popisowy wyraz twarzy. Zamiast tego otrzymałam zmarszczone brwi, wygięte w lekką podkówkę usta i ciemne, zaniepokojone oczy kontemplującego pustkę poety, którym najwyraźniej był – nie poetą, tylko kontemplatorem pustki.

Zrobiłam mu miejsce na łóżku. Tylko tu mógł usiąść. Chociaż nigdy tego nie zrobiliśmy, czułam się tak, jakbyśmy byli dawnymi kochankami zmuszonymi do niezręcznych negocjacji na temat tego, komu dostanie się zastawa i jak podzielić pamiątki ze wspólnych podróży.

Wtedy poczułam wodę kolońską Ralpha Laurena.

Nie wiem, dlaczego Grace trzymała tu zapas produktów pielęgnacyjnych dla mężczyzn. Może należały do dawnych właścicieli domu, a ona po prostu nigdy ich nie wyrzuciła? A może uprawiała seks ze swoimi ofiarami przed odrąbaniem im głowy, wyrwaniem serca i pożarciem ich żywcem niczym samica czarnej wdowy.

Goląc się, skaleczył się w brodę. Na zacięciu widniała odrobina maści ściągającej, małe oszpecenie na twarzy, którą poza tym można by uznać za nieziemsko piękną. Poczułam ulgę. Nieskazitelnie piękni ludzie piekielnie mnie irytują.

– Zajrzałem do dzieciaków – powiedział, jak gdybym właśnie go zapytała, czy zajrzał do dzieciaków.

– I?

– Wszystko w porządku. Śpią.

– Kto stoi na straży?

Przez kilka niezręcznych sekund po prostu się na mnie gapił. Po chwili spuścił wzrok i spojrzał na swoje dłonie. Ja też na nie spojrzałam. Kiedy się poznaliśmy, był tak zadbany, że byłam przekonana, iż trafiłam na największego narcyza, jaki pozostał na świecie. „To sprawia, że czuję się bardziej ludzki”, powiedział, mając na myśli dbanie o wygląd. Później dowiedziałam się, że nie jest do końca

człowiekiem i wydawało mi się, że rozumiem, o co mu chodzi. Nawet potem – a mówiąc „potem”, mam na myśli teraz – uświadomiłam sobie, że schludność to niekoniecznie koncepcja bliska boskości, ale cholernie trudno odróżnić ją od człowieczeństwa.

– Będzie dobrze – powiedział cicho.

– Nie, nie będzie – wypaliłam. – Ben i Dumbo zginą. Ty zginiesz.

– Ja nie zginę. – O Benie i Dumbo nie wspomniał.

– Jak wydestaniesz się ze statku matki po podłożeniu bomb?

– Tak samo jak się na niego dostanę.

– Kiedy ostatni raz przeleciałeś się jedną z tych waszych kapsuł, złamałeś kilka kości i prawie umarłeś.

– To moje hobby – powiedział z krzywym uśmiechem. – Prawie umieranie.

Odwróciłam wzrok od jego dłoni. Od dłoni, które podnosiły mnie, kiedy upadałam, tuliły mnie, gdy było mi zimno, karmiły, gdy byłam głodna, leczyły, gdy byłam ranna, myły, gdy byłam pokryta warstwą leśnego brudu i krwi. Zamierzasz zniszczyć całą swoją cywilizację – i po co to wszystko? Dla dziewczyny. Można by pomyśleć, że takie poświęcenie pomogłoby mi się poczuć choć odrobinę wyjątkowo. Nie pomogło. Czułam się dziwnie. Jak gdyby jedno z nas było całkiem szajbnięte i nie byłam to ja.

Nie dostrzegałam w ludobójstwie ani odrobiny romantyzmu, ale może nie rozumiem natury miłości, jako że nigdy nie byłam zakochana. Czy wykończyłabym ludzkość, żeby ocalić Evana? To mało prawdopodobne.

Oczywiście istnieje wiele rodzajów miłości. Czy zabiłabym wszystkich ludzi na świecie, żeby ocalić Sama? Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa.

– Ale w tych kilku sytuacjach, kiedy prawie umarłeś, byłeś jakoś chroniony, prawda? – zapytałam. – Ta technologia, która zrobiła z ciebie nadczłowieka... Mówiłeś, że przestała działać w drodze do hotelu. Tym razem nie możesz na nią liczyć.

Wzruszył ramionami. No i proszę, oto ta skruszona minka, którą prawie przegapiłam. Jej pojawienie się przypomniało mi o tym, jak daleko zaszliśmy od tamtego domu na farmie, i zwalczyłam pokusę, żeby nie spoliczkować Evana i nie zetrzeć mu tej minki z twarzy.

– To, co zamierzasz... Nie robisz tego dla mnie... Nie robisz tego tylko dla mnie, rozumiesz to, prawda?

– Cassie, nie ma innego sposobu, żeby to zatrzymać – odparł. Katapultowy powrót do wyglądu znękanego poety.

– A co ze sposobem, o którym wspominałeś ostatnim razem, zanim prawie umarłeś? Pamiętasz? Ulepszenie bomby Megan, żeby wysadzić statek?

– Trudno to przeprowadzić bez bomby – powiedział.

– Grace nie schowała tu gdzieś zapasu?

Zadbała natomiast, żeby to miejsce było zaopatrzone w płyn po goleniu. Postapokaliptyczne priorytety.

– Zadaniem Grace nie było wysadzanie niczego w powietrze, tylko zabijanie ludzi.

– I uprawianie z nimi seksu.

Nie chciałam tego powiedzieć... Podobnie jak nie chcę mówić osiemdziesięciu procent zdań, które wypowiadam.

Ale tak naprawdę kogo obchodzi, czy uprawiali seks? To dość trywialny powód do zmartwienia, kiedy los planety wisi na włosku. Trywialny. Nieważny. Ręce, które mnie obejmowały, obejmujące Grace. Ciało, które mnie ogrzewało, ogrzewające jej ciało. Usta, które dotykały moich warg, dotykające jej warg. To nie ma znaczenia, nic mnie to nie obchodzi, Grace nie żyje. Zaczęłam skubać pościel, żałując, że cokolwiek powiedziałam.

– Grace kłamała. My nie...

– Nie interesuje mnie to, Evan – powiedziałam. – To nie ma znaczenia. Poza tym Grace była niesamowicie atrakcyjną maszyną do zabijania. Kto mógłby się jej oprzeć?

Położył dłoń na mojej, żeby uspokoić szarpiące pościel palce.

– Powiedziałbym ci, gdyby to była prawda.

Co za kłamca. Gdybym zebrała wszystkie te rzeczy, o których mi nie mówił, mogłabym nimi wypełnić Wielki Kanion. Wyrywam rękę i spoglądam w te jego czekoladowe oczy.

– Jesteś kłamcą – powiedziałam.

– Jestem. Ale w tej sprawie nie kłamię.

„Jestem”?

– W jakich kwestiach jeszcze kłamałeś?

Potrząsnął głową. Głupiutka istota ludzka!

– W kwestii tego, kim naprawdę jestem.

– A kim właściwie jesteś? Powiedziałeś mi o tym, czym jesteś, ale nigdy nie wspomniałeś, kim jesteś. Kim jesteś, Evanie Walkerze? Skąd pochodzisz? Jak wyglądałeś, zanim zacząłeś wyglądać jak nic? Jaka była twoja planeta? Czy przypominała naszą? Czy były tam rośliny, drzewa, skały, czy mieszkaliście w miastach, co robiliście dla rozrywki i czy mieliście tam muzykę? Muzyka jest uniwersalna jak matematyka. Czy możesz mi zaśpiewać piosenkę? Zaśpiewaj mi jakąś kosmiczną piosenkę, Evanie. Opowiedz mi o swoim dorastaniu. Chodziłeś do szkoły czy wiedza automatycznie załadowała się w twoim mózgu? Jacy byli twoi rodzice? Czy mieli pracę, tak jak rodzice na Ziemi? A co z braćmi i siostrami? Co ze sportem? Zacznij od czegokolwiek.

– Mieliśmy sport – powiedział z leciutkim, pobłażliwym uśmiechem.

– Nie lubię sportu. Zacznij od muzyki.



– Mieliśmy też muzykę.

– Zamieniam się w słuch.

Zaplotłam ramiona na piersi i czekałam. Otworzył usta. Po czym je zamknął. Nie wiedziałam, czy zaraz zacznie się śmiać, czy płakać.

– To nie takie proste, Cassie.

– Nie liczę na koncertowe wykonanie. Ja też fałszuję, ale to mnie nie powstrzymuje przed wyciem przebojów Beyoncé.

– Kogo?

– Daj spokój. Na pewno wiesz, kim była.

Potrząsnął głową. Może nie dorastał na farmie, tylko urwał się z choinki. Po chwili przyszło mi jednak do głowy, że byłoby trochę dziwne, gdyby licząca sobie dziesięć tysięcy lat istota trzymała rękę na pulsie w kwestii popkultury. Ale przecież mówimy o Beyoncé!

Jest dziwniejszy, niż myślałam.

– Wszystko jest inne. Pod względem strukturalnym. – Wskazał na swoje usta i wysunął język. – Nie mogę nawet wymówić swojego imienia. – W powietrzu zawisł na chwilę patos tak ciężki, że niemal zdusił płomień lampki.

– A więc coś zanuć. Albo zagwizdź. Potrafisz gwizdać czy może nie mieliście warg?

– To wszystko nie ma już znaczenia, Cassie.

– Mylisz się. Ma duże znaczenie. Jesteś swoją przeszłością, Evanie.

Jego oczy wypełniły się łzami. To tak, jakbym patrzyła na roztopiającą się czekoladę.

– Boże, Cassie, mam nadzieję, że to nieprawda.

Wyciągnął do mnie dopiero co wyszorowane dłonie o przyciętych i wypolerowanych paznokciach. Te same, które kiedyś trzymały broń i mordowały niewinnych ludzi, zanim prawie zabiły mnie.

– Jeśli jesteśmy swoją przeszłością...

Mogłam powiedzieć, że wszyscy robiliśmy rzeczy, których się wstydzimy, ale to zdanie brzmiało zbyt nonszalancko. Nawet w moich ustach.

Cholera jasna, Cassie. Dlaczego zmuszasz go, żeby o tym myślał? Miałam tak wielką obsesję na punkcie przeszłości, o której nie miałam pojęcia, że zapomniałam o tej, którą znałam: aby ocalić tych, których przybył zniszczyć. Uciszac Evan Walker planował na zawsze uciszyć całą cywilizację – swoją cywilizację.

Nie, Benie Parishu, pomyślałam. Nie robi tego dla dziewczyny, tylko ze względu na przeszłość, od której nie może uciec. Dla siedmiu miliardów. W tym także dla twojej młodszej siostry.

Zanim zdałam sobie sprawę z tego, co się dzieje i jak do tego doszło, obejmowałam go rękami, które nigdy wcześniej go nie pocieszyły, nigdy go nie podniosły, nigdy nie odnalazły go, kiedy był

zagubiony. To ja brałam, otrzymywałam. Zawsze ja. Od momentu, w którym wyciągnął mnie z zasy, byłam jego podopieczną, jego misją, jego brzemieniem. Ból Cassie, strach Cassie, złość Cassie, rozpacz Cassie. Oto gwoździe, które przybiły go do krzyża.

Pogładziłam go po wilgotnych włosach. Pomasowałam jego zgarbione plecy. Wtuliłam jego słodko pachnącą, gładką twarz w swoją szyję, na której poczułam jego ciepłe łzy. Wyszeptał coś, co zabrzmiało jak „jętka”.

Lepiej pasowałoby tu „nieczuła suka”.

– Przepraszam, Evanie – wyszeptałam. – Bardzo cię przepraszam.

Pochyliłam głowę, a on uniósł swoją. Pocałowałam go w mokry policzek. Twój ból, twój strach, twój gniew, twoja rozpacz. Oddaj mi je, Evanie. Przez chwilę je poniosę.

Wyciągnął dłoń i musnął palcami moje wargi, wilgotne od jego łez.

– Ostatni człowiek na Ziemi – wyszeptał. – Pamiętasz, jak to napisałaś?

Skinęłam głową.

– Byłam głupia.

Potrząsnął głową.

– Wydaje mi się, że właśnie wtedy wszystko się zmieniło. Kiedy to przeczytałem. „Ostatni człowiek na Ziemi”. Bo czułem się tak samo.

Moje dłonie dewastowały tę starą koszulkę z logo uniwersytetu. Była bardzo łatwa do zdewastowania. To dobre słowo: dewastować. Można go użyć w wielu kontekstach.

– Ty nie wrócisz – powiedziałam za niego.

Wsunął palce w moje włosy. Zadrżałam. Nie rób tego, ty draniu. Nie dotykaj mnie tak, jak gdybyś dotykał mnie ostatni raz. Nie patrz na mnie tak, jak gdybyś patrzył na mnie ostatni raz. Zacisnęłam powieki. Nasze wargi się złączyły.

Ostatni człowiek na Ziemi. Z zamkniętymi oczami widziałam, jak idzie zalesioną ścieżką w Vermont, w miejscu, w którym nigdy nie była i do którego nigdy nie pojedzie, a liście sklepiające się nad szlakiem eksplodują jasnoczerwonymi i złotymi ariami. Z przodu duży pies o imieniu Perykles biegnie w ten charakterystyczny, zarozumiały psi sposób, a ona, ta dziewczyna – nie, kobieta – ma wszystko, o czym marzyła. Nie pozostawiła niepozamykanych spraw. Zjeździła cały świat, napisała kilka książek, miała kochanków i łamała męskie serca. Nigdy nie pozwoliła na to, by życie po prostu jej się przydarzyło. Okładała je pięściami i tłukła na kwaśne jabłko. Zdewastowała je.

Czułam w uchu jego gorący oddech. Przyciągnęłam go do siebie, wbiłam paznokcie w jego klatkę piersiową niczym wygłodzona lwica znęcająca się nad swoją ofiarą. Opór jest daremny, Walker. Nigdy nie będę się przechadzała ścieżką w złocistych lasach, nie będę miała psa o imieniu Perykles ani nie zjeżdżę całego świata. Nikt nie przyzna, że miałam dobre życie, nikt nie nazwie ulicy na moją cześć, a świat nie odczuje różnicy, kiedy zniknę. Moje życie to katalog spraw niedokonanych i takich,

które nigdy nie zostaną dokonane. Przybysze ukradli mi wszystkie niewykończone wspomnienia, nie pozwolę jednak, by ukradli mi także i to.

Moje dłonie błąkały się po jego ciele, po tym nieodkrytym terytorium, które odtąd będę nazywać Evanlandem. Wzgórza i doliny, pustynne równiny i leśne wąwozy, krajobraz pobrużdżony wojennymi bliznami, poprzecinany uskokami i nieoczekiwanymi widokami. A ja jestem Cassie Konkwistadorką: im większe terytorium podbiję, tym większych połąci pożądam.

Jego pierś zaczęła falować – podziemny wstrząs wzbierający niczym tsunami. Jego oczy były rozszerzone, wilgotne i wypełnione czymś, co do złudzenia przypominało strach.

– Cassie...

– Zamknij się. – Moje wargi badały dolinę poniżej jego falującej piersi.

Jego palce zaplątały się w moje włosy.

– Nie powinniśmy.

Prawie wybuchłam śmiechem. Lista spraw, których nie powinniśmy robić, nie ma końca, Evanie. Nadgryzłam zębami jego brzuch. Ziemia pod moim językiem zadrżała – wstrząs i wstrząs wtórny.

Nie powinniśmy. Owszem, pewnie nie powinniśmy. Niektórych zachcianek nie można zaspokoić. Niektóre odkrycia okrywają poszukiwanie hańbą.

– To niewłaściwy czas... – westchnął.

Oparłam policzek na jego brzuchu i odsunęłam włosy z oczu.

– A kiedy przyjdzie ten właściwy, Evanie?

Jego dłonie chwyciły moje błąkające się palce i przytrzymały je w miejscu.

– Mówiłeś, że mnie kochasz – wyszeptalam. Niech cię szlag, Evanie Walkerze, po co w ogóle powiedziałeś coś tak absurdalnego, szalonego i kretyńskiego?

Nikt nie mówi o tym, jak cienka granica dzieli wściekłość i pożądanie. Serio, nawet przestrzeń pomiędzy molekułami jest szersza.

– Jesteś kłamcą – powiedziałam. – Jesteś najgorszym gatunkiem kłamcy, takim, który okłamuje samego siebie. Ty nie kochasz mnie. Ty kochasz jakieś wyobrażenie.

Odwrócił wzrok, a ja wiedziałam, że został przyłapany.

– Jakie wyobrażenie? – zapytał.

– Kłamca. Doskonale wiesz jakie.

Podniosłam się. Ściągnęłam koszulkę. Przygwoździłam go spojrzeniem, zmuszając, by na mnie spojrzał. Spójrz na mnie, Evanie. Spójrz na mnie. Nie jestem ostatnią osobą na Ziemi, nie jestem dublerką tych wszystkich osób, które zastrzeliłeś na autostradzie. Nie jestem jętką. Jestem Cassie, zwyczajną dziewczyną ze zwyczajnego miejsca, która okazała się tak głupia lub pechowa, że żyła na tyle długo, byś mógł ją odnaleźć. Nie jestem twoją podopieczną, twoją misją, twoim brzemieniem.

Nie jestem ludzkością.

Evan odwrócił twarz do ściany i wsunął ręce pod głowę, jak gdyby się poddawał. Cóż. Zaszłam już tak daleko. Zsunęłam dzinsy z bioder i odrzuciłam je kopnięciem. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłam tak wściekła... albo tak smutna... albo tak... Miałam ochotę mu przywalić, pieścić go, kopać, przytulać. Chciałam, żeby umarł. Sama chciałam umrzeć. Nie czułam się zakłopotana – i to nie dlatego, że już kiedyś widział mnie nago... Bo widział.

Wtedy nie miałam wyboru. Wtedy byłam nieprzytomna, na granicy śmierci. Teraz byłam rozbudzona i pełna życia.

Żałowałam, że nie oświetlają mnie setki lamp. Pragnęłam światła reflektora i lupy, tak by mógł się przyjrzeć każdemu centymetrowi mojego niedoskonale doskonałego ludzkiego ciała.

– Tu nie chodzi o czas, Evanie – przypomniałam mu. – Ale o to, co z nim zrobimy.

## Ringer

Kiedy człowiek znajduje się na wysokości dziesięciu kilometrów, trudno mu stwierdzić, co wydaje się mniejsze: ziemia poniżej czy on sam spoglądający w dół.

Samolot obiera kurs na północ i znajduje się w odległości kilku kilometrów od jaskiń, a Constance odpina pas i z półki nad głową wyjmuje zestaw spadochronowy. Ostatnia kontrola przed skokiem. Zostaniemy zrzucone z tej wysokości w celu zmniejszenia ryzyka, że ktoś zauważy nas z ziemi. Tego typu zrzut nazywany jest HALO i oznacza otwarcie spadochronu dopiero na niewielkiej wysokości. To cholernie ryzykowne, ale nie tak ryzykowne jak skok z wysokości półtora kilometra bez spadochronu.

Constance musiała słyszeć o moim skoku z feralnego helikoptera, bo mówi:

– Tym razem będzie o wiele łatwiej, co?

Mówię jej, żeby spierdalała, a ona odpowiada uśmiechem. I dobrze. Nie chciałabym odkryć, że ta kobieta ma jakieś sympatyczne cechy. Gdyby tak się stało, zabicie jej byłoby trudne.

No, trudniejsze. Bo tak czy siak zamierzam ją zabić.

– Trzydzieści sekund – dobiega nas skrzek pilota. Constance sprawdza mój spadochron. Ja sprawdzam jej. Kiedy tylny właz samolotu się otwiera, zdejmujemy słuchawki i rzucamy je na siedzenia. Przesuwamy obleczone rękawiczki palcami po lince prowadzącej do wyjścia, zbliżamy się do rozwrzeszczanego brzuszyska samolotu, gdzie mroźny wiatr uderza nas jak pięść. Ścisza mnie w żołądku, kiedy nekany turbulencjami C-160 kołysze się na boki. Przez niemal cały lot walczyłam z chęcią zwymiotowania. Lepiej zrobić to teraz niż w czasie swobodnego spadania. Jeśli odpowiednio się ustawię, rzygowiny trafią Constance prosto w twarz.

Zastanawiam się, dlaczego procesor nie ujarzmi mojego układu trawiennego. To dziwne, ale czuję się tak, jakby zdradził mnie przyjaciel.

Wyskakuję za Constance w czarną gardziel bezksiężycowej nocy. Nie otworzymy spadochronów, dopóki nie osiągniemy ostatecznej prędkości. Mój ulepszony wzrok sprawia, że widzę dokładnie – jeszcze piętnaście metrów w dół i na lewo. Czas zwalnia, kiedy moje ciało przyspiesza. Nie jestem pewna, czy to sprawka procesora, czy naturalna reakcja na spadanie z prędkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie słyszę samolotu. Świat jest wiatrem.

Pięć kilometrów. Cztery. Trzy. Rozróżniam autostradę, pofalowane pola, zbiorowiska ogołoconych drzew. Im jestem bliżej ziemi, tym szybciej zdają się pędzić w moją stronę. Półtora kilometra. Jeden.

Minimalna odległość od ziemi pozwalająca na bezpieczne lądowanie to dwieście pięćdziesiąt metrów, ale to kuszenie losu.

Constance pociąga za linkę na wysokości dwustu sześćdziesięciu metrów. Ja jestem nieco niżej, a ziemia zbliża się do mnie z rykiem niczym rozpędzona lokomotywa.

Przy zderzeniu zginam kolana i upadam na bark, po czym przetaczam się dwa razy i zatrzymuję na plecach, zaplątana w linki. Constance przypada do mnie, jeszcze zanim udaje mi się nabrać tchu, i uwalnia mnie za pomocą noża szturmowego. Podciąga mnie na nogi, pokazuje uniesione kciuki, a następnie rzuca się biegiem przez pole w stronę kilku silosów stojących w sąsiedztwie czerwonej stodoły i znajdującego się nieopodal białego domu gospodarskiego.

Biały dom, czerwona stodoła, wąska wiejska dróżka... Czy mogliśmy wylądować pośród bardziej amerykańskiego krajobrazu? Nazwa wioski, w której znajdują się jaskinie? West Liberty – Wolność Zachodnia.

Dołączam do niej u stóp silosu, gdzie Constance próbuje zdjąć kombinezon. Pod spodem ma bezkształtne dzinsy i bluzę z kapturem. Nie zabrała żadnej broni poza nożem, który wtyka do przywiązanego do nogi pokrowca.

– Pięćset metrów na południowy zachód od naszej pozycji – sapie. Wejście do jaskiń. – Jesteśmy kilka godzin przed nimi. – Ma na myśli Zombie’ego i tego, kto był na tyle szalony, by wraz z nim szukać mnie i Filizanki. Pewnie Pączka. Na myśl o tym, że będę musiała powiedzieć Zombie’emu o Filizance, ściska mnie w żołądku. – Zostań tu i czekaj na mój sygnał.

Kręcę głową.

– Idę z tobą.

Znów przesyła mi ten kretyński uśmiech.

– Kochanie, nie chcesz tego robić.

– Dlaczego?

– Nasze wyjaśnienia nie będą się trzymały kupy, jeśli ktoś im zaprzeczy.

Imadło wokół mojego żołądka jeszcze bardziej się zaciska. Ocalali. Constance zabije wszystkie osoby ukrywające się w tych jaskiniach, czyli zapewne sporo ludzi. Dziesiątki, może setki. To będzie trudne zadanie. Będą dobrze uzbrojeni i ostrożni w stosunku do obcych – trudno sobie wyobrazić, by po tym wszystkim byli jeszcze ludzie nieświadomi nadejścia czwartej fali. A to oznacza, że może wcale nie będę musiała zabijać Constance. Może zrobią to za mnie.

To przyjemna myśl. Nierealna, ale przyjemna. Kolejna wcale nie jest przyjemna, więc wyrzucam z siebie pierwszą, jaka rodzi się w mojej głowie.

– Nie musimy odbijać jaskiń. Możemy przejąć Zombie’ego, zanim do nich dotrze.

Constance kręci głową.

– Nie taki otrzymałyśmy rozkaz.

– Otrzymałyśmy rozkaz spotkania się z Zombie'em.

Nie poddam się. Nie odpuszczę. Jeśli to zrobię, zginą niewinni ludzie. Nie jestem przeciwna śmierci – w końcu sama planuję zabić ją i Evana Walkera – ale tego można uniknąć.

– Wiem, że to dla ciebie problem, Mariko – mówi łagodnie. – Dlatego idę sama.

– To głupie ryzyko.

– Wyciągnęłaś wnioski bez znajomości wszystkich faktów – strofuje mnie.

To problem, który towarzyszy ludziom od samego początku – mam na myśli początek ludzkiej historii.

Opieram dłoń na kolbie pistoletu. Zauważa to. W odpowiedzi jej uśmiech rozświetla mrok nocy.

– Wiesz, co będzie, jeśli to zrobisz – mówi łagodnie niczym dobrotliwa ciocia lub troskliwa starsza siostra. – Twoi przyjaciele... Ci, po których wróciłaś. Ile śmierci jest warte ich życie? Jeśli sto osób musiałoby umrzeć, żeby oni przeżyli, albo tysiąc, dziesięć tysięcy lub dziesięć milionów... Kiedy powiedziałaabyś „dość”?

Znam ten argument. To rozumowanie Voscha. Ich. Czymże jest siedem miliardów ludzi, jeśli zagrożona jest egzystencja jako taka? Pali mnie w gardle. W ustach czuję posmak kwasu żołądkowego.

– To fałszywy wybór – odpowiadam. Ostatnia próba, prośba: – Nie musisz wszystkich zabijać, żeby dorwać Walkera.

Wzrusza ramionami. Najwyraźniej czegoś nie rozumiem.

– Jeśli tego nie zrobię, żadna z nas nie przeżyje na tyle długo, by mieć ku temu okazję. – Unosi brodę i nieco odwraca twarz. – Uderz mnie. – Stuka palcem w policzek. – Tutaj.

Czemu nie? Uderzenie sprawia, że Constance się chwieje. Niecierpliwie potrząsa głową i nadstawia drugi policzek.

– Jeszcze raz. Tym razem mocniej, Mariko. Mocno.

Uderzam ją mocniej. Na tyle mocno, by złamać kość. Jej lewe oko natychmiast zaczyna puchnąć. Nie czuje bólu od uderzenia. Ja też nie.

– Dzięki – mówi radośnie.

– Spoko. Jeśli będziesz chciała jeszcze raz oberwać, daj znać.

Constance śmieje się cicho. Gdybym jej nie znała, mogłabym przysiąc, że mnie lubi, że uważa mnie za uroczą. Po chwili oddala się tak szybko, że tylko mój ulepszony wzrok jest w stanie za nią nadążyć, kiedy przebiega przez pole i dociera do drogi prowadzącej do jaskiń, a następnie znika w lesie po północno-zachodniej stronie.

Opadam na ziemię, rozdygotana, oszołomiona, ze ściśniętym żołądkiem. Zaczynam myśleć, że dwunasty układ szwankuje. Czuję się beznadziejnie.

Opieram się o chłodny metal silosu i zamykam oczy. Ciemność pod moimi powiekami wiruje

wokół niewidzialnego centrum – osobliwości, która istniała przed narodzinami wszechświata. Jest tam Filiżanka, która odrywa się ode mnie. A huk broni Brzytwy rozbrzmiewa w beczasowej przestrzeni. Filiżanka odrywa się ode mnie, ale zawsze będzie do mnie należeć.

Brzytwa też tam jest, w absolutnym centrum absolutnej nicości. Krew na ranie, którą sobie zadał, wciąż nie zakrzepła, VQP, a on wiedział, że za poświęcenie Filiżanki zapłaci własnym życiem. Jestem pewna, że zanim spędziliśmy razem noc, podjął już decyzję, że ją zabije. Jej śmierć była jedynym sposobem, żeby mnie uwolnić.

Po co chciałeś mnie uwolnić, Brzytwo? Żebym przetrwała i pokonała... co?

Wciąż nie otwierając oczu, wyciągam nóż z pokrowca przytroczonego do łydki. Wyobrażam sobie Brzytwę opartego o framugę drzwi magazynu. Do środka wpada światło ze stosu pogrzebowego, oblewając jego szczupłą sylwetkę. Jego oczy ukryte są w cieniu, kiedy podwija rękawy. Nóż w jego dłoni wtedy. Nóż w mojej teraz. Kiedy jego koniuszkiem przeciął skórę, pewnie się wzdrygnął. Ja tego nie robię.

Nic nie czuję. Jestem spowita w nicość, w odpowiedź na zagadkę Voscha zawartą w pytaniu „dlaczego?”. Czuję zapach krwi Brzytwy. Nie czuję zapachu swojej, bo tysiące nanorobotów hamują jej wpływ.

V: Jak ujarzmić nieujarzmione?

Q: Kto wygra, jeśli nikt nie przetrwa?

P: Co przetrwa, jeśli zniknie wszelka nadzieja?

Ze środka osobliwości przedziera się jakiś głos.

– Drogie dziecko, dlaczego płaczesz?

Otwieram oczy. To ksiądz.



A przynajmniej wygląda jak ksiądz. Czarne spodnie. Czarna koszula. Biały kołnierzyk pożółkły od potu, pobrudzony rdzawymi plamami. Stoi tuż poza moim zasięgiem. To drobny mężczyzna z zakolami i pulchną, dziecinną twarzą. Dostrzega mokry nóż w mojej dłoni i natychmiast unosi rękę.

– Nie jestem uzbrojony. – Jego głos jest piskliwy i równie dziecinny jak jego rysy.

Opuszczam nóż i wyciągam pistolet.

– Ręce na głowę. Uklęknij.

Wykonuje moje polecenie. Zerkam w stronę drogi. Co się stało z Constance?

– Nie chciałem cię przestraszyć – mówi drobny mężczyzna. – Po prostu od wielu miesięcy nie widziałem drugiego człowieka. Widzę, że jesteś w armii?

– Zamknij się – mówię. – Nie gadaj.

– Oczywiście! Ja... Przepraszam. – Zamyka usta. Jego policzki są zaróżowione ze strachu, a może wstydu. Staję za nim. Kiedy wolną ręką przejeżdżam po jego tułowiu, nie rusza się.

– Skąd się tu wziąłeś? – pytam.

– Z Pensylwanii...

– Nie. Skąd przyszedłeś teraz?

– Mieszkam w jaskiniach.

– Z kim?

– Sam! Już ci powiedziałem, że od miesięcy nie widziałem żadnego człowieka. Od listopada...

W jego prawej kieszeni wyczuwam twardy metalowy przedmiot. Wyciągam go. To krucyfiks. Najlepsze czasy ma już za sobą. Tandetne pozłacane wykończenie jest wyszczerbione. Twarz Chrystusa wytarła się i zamieniła w gładką bryłkę. Myślę o krzyżowcu Sullivan skulonym pod pustymi lodówkami.

– Proszę – jęczy. – Nie zabieraj mi go.

Wrzucam krucyfiks w wysoką, suchą trawę pomiędzy silosem a stodołą. Gdzie, do cholery, podziwia się Constance? Jak temu małemu ofermie udało się przemknąć obok niej? A co najważniejsze, jak to się stało, że pozwoliłam temu ofermie zakraść się tak blisko mnie?

– Gdzie twój płaszcz? – pytam.

– Płaszcz?

Staję przed nim i przystawiam mu lufę do czoła.

– Jest przeraźliwie zimno. Nie marzniesz?

– Ach, ach! – śmieje się nerwowo. Jego zęby pasują do reszty ciała: są małe i umazane sadzą. – Zupełnie o nim zapomniałem. Ucieszyłem się, kiedy usłyszałem samolot. Myślałem, że w końcu nadszedł ratunek! – Jego uśmiech gaśnie. – Bo ty przyleciałaś, żeby mnie uratować, prawda?

Mój palec drga na spuście. „Każdemu może się zdarzyć, że znajdzie się w złym czasie i w złym miejscu”, pocieszałam Sullivan po tym, jak opowiedziała mi o zabitym żołnierzu.

– Mogę zapytać, ile masz lat? – pyta ksiądz. – Wydajesz się o wiele za młoda na żołnierza.

– Nie jestem żołnierzem – oznajmiam mu. I rzeczywiście nim nie jestem. Jestem następnym etapem ludzkiej ewolucji. Odpowiadam zgodnie z prawdą: – Jestem uciszaczem.

Mężczyzna rzuca się na mnie. Eksplozja bladego rózu i czerni. Jego drobne zęby błyskają, a pistolet wylatuje mi z ręki. Cios łamie mi nadgarstek. Następne uderzenie, tak szybkie, że nawet mój ulepszony wzrok nie jest w stanie go zarejestrować, ciska mną dwa metry do tyłu, o elewację silosu. Metal zgrzyta i owija się wokół mojego ciała niczym meksykańskie taco. Dopiero teraz docierają do mnie słowa Constance: „Wyciągnęłaś wnioski bez znajomości wszystkich faktów”.

Nie szła do jaskiń po to, by zneutralizować ocalałych. Zamierzała uciszyć uciszacza.

Dzięki, Connie. Mogłaś mi powiedzieć.

To, że zderzenie ze ścianą silosu mnie nie zabija, ratuje mi życie. Fałszywy ksiądz nieruchomieje i spogląda na mnie, przekrzywiając głowę w dziwny ptasi sposób. Powinam być już martwa, a przynajmniej stracić przytomność. Dlaczego jeszcze stoję?

– Proszę, proszę! A to... ciekawe.

Przez kilka sekund żadne z nas się nie porusza. Wytrąciłam go z równowagi. *Graj na zwłokę, Ringer. Poczekaj na powrót Constance.*

Jeśli Constance wróci. Może przecież nie żyć.

– Nie jestem jedną z was – mówię, wydostając się z metalowej wnęki. – Vosch wyposażył mnie w dwunasty układ.

Na jego twarzy wciąż maluje się niedowierzanie, ale jego ramiona się napinają. To jedyne sensowne wyjaśnienie, które jednakowoż nie ma żadnego sensu.

– Robi się coraz ciekawiej! – mruczy. – Po co dowódca miałby ulepszać człowieka?

Czas kłamać. Wróg nauczył mnie tego, że największych rzeczy można dokonać dzięki najdrobniejszym kłamstwom.

– Zdradził was. Wszystkich nas wyposażył w dwunasty układ. – Mężczyzna z uśmiechem kręci głową. Wie, że lżę jak pies. – Zniszczymy was, zanim kapsuły zawiozą was na statek. – Mój karabin leży na ziemi metr od jego stopy. Nie wiem, gdzie jest pistolet. Nóż znajduje się bardzo blisko, w połowie dzielącej nas odległości. Pewnie zakłada, że rzucę się po nóż.

Dobra, wygląda na to, że nie łyknął mojej ściemy. Spróbuję powiedzieć prawdę, chociaż nie liczę na zbyt wiele.

– Pewnie tylko marnuję energię, ale powinieneś wiedzieć, że jestem w takim samym stopniu człowiekiem jak ty. Wykorzystują cię tak jak pozostałych. Wszystko, co o sobie wiesz, i wszystko, co

pamiętasz, to kłamstwo. Wszystko.

Kiwa głową i posyła mi uśmiech, jakim obdarza się wariatów.

Teraz czas na twoje wejście, Constance. Wskocz z cienia i zatop ostrze w jego plecach. Ale Constance przegapia swoją szansę.

– Jestem trochę zagubiony – mówi. – Co mam z tobą zrobić?

– Nie wiem – odpowiadam szczerze. – Wiem tylko, że podniosę ten nóż i rozplątam cię nim jak wieprza.

Nie patrzę na nóż. Jeżeli to zrobię, nie będę miała żadnych szans – mężczyzna od razu przejrzy moje zamiary. Nie patrząc, zmuszam go, by spojrział. Opuszcza wzrok tylko na sekundę, ale sekunda w zupełności mi wystarcza.

Nosek mojego wzmocnionego stałą buta trafia go pod brodą, a jego drobne ciało leci na odległość trzech metrów i z łoskotem opada na ziemię. Zanim udaje mu się stanąć na nogi, nóż opuszcza moją dłoń i szybuje w stronę jego gardła. Mężczyzna podbija nóż w powietrze, po czym łapie go z przerażającą gracją, która siłą rzeczy robi na mnie wrażenie.

Rzucam się do karabinu. Ksiądz jest szybszy. Jego pięść trafia mnie w skroń i upadam. Ustami zderzam się z ziemią, raniąc górną wargę. To koniec. Teraz poderżnie mi gardło. Podniesie mój karabin i strzeli mi w łeb. Jestem niedojdą, amatorką, nowicjuszka, która wciąż przyzwyczajają się do ulepszeń, z którymi on żyje od trzynastego roku życia.

Owija sobie garść moich włosów wokół dłoni i przerzuca mnie na plecy. Krztuszę się krwią wypełniającą mi usta. Góruje nade mną swoimi stu sześćdziesięcioma centymetrami wzrostu, w jednej dłoni ściskając nóż, a w drugiej karabin.

– Kim jesteś?

Wykrztuszam krwawą plwocinę.

– Nazywam się Ringer.

– Skąd jesteś?

– Cóż, urodziłam się w San Francisco...

Kopie mnie w zębra. Nie z całej siły. Gdyby to zrobił, przebiłby mi płuco lub rozerwał śledzionę. Najwyraźniej nie chce mnie zabić... Jeszcze nie teraz.

– Co tu robisz?

Spoglądam mu w oczy i odpowiadam:

– Mam cię zabić.

Mężczyzna odrzuca karabin, który szybuje na odległość stu metrów, przelatuje nad drogą i ląduje na polu. Chwyta mnie za gardło i unosi w powietrze. Moje stopy odrywają się od ziemi. Przekrzywia głowę – zaciekawiona wrona, czujna sowa.

Przed kolejnym atakiem nie można się obronić. Jego świadomość wbija się we mnie niczym

brutalny cios i rozrywa mój umysł z taką siłą, że układ autonomiczny wysiada. Wpadam w zupełną ciemność. Pozbawioną dźwięków, obrazów i doznań. Umysł księdza przegryza się przez mój, a ja wyczuwam w nim nienawiść potężniejszą niż wszechświat, czysty gniew, bezgraniczny wstręt i – choć może się to wydawać dziwne – zawiść.

– Aaa – wzdycha. – Kogo szukasz? Nie tych, którzy umarli. Małej dziewczynki i smutnego, poważnego chłopca. Umarli, żebyś mogła przeżyć. Tak? Tak. Jakaś ty samotna! Jaka pusta!

Przytulam do siebie Filiżankę w starym hotelu, usiłuję ją rozgrzać. Brzytwa trzyma mnie w centrum bazy, próbując zachować przy życiu. „To krąg otoczony lękiem, Zombie”.

– Jest ktoś jeszcze – mruczy ksiądz. – Hmm. Wiesz już? Odkryłaś to?

Jego cichy chichot milknie. Wiem dlaczego. Nie muszę zgadywać: jesteśmy jednym. Odgrzebał Constance i ten głupi, tępy uśmiech mamuśki.

Odrzuca mnie tak, jak odrzucił karabin – z pogardą, jak bezużyteczny, ludzki śmieć. Procesor przygotowuje moje ciało na upadek. Ma na to mnóstwo czasu, gdy szybuję w powietrzu.

Roztrzaskuję się na gnijącej balustradzie białego domu. Drewno pęka z głośnym trzaskiem, a stare deski skrzypią pod moim ciężarem. Leżę nieruchomo. Świat wiruje.

Jednak gorszy niż fizyczny ból jest huk w mojej głowie. Nie mogę myśleć. Rozdrobnione, niepowiązane ze sobą obrazy eksplodują do życia, zanikają i znów rozkwitają. Uśmiech Zombie’ego. Oczy Brzytwy. Gniewna mina Filiżanki. Następnie wyciosana z kamienia twarz Voscha, wielka jak góra, i te oczy, które przewiercają się na drugą stronę, które widzą wszystko, które mnie znają.

Przekręcam się na bok. Zalewa mnie fala mdłości. Wymiotuję na schodach werandy, całkiem opróżniając żołądek, a potem jeszcze trochę.

*Musisz wstać, Ringer. Jeśli nie wstaniesz, będzie po Zombie’em.*

Próbuję się podnieść. Upadam. Próbuję usiąść. Wywracam się. Ksiądz uciszacz ich we mnie wyczuł. Wydawało mi się, że już ich nie ma, że ich straciłam, jednak człowiek nigdy nie traci tych, których kocha, bo miłość to coś stałego. Miłość trwa.

Czyjeś ramiona dźwigają mnie do góry. Brzytwa. Czyjeś ręce mnie podtrzymują. Filiżanka. Czyjś uśmiech daje mi nadzieję. Zombie. Powinnam mu była powiedzieć, że uwielbiam jego uśmiech, kiedy miałam okazję. Wstaję.

„Wiesz, co masz robić, kiedy nie możesz się podnieść i maszerować, żołnierzu? – pyta Vosch. – Masz się czołgać”.

## Zombie

Na północ od Urbany stara autostrada przecina rolniczy krajobraz, leżące odłogiem ziemie po obu stronach srebrzystoszarej wstążki jaśniejącej w jaskrawym świetle gwiazd, wypalone skorupy zabudowań gospodarskich niczym czarne piegi na połyskującym tle. Jaskinie są oddalone o piętnaście kilometrów od miejsca, w którym stoję, licząc wzdłuż trasy, jaką pokonałaby wrona lecąca ponad polami. Ale ja nie jestem wroną. Nie zamierzam opuszczać tej autostrady i ryzykować, że się zgubię. Jeśli utrzymam tempo i nie zatrzymam się na odpoczynek, powinienem dotrzeć do celu przed świtem.

To łatwa część zadania.

Nadludzy napastnicy, którzy mogą wyglądać jak ktokolwiek, na przykład jak urocza, wyśpiewująca psalmy emerytka. Jak błakające się wśród obozowisk i kryjówek małe dzieci z bombą ukrytą w gardle. Nie można powiedzieć, by to wszystko przyjaźnie nastawiało do nieznajomych.

Mogę się nadziać na wartowników, zamaskowane bunkry, kryjówki snajperów, może na rozwścieczonego owczarka niemieckiego czy dobermana lub dwa, druty rozciągnięte nad ziemią albo bomby pułapki. Wróg rozpuścił klej, który nas ze sobą spajał, zamieniając każdą osobę z zewnątrz w nieznośnego obcego. W jakiś pokręcony sposób jest to nawet zabawne. Po inwazji obcych to my staliśmy się obcy.

A więc prawdopodobieństwo, że zastrzelą mnie na miejscu, jest dosyć duże. Obstawiam 99,9 procent.

E tam. YOLO, co nie? Żyje się tylko raz!

Tyle razy oglądałem mapkę wydrukowaną z tyłu broszurki, że wypaliła się na mojej siatkówce niczym powidok. Drogą US 68 na północ do SR 507. SR 507 na wschód do SR 245. Potem kilometr na północ i będę na miejscu. Bułka z masłem, nic prostszego. Trzy do czterech godzin szybkiego marszu o pustym żołądku, bez odpoczynku czy snu i przy zbliżającym się wschodzie słońca.

Przydałby mi się czas na rekonesans. Nie mam czasu. Przydałby mi się plan zbliżenia się do wrogiego wartownika. Nie mam planu. Przydałyby mi się odpowiednie słowa, które przekonałyby ich, że należę do tych dobrych. Nie mam słów. Mam tylko czarującą osobowość i zabójczy uśmiech.

U zbiegu dróg 507 i 245 stoi sięgający pasa znak z dużą rdzawą strzałką wskazującą na północ: „Jaskinie w Ohio”. Teren się wznosi, a szosa wygina w stronę gwiazd. Poprawiam wizjer i skanuję las po lewej stronie, szukając zielonej poświaty. Tuż przed zbozkiem wzgórza opadam na brzuch i

czołgam się aż na sam szczyt. Wyasfaltowany dojazd wiję się wśród kolejnych drzew w stronę zbiorowiska budynków, maleńkich czarnych plam na szarym tle. Pięćdziesiąt metrów dalej znajdują się dwa kamienne słupy, a na każdym z nich umieszczony jest biały znak „JO”.

Posuwam się naprzód tak, jak uczono nas w obozie, czołgając się tuż przy ziemi: twarz w błocie, jedna ręka trzyma karabin, druga wyciągnięta do przodu. W tym tempie dotrę do jaskiń dopiero po dwudziestych pierwszych urodzinach, ale wolę to, niż umrzeć przed ich nadejściem. Co kilka metrów zatrzymuję się, unoszę głowę i rozglądam się po okolicy. Drzewa. Trawa. Płatanina zerwanych linii wysokiego napięcia. Śmieci. Jedna mała tenisówka leżąca na poboczu.

Po kolejnych stu metrach – i sto lat później – moje wyciągnięte palce muskają coś metalowego. Nie podnoszę głowy. Przyciągam przedmiot do twarzy.

Krucyfiks.

Plecy mi cierpną. „Nie miałam czasu na myślenie – powiedziała mi Sullivan. – Zobaczyłam światło odbijające się od metalu. Myślałam, że to broń. Dlatego go zabiłam. Zabiłam go przez krucyfiks”.

Żałuję, że mi to opowiedziała. Gdybym był naiwniejszy, uznałbym, że znalezienie przypadkowego krucyfeksu w piachu to dobry znak. Mógłbym go nawet zatrzymać na szczęście. Tymczasem czuję się tak, jakby czarny kot przebiegł mi drogę. Zostawiam Jezusa w piachu.

Pełzną, pełzną, zatrzymuję się, rozglądam. Pełzną, pełzną, zatrzymuję się, rozglądam. Dostrzegam teraz budynki, sklepik z pamiątkami, informację turystyczną i pozostałości kamiennej studni. W ciemności za budynkami, przedzierając się pomiędzy rozcięciami w kształcie drzew, podąża w moją stronę miniaturowa, jaśniejąca na zielono plama światła.

Zamieram. Jestem na widoku. Nie mam się gdzie schować. Plama robi się coraz większa i idzie wzdłuż frontowej ściany budynku informacji turystycznej. Unoszę się na łokciach i spoglądam na niego przez lunetę mojego M16. Facet jest tak drobny, że z początku biorę go za dziecko.

Czarne spodnie, czarna koszula i koloratka, która kiedyś musiała być biała.

Chyba znalazłem właściciela krucyfeksu. Pewnie powinienem go zastrzelić, zanim mnie zauważy. *Co za głupota. Co za durny pomysł. Zastrzel go, a naskoczy na ciebie całe obozowisko. Strzelaj tylko wtedy, gdy ktoś będzie strzelał do ciebie. Jesteś tu, żeby ratować ludzi, pamiętasz?*

Mężczyzna w czerni z zieloną plamą wokół głowy znika za rogiem budynku. Odliczam sekundy. Kiedy po sto dwudziestej się nie wyłania, podczołguję się do najbliższego drzewa, gdzie zgarniam z twarzy suchą trawę i piach, po czym próbuję uporządkować oddech i myśli, w takiej właśnie kolejności. Z oddechem idzie mi lepiej.

Zaczynam rozumieć, dlaczego Vosch pominął Ringer i awansował mnie na dowódcę oddziału. Ringer zdecydowanie lepiej nadawała się do tej roli – była ode mnie mądrzejsza, lepiej strzelała i miała szybszy refleks. Ale padło na mnie, bo miałem jedną cechę, której jej brakowało: byłem ślepo

wierny celowi i miałem niezachwianą wiarę w naszego przywódcę. Dobra, dwie cechy. Nieważne. Chodzi o to, że wierność zawsze przebija inteligencję. Instynkt przebija rozum. Przynajmniej jeśli chce się stworzyć armię nierozważnych bufonów o skłonnościach samobójczych gotowych poświęcić swoje życie, żeby nie musiał go poświęcać wróg.

Nie mogę się tu ukrywać bez końca. Nie zostawiłem Dumbo, żeby umarł, podczas gdy ja będę się chował z palcem w tyłku, czekając, aż do cudownego mózgu kromaniończyka, jakim zostałem obdarzony, wpadnie nagle jakiś pomysł.

Uznaję, że potrzebny mi zakładnik.

Oczywiście ten pomysł świta mi pięć minut po zniknięciu idealnego kandydata.

Spoglądam zza drzewa na budynek informacji turystycznej. Nic. Ciągnę tyłek do najbliższego drzewa, zatrzymuję się, opadam na brzuch, wyglądam. Nic. Dwa drzewa dalej i mniej więcej pięćdziesiąt metrów bliżej wciąż go nie dostrzegam. Pewnie znalazł zaciszny zakątek, żeby się wysikać. Albo jest już w bezpiecznym, ciepłym miejscu pod ziemią i kołysząc Filizankę do snu, oznajmia właśnie Ringer, że na górze cisza.

Odkąd Ringer odeszła, nawiedzają mnie – pozbawione księdza – fantazje o jaskiniach, w których jej i Filizance jest ciepło i sucho, a zapas jedzenia starczy im do końca tej cholernej, niekończącej się zimy. Myślę o tym, co powiem, kiedy w końcu ją zobaczę. Co ona powie mnie. Jak idealnie rzucona riposta w końcu ją rozśmieszy. Część mnie jest przekonana, że ta wieczna wojna dobiegnie końca, kiedy uda mi się wywołać uśmiech na twarzy tej dziewczyny.

Dobra, chrzanić klechę. W tej informacji turystycznej siedzi pewnie pełno ludzi. Może trafi mi się pół tuzina zakładników, a nie jeden, ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Jak najszybciej muszę się dostać do jednej z tych jaskiń.

Skanuję wzrokiem teren, układam trasę i przeprowadzam w myślach próbę ataku. Został mi tylko jeden granat hukowy. To będzie mój element zaskoczenia.

Zaskoczenie jest dobre. Mam swój karabin i pistolet Dumbo. To może być za mało. Oni są pewnie lepiej uzbrojeni, co oznacza, że zginę. A to z kolei oznacza, że zginie Dumbo.

Naprzeciwko mnie znajduje się jedno okno. Roztrzaskam je kolbą karabinu, cisnę do środka granat, po czym rzucę się biegiem dookoła budynku do drzwi wejściowych. Powinno mi to zająć co najwyżej sześć sekund. Nawet się nie pokapują, co się dzieje.

A przynajmniej taką historię o tym dniu opowiem kiedyś swoim wnukom: tak bardzo skupiłem się na oknie, że zapomniałem spojrzeć pod nogi.

Żałuję, ale nie potrafię wyjaśnić, jakim cudem wpadłem do tej pieprzonej dziury, szerokiej na dwa metry i głębokiej na cztery, do dziury, której nawet w ciemności nie można przegapić, nie tylko ze względu na jej rozmiar, ale przede wszystkim na zawartość.

Ciała. Setki ciał. Duże, małe i średnie ciała. Ubrane, na wpół rozebrane, nagie. Takie, które



dopiero umarły, i takie, które nie żyły już od jakiegoś czasu. Całe ciała, części ciał i części, które kiedyś znajdowały się w środku ciał, ale znalazły się na zewnątrz.

Wpadłem po pas w lepłą, cuchnącą masę, a pod stopami nie wyczuwałem dna. Po prostu... tonąłem. Nie mogłem się chwycić niczego poza ciałami, które wraz ze mną opadały w dół. Tonąc, znalazłem się twarzą w twarz ze świeżym trupem... Naprawdę świeżym. Była to kobieta po trzydziestce. Miała czarne oczy, jej blond włosy posklejane były błotem i krwią, a policzek spuchł do rozmiaru mojej pięści. Skóra wciąż była różowa, a usta pełne. Musiała nie żyć dopiero od kilku godzin.

Obracam się. Wolę patrzeć na kilkanaście gnijących twarzy niż na tę, która wygląda na żywą.

Trupia masa sięga mi już do ramion i nie przestaje mnie wsysać. Uduszę się w ludzkim ścierwie. Utopię się w śmierci. Ta nedorzeczna metafora sprawia, że prawie wybucham śmiechem.

Nagle wokół mojej szyi zaciskają się palce.

A przy uchu czuję czyjeś zdecydowanie żywe usta:

– Nie odzywaj się, Ben. Udawaj martwego.

Ben? Próbuję odwrócić głowę. Nic z tego. Uścisk jest zbyt mocny.

– Mamy tylko jedną szansę – szepcze głos. – A więc się nie ruszaj. To wie, gdzie jesteśmy, i nadchodzi.

Nad krawędzią jaru zawisa cień, a jego sylwetka odcina się na tle blasku gwiazd. Drobną postać przekrzywia głowę i nasłuchuje. Nawet się nie zastanawiam: wstrzymuję oddech i rozluźniam ciało, obserwując mężczyznę spod przymkniętych powiek. W prawej dłoni trzyma znajomy przedmiot. Nóż bojowy KA-BAR, standardowe wyposażenie wszystkich rekrutów.

Palce kobiety puszczaają moje gardło. Jej ciało także zwiotczało. Komu ufać? Jej, jemu, żadnemu z nich?

Mija pół minuty, minuta, za chwilę dwie. Nie poruszam się. Ona się nie porusza. On się nie porusza. Nie będę w stanie dłużej wstrzymać oddechu ani odkładać decyzji. Muszę zaczerpnąć powietrza albo strzelić – w kogoś. Ale moje ramiona splątane są z ramionami trupów, a poza tym upadając, zgubiłem karabin. Nie wiem nawet, gdzie się teraz znajduje.

On jednak wie – ksiądz, który zamienił krucyfik na nóż.

– Widzę twój karabin, synu – mówi. – Wyjdź na brzeg. Nie ma się czego bać. Oni wszyscy nie żyją, a ja jestem niegroźny. – Klęka nad mogiłą i wyciąga dłoń. – Nie martw się, dostaniesz swój karabin. Nie lubię broni. Nigdy jej nie lubiłem.

Uśmiecha się. Po chwili nieumarła kobieta chwyta go za nadgarstek. Kiedy ksiądz ląduje w jarze obok nas, kobieta przystawia mu do skroni pistolet Dumbo i mówi:

– W takim razie to ci się nie spodoba. – I głowa mężczyzny eksploduje.

Nie jestem tego pewien na sto procent, ale to chyba sygnał, że mogę już wyleźć z tego dołu.

Straciłem karabin. A nieumarła kobieta jakimś cudem dostała w swoje ręce pistolet. Nie mam pojęcia, czy ocaliła mi życie, czy zaczęła od księdza, a teraz załatwi mnie.

W obozie nie szkolili nas, jak wydostać się z masowej mogiły. W normalnych okolicznościach człowiek zanurzony po szyję w zwłokach prawdopodobnie też nie żyje.

– Nie zrobię ci krzywdy – mówi. Uśmiecha się szeroko, co przy pękniętej kości policzka musi ją boleć.

– W takim razie rzuć broń. – Natychmiast to robi. Pokazuje puste dłonie.

– Skąd wiesz, jak mam na imię? – pytam, a raczej krzyczę.

– Marika mi powiedziała.

– Kim, do diabła, jest Marika? – Podnoszę pistolet. Kobieta nie próbuje mnie powstrzymać.

– Dziewczyna, która stoi za tobą.

Błyskawicznie odwracam się w lewo, kątem oka wciąż obserwując kobietę. Nikogo tam nie ma.

– Słuchaj, mam naprawdę kiepski dzień. Kim jesteś i kim był ten facecik, którego właśnie zabiłaś?

Gdzie jest Filiżanka? Gdzie jest Ringer?

– Już ci powiedziałam, Zombie – odpowiada, śmiejąc się dźwięcznie. – Stoi za tobą.

Unoszę pistolet na wysokość jej oczu. Nie czuję już lęku ani dezorientacji. Jestem zwyczajnie wkurzony. Nie wiem, czy jest uciszaczem z jaskiń, i naprawdę mało mnie to obchodzi. Zabiję każdą obcą osobę, która stanie mi na drodze, dopóki nie natrafię na kogoś, kto nie jest mi obcy.

Już wszystko rozumiem. Jezu Chryste, oczywiście, że rozumiem. Rozumiałem to, jeszcze zanim opuściłem kryjówkę. To wszystko na nic, na ni c. Dumbo umrze na nic, bo Ringer jest niczym. Leży w tej masie ciał – czarnowłose, pozbawione uśmiechu nic, wraz z Filiżanką, obie stanowią wielkie nic, podobnie jak siedem miliardów innych nicości zajętych rozpadaniem się na przypadkowe molekuly nicości. A ja im pomogę. Zrobię to, co do mnie należy. Zamorduję każdego jełopa, który będzie miał pecha stanąć mi na drodze.

Zależało im na stworzeniu bezmózgiego, pozbawionego emocji zabójcy, który wyładowałby się na świecie. Zależało im na stworzeniu zombie. Odnieśli sukces.

Celuję w tę głupią, uśmiechniętą, poharataną twarz i pociągam za spust.

## Ringer

Pewnie jeszcze tego pożałuję. Trzymanie przy sobie Constance jest jak znalezienie żmii w łóżku swoich dzieci. Zaatakowanie jej jest bardziej niebezpieczne dla dzieci niż dla samego gada.

Prawie pozwalam Zombie'emu to zrobić. To było kuszące. Ale na milisekundę przed wystrzałem uderzam go otwartą dłonią w łokieć, zmieniając tor pocisku. Kiedy rozlega się huk, jego broń znajduje się już w moich rękach.

Odwraca się gwałtownie z wycelowaną w moją głowę pięścią. Przytrzymuję ją.

Bark Zombie'ego podskakuje przy uderzeniu – jak gdyby walnął w ceglana ścianę – jego usta rozchylają się, oczy rozszerzają ze zdziwienia i niedowierzania, a jego reakcja jest tak oczywista i przewidywalna, że niemal mu się udaje – prawie się uśmiecham.

Prawie.

– Ringer? – mówi, a ja kiwam głową.

– Sierzancie.

Kolana się pod nim uginają. Rzuca się na mnie i wtula twarz w moją szyję, a ponad jego ramieniem dostrzegam uśmiechającą się Constance. Już sama nie wiem, kto kogo przytula.

Za pomocą dwunastego układu przelewam siebie w niego. Miejsce bólu wypełniam pocieszeniem. Strach zastępuję nadzieją. Gniew spokojem.

– Już dobrze – mówię mu, patrząc na Constance. – Ona jest ze mną. Jesteś już bezpieczny, Zombie. Wszyscy jesteśmy całkowicie bezpieczni.

Okłamuję go po raz pierwszy. I nie ostatni.

Odrywa się ode mnie. Jego oczy wędrują ku polom skąpanym w świetle gwiazd, ku wijącej się za nimi drodze, ku nagim, wzniesionym ramionom drzew. Chce, a jednocześnie nie chce zadać tego pytania. Sztywnieję, czekając, aż to zrobi. Czy każąc mu wypowiedzieć je na głos, jestem okrutna?

– Filiżanka?

Potrząsam głową.

Zombie kiwa swoją. Wypuszcza wstrzymywane dotąd powietrze. To, że mnie odnalazł, można nazwać cudem, a kiedy dzieje się jeden cud, człowiek spodziewa się kolejnego.

– Mała główniara – mamrocze. Odwraca wzrok. Pola, droga, drzewa. – Wymknęła mi się, Ringer. – Spogląda na mnie hardo. – Kto to?

– Jeden z nich. – To pierwsza rzecz, jaka przychodzi mi na myśl. Wskazuję głową jar. Drugie kłamstwo. – Unikaliśmy ich całą zimę. – Trzecie. Czuję się tak, jakbym zeskoczyła z klifu albo zepchnęła z niego Zombie’ego. Spadamy, a z każdym kolejnym kłamstwem on oddala się ode mnie i nabiera prędkości.

– Ale nie Filiżanka. – Podchodzi do jaru i wpatruje się w masę rozkładających się szczątków. – Czy ona tu jest?

Constance zabiera głos. Nie wiem, dlaczego.

– Nie, Ben. Godnie ją pochowałyśmy.

Zombie spogląda na nią złowrogo.

– Kim ty, kurwa, jesteś?

Kobieta uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Mam na imię Constance. Constance Pierce. Przepraszam. Wiem, że nigdy się nie spotkaliśmy, ale mam wrażenie, jakbym cię znała. Marika o nikim innym nie mówi.

Zombie przez chwilę się w nią wpatruje.

– Marika – powtarza.

– Czyli ja – potwierdzam.

Teraz przenosi wzrok na mnie.

– Nie mówiłaś, że masz na imię Marika.

– Nie pytałeś.

– Nie...? – Wybucha pozbawionym wesołości śmiechem i kręci głową. Następnie bez słowa skacze

do jaru. Rzucam się na brzeg dołu, przekonana, że zwariował, że odwalił dorotkę, że śmierć Filizanki przelała czarę goryczy. Po co miałby tam wskakiwać? Widzę jednak, że chwyta swój karabin, przewiesza go przez ramię i próbuje wyczołgać się na powierzchnię. Wraz z Constance łapiemy go za nadgarstki i wyciągamy.

– Gdzie są pozostali? – chce wiedzieć.

– Pozostali? – Podchwytliwe słowo.

– Ocalali. Są w jaskiniach?

Potrząsam głową.

– Nikt inny nie ocalał, Zombie.

– Tylko Marika i ja – ćwierka Constance. Dlaczego musi być tak cholernie radosna? Zombie ją ignoruje.

– Dumbo został postrzelony – informuje mnie. – Zostawiłem go w Urbanie. Chodźmy.

Mija mnie i nie odwracając się, rusza w stronę drogi. Constance mierzy mnie wzrokiem.

– Niezłe ciacho.

Każę jej spierdalać.

Zrównuję się z nim. Constance trzyma się kilka metrów z tyłu – poza zasięgiem słuchu normalnego człowieka, z tym że Constance nie jest normalnym człowiekiem. Zombie maszeruje zgarbiony, z wysuniętą głową, rozglądając się na wszystkie strony. Przed nami rozciąga się droga przecinająca pola uprawne, które już nigdy nie będą uprawiane.

– Filiżanka dokonała wyboru – mówię. – To nie twoja wina, Zombie.

Gwałtownie kręci głową.

– Dlaczego nie wróciłaś? – pyta.

Nabieram powietrza. Czas na kolejne kłamstwo.

– To było zbyt ryzykowne.

– Dobra, ale w tym wszystkim chodzi właśnie o ryzyko, nie? Pączek nie żyje.

– To niemożliwe. – Widziałam transmisję z monitoringu. Policzyłam ludzi w kryjówce. Jeśli Pączek nie żyje, kim jest ta dodatkowa osoba?

– Niemożliwe? Czyżby? – mówi. – Jak do tego doszłaś?

– Co się stało?

Macha na mnie ręką, jak gdyby opędzał się od komara.

– Po twoim odejściu mieliśmy trochę kłopotów. To długa historia. Krótko mówiąc, Walker nas znalazł. Vosch nas znalazł. Uciszacznę nas znalazł. Potem Pączek wysadził się w powietrze. – Na chwilę przymyka powieki, po czym gwałtownie je otwiera. – Przez resztę zimy bunkrowaliśmy się w kryjówce martwego uciszacza. Zostały nam cztery dni, dlatego Bo i ja postanowiliśmy cię odszukać. – Przełyka ślinę. – Ja postanowiłem.

– Cztery dni do czego?

Spogląda na mnie, a na jego twarzy rozkwita przerażający uśmiech.

– Do końca świata.

Opowiada mi o tym, co zdarzyło się w Urbanie.

– Nieźle, co? – rzuca. – To moja pierwsza ofiara w czasie tej wojny i padło akurat na przypadkową starą kociarę.

– Tylko że nie była przypadkowa i nie była kociarą.

– Nigdy nie widziałem tylu kotów.

– Kociary nie zjadają swoich pupilów.

– Ale to wygodny zapas jedzenia. Pomyślałby kto, że po jakimś czasie koty się połapią. – Brzmi jak dawny Zombie, ten, którego zostawiłam w zaszczurzonym hotelu, ubranego w tę idiotyczną żółtą bluzę, kiedy ze mną flirtował. Jego głos brzmi tak samo, ale wygląd się nie zgadza: niespokojne, niewyspane oczy, wygięte w podkówkę zszarzałe usta, policzki umazane zaschniętą krwią. Zerka do tyłu na Constance, po czym schyla głowę i ścisza głos. – Co możesz mi o niej powiedzieć?

– Nic oryginalnego – zaczynam. Nadciąga kłamstwo numer pięć. – Przetrwiała zarazę w Urbanie, a kiedy nie został jej już nikt z rodziny, wyruszyła na północ do jaskiń. Domyślała się, że przed pierwszymi opadami śniegu w tym sezonie ukryje się tam około dwustu osób. Potem zjawił się ksiądz. W okolicach Bożego Narodzenia – dorzucam ten zgrabny, ironiczny szczegół. Nie można opowiedzieć dobrej historii bez jednego lub dwóch podobnych akcentów. – Z początku nikt się niczego nie domyślał. Kiedy ktoś znikał w nocy, uznawali, że spanikował i ruszył w drogę. Któregoś dnia zdali sobie sprawę, że połowa ocalałych przepadła. Domyślasz się, co było potem, Zombie. Paranoja. Ludzie zaczęli się jednoczyć, tworzyć sojusze. Klasyczne zachowanie plemienne. Oskarżają tego. Tamtego. Wyciągają oskarżycielskie palce, a pośród tego chaosu ksiądz próbuje zaprowadzić pokój.

Paplam dalej. Dorzucam szczegóły, wprowadzam niuanse, tu i tam wymyślam strzępki dialogów. Sama jestem zaskoczona tym, jak swobodnie wyrzucam z siebie te bzdury. Kłamstwo przypomina morderstwo: po pierwszym każde kolejne przychodzi łatwiej.

W końcu następuje to, co nieuniknione, i społeczność ocalałych odkrywa, że to ksiądz jest uciszaczem. Nastaje chaos. Kiedy uciekinierzy zdają sobie sprawę, że nie mają z nim szans, jest już za późno. Constance ledwo udaje się uciec i wrócić do Urbany, gdzie ukrywa się w kolejnych opuszczonych domach, szczęśliwym trafem unikając terytoriów kociary i księdza – chowa się w miejscu, które rzadko patrolują.

– Tam właśnie się znalazłyśmy – mówię mu. – Ostrzegła mnie, żebym nie zapuszczała się do



jaskiń i odtąd obie...

– Filizanka – przerywa mi. W dupie ma „Przygody Constance i Ringer”. – Opowiedz mi o Filizance.

– Znalazła mnie – odpowiadam bez namysłu. To prawda. A teraz kolejne kłamstwo. Szóste? Siódme? Straciłam rachubę. To kłamstwo zdejmie ciężar z jego przygarbionych pleców i przeniesie go na właściwe barki. – Na południe od Urbany. Nie wiedziałam, co robić. Nie chciałam ryzykować i zabierać jej z powrotem ani ciągnąć jej ze sobą. Potem możliwość decydowania została mi odebrana.

– Kociara – westchnął.

Z ulgą kiwam głową.

– Tak jak Dumbo, tylko że Filizanka nie miała tyle szczęścia.

*Widzisz, Zombie, to ja ją straciłam, a ty pomściłeś.* Może to nie rozgrzeszenie, ale tylko tyle mogę mu ofiarować.

– Powiedz, że wszystko odbyło się szybko.

– Wszystko odbyło się szybko.

– Powiedz, że nie cierpiała.

– Nie cierpiała.

Odwraca głowę i spluwa na skraj drogi. Pozbywa się niesmaku z ust.

– Kilka dni. Powiedziałaś, że to sprawdzisz, i wrócisz za parę dni.

– To nie ja układałam zasady, Zombie. Prawdopodobieństwo...

– Wsadź sobie w dupę prawdopodobieństwo. Powinnaś była wrócić. Twoje miejsce jest przy nas, Ringer. Jesteśmy wszystkim, co ci pozostało, a ty nas porzuciłaś.

– To nie tak i dobrze o tym wiesz.

Zombie gwałtownie się zatrzymuje. Pod rdzawą maską jego twarz ma odcień jeszcze głębszej czerwieni.

– Nie ucieka się od ludzi, którzy cię potrzebują. Walczy się o nich. Walczy się obok nich. Bez względu na koszty. Bez względu na ryzyko – to ostatnie słowo niemal wypluwa. – Myślałem, że to dla ciebie jasne. Tak twierdziłaś w Dayton. Mówiłaś, że jesteś specjalistką od tego, co ma znaczenie, i chyba rzeczywiście tak jest, o ile znaczenie ma to, by ocalić siebie i pozwolić, by reszta świata spłonęła.

Nie odpowiadam, bo wiem, że nie mówi do mnie. Jestem dla niego tylko lustrem.

– Nie powinnaś była odchodzić – ciągnie. – Potrzebowaliśmy cię. Gdybyś nie odeszła, Filizanka wciąż by żyła. A gdybyś wróciła, może żyłby także Pączek. Ale ty postanowiłaś zakumplować się z jakąś obcą babą i nas olać. A teraz ty także masz na rękach krew Dumbo. – Dźga palcem powietrze przy mojej twarzy. – Jeśli umrze, to będzie twoja wina. Dumbo wyruszył szukać ciebie.

– Wszystko w porządku, dzieciaki? – pyta Constance. Jej uśmiech przesycony jest troską.

– Jasne – rzuca Zombie. – Zastanawiamy się, dokąd iść na kolację. Lubisz chińszczyznę?

– Cóż, właściwie to pora raczej na śniadanie – odpowiada Constance pogodnie. – Nie pogardziłabym naleśnikami.

Zombie patrzy na mnie.

– Dowcipna jest. Tej zimy musiałaś zrywać boki.

Zatroskany uśmiech Constance znika, a jej dolna warga zaczyna drżeć. Wybucho płaczem i upada na asfalt, opierając łokcie na kolanach i chowając pokiereszowaną twarz w dłoniach. Zombie przez dłuższą chwilę przygląda się temu przedstawieniu. Sytuacja zaczyna się robić niezręczna.

Wiem, co wyprawia Constance. Młotem, który najlepiej rozbija okowy nieufności, jest naturalne, ludzkie współczucie. Litość zabiła więcej ludzi niż nienawiść.

Kiedy przyjdzie czas na Zombie'ego, nie zdradzi go drugi człowiek. Zrobi to jego własne serce.

Chłopak spogląda na mnie. *Co jest nie tak z tą kobietą?*

Wzruszam ramionami. Kto wie?

Stoję beczynnym, co tylko podsycza jego litość. Chłopak poddaje się i kuca przy Constance.

– Hej, posłuchaj. Zachowałem się jak dupek. Przepraszam.

Constance mamrocze coś, co brzmi jak „naleśniki”. Zombie delikatnie dotyka jej ramienia.

– Hej, Connie... Masz na imię Connie, prawda?

– Con-*stan*-*stan*...

– Właśnie. Constance. Mam przyjaciela, Constance. Jest ciężko ranny i muszę do niego wrócić jak najszybciej. Natychmiast. – Gładzi ją po ramieniu. – W tej chwili.

Od tego wszystkiego robi mi się niedobrze. Odwracam się. Na wschodzie horyzont skąpany jest w jaskraworóżowej poświacie. O kolejny dzień bliżej do końca świata.

– Ja... Po prostu nie wiem... Ile jeszcze... zniosę... – jęczy Constance, która zdążyła się już podnieść i opiera się teraz całym ciężarem o Zombie'ego, kładąc mu rękę na ramieniu. Podstarzała i niezbyt urodziwa dama w opałach. Gdybym miała nadać Constance pseudonim wojenny, nazwałabym ją Pumą.

Zombie posyła mi znaczące spojrzenie. *Pomożesz?*

– Oczywiście, że zniesiesz jeszcze trochę – mówię ze ściśniętym żołądkiem. Żałuję, że procesor nie uspokoi moich trzewi. – A potem jeszcze trochę, i jeszcze, i jeszcze. – Odrywam ją od Zombie'ego, nie próbując być delikatna. Głośno pociąga nosem, nie przerywając przedstawienia.

– Proszę, nie bądź dla mnie złośliwa, Mariko – szłocha. – Zawsze mi tak strasznie dokuczasz.

Litości.

– Chodź – mówi Zombie, biorąc ją pod ramię. – Może iść ze mną. Ringer, ty i tak powinnaś

zabezpieczać tyły.

– O tak – mruczy Constance. – Zabezpieczaj tyły, Mariko!

Świat zaczyna wirować. Ziemia faluje. Potykając się, schodzę z drogi i pochylam się, a cała zawartość mojego żołądka wytryskuje ze mnie w ostrym ataku torsji.

Ręka na moich plecach. Zombie.

– Co się dzieje, Ringer?

– Wszystko okej – sapię, strącając jego dłoń. – To pewnie ten niedogotowany królik. – Kolejne kłamstwo, które nie było nawet konieczne.

Przedpołudnie w centrum Urbany. Bezchmurne niebo, temperatura około pięciu stopni Celsjusza. Czuć, że się zbliża. Wiosna. Zombie i Constance biegną do kawiarni, podczas gdy ja osłaniam ich od ulicy. Przez drzwi dobiega mnie przerażony krzyk Zombie’ego, po czym chłopak wylatuje do mnie po śliskiej, pokrytej ziarnami kawy podłodze.

– Co?

Przepycha się obok mnie i wypada na ulicę. Miota się to na prawo, to na lewo i z powrotem. Podchodzi do mnie Constance.

– Najwyraźniej dzieciak zniknął.

Na środku Main Street Zombie odrzuca głowę do tyłu i skomląc, wykrzykuje imię Dumbo. Jego głos odbija się kpiącym echem i trafia w niego rykoszetem.

Podbiegam do niego.

– Chyba nie powinieneś krzyczeć, Zombie.

W odpowiedzi spogląda na mnie szeroko otwartymi, nierozumiejącymi oczami. Po chwili odwraca się i rusza w głąb ulicy, raz po raz wykrzykując: „Dumbo! Dumbo!”, na zmianę z: „Dumbo, ty kretynie, gdzie jesteś?”. Po przebiegnięciu kilku przecznic wraca do nas, zdyszany i roztrzęsiony. Panikuje.

– Ktoś go zabrał.

– Skąd wiesz? – pytam.

– Masz rację, nie wiem. Dzięki za sprowadzenie mnie na ziemię, Ringer. Pewnie wstał i pobiegł do kryjówki. Na niekorzyść tej teorii przemawia tylko niewygodny fakt, że dostał kulkę w plecy.

Ignoruję jego sarkastyczny ton.

– Nie sądzę, by ktokolwiek go zabrał, Zombie.

Śmieje się.

– Racja, zapomniałem. Przecież to ty znasz wszystkie odpowiedzi. Błagam... Nie mogę dłużej żyć w niepewności. Co się stało z Dumbo, Ringer?

– Nie wiem – odpowiadam. – Ale nie sądzę, by ktokolwiek go zabrał, bo nikogo tu już nie ma. Kociara z pewnością o to zadbała.

Ruszam ulicą. Zombie przez kilka sekund mnie obserwuje.

– Dokąd ty, u diabła, idziesz!?! – wydziera się.

– Do kryjówki, Zombie. Mówiłeś, że znajduje się na południe przy autostradzie numer 68.

– Nie do wiary! – Puszczą wiązaną przekleństw. Idę dalej. Po chwili krzyczy: – Co się z tobą stało? Gdzie jest Ringer, która mówiła, że wszyscy są ważni?

– Jest złośliwa – szepcze do niego Constance. Słyszę każde słowo. – Mówiłam ci.

Nie zatrzymuję się.

Pięć minut później znajduję Dumbo skulonego u podnóża barykady, która rozciąga się od krawężnika do krawężnika w poprzek Main Street. To, że zaszedł tak daleko – niemal dziesięć przecznic od miejsca, gdzie go postrzelono – jest zdumiewające. Klękam obok niego i przyciskam palce do jego szyi. Głośno gwizdzę. Kiedy nadbiega Zombie, jest zdyszany i wygląda, jakby miał się przewrócić. Constance sprawia takie samo wrażenie z tą różnicą, że ona udaje.

– Jakim cudem się tu dostał? – zastanawia się na głos Zombie. Rozgląda się niespokojnie.

– W jedyny możliwy sposób – odpowiadam. – Doczołgał się.

Zombie nie pyta, dlaczego Dumbo pokonał dziesięć przecznic w strasznym bólu z kulą w plecach. Nie pyta, bo zna odpowiedź. Dumbo nie uciekał przed niebezpieczeństwem ani nie szukał pomocy. Szukał swojego sierżanta.

Zombie nie może sobie z tym poradzić. Opiera się o barykadę, łapiąc gwałtownie hausty powietrza i unosząc twarz ku niebu. Utracony, odnaleziony, martwy, żywy, ten cykl się powtarza. Nie ma od niego ucieczki ani wybawienia. Zombie zamyka oczy i czeka, aż jego oddech się uspokoi, a tętno wyrówna. Krótka przerwa, zanim wszystko zacznie się od nowa: kolejna strata, kolejna śmierć.

Chcę mu powiedzieć, że zawsze tak było. Znosimy to, co nieznośne. Wytrzymujemy to, co niemożliwe do wytrzymania. Robimy to, co trzeba, aż sami zostajemy unicestwieni.

Przyklękam przy Dumbo i unoszę jego koszulę. Bandaż jest mokry, a gaza pod nim przesiąknięta. Jeśli wcześniej nie krwawił, to teraz jest inaczej. Przyciskam dłoń do jego poszarzałego policzka. Jego skóra jest chłodna, ale wnikam pod nią. Wnikam w niego. Czuję na sobie wzrok Constance. Wie, co robię.

– Za późno? – szepcze.

Dumbo czuje mnie w swoim wnętrzu. Jego powieki trzepoczą, wargi się rozwierają, a z rozchylnych ust wydostaje się nierówny oddech. W słabnącym zmierzchu jego świadomości wyczuwam pytanie, bolesną potrzebę. *Idę tam, gdzie ty.*

– Zombie – szepczę. – Powiedz coś do niego.

Aby przeżyć, Dumbo potrzebowałby poważnej transfuzji krwi. Nie ma na nią szans.

Ale nie dlatego przeczołgał się dziesięć przecznic w potwornej agonii. Nie dlatego się nie poddał.

– Powiedz, że mu się udało, Zombie. Powiedz, że cię znalazł.

Jest światło, które jaśnieje wzdłuż ciemniejącego brzegu ciągnącego się bez końca horyzontu. W tym świetle serce odnajduje to, czego szukało. W tym świetle Dumbo idzie tam, dokąd poszedł jego ukochany Zombie. W tym świetle Ben Parish odszukuje swoją siostrzyczkę. W tym świetle Marika ocala życie dziewczynki zwanej Filiżanką. W tym świetle obietnice są dotrzymywane, marzenia się spełniają, a czas zostaje odkupiony.

Głos Zombie ponagla Dumbo w stronę tego światła: – Udało się wam, szeregowy. Znaleźliście mnie.

Nie zapadła ciemność. Nie było niekończącego się upadku w pozbawioną światła pustkę. Kiedy

poczułam, że dusza Dumbo przedziera się za horyzont, wszystko było skąpane w świetle.

Zagubiony, odnaleziony, a nad tym wszystkim światło.

# III

## DZIEŃ TRZECI



## Zombie

Nie pozwolę, by ciało Dumbo zgniło w tym miejscu. Nie pozostawię go na żer szczurom, wronom i muchom. Nie zamierzam go też spalić. Nie porzucę tu jego kości na pastwę sępów i robactwa.

Wykopię mu grób w tej zimnej, nieprzejednanej ziemi. Pochowam z nim jego apteczkę, ale nie karabin. Dumbo nie był zabójcą, tylko uzdrowicielem. Dwukrotnie ocalił mi życie. Nie. Trzykrotnie. Muszę uwzględnić tę noc w Dayton, kiedy powiedział Ringer, gdzie ma mnie postrzelić.

W barykadę wetknięto kilkadziesiąt wyblakłych flag. Jedną z nich oznaczę jego grób. Tkanina zupełnie wyblaknie. Drewniane kołki rozpadną się i zgniją. A jeśli Walkerowi nie uda się wysadzić statku matki, bomby rozniosą wszystko w pył – i flagę, i grób, i Dumbo.

Wtedy ziemia się uspokoi, a na moim przyjacielu wyrośnie trawa, przykrywając go kobiercem soczystej zieleni.

– Zombie, nie mamy czasu – oznajmia Ringer.

– Na to się znajdzie.

Nie kłóci się ze mną. Pewnie ma w zanadrzu z dwanaście argumentów przeciw, ale gryzie się w język.

Kiedy kończę, jest już po dwunastej. Chryste, naprawdę zrobił się cholernie piękny dzień. Siedzimy przy kopczyku świeżej ziemi, a ja rozdzielam pomiędzy nas ostatnie batoniki energetyczne. Ringer odgryza kilka małych kęsów, a resztę wsuwa do kieszeni kurtki.

– Królik? – pytam.

W odpowiedzi mruczy coś niezrozumiałego. Kobieta o imieniu Constance pochłania cały batonik. A skoro mowa o królikach: jej oczy rzucają spojrzenia na wszystkie strony jak oczy tego gryzonia, a nos drga, jak gdyby węszyła w powietrzu w poszukiwaniu zagrożenia. Karabin Dumbo leży na ziemi tuż obok niej. Z początku nie chciała go wziąć. Mówiła, że ma jakiś problem z bronią. Serio? Jakim cudem udało jej się tak długo przetrwać?

Kolejna dziwna rzecz: ksiądz uciszacz powiedział o broni coś bardzo podobnego – na chwilę przed tym, jak Constance odstrzeliła mu głowę moim pistoletem.

– Czy ktoś chce coś powiedzieć? – pytam.

– Ledwo go znałam – odpowiada Ringer.

– Ja nie znałam go w ogóle – dodaje Constance i najwyraźniej stwierdza, że zabrzmiało to

brutalnie, bo dodaje: – Biedaczek.

– Pochodził z Pittsburgha. Uwielbiał Packersów. Gry wideo. Był graczem. – Wciągam haust powietrza. Cholera. Mało tego. Prawie nic. – Grał w Call of Duty. Należał już prawie do MLG.

– Co za ironia – rzuca Ringer.

– Z pewnością był uroczym chłopakiem – wtrąca Constance.

Kręcę głową.

– Nie znałem nawet jego prawdziwego imienia – mówię, po czym zwracam się do Ringer: – Zostaliśmy tylko my dwoje.

– Jak to?

– Z oddziału pięćdziesiątego trzeciego. Jesteśmy ostatni. – Pstrykam palcami. – Chryste, zapomniałem o Nuggecie. Czyli jest nas troje. Kto by to przewidział, nie? Że zostaniemy tylko my. Cóż, na ciebie postawiłbym pieniądze. Nie, żeby pieniądze miały jakiegokolwiek znaczenie. Ani mój osąd. Nugget... Jezu, ten dzieciak jest niezniszczalny. Ale ja? Nigdy. Nigdy w życiu. Powinienem być umrzeć już tyle razy, że straciłem rachubę.

– Z jakiegoś powodu tu jesteś. – Constance nachyla się do mnie i wskazuje na moją pierś. – Zostawił dla ciebie specjalne miejsce w swoim planie.

– Kto? Vosch?

– Bóg! – Spogląda na Ringer, po czym znów patrzy na mnie. – Zostawił miejsce dla nas wszystkich.

Spoglądam na kopiec ziemi u swoich stóp.

– W takim razie jakie było jego miejsce? Jakie były Boże plany wobec Dumbo? Oberwać za mnie kulkę, żebym mógł wypełnić swój cel, czymkolwiek by on był?

– Myślę, że masz rację, Zombie – rzuca Ringer. – W tym nie ma żadnego sensu. To tylko szczęście.

– Właśnie. Szczęście. Pech dla niego, szczęście dla mnie. Jak to, że w tamtym dole natknąłem się na Constance, a potem ty natknęłaś się na nas oboje.

– Właśnie tak. – Jej twarz pozbawiona jest wyrazu.

– To się nazywa „pokonać przeciwności”. Wiesz, jak to jest, Ringer?

– O czym ty mówisz, Zombie? – Jej głos także pozbawiony jest wyrazu, intonacji, emocji.

– O tych scenach w filmach, kiedy widz ma ochotę krzyknąć: „No nie!”. Wiesz, co mam na myśli. O chwilach, kiedy kręcisz głową i mówisz: „Nie ma mowy”. Jak wtedy, gdy w ostatnim momencie zjawiają się dobrzy bohaterowie. I jak wtedy, gdy źli nagle dostają małego rozumu. To wszystko psuje. Cały film można o kant dupy rozbić. Prawdziwy świat tak nie działa.

– To tylko filmy, Zombie – mówi Ringer. Prawie się nie rusza. Wie, dokąd to zmierza. Ona wie. To najbystrzejsza osoba, jaką znam. I najbardziej przerażająca. Jest w tej dziewczynie coś, co sprawia,

że oblatuje mnie strach. Było tak od pierwszego dnia w obozie, kiedy przyglądała się, jak w czasie apelu robię pompki na kostkach, a pod moimi dłońmi tworzą się plamy krwi. Spojrzenie Ringer potrafi rozplatać człowieka jak rybę. Jest zimne. Nie tak zimne jak chłódnia, ale jak ta pieprzona, niekończąca się zima. Zimne jak suchy lód. Tak zimne, że aż parzy.

– Ach, filmy! – woła miękko Constance. – Ależ mi ich brakuje!

Mam dość. To koniec. Unoszę pistolet na wysokość głowy Constance.

– Dotknij tego karabinu, a cię zabiję. Porusz się choćby o milimetr, a zginiesz.

Usta kobiety się rozchylają. Unosi ręce do piersi. Zaczyna coś mówić, ale podnoszę wolną dłoń.

– I przestań gadać. Bo pożegnasz się z życiem. – Nie spuszczając oczu z Constance, zwracam się

do Ringer: – Teraz możesz się przyznać. Kim ona jest?

– Przecież już ci mówiłam, Zombie...

– Jesteś dobra w wielu rzeczach, Ringer, ale ściemnianie ci nie wychodzi. Ta cała sytuacja jest jakaś powalona. Powiedz, o co chodzi, a ją oszczędzę.

– Jestem szczerą. Możesz jej ufać.

– Ostatnia osoba, jakiej zaufałem, chlusnęła mi w twarz potrawką z kota.

– To jej nie ufaj. Zaufaj mnie.

Spoglądam na nią. Twarz bez wyrazu, martwe oczy i palący chłód.

– Zombie, nigdy bym cię nie okłamała – mówi. – Bez Constance nie przetrwałabym tej zimy.

– No właśnie. Opowiedz mi, jak przetrwałaś całą zimę w najbardziej oczywistej kryjówce na terytorium uciszaczy i jak udało ci się nie umrzeć od mrozu, z głodu lub od ciosu nożem. Opowiedz.

– Bo wiem, co trzeba zrobić.

– Że co? O czym ty w ogóle gadasz?

– Przysięgam, Zombie. Ona jest w porządku. Jest jedną z nas.

Pistolet drży. A to dlatego, że drży mi ręka. Podnoszę drugą, żeby podtrzymać swój nadgarstek. Constance patrzy na Ringer znacząco.

– Mariko...

– Właśnie, jeszcze to! – krzyczę. – Nigdy w życiu nie podałaś jej swojego imienia. Cholera, nawet mnie nie chciałaś go wyjawiać.

Ringer wślizguje się pomiędzy mnie i Constance. Jej oczy nie są już martwe, a twarz nie przypomina maski. Już kiedyś widziałem ją taką, w Dayton, kiedy wyszeptała: „To my jesteśmy piątą falą, Ben”. Tak bardzo pragnęła mnie przekonać, desperacko chciała, żebym jej uwierzył.

– Skąd wiesz, że jest jedną z nas, Ringer? – pytam. A właściwie błagam o odpowiedź. – Skąd możesz wiedzieć?

– Bo wciąż żyję – odpowiada i wyciąga rękę.

Najbezpieczniej – dla mnie, dla niej i dla ludzi, których zostawiłem w kryjówce – byłoby zignorować Ringer i zabić nieznajomą. Nie mam wyboru. A to oznacza, że nie ciąży na mnie

odpowiedzialność. Nie można mnie winić za to, że przestrzegam zasad ułożonych przez wroga.

– Odsuń się, Ringer.

Kręci głową, potrząsając ciemną grzywką.

– Nie ma mowy, sierżancie.

Jej ciemne oczy nie mrugają, usta są nieruchome, całe ciało nachyla się ku mnie, a jej wyciągnięta dłoń czeka na pistolet, który wciąż drży w moim ręku. Zaryzykowałem wszystko, żeby ją ocalić, i, do cholery, wygląda na to, że ona robi to samo, by ocalić mnie.

Przybyszom udało się wypuścić na świat więcej niż jeden rodzaj uciszaczy, więcej niż jeden rodzaj zarażonych. Czuję go w sobie – tego, kto rozerwałby moją duszę na pół. Nie musieli przemierzać setek lat świetlnych, żeby go tu sprowadzić. Zawsze był tu, w środku – wewnętrzny uciszacz.

– Co się z nami dzieje, Ringer?

Kiwa głową. Wie, o co mi chodzi. Zawsze wiedziała.

– Wciąż mamy wybór – odpowiada. – Chcą, byśmy uwierzyli, że go nie mamy, ale to kłamstwo, Zombie. Największe spośród kłamstw.

Zza jej pleców Constance szlocha:

– Jestem człowiekiem.

Tak to się skończy. Tak brzmieć będą ostatnie słowa ostatniego ocalałego. „Jestem człowiekiem”.

– Nie wiem już, co to oznacza – mówię do Ringer, do siebie, do nikogo.

Ale upuszczam pistolet na jej otwartą dłoń.

## Sam

Drzwi frontowe otworzyły się gwałtownie i z werandy wpadła do środka Cassie, ściskając w dłoni karabin.

– Sam! Szybko, obudź Evana. Ktoś tu...

Nie czekał, aż dokończy. Popędził korytarzem do pokoju Evana. Zombie powrócił. Sam nie miał co do tego wątpliwości.

Evan nie spał. Siedział na łóżku i wpatrywał się w sufit.

– O co chodzi, Sam?

– Zombie wrócił.

Evan pokręcił głową. *Jak to możliwe?* Następnie wyslizgnął się z łóżka, chwycił karabin i ruszył za Samem do salonu.

– Dlaczego nie ma z wami Dumbo? – pytała właśnie Cassie.

W pokoju stali jeszcze Zombie, Ringer i jakaś obca kobieta. Dumbo z nimi nie było. Nie było też Filizanki.

– Nie żyje – odpowiedziała Ringer.

– Filizanka też? – zapytał Sam.

Ringer pokiwała głową. *Filizanka też.*

Stojący za nim Evan Walker zapytał:

– A to kto?

Miał na myśli obcą kobietę, starszą blondynkę o ładnej twarzy, która miała mniej więcej tyle lat co mama Sama, kiedy umarła.

– Przyszła ze mną – powiedziała Ringer. – Jest w porządku.

Kobieta spoglądała na Sama z uśmiechem.

– Mam na imię Constance. A ty pewnie jesteś Sam. Szeregowy Nugget. Miło mi cię poznać.

Wyciągnęła rękę. Tata nauczył go, żeby witając się z kimś, zawsze mocno potrząsał jego dłonią. „Chodzi o porządną, mocny uścisk, synku, ale pamiętaj, żeby nie zrobić tego za mocno”.

Jednak uśmiechnięta kobieta to właśnie zrobiła – ścisnęła bardzo mocno. Przyciągnęła Sama do piersi i oplotła jego szyję ramieniem, a on poczuł przy skroni lufę pistoletu.

– Wszystko pójdzie gładko – krzyknęła kobieta ponad mieszającymi się głosami Zombie’ego i Cassie. – Głodziutko.

Zombie spoglądał na Ringer, która spoglądała na Evana Walkera. Cassie też spoglądała na Ringer. Nagle siostra Sama powiedziała: – Ty suko.

– Dawać broń – rzuciła kobieta. W jej głosie wciąż dźwięczał uśmiech. – Ułóżcie ją przy kominku. Natychmiast.

Jedno po drugim wszyscy się rozbroili.

– Nie rób mu krzywdy – powiedziała Cassie.

– Nikomu nic się nie stanie – zaćwierkała radośnie kobieta. – Gdzie ten ostatni?

– Kto? – zapytała Cassie.

– Człowiek. Był tu jeszcze jeden. Gdzie on jest?

– Nie wiem, o czym...

– Cassie – przerwał jej Evan Walker, który spoglądał ponad głową Sama w twarz kobiety. – Idź po Megan.

Sam zobaczył, jak siostra bezgłośnie prosi Evana Walkera: „Zrób coś”. Evan Walker pokręcił głową.

– Nie wyjdzie z pokoju – odparła Cassie.

– Może zmieni zdanie, kiedy powiesz jej, że zaraz rozwalę łeb twojemu braciszкови.

Zombie miał poszarzałą twarz pokrytą zaschniętą krwią i naprawdę przypominał zombie.

– Do niczego takiego nie dojdzie – powiedział. – Co teraz?

– Wtedy zastrzeli Nuggeta i będzie strzelać, dopóki Megan nie wyjdzie – odpowiedziała Ringer. – Możesz mi wierzyć, Zombie.

– No jasne – rzuciła Cassie. – Świetny pomysł. Zaufajmy Ringer.

– Nie przyszła tu, żeby was skrzywdzić – wyjaśniła Ringer. – Ale zrobi to, jeśli będzie musiała. Powiedz im, Constance.

– Chodzi o mnie – domyślił się Evan Walker. – Przyszłaś po mnie, prawda?

– Najpierw dziewczyna – odparła Constance. – Wtedy pogadamy.

– W porządku. Uwielbiam gadać. Ale może najpierw wypuść mojego brata i... weź mnie? – Cassie uniosła ręce i przywołała na twarz sztuczny uśmiech. Nie najlepiej jej to wyszło. Nietrudno było

stwierdzić, kiedy udaje, bo nie wyglądała wtedy przyjaźnie. Wyglądała, jakby chciała wymiotować.

Ramię kobiety przyciskało tchawicę Sama jak żelazna sztaba i ciężko mu było oddychać, ale do pleców miał przyciśnięte jeszcze coś – specjalny sekret, o którym nikt nie wiedział. Ani Zombie, ani Cassie, ani nawet ta kobieta.

Sam wsunął rękę za plecy, pomiędzy siebie i Constance.

Był żołnierzem. Może zapomniał alfabet, ale pamiętał szkolenie bojowe. „Oddział ważniejszy niż Bóg”, to właśnie mu wpojono. Pamiętał tylko niewyraźny zarys twarzy swojej mamy, ale ich twarze znał doskonale – twarze Dumbo, Filiżanki, Pączka, Umpy i Flintstone’a. Jego oddział. Jego bracia i siostry. Nie pamiętał nazwy swojej szkoły ani tego, jak wyglądała ulica, przy której mieszkał. Ta i sto innych dawno minionych spraw nie miało już znaczenia. Liczyło się tylko jedno – wrzask strzelnicy i toru przeszkód wydzierający się z gardeł jego współbraci: „Zero litości!”.

– Macie piętnaście sekund – powiedziała przytrzymująca go kobieta. – Nie każcie mi odliczać. To takie melodramatyczne.

Trzymał pistolet w dłoni i wcale się nie wahał. Wiedział, co robić. Był żołnierzem.

Kiedy pociągnął za spust, broń podskoczyła mu w dłoni. Prawie ją upuścił. Kula przedarła się przez brzuch kobiety i wyszła przez dolny odcinek pleców, jak ślimak zatapiający się w zakurzonych poduszkach sofy. W małej przestrzeni rozległ się głośny huk i Cassie krzyknęła. Pewnie przez jedną straszną chwilę wydawało jej się, że to broń kobiety wypaliła.

Strzał nie powalił jednak Constance i choć nie puściła jego szyi, to zaskoczona atakiem lekko zwolniła uścisk. Sam usłyszał cichutkie, zdumione westchnienie, a zanim zdążył mrugnąć, Ringer już przeskakiwała ponad stolikiem kawowym z wyciągniętym ramieniem i dłonią zwiniętą w pięść. Jej kostki musnęły jego policzek, zanim uderzyły w bok głowy Constance, a dłoń, której nie dostrzegł, odwinęła ramię kobiety z jego szyi i uwolniony Sam wydostał się z pułapki. Siostra chciała go chwycić za rękę, ale on odwrócił się gwałtownie, ściskając pistolet w obu dłoniach, a Ringer poderwała Constance z ziemi, zakręciła jej ciałem wysoko w powietrzu jak drwał rąbiący drewno, po czym rzuciła ją na stolik. Mebel roztrzaskał się, a drewno, szkło i fragmenty puzzli rozprysły się na wszystkie strony.

Constance usiadła. Ringer walnęła ją w nos nasadą dłoni. Trzask! Słysząc było łamanie kości. Z jej otwartych ust trysnęła krew.

Czyjeś dłonie ciągnęły go za koszulę – Cassie. Wyrwał się. Nie należała do oddziału. Nie wiedziała, co to znaczy być żołnierzem. On wiedział. Doskonale wiedział, co to znaczy.

*Zero litości.*

Zrobił krok ponad roztrzaskanym stołem i wycelował broń w sam środek twarzy kobiety. Jej zakrwawione usta wygięły się w bezdusznym uśmiechu, odsłaniając zakrwawione zęby, i Sam znalazł się nagle z powrotem w sypialni matki, która umierała na zarazę, na czerwoną śmierć, jak mówiła



Cassie. Stał przy jej łóżku, a ona uśmiechała się do niego zakrwawionymi zębami, twarzą splamioną krwawymi łzami. Widział ją teraz tak wyraźnie – twarz, którą zapomniał, w twarzy, na którą patrzył teraz.

Zanim pociągnął za spust, Sammy Sullivan przypomniał sobie twarz matki, twarz, którą oni jej narzucili, a kula, która wydarła się z lufy, dźwigała jego wściekłość, niosła rozpacz, zawierała wszystko to, co utracił. Połączyła ich czymś w rodzaju srebrnego sznurka. Kiedy twarz kobiety się rozpadła, stali się jednym – poszkodowanym i sprawcą, drapieżnikiem i ofiarą.

ABCDEFGHIJKLMNOPQRSTUVWXYZ

## Ringer

Rozbryzg krwi na chwilę mnie oślepia, ale procesor zachowuje szczegóły położenia Nuggeta oraz dokładne usytuowanie jego broni. Pod koniec tej sekundy jego dłoń jest pusta, a moja się wypełnia.

Pod koniec tej sekundy broń zostaje wycelowana w twarz Evana Walkera.

Walker to podpora, podstawa, na której opiera się przetrwanie pozostałych. Żywy stanowi niedopuszczalne ryzyko. Pociągnięcie za spust może mnie kosztować życie. Wiem o tym. Cassie – a może nawet Zombie – mogą mnie zabić, jeśli ja załatwię Walkera. Ale nie mam wyboru. Kończy się nam czas.

Żadne z nich jeszcze tego nie słyszy, ale ja owszem – to dźwięk nadlatującego z północy helikoptera wyposażonego w rakiety Hellfire i oddział najlepszych strzelców Voscha. Zniknięcie sygnału Constance może oznaczać tylko jedno.

– Ringer – chrypi Zombie. – Co jest, kurwa?

Z prawej strony rzuca się na mnie drobna postać. Nugget. Choć osłabiam cios, żeby nie złamać mu mostka, moja pięść podrywa go z podłogi i wbija w pierś Sullivan. Padają na podłogę w bezładnej płataninie rąk i nóg.

Nie tracę celu z oczu.

– Ben, nie... – mówi spokojnie Walker, chociaż Zombie się nie rusza. – Posłuchajmy, czego ona chce.

– Wiesz, czego chcę. – Poprawiam palec na spuście.

Walker musi umrzeć – nie ma co do tego wątpliwości. To tak oczywiste, że nawet Nugget by się ze mną zgodził, gdyby tylko znał fakty. Jego siostra też. No, może nie przesadzajmy. Miłość oślepia, a nie odsłania prawdę. Nauczyłam się tego od Brzytwy.

– Ben! – krzyczy Walker. – Nie.

Zombie nie rzuca się po broń. Nie skacze w moją stronę. Robi dwa powolne, bardzo spokojne kroki i staje pomiędzy mną a Evanem Walkerem.

– Wybacz, Ringer – rzuca Zombie. To niewiarygodne, ale postanawia przywołać na twarz ten swój zabójczy uśmiech. – Nic z tego. – Unosi ramiona, jak gdyby chciał być jeszcze dogodniejszym celem.

– Zombie, ty nie wiesz...

– No raczej. To już ustaliliśmy. Gównu wiem.

Gdyby to był ktokolwiek inny. Sullivan, a nawet Nugget. *Jaka jest cena, Mariko?*

– Zombie, nie mamy czasu.

– Na co?

Wtedy go usłyszał. Wszyscy go usłyszeli. Jego odgłos osiągnął zakres ludzkiego słuchu. Helikopter.

– Jasna cholera – szepcze Sullivan. – Co ty narobiłaś? Co ty, u diabła, narobiłaś?

Nie zwracam na nią uwagi. Liczy się tylko Zombie.

– Nie przylecieli po nas – informuję go. – Chcą tylko jego. Nie możemy im pozwolić, żeby go zabrali.

Gdyby Zombie przekrzywił głowę choć o centymetr. Tylko tyle potrzebuję – jeden centymetr. Dwunasty układ załatwi resztę.

Przykro mi, Zombie. Nie mamy czasu.

Procesor bierze się do roboty. Wypuszczam kulę, która roztrzaskuje udo Zombie'ego.

Sądziłam, że upadnie i oczyści drogę dla zabójczego strzału w głowę Evana Walkera. Myliłam się.

Zombie upada do tyłu, prosto na pierś Walkera, który otacza go ramionami i albo go podtrzymuje, albo używa jako ludzkiej tarczy. Dobiega nas słaby odgłos śmigieł i jeszcze słabszy szept otwieranego spadochronu. Potem kolejnego. I jeszcze jednego. Łącznie jest ich pięć.

Nagle uświadamiam sobie, że zwracałam się do niewłaściwej osoby.

– Puść go – mówię do Evana Walkera. – Jeśli obchodzi cię los Cassie, puść go.

On jednak tego nie robi, a mnie kończy się czas. Jeśli ten pat będzie się przeciągał, wszyscy zapłacimy życiem.

Nadchodzi piąta fala.

**Evan Walker**

Istnieje tylko jedno wytłumaczenie. Skok przez pokój. Szybkość jej dłoni, ostrość wzroku i słuchu. Tylko jedna możliwość. Została ulepszona. Człowiek otrzymał ten dar. *Dlaczego?* Dobiegła do frontowego okna, pokonując długość pomieszczenia w trzech susach, i obróciła ciało w powietrzu, żeby zbić szybę barkiem, po czym rozmyła się w aureoli roztrzaskanego szkła i drewna.

Cassie natychmiast rzuciła się w jego stronę, a może w stronę Bena, którego wciąż podtrzymywał.

– Megan – powiedział Evan. – Sprowadź ją do piwnicy.

Cassie skinęła głową. Zrozumiała. Chwyliła braciszka za nadgarstek i pociągnęła go w głąb korytarza.

– Nie! Zostaję z Zombie'em!

– Chryste, Sam, daj spokój...

Pobiegli korytarzem. Helikopter się zbliżał. Odgłos jego silników wlał się przez wybite okno jak fale rozbijające się o brzeg. Wszystko po kolei. Przerzucił Bena przez ramię i zaniósł go na sofę, robiąc krok ponad ciałem leżącym pośród tego, co zostało ze stolika. Położył Bena na sofie i rozejrzał się za czymś, czym mógłby obwiązać mu nogę. Bluza martwej kobiety. Evan uklęknął obok i rozdarł bluzę, po czym urwał z niej pasek – od dekoltu po brzeg ubrania – i odwrócił się do Bena. Chłopak śledził go wzrokiem, jego twarz poszarzała, a oddech stał się płytki. Był w szoku.

Kula trafiła Bena tuż ponad rzepeką kolana. Odrobinę niżej i do końca życia poruszałyby się o kulach. To nie kwestia szczęścia. Ringer dokładnie wymierzyła strzał.

– Moja wina. Niepotrzebnie je tu przyprowadziłem – powiedział Ben.

– Nie mogłeś wiedzieć – pocieszył go Evan.

Ben gwałtownie pokręcił głową.

– Nie usprawiedliwiał mnie. – Otwartą dłonią plasnął w poduszkę sofy, a w powietrze uniosła się chmura kurzu. Zakaszłał.

Evan spojrział w sufit i zaczął nasłuchiwać. Ile mieli czasu? Trudno stwierdzić. Dwie minuty? Mniej? Znów popatrzył na Bena, który rzucił:

– Piwnica.

Evan skinął głową.

– Piwnica.

Ściągnął Bena z sofy i przełożył go sobie przez ramię. Gdzie się podziewała Cassie? Zbiegł po schodach, czując, jak policzek Bena obija mu się o plecy. Zaniósł go w najdalszy kąt pomieszczenia i delikatnie ułożył na betonowej posadzce.

– Nie zwlekaj, Walker. – Ben wskazał głową tajny skład broni. – Jeśli szybko nie załatwisz tego śmigłowca, wtedy to, że jeszcze nie wylądowali, nie będzie miało znaczenia.

Evan podszedł do ściany i zdjął z haka wyrzutnię rakiet. Według jego kalkulacji helikopter znajdował się w zasięgu. Wbiegł z powrotem po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Wyrzutnia ciążyła mu w dłoniach jak stalowy dźwigar. Jego chora kostka pulsowała z bólu. Zacisnął zęby.

Korytarz był pusty. Na skórze czuł wibrowanie powietrza. Black hawk krążył bezpośrednio nad domem. Zostawić ich u góry i zaryzykować strzał? Czy sprowadzić ich do piwnicy i zabrać wyrzutnię?

Rzucił broń na ziemię.

Cassie waliła w drzwi szafy, wrzeszcząc imię Megan. Kiedy Evan wpadł do pokoju, odwróciła się gwałtownie.

– Ta mała suka się zabarykadowała!

Odepchnął Cassie i uderzył ramieniem w szafę. Zawiasy drgnęły, ale drzwi nie ustąpiły.

– Cassie, Sam, do piwnicy. Natychmiast! – krzyknął.

Wybiegli z pokoju. Podniósł zdrową nogę i kopnął w sam środek drzwi. Drewno trzasnęło. Jeszcze raz. Trzask. Jeszcze raz. Trzask! Cofnął się o trzy kroki, po czym wcisnął ramię w szczelinę. Drzwi rozwarły się pośrodku, a Evan zajrzał w ciemność. Z kąta spoglądały na niego rozszerzone z przerażenia oczy. Wyciągnął rękę.

– Zaraz wysadzą nas w powietrze, Megan.

Pokręciła głową. Nie zamierzała wychodzić. Nie ma mowy. Kiedy Evan wyciągnął po nią rękę, zaczęła go okładać po twarzy piąstkami. Próbowwała wydrapać mu oczy. Wrywała się, jak gdyby ktoś ją zarzynał.

Złapał ją za nadgarstek i pociągnął. Wbiła się w jego pierś, po czym z całej siły kopnęła go w krocze, wolną ręką próbując sięgnąć w głąb szafy. Pośród stosu ubrań leżał pluszowy miś.

– Kapitan!

Evan chwycił misia.

– Mam go.

Pierwsza rakietka uderzyła w dom dokładnie dwie minuty i dwadzieścia dwie sekundy później.

Evan niosący Megan w ramionach znajdował się w połowie schodów do piwnicy, kiedy wstrząs eksplozji poderwał ich w powietrze. Spadając, Evan odwrócił się, żeby przyjąć na siebie siłę uderzenia i nie narażać Megan.

Upadek na betonową podłogę pozbawił go tchu. Megan sturlała się z jego piersi i leżała bez ruchu. Wtedy na dom spadła druga rakietka.

Płomienie spłynęły po schodach. Dostrzegł je z daleka – nacierający jaskrawopomarańczowy i czerwony taran. Rzucił się na dziewczynkę i nakrył ją swoim ciałem. Ogień minął ich górą. Evan poczuł swąd swoich spalonych włosów i parzący oddech pożerający materiał koszuli.

Uniósł głowę. W głębi piwnicy dostrzegł Cassie i Sama przykucniętych przy Benie. Podpełzł do nich, ciągnąc za sobą Megan.

Napotkał wzrok Cassie. *Czy ona...? Potrząsnął głową. Nie.*

– Gdzie wyrzutnia? – zapytał Ben. Evan wskazał na sufit. Na górze. A przynajmniej była tam, kiedy góra jeszcze istniała.

Wokół wirowały zerwane pajęczyny i kurz. Sufit na razie się trzymał. Evan wątpił, by mógł przetrwać kolejne uderzenie. Wyglądało na to, że Ben Parish myśli to samo.

– No i super – powiedział Ben do Cassie. – Szybko, stwórzmy kółko modlitewne, bo oficjalnie mamy przesrane.

– Będzie dobrze – zapewnił go Evan. Dotknął policzka Cassie. – To jeszcze nie koniec. – Podniósł się. – Przylecieli tu w jednym celu – dodał tak cicho, że jego głos był ledwo słyszalny pośród huku piekła, które się nad nimi rozpętało. – Otworzyli ogień, bo przypuszczali, że im się nie udało. Myślą, że umarłem. Pokażę im, że się mylą.

Zdezorientowany Ben potrząsnął głową. Nie rozumiał. Ale Cassie rozumiała, a jej twarz pociemniała z gniewu.

– Evanie Walkerze, nie waż się znowu tego robić.

– To ostatni raz, Jętko. Obiecuję.

Zatrzymał się u podnóża schodów prowadzących w dym i płomienie. Za plecami słyszał, jak Cassie krzyczy, wyzywa go i przeklina.

I tak wszedł na górę. Ringer to przewidziała: „Nie chcą nas. Chcą jego”.

W połowie schodów zaczął się zastanawiać, czy powinien był zabić Bena Parisha. Mógł być obciążeniem dla Cassie. Spowolnić ją. Stać się brzemieniem, z którym dziewczyna sobie nie poradzi.

Odpędził tę myśl. Było już za późno. Za późno, żeby zawrócić. Za późno, żeby uciekać, za późno, żeby się schować. Podobnie jak Cassie tamtego dnia pod samochodem, jak Ben pod zapadającym się obozem śmierci, osiągnął moment, kiedy musiał stanąć twarzą w twarz z tym, z czym do tej pory nie śmiał się zmierzyć. Wcześniej zaryzykował wszystko, żeby ją ocalić, ale wtedy to ryzyko było wymierzone i przekalkulowane, a poza tym zawsze istniał cień szansy, że on sam przeżyje.

Nie tym razem. Tym razem wkraczał prosto do paszczy bestii.

Odwrócił się tylko raz, na szczycie schodów, ale nie widział Cassie ani jej nie słyszał. Spowiła ją mgła kurzu i dymu oraz wirujących leniwie jedwabistych nitek pajęczyny.

Kiedy helikopter przelatywał obok, w gruzach zawirował cyklon, a powietrze mielone przez obracające się śmigła rozwiało dym i zdławiło ogień, tak że płomienie zaczęły przypominać falujące morze czerwieni. Evan spojrzął w górę i za sterami zobaczył pilota patrzącego w dół.

Uniósł ręce i powłócząc nogami, zrobił kilka kroków naprzód. Otoczył go ogień. Pochłonął dym. Przedarł się przez tę zawieruchę i znalazł pośród czystego, przezroczystego powietrza.

Evan Walker stanął pośrodku drogi z uniesionymi ramionami i czekał, aż helikopter wylądje.



## Oddział dziewiętnasty

Pięcioosobowa grupa uderzeniowa z oddziału dziewiętnastego obserwuje ze swoich pozycji usytuowanych trzysta metrów na północ, jak helikopter wystrzeliwuje dwie rakiety, a dom robi pa, pa, zwalony aż do fundamentów w kłębach ognia i dymu.

W słuchawce włożonej do ucha Milk słyszy głos pilota:

– Oddział dziewiętnasty, utrzymać pozycje. Powtarzam: utrzymać pozycje.

Milk unosi pięść, by dać znać swojej drużynie. „Czekamy”.

Helikopter robi szeroki łuk i zawraca po cel. Przykucnięty przy Milku Pix głośno wzdycha, majstrując coś przy wizjerze.

Pasek jest zbyt luźny na jego małą głowę i urządzenie się nie trzyma. Swizz szepcze, żeby się zamknął, a Pix każe mu pocałować się w tyłek. Milk nakazuje obu stulić pyski.

Drużyna przykucnęła pod wyblakłym billboardem reklamującym olej silnikowy Havoline, tuż obok starego ceglanego budynku, który służył jako warsztat samochodowy, zanim całkiem zniszczono świat. Sterty używanych opon i stosy felg, rozrzucone części silnika i narzędzia, wszystko rozsypane po placu jak liście przyniesione przez wiatr. Sedany i półciężarówki, terenówki i minivany pokryte brudem i sadzą, z roztrzaskanymi szybami i zapleśniałą tapicerką, relikty nieistotnej przeszłości. Pokolenie, które przyjdzie po oddziale dziewiętnastym – jeśli takowe w ogóle zaistnieje – nie rozpozna dziwnych symboli przyczepionych do bagażników i zderzaków tych rdzewiejących olbrzymów. Za sto lat nikt nie będzie w stanie odczytać znaku górującego nad ich głowami, a nawet zrozumieć, że litery symbolizowały dźwięki.

Tak jakby miało to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. Jakby kogokolwiek to jeszcze obchodziło. Lepiej nie pamiętać. Lepiej nie wiedzieć. Nie można rozpaczać po tym, czego się nigdy nie miało.

Helikopter wisi nad gruzowiskiem, a prąd zstępujący z jego śmigieł spłascza dym i rozprasza płomienie na boki. Mrużąc oczy, spoglądają przez wizjery – Milk i Pix na południe w stronę helikoptera, Swizz i Snickers na zachód, a Gummy na północ, skanując teren w poszukiwaniu zielonej poświaty zarażonego wroga. Poczekają, aż black hawk się wycofa, po czym ruszą na południe w stronę autostrady, stopniowo oczyszczając teren – jeśli będzie to jeszcze konieczne. O ile zarażeni nie uciekli na odgłos nadlatującego helikoptera, wszystko to, co zostało uwięzione w tym domu, zostało usmażone. Pierwszy zobaczył to Pix: maleńką, jaskrawozieloną iskrę, która unosiła się wśród

płomieni jak jętką w letnim zmierzchu. Szturchnął Milka w nogę i pokazał palcem. Milk skinął głową z ponurym uśmiechem. Zaczynamy. Dobry Jezu, trudno policzyć, ile razy to ćwiczyli, ale pierwszy raz znaleźli się w sytuacji bojowej. Autentyczny, żywy, nieoszukiwany zarażony we własnej osobie.

Odkąd zgromadzono ich w autobusach – dziewczynki i chłopców z oddziału dziewiętnastego – minęło sześć miesięcy, dwa tygodnie i trzy dni. Sto dziewięćdziesiąt dziewięć dni. Cztery tysiące siedemset siedemdziesiąt sześć godzin. Dwieście osiemdziesiąt sześć tysięcy pięćset sześćdziesiąt sekund od chwili, kiedy Pix był jeszcze Ryanem – skulonym w odpływie melioracyjnym, pokrytym strupami, wrzodami i wszami, z wzdętym brzuchem i patykowatymi ramionami oraz wybałuszonymi, opętanymi oczami, którego wniesiono do autobusu szlochającego bez łez, bo tak był odwodniony. Milk miał wówczas na imię Kyle i uratowano go z położonego przy granicy z Kanadą obozu – był dużym dzieciakiem, nadąsanym i wściekłym, żądnym zemsty i trudnym do opanowania, którego ciężko było złamać, co jednak ostatecznie im się udało.

Złamali ich wszystkich.

Z Jeremy'ego zrobili Swizza, z Luisa – Gummy'ego, z Emily – Snickers. Kilka cukierkowych pseudonimów dla kilkorga tchórzliwych rekrutów.

Ci, których nie mogli złamać, których Kraina Czarów wskazała jako niezdatnych, oraz ci, których ciała i umysły poddały się w czasie przysposobienia, wylądowali w piecach do spopielenia lub w tajnych pokojach, gdzie przerabiali ich ciała na bomby. To było łatwe. Absurdalnie łatwe. Należy opróżnić naczynie z nadziei, wiary i zaufania, a wtedy można je napełnić dowolną inną treścią. Mogli wmówić dzieciakom z oddziału dziewiętnastego, że dwa plus dwa równa się pięć, a one by w to uwierzyły. Nie, nie tylko uwierzyły. Zabiłyby tego, kto ośmieliłby się temu zaprzeczyć.

Z dymu i płomieni wyłania się wysoka postać otoczona zieloną poświatą – unosi ramiona i puste dłonie, po czym opuszcza spalone rumowisko i wchodzi na drogę, a helikopter daje nura i rozpoczyna zniżanie.

*Co jest grane? Dlaczego go nie zlikwidują?*

*Pix, ty kretynie, to właśnie musi być ten cholerny cel. Sukinsynowi udało się przeżyć.*

Helikopter ląduje i Milk widzi teraz Hersha i Reese'a wyskakujących z kabiny. Nie słyszy ich, ale wie, co wołają do zarażonego, przekrzykując kakofonię silnika: „Padnij, padnij, padnij! Ręce na głowę!”. Postać opada na kolana, a jego ręce zanurzają się w zielonym płomieniu tańczącym wokół jego twarzy. Żołnierze zaciągają więźnia do śmigłowca i wpychają go do środka.

Milk słyszy w uchu skrzeczący głos pilota: „Transportujemy cel do bazy. Do zobaczenia niedługo, żołnierze”.

Black hawk ryczy nad ich głowami i kieruje się na północ. Przelatując, wprawia w drganie billboard Havoline. Gummy patrzy, jak helikopter kurczy się, odlatując w stronę horyzontu. „Szybko pójdzie”, pociesza się. Nieuważnie przyciska dłoń do ramienia, wciąż obolałego po wczorajszej nocy.

Nacięcie jest jeszcze świeże: VQP.

To był pomysł Milka. To on na własne oczy widział ciało Brzytwy i to on domyślił się znaczenia skrótu. *Vincit qui patitur*. Zwycięża, kto wytrwa. Oni także wycięli sobie na ramionach litery VQP – na cześć poległych.

Milk daje znać i wszyscy ruszają. Milk na przedzie, Pix tuż za nim, Swizz i Snick na skrzydłach, a Gummy zamyka tyły. *Oznacz tamte okna po drugiej stronie ulicy, Snick. Sprawdź te samochody, Swizz.*

Ćwiczyli to tysiąc razy, od domu do domu, z pokoju do pokoju, od piwnicy po dach. Oczyszcza się jedną przecznicę, po czym przystępuje do oczyszczania kolejnej. Nie spieszcie się. Bądźcie czujni. Uważajcie na kolegów. Jeśli obierzecie cel, strzelajcie. To proste. Łatwe. Dziecinnie łatwe, dlatego właśnie wybrano do tego dzieci.

Sześć miesięcy, dwa tygodnie i trzy dni po tym, jak autobus szkolny się zatrzymał, a jakiś głos zawołał: „Nie bójcie się. Jesteście bezpieczni, całkowicie bezpieczni”, Gummy słyszy coś więcej niż wiatr, ogień i własny oddech: wysoki jęk przypominający piszczenie hamulców tamtego autobusu. To ostatni dźwięk, jaki słyszy, zanim dwudziestocalowa stalowa felga roztrzaska mu podstawę czaszki i przerwie rdzeń kręgowy. Chłopiec jest już martwy, kiedy uderza o ziemię.

Sto osiemdziesiąt cztery dni po tym, jak znaleźli się w obozie, przyszła kolej na Snick. Kiedy Gummy ginie, ona i Swizz padają na ziemię – tak ich wytrenowano, taka jest pamięć ich mięśni, a napastniczka dobrze o tym wie. Przewidziała to.

Leżący na brzuchu Swizz spogląda na prawo. Snick wydaje zdławiony, bulgoczący dźwięk, jej karabin leży na drodze tuż obok niej, a dziewczyna obiema dłońmi ściska uchwyt długiego śrubokrętu zatopionego w jej szyi. Żyłka szyjna została rozerwana. Snick umrze w niecałe dwie minuty.

Cztery tysiące czterysta szesnaście godzin po tym, jak zobaczył światło reflektorów autobusu przedzierającego się przez las, w którym się ukrywał, Swizz na czworakach próbuje się dostać na pobocze i przez ułamek sekundy widzi przez wizjer zielone światło, które natychmiast znika za starym warszatem – blady ogień zarażonego. Mam cię, sukinsynu. Swizz nie wie, co się stało z Milkiem i Pixem, i nie odwraca się, żeby to sprawdzić. Działa instynktownie, a adrenaliny i gniewu nie można zmierzyć ani wyczerpać. Podnosi się na nogi i rusza w stronę garażu. Zanim dociera do południowo-wschodniego rogu budynku, ona siedzi już na dachu i czeka na niego, gotowa do skoku.

*Przynajmniej będzie szybko.*

Zza przewróconego, rozkraczonego na drodze chevroleta tahoe Milk i Pix słyszą huk karabinu. Trzy krótkie wystrzały staccato: tat-tat-tat!

Potem zapada cisza.

Pix zrywa wizjer z cichym okrzykiem zniecierpliwienia, w cholerę z tym, to gównu nie chce się trzymać, a Milk spokojnie nakazuje mu włożyć go z powrotem, podczas gdy sam skanuje otoczenie.

Pix go ignoruje. Jest jasny dzień, dobrze widzi i kogo właściwie obchodzi, czy napastnik jest człowiekiem, czy zarażonym?

Wiatr, ogień i ich własne oddechy. Nie dajcie się przyszpilić. Nie zapuszczajcie się w ślepe zaułki. Nie rozdzielajcie się. Leżąc na boku i przyciskając ramię do krzepiącej stali terenówki, Pix podnosi wzrok i spogląda na twarz Milka. Milk jest sierżantem. Milk go nie zawiedzie. VQP. Tak jest. VQP.

Kula dziewczyny przemierza szerokość drogi, roztrzaskuje przednią szybę, przelatuje przez wnętrze pojazdu i wypada po drugiej stronie, gdzie przedziera się przez kurtkę Pixa i zatapia w jego plecach, aż w końcu dociera do kręgosłupa. Tam kula się zatrzymuje.

Dwieście sześćdziesiąt cztery tysiące dziewięćset sześćdziesiąt trzy minuty po tym, jak go uratowano, Milk przesuwa się w stronę przedniego zderzaka, ciągnąc za sobą ciało Pixa. Górna połowa drga w jego rękach, dolna jest sparaliżowana, martwa, co oni sobie, kurwa, myśleli, wycinając sobie te durne litery na ramionach? Małe paluszki Pixa próbują dotrzeć do twarzy Milka, a z jego oczu ucieka światło. *Chroń mnie, sierżancie. Nie daj mi wpaść w ręce tych drani.*

*Tak jest, tak jest, Pix. VQP. V, Q, kurwa, P.*

Nie przestając do niego szeptać, obchodzi samochód i staje przed maską. Nie patrzy w górę. Nawet jej nie słyszy.

Piętnaście milionów osiemset dziewięćdziesiąt siedem tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt dwie sekundy i Milk dzieli los reszty oddziału dziewiętnastego.

## Ringer

Nie pozwolę, by ciała tych dzieciaków tu zgniły. Nie pozostawię ich na żer szczirom, wronom i muchom, myszołowom i sforom zdziczałych psów. Nie porzucę ich kości na pastwę sępów i robactwa. Nie zamierzam ich też spalić. Gołymi rękami wykopię im grób w tej zimnej ziemi. Słońce chowa się za horyzont. Wzmaga się wiatr, przez który włosy smagają mi twarz, a ziemia rozpada mi się pod palcami, dłonie są niczym pług przedzierający się przez upartą glebę, aby rozpocząć siew. Wiem, że Zombie mnie obserwuje. Dostrzegam go na skraju czarnych ruin wysadzonego w powietrze domu. Opiera się o kawałek osmalonej deski, ściskając w dłoni karabin i nie spuszczając mnie z oczu. Wokół zapada zmierzch, a Zombie wciąż patrzy, jak znoszę kolejne ciała do własnoręcznie wykopanego dołu. Kuśtykając, podchodzi bliżej. Zastrzeli mnie. Wepchnie moje ciało do dołu kopniakiem i zakopie razem z moimi ofiarami. Nie będzie czekał na wyjaśnienia. Nie zada mi żadnego pytania, bo z moich ust wydostają się tylko kłamstwa.

Zatrzymuje się. Klęczę przy grobie, z którego niewidzącym wzrokiem spoglądają na mnie ich twarze. Najstarszy z nich – najprawdopodobniej dowódca oddziału – miał nie więcej niż dwadzieścia lat.

Szcęk odciąganego zamka karabinu zostaje wzmocniony, a procesor nakazuje mojemu organizmowi wytworzyć reakcję obronną. Ignoruję go.

– Postrzeliłam Filiżankę – mówię, spoglądając w martwą twarz rekruta. – Myślałam, że jest wrogiem, i do niej strzeliłam. Miała jedną szansę, a ja nie miałam wyboru. Pozwoliłam im nas zabrać, Zombie. To był jedyny sposób, żeby ją ocalić.

Jego głos jest suchy jak zeszłoroczne liście szeleszczące na zmarzniętych konarach.

– W takim razie gdzie ona jest?

– Nigdzie. – To słowo zawisa w powietrzu. Nawet wiatr nie jest w stanie nim poruszyć.

– Co oni z tobą zrobili, Ringer?

Podnoszę wzrok. Nie patrzę na Zombie'ego. Spoglądam w górę. W mroku zerkają na mnie pierwsze gwiazdy.

– To samo co zrobili Walkerowi. To samo co Constance, księdzu i kociarze.

Nad moją głową świecą nieruchome gwiazdy. Mrugam, a moje łyzy błyszczą srebrzyście w ich blasku. Dar Voscha sprawia, że sięgam wzrokiem krańców wszechświata, ale nie zorientowałam się

dotąd, że jest on otoczony więziennymi murami.

Prawda. Dwunasty system wzmaga wszystko inne, łącznie z tym, co rozdzierało moją duszę na strzępy, odkąd powróciłam z dziczy. Nie chciałam stawić czoła prawdzie. Znałam ją, ale postanowiłam się z nią nie mierzyć. Mężczyzna niewidomy od urodzenia wyciąga rękę i dotyka ucha słonia. „Słoń przypomina prześcieradło”. Drugi niewidomy mężczyzna dotyka trąby słonia. „Kształtem słoń przypomina węża”. Trzeci głaska go po nodze. „Słoń przypomina drzewo”.

Pochyliłam głowę nad grobem i wypowiadam prawdę na głos:

– Jestem w ciąży.

**Cassie**

Ben nie żyje. Opuścił nas, mówiąc, że za chwilę wróci. Ale nie wrócił za chwilę. Wcale nie wrócił. Siedzę skulona w najdalszym kącie piwnicy z Samem i Megan. Mam karabin, Megan ma misia, a Sam ma focha. Dwa metry od nas leży należąca do Grace kolekcja broni. Wśród niej znajduje się tyle ładnych, błyszczących przedmiotów, że mój brat nie może powstrzymać ekscytacji. Nie może się nadziwić, że zastrzelenie drugiego człowieka jest tak cudownie łatwe. Łatwiejsze niż zawiązanie butów.

Ze stosu obok stołu warsztatowego zdejmuję ciężki wełniany koc i narzucam go na całą trójkę – Samsa, Megs i misia.

– Nie jest mi zimno! – krzyczy. Sam, nie miś.

– Ten koc nie ma cię ogrzać – mamroczę w odpowiedzi. Zaczynam wyjaśniać, ale moje słowa zamieniają się w bezsensowną paplaninę. Co się stało z Evanem? Co się stało z Benem? Co się stało z Ringer? Aby znaleźć odpowiedź na te pytania, musiałabym wstać z podłogi, przejść przez piwnicę, wspiąć się po schodach i prawdopodobnie kogoś zastrzelić lub dać się zastrzelić, a w tym celu potrzebowałabym czegoś, czego chwilowo mi brakuje.

„To ostatni raz, Jętko. Obiecuję”.

Boże, to durne przezwisko, od którego chce mi się rzygać. Powinnam mu była nadać jakieś równie poniżające i mdłe. Rekin byłby dobry. Albo Żarłacz.

Drewniane stopnie skrzypią. Nie ruszam się z miejsca. Ostatni bastion Cassiopei. Mam pełny magazynek i serce wypełnione nienawiścią. Niczego więcej mi nie potrzeba.

Słyszę syk siedzącego obok Sama.

– Cassie, to Zombie.

Nie inaczej. Stąpa ciężko i nierówno, jak prawdziwy zombie. Kiedy dociera na dół, nie może złapać tchu. Z rozchylonymi ustami i poszarzałą twarzą opiera się o ścianę.

– No i? – wołam do niego z drugiego końca pomieszczenia. – Znalazłeś go?

Kręci głową. Zerka w górę schodów. Znów spogląda na mnie.

– Helikopter – mówi.

– Co „helikopter”? Evan go wysadził?

Głupie pytanie. Usłyszałabym to.

– Wsiadł do niego.

Ben musi usiąść. Taka rana cholernie boli. Dobrze to wiem. Dlaczego nie usiądzie? Dlaczego sterczy przy schodach?

– Jak to „wsiadł”?

– No wsiadł. Zabrali go, Cassie.

Kolejne spojrzenie na schody. W końcu pytam, dlaczego ciągle tam patrzy.

– Była drużyna uderzeniowa...

– Jest drużyna uderzeniowa?

– Była. – Ociera usta wierzchem dłoni. – Już nie ma.

Głos mu drży, ale nie wydaje mi się, żeby powodem były ból lub zimno. Ben Parish jest zestrany ze strachu.

– Ringer?

*No jasne, Sullivan, niby kto inny?*

– Ringer.

Kiwa głową, po czym znów zerka w górę. Dopiero wtedy się podnoszę. Sam także. Każę mu zostać. Odmawia. Ben unosi rękę.

– Istnieje wyjaśnienie, Cassie.

– O, na pewno.

– Musisz jej wysłuchać.

– Bo co? Złamię mi kark za pomocą swoich zmutowanych mocy? Ben, co się z tobą dzieje? Przecież to ona ich tu przywiodła.

– Musisz mi zaufać.

– Nie, to ty musisz zaufać mnie. Mówiłam ci, zanim odeszła... Coś z nią jest nie tak. Teraz powróciła i coś naprawdę jest nie tak. Czego jeszcze potrzebujesz, Ben? Co jeszcze musi zrobić, żebyś zaakceptował fakt, że ona nie jest po twojej stronie?

– Cassie... – Chłopak stara się opanować. – Chcę, żebyś odłożyła broń...

– Nic z tego.

Próbuje być cierpliwy.

– Nie pozwolę, żebyś ją skrzywdziła, Cassie.

– Zombie jest sierżantem – rzuca Sam. – Musisz go słuchać.

Stopnie znowu skrzypią. Ringer zatrzymuje się w połowie schodów. Nie patrzy na mnie. Patrzy na Bena. Przez jedną straszną sekundę mam ochotę zastrzelić oboje, chwycić Sama i Megan i biec tak długo, aż nie będzie już dokąd biec. Kiedy trzeba opowiedzieć się po którejś ze stron, zdecydować,



komu zaufać, i osądzić, co jest prawdą, a co nią nie jest, dociera się do punktu, gdzie rzucenie wszystkiego w cholerę wydaje się najmniej nieznośne. Jak ci, którzy popełniają samobójstwo, człowiek ma po prostu dosyć tego zawracania głowy.

– Już dobrze – mówi Ben do niej albo do mnie, albo do nas obydwu. – Będzie dobrze.

– Niech zostawi broń na schodach – wołam.

Ringer natychmiast rzuca karabin. Dlaczego nie przynosi mi to ulgi? Następnie pokonuje ostatnie schody i siada.

Odkąd pojawili się Przybysze, wielokrotnie miałam ochotę zapytać: „O co chodzi?”, ale chyba jeszcze nigdy nie miałam na to większej ochoty niż teraz.

Po pierwszej rundzie mam wrażenie, że coś mi umknęło, więc proszę Ringer, żeby jeszcze raz wytłumaczyła, tym razem wolniej, z większą liczbą szczegółów i o wiele większą liczbą dowodów.

– Ich tu nie ma – mówi. – Nie jestem nawet pewna, czy są tam. – Wskazuje głową na piwniczny sufit i rozpościerające się nad nami niewidoczne niebo.

– Jak może ich tam nie być? – zastanawia się Ben. Znowu to samo. Ustępuje jej niczym najbardziej nieszczerzy dworzaniń w świetle królowej Ringer. Zaczynam się zastanawiać, czy Ben potrafi poprawnie ocenić czyjś charakter. Od początku wojny dwa razy został postrzelony i to dwa razy przez osobę, która twierdziła, że jest po jego stronie. *Uważaj, Parish, do trzech razy sztuka.*

– Niewykluczone, że statek matka jest całkiem zautomatyzowany – wyjaśnia Ringer. – Oczywiście zbudowały go jakieś czujące istoty, ale sami budowniczy mogli się znajdować lata świetlne stąd... Albo nigdzie.

– Nigdzie? – powtarza Ben.

– Wymarli. Wyginęli.

– Pewnie, czemu nie. – Bawię się przyciskiem zwalniającym zamek mojego M16.

Ben wciąż może jej wierzyć po tym, jak skłamała o Filizance i o tym, gdzie przebywała, i co się z nią tam działo oraz po tym, jak przyprowadziła nam do domu zamachowca, oraz po tym, jak dwa razy go postrzeliła, ale mnie nie obezwładnia jej kobiecy urok, który – tak na marginesie – można by umieścić na łebku od szpilki, a anioły nadal miałyby gdzie wywijać hołubce.

– Kilka tysięcy lat temu znajdują nas ich sondy. Obserwują nas. Czekaają. W pewnym momencie dochodzą do wniosku, że nie jesteśmy dobrzy dla Ziemi ani dla siebie, więc budują statek matkę, napełniają go bombami, dronami i wirusową zarazą, po czym przystępują do unicestwienia dziewięćdziesięciu dziewięciu koma dziewięciu procent populacji za pomocą ludzkich niewolników, którzy od urodzenia mają wyprane mózgi. Bo uważają, że to dla nas lekarstwo, że to jest dla nas dobre...

– Cassie – mówi Ben. – Oddychaj.

– To jeden z możliwych scenariuszy – mówi Ringer spokojnie. – Prawdę mówiąc, ten najbardziej optymistyczny.

Kręcę głową i spoglądam na Sama i Megan skulonych pod dużym kocem w rogu. To nie do wiary, ale zasnęli oparci o siebie głowami, z podbródkami wtulonymi w misia i wyglądają jak żywy obraz, który byłby naprawdę nieopisanie uroczy, gdyby nie stanowił tak rozdzierającego symbolu... cóż, wszystkiego.

– Tak jak twoja teoria o uciszaczach – warczę. – Program komputerowy załadowany w płody, który uruchamia się, kiedy dzieciak zaczyna dojrzewać. Scenariusz.

– Nie. To fakt potwierdzony przez Voscha.

– A, racja. Przez tego szaleńca, który zaaranżował wymordowanie siedmiu miliardów ludzi. No tak, jasne, skoro on to potwierdził, to nie można tego podważać.

– Czy istnieje inny powód, dla którego tak bardzo chciałby dorwać Walkera?

– No nie wiem. Może taki, że Evan zdradził całą swoją cywilizację i jest jedyną osobą na tej planecie, która może ich powstrzymać.

Ringer spogląda na mnie tak, jakbym była jakąś obrzydliwą naroślą na jej szczoteczce do zębów.

– Gdyby chodziło tylko o to, twój chłopak już by nie żył.

– Przecież on może nie żyć. Wkurza mnie to, że twierdzisz, że tak dużo wiesz, chociaż nie wiesz prawie nic. Teorie, scenariusze, możliwości, prawdopodobieństwo i tak dalej. A poza tym musisz wiedzieć jedno... I nie jest to domysł oparty na teorii „Jestem Ringer wszystkowiedząca”. On nie jest moim chłopakiem.

Moją twarz zalewa rumieniec. Myślę o tej nocy, kiedy przybiłam do brzegu Evanlandu i wetknęłam flagę na wyrzeźbionej plaży. Ben coś mówi, ale umyka mi to, bo mój umysł akurat beszta własne myśli. Na przykład tę, że to ja wtykam flagę. Czy nie powinno być to zadanie dla Evana?

– Evan jest człowiekiem – nie odpuszcza Ringer. – Jego cel jest oczywisty. To, co oczywiste nie jest, i to, dlaczego Vosch musi zdekonstruować swoje oprogramowanie, to powody, dla których umysł Evana się zbuntował. On nie zdradził tylko przedstawicieli swojego gatunku. Zdradził siebie samego.

– To wszystko jest porąbane – wzdycha Ben. Opiera ciężar ciała o ścianę i próbuje znaleźć wygodniejszą pozycję. To niemożliwe, kiedy ma się kulę w nodze. Wierście mi, próbowałam. – A więc po uciszaczy nie przylecą żadne kapsuły ewakuacyjne? – pyta powoli. – Nie ma żadnych kapsuł i nie ma sposobu, żeby dostać się na statek matkę. A ponieważ nie można się dostać na statek matkę, nie można go też wysadzić. Ten plan trzeba posłać do diabła. A co z bombardowaniem miast? Może to też kłamstwo, które podpowiedziało mu jego oprogramowanie?

Ringer przez długi czas nie odpowiada. Nie wiem, o czym myśli. Po jakimś czasie zaczyna mi się wydawać, że może to wszystko jest jakimś podstępem... Voscha. Po tym jak Ringer opuściła Hotel Walker, coś jej się stało. Ktoś wszczepił jej sztuczny układ, który zrobił z niej na wpół ludzką, na wpół zautomatyzowaną broń masowego rażenia. Skąd wiemy, że nie przeszła na drugą stronę jak pewien facet we flanelowej koszuli? Skąd wiemy, że zawsze nie była po drugiej stronie?

Mój kciuk znów ląduje na przycisku zwalniania zamka.

– Myślę, że rzeczywiście zbombardują miasta – mówi w końcu.

– Niby dlaczego? – pytam. – Po co?

– Z wielu powodów. Po pierwsze, bombardowanie przygotowuje teren pod nadejście piątej fali.

Walka w przestrzeni miejskiej daje uciszaczom przewagę, a nie można faworyzować zbytnio jednej ze stron. Najważniejsze jest jednak to, że miasta to przechowalnie naszych wspomnień.

Że co? Nagle wszystko pojmuję i zaczyna mnie boleć brzuch. Mój ojciec i ten cholerny wózek, i te cholerne książki. Biblioteki, muzea, uniwersytety, wszystko, co zaprojektowaliśmy i wybudowaliśmy w ciągu sześciu tysięcy lat. Miasta to coś więcej niż zbiór infrastruktur. To coś więcej niż cegły i zaprawa murarska, beton i stal. To miejsca, do których przelana została ludzka wiedza. Wysadzenie ich w powietrze będzie jak ostateczne wyzerowanie zegara i powrót do neolitu.

– Nie wystarczy zredukować populacji do zrównoważonego poziomu – mówi Ringer cicho. – Nie wystarczy zrównać z ziemią tego, co wybudowaliśmy. Znów zaludnimy świat. Odbudujemy to, co nam zniszczono. Aby ocalić planetę i nasz gatunek, muszą zmienić nas. – Dotyka klatki piersiowej. – Tu. Jeśli Przybysze mogą nam odebrać zaufanie, odbiorą nam także umiejętność współpracy. Jeśli odbiorą nam umiejętność współpracy, nasza cywilizacja nie będzie w stanie istnieć.

– W porządku – mówi Ben. Czas dotrzeć do sedna tej brzydkiej sprawy. – Skreśliśmy kapsuły, ale zostawiamy bomby. Co oznacza, że nie możemy tu zostać. Jesteśmy zbyt blisko Urbany. Mnie to pasuje, bo naprawdę nienawidzę tego pieprzonego miasta. A więc dokąd? Na południe? Ja proponuję to rozwiązanie. Musimy znaleźć źródło wody pitnej, kilometry od czegokolwiek, pośrodku pustkowia.

– No i? – pyta Ringer.

– No i co?

– No i co potem?

– Po czym?

– Po tym, jak znajdziemy się pośrodku pustkowia.

Ben unosi rękę i pozwala, żeby opadła. Jego usta wyginają się w uśmiechu. W tej chwili wygląda tak uroczo i chłopięco, że mam ochotę wybuchnąć płaczem.

– Jest nas pięcioro. Możemy założyć zespół.

Wybucham śmiechem. Czasem Ben przypomina orzeźwiający górski strumień, w którym zamacza się stopę.

– Tak czy siak – mówi Ben, a Ringer przez dwie sekundy w osłupieniu się w niego wpatruje. – Co innego możemy zrobić?

Spogląda na nią. A potem na mnie.

– Chryste, Sullivan – jęczy, stukając potylicą w ścianę. – Nawet o tym nie myśl.

– On po mnie wrócił – mówię. Ben zna moje myśli, więc równie dobrze mogę je wypowiedzieć. Oboje jesteśmy zaskoczeni, że przybrały taki tor. – Dwukrotnie uratował życie tobie. A mnie uratował trzy razy.

– Sullivan, Ben ma rację – wtrąca się Ringer. – To samobójstwo.

Przewracam oczami. Już kiedyś słyszałam tę bzdurę – od samego Evana Walkera, kiedy zdał sobie sprawę, że zamierzam wedrzeć się do obozu śmierci i odnaleźć braciszka. Dlaczego zawsze muszę być samotną wyspą pośrodku tego oceanu rozsądku? Dlaczego zawsze muszę odpowiadać „powinniśmy” na „nie powinniśmy” innych? „Zrobię to” na ich „lepiej nie”?

– Pozostanie tutaj także jest samobójstwem – nie odpuszczam. – Podobnie jak ucieczka donikąd. Cokolwiek zrobimy, oznacza to samobójstwo. Znajdujemy się w tym punkcie opowieści, gdzie musimy dokonać wyboru, Ringer. Głęboka, znacząca śmierć lub śmierć pozbawiona sensu. Poza tym –

dorzucam – on by to dla nas zrobił.

– Nie – mówi cicho Ben. – Zrobiliby to dla ciebie.

– Baza, do której go zabierają, znajduje się ponad sto pięćdziesiąt kilometrów stąd – wyjaśnia Ringer. – Nawet jeśli uda wam się do niej dotrzeć, będzie za późno. Vosch zdąży z nim skończyć i Evan będzie martwy.

– Nie wiesz tego.

– Wiem.

– Nie, ty tylko mówisz, że to wiesz, ale tak naprawdę wcale tego nie wiesz, tak jak nie wiesz innych rzeczy, o których twierdzisz, że je wiesz, ale wszyscy mamy ci wierzyć, bo w końcu jesteś taka cholernie bystra.

– Hę? – rzuca Ben.

– Bez względu na to, co zrobimy, nie możemy tu zostać – Ringer zwraca się chłodno do Bena, zachowując się tak, jakbym właśnie jej porządnie nie zdissowała. – Kiedy helikopter dostarczy ładunek, zawróci.

– Ładunek? – powtarza Ben.

– Ma na myśli Evana – tłumaczę.

– Dlaczego miałby..? – Nagle zaczyna rozumieć. Ofiary Ringer pochowane przy drodze. Helikopter wróci po drużynę uderzeniową. – Aha. – Ociera usta wierzchem dłoni. – Cholera.

Tymczasem ja myślę sobie: no jasne, helikopter!, a Ringer mnie obserwuje, pewna, że wie, o czym myślę, co oczywiście jest prawdą, ale co nie dowodzi tego, że zawsze ma rację.

– Zapomnij, Sullivan.

– Niby o czym? – pytam, po czym natychmiast zrzucam maskę niewiniątka. – Ty to zrobiłaś. A przynajmniej tak nam powiedziałaś.

– Co zrobiła? – pyta Ben.

– Wtedy było inaczej – oznajmia Ringer.

– Pod jakim względem?

– Pod takim, że w maszynie nie było pilota. Moja „ucieczka” od Voscha nie była ucieczką, tylko testem dwunastego układu.

– Jeśli to pomoże, teraz też możemy udawać, że to test.

– Udawać, że co jest testem? – Ben jest tak sfrustrowany, że jego głos wszedł o oktawę wyżej. – O czym wy, do diabła, gadacie?

Ringer wzdycha.

– Sullivan chce porwać helikopter.

Ben milknie z otwartymi ustami. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale kiedy znajduje się w

towarzystwie Ringer, inteligencja wycieka z niego jak woda przez durszlak przy odcedzaniu spaghetti.

– Co z nim? – Ringer wskazuje głową na Samsa. – On też leci?

– A czy to twoja sprawa? – pytam.

– Nie zamierzam bawić się w niańkę, kiedy ty będziesz odstawiać Don Kichota.

– Wiesz, rzucanie niejasnymi odniesieniami literackimi mi nie imponuje. I owszem, tak się składa, że wiem, kim jest Don Kichot.

– Dobra, poczekajcie – mówi Ben. – To koleś z *Ojca chrzestnego*, co nie? – Oznajmia to bez mrugnienia okiem, więc nie jestem pewna, czy żartuje. Dawniej spodziewano się, że Ben dostanie stypendium Rhodesa. Serio. – Złożysz Voschowi propozycję nie do odrzucenia?

– Ben może zostać z dziećmiakami – informuję Ringer, jak gdybym to wszystko przemyślała, jak gdybym od miesięcy opracowywała plan uratowania Evana. – A my polecimy. Tylko ty i ja.

Ringer potrząsa głową.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– A dlaczego nie?

Dziewczyna sztywnieje i z niejasnego powodu spogląda na Bena. Ja też na niego zerkam, a on z kolei wpatruje się w podłogę, jak gdyby nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego. *Cóż to za niezwykła twarda powierzchnia pod moimi stopami?*

– To może zrobmy tak... – Nie przestaję próbować. Dlaczego miałabym przestać? Próbuję, ale mi się to nie udaje. – Zapomnij o mnie. I o Evanie. Zrób to dla siebie.

– Dla siebie? – Wydaje się naprawdę zdezorientowana. Ha! W końcu przestała udawać, że wie, o czym myślę.

– On z tobą skończył. To by było na tyle. Jeśli chcesz to zamknąć, to sama musisz do niego przyjść.

Ringer cofa się, jak gdyby ktoś uderzył ją w twarz. Chce udawać, że nie wie, o kim mówię. Nic z tego.

Wyczytałam to z jej twarzy, kiedy opowiadała swoją historię. Słyszałam to w jej głosie. Było tam, pomiędzy jej niezadowolonymi minami i długimi pauzami. Było tam, kiedy wymówiła jego imię i kiedy nie potrafiła się zmusić, by je wypowiedzieć – to on jest powodem, dla którego jeszcze się nie poddała, dla którego wciąż się trzyma, to on jest jej *raison d'être*.

Tym, za co warto zginąć.

– Vosch myśli, że pójdiesz w lewo, więc ty pójdiesz w prawo. Myśli, że uciekniesz, więc ty ruszysz w jego stronę. Nie możesz wykasować tego, co się stało, ale możesz wykasować jego.

– To niczego nie rozwiąże – szepcze.

– Może i nie. Ale on będzie martwy. A to już coś.

Wyciągam rękę. Sama nie wiem, dlaczego. To nie ja powinnam zawierać umowę, bo nie mogę obiecać ostatecznego dostarczenia produktu. W głowie słyszę ćwierkanie tego cichego, racjonalnego, spokojnego, starego, mądrego głosu: „Ona ma rację, Cassie. To samobójstwo. Evan przepadł i tym razem żadnego cudu nie będzie. Daj mu odejść”.

Moje miejsce jest przy Samie. Zawsze tam było. To Sam jest moim *raison d'être*, a nie jakiś cierpiący na urojenia, przeżarty obłędem syn farmera z Ohio. Jezu, jeśli Ringer ma rację, nawet miłość Evana może być elementem jego szaleństwa. Wydaje mu się, że się we mnie zakochał, podobnie jak wydaje mu się, że jest Przybyszem.

Jaka jest więc różnica pomiędzy myśleniem, że kimś się jest, a byciem tym kimś? Czy jakaś różnica w ogóle istnieje?

Czasem nienawidzę swojego mózgu.

– Trupy – głos Ringer stanowi odzwierciedlenie tego wyrazu: jest pusty i odległy. – Przybyłam tu, żeby zabić jedną niewinną osobę. Zabiłam ich pięć. Jeśli wrócę, znów będę zabijać, aż w końcu stracę rachubę. Będę zabijać, aż prowadzenie rachuby przestanie mieć znaczenie. – Nie patrzy na mnie, tylko na Bena. – I to będzie łatwe. – Odwraca się do mnie. – Nie rozumiesz. Jestem tym, co ze mnie zrobił.

Chciałabym, żeby się rozpłakała. Żeby krzyczała, wrzeszczała, machała pięścią, żeby w coś uderzyła, żeby wyła aż do zdarcia gardła. Wszystko byłoby lepsze niż ten pozbawiony emocji, pusty głos, jakim przemawiała. To, co powiedziała, nie pasowało do tego, jak to powiedziała, i to dopiero było przerażające.

– A w końcu i tak poniesiemy porażkę – mówi. – Evan umrze, a Vosch przeżyje.

Mimo to podaje mi rękę.

To najbardziej przerażające z tego wszystkiego.



Na tym etapie Ben dotarł do kresu wytrzymałości zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Nie może dłużej stać i nie rozumie, jak doszło do tego dziwnego, szybkiego zwrotu od „Poznaj zdrajczynię” do „Poznaj moją partnerkę!”. Kuśtykając, zbliża się do schodów i siada, wyciągając przed siebie ranną nogę. Wpatruje się w sufit, gładząc się po podbródku.

– Ringer, może lepiej by było, żebyś rozejrzała się u góry. Może kogoś przegapiłaś.

Dziewczyna kręci głową, a jej błyszczące czarne włosy falują na wszystkie strony. Jedwabista zasłona, obsydianowy blask.

– Nigdy nikogo nie przegapiam.

– Cóż, w takim razie sprawdź, czy nie pojawił się ktoś nowy.

– Na przykład kto?

Ben powoli odwraca głowę w jej kierunku.

– Źli ludzie.

Ringer spogląda na mnie i kiwa głową. Omija Bena, a w połowie schodów zatrzymuje się, żeby podnieść karabin. Słyszę, jak szepcze: „Nie rób tego”, po czym znika nam z oczu.

„Nie rób tego”?

– Co się między wami dzieje? – pytam.

– O czym ty mówisz?

– Te spojrzenia. A teraz to jej: „Nie rób tego”.

– To nic takiego, Cassie.

– Przez „nic takiego” rozumiałabym brak tego typu spojrzeń i tekstów.

Wzrusza ramionami i spogląda w górę schodów na dziurę, gdzie kiedyś stał dom i gdzie widać teraz bezchmurne niebo.

– Nie mam tam wstępu – mówi. Uśmiecha się zawstydzony, że powiedział coś głupiego. – Bez względu na to, jak dobrze się kogoś zna, zawsze jest coś, czego nie poznasz. Nie da się. Nigdy. Pokój zamknięty na klucz. Sam nie wiem. – Kręci głową, nagle parskając, ale jego śmiech prawie natychmiast gaśnie.

– Ringer przypomina raczej Luwr, gdzie wszystkie komnaty są pozamykane – zauważam.

Ben podciąga się i kuśtyka w moją stronę, podpierając się karabinem. Kiedy jest już blisko, jego twarz wygląda niczym studium wyczerpania i bólu. Proszę bardzo. Parish prawie wylizał się z

poprzedniej rany zadanej mu przez Ringer, więc ona funduje mu następną. Trzeba podtrzymać tę passę.

– Czyś ty zwariowała? – pyta.

– A jak myślisz?

– Myślę, że tak.

– Skąd wiesz? – Jestem pewna, że nie zrozumie mojego pytania.

– Cassie Sullivan, którą znałem, nigdy nie opuściłaby swojego braciszka.

– Może nie jestem tą Cassie Sullivan, którą znasz.

– Czyli zamierzasz go zostawić...

– Z tobą.

– Może nie zauważyłaś, ale chronienie innych idzie mi dość beznadziejnie.

– Tu nie chodzi o ciebie, Parish.

Ben zsuwa się po ścianie i siada obok mnie. Nabiera kilka haustów powietrza.

– Koniec ze ściemą, okej? Ona nie dotrze do Voscha, a ty do Evana. To koniec. Czas na następną część.

– Jaką następną część?

– Mówię o nich. – Wskazuje na Sammy'ego i Megan skulonych pod kocem. – Zawsze chodziło o nich, już od pierwszego dnia. Wróg zawsze to wiedział. Najsmutniejsze i najdziwaczniejsze w tym wszystkim jest to, że my tak łatwo zapomnieliśmy.

– Ja nie zapomniałam – mówię mu. – Jak myślisz, po co chcę się tam dostać? Tu nie chodzi o Evana Walkera. Ani o ciebie, ani o mnie. Jeśli Ringer ma rację, Evan jest naszą ostatnią nadzieją. – Spoglądam na anielską twarzyczkę mojego brata pogrążoną we śnie. – Je go ostatnią nadzieją.

– W takim razie to ja polecę z Ringer. Ty zostań tutaj.

Kręcę głową.

– Jesteś poraniony. Ja nie.

– Bzdura. Mogę się poruszać...

– Nie mówię o twojej nodze.

Przysuwa się do mnie. Mięśnie jego żuchwy się zaciskają.

– To nie fair, Cassie.

– Nie myślę o tym, co jest fair. Nie o to tu chodzi. Chodzi o prawdopodobieństwo. I ryzyko. Chodzi o to, żeby mój braciszek doczekał następnego Bożego Narodzenia. Byłoby super, gdybym mogła to na kogoś zwalić, ale jestem ostatnia, Parish. Zostałam tylko ja. Bo ja wciąż tam jestem, Ben, pod tym samochodem na autostradzie... Nigdy spod niego nie wyszłam, nigdy nie wstałam. Wciąż czekam na to, aż przyjdzie po mnie zły. A jeśli teraz zacznę uciekać, dokądkolwiek bym pobiegła, on

mnie znajdzie. Znajdzie Sama. – Wyjmuję misia spod koca i przytulam go do piersi. – Nie obchodzi mnie to, czy Evan Walker jest kosmitą, człowiekiem czy hybrydą. Może sobie nawet być cholerną rzepą. Nie obchodzi mnie twój balast ani balast Ringer, a już na pewno nie mój własny. Świat istniał na długo przed tym, zanim pojawił się ten konkretny zbiór siedmiu miliardów miliardów atomów, i wciąż będzie istniał, kiedy zostaną rozproszone.

Ben wyciąga rękę i dotyka mojego mokrego policzka. Odpycham go.

– Nie dotykaj mnie. – Ty eks-Benie. Benie-którym-nie-będziesz.

– Posłuchaj, Cassie. Nie jestem twoim szefem ani ojcem. Nie mogę cię powstrzymać, podobnie jak ty nie mogłaś mnie powstrzymać przed wyprawą do jaskiń.

Wtulam twarz w wyliniałą główkę misia. Pachnie dymem, potem, brudem i moim braciszkiem.

– On cię kocha, Ben. Chyba nawet bardziej niż mnie. Ale to...

– Nieprawda, Cassie.

– Nie przerywaj mi. Wiedz, że strasznie mnie to wkurza. Chciałabym po prostu coś powiedzieć.

– Dobra.

– Jest coś, co chciałabym powiedzieć.

– Słucham.

Odwracam wzrok. Spoglądam w pustkę. Głęboki oddech. *Nie mów tego, Cassie. Jaki to ma teraz sens?* Nie ma żadnego. Może to po prostu coś, co oboje musimy zrozumieć.

– Kochałam się w tobie od trzeciej klasy – szepczę. – Wypisywałam twoje imię w zeszytach. Obrysowywałam je serduszkami. Ozdabiałam kwiatkami. Głównie stokrotkami. Śniłam na jawie, ale nikt o tym nie wiedział. Oprócz mojej przyjaciółki, która nie żyje. Jak wszyscy inni. – Odwracam wzrok. Spoglądam w pustkę. – Ale każde z nas żyło własnym życiem. Równie dobrze mógłbyś mieszkać w Chinach. Kiedy pojawiłeś się nagle w obozie Sammy’ego, wydawało mi się, że to coś znaczy. Bo przeżyłeś, choć powinieneś być umrzeć, i ja żyłam, choć powinnam była umrzeć, i oboje opiekowaliśmy się Samem, który także powinien był umrzeć. Myślałam, że to zbyt wiele zbiegów okoliczności, by można je było nazwać zbiegiem okoliczności. Ale tak właśnie było. To zwyczajny zbieg okoliczności. Nie ma żadnego boskiego planu. Niczego nie zapisano nam w gwiazdach. Nie ma w tym żadnego przeznaczenia. Jesteśmy przypadkowymi ludźmi zamieszkującymi przypadkową planetę w przypadkowym wszechświecie. I nic w tym złego. Tym siedmiu miliardom miliardów atomów to pasuje.

Przyciskam usta do brudnej główki pluszaka. Super, że istoty ludzkie podbiły Ziemię, wymyśliły poezję i matematykę, i silnik spalinowy, odkryły, że czas i przestrzeń są względne, zbudowały małe i duże maszyny, które transportowały nas na Księżyc po odrobinę kamieni oraz do McDonalda na truskawkowo-bananowe smoothie. Świetnie, że rozszczepiliśmy atom i że obdarowaliśmy Ziemię internetem, smartfonami i oczywiście wysięgnikami do robienia selfie.

Ale naszym największym, najwspanialszym osiągnięciem i jedyną rzeczą, o jakiej, mam nadzieję, nigdy nie zapomnimy, jest to, że napchaliśmy poliestrem anatomicznie niepoprawną, kreskówkową wersję najniebezpieczniejszego drapieżnika, jakiego można spotkać w naturze, tylko po to, by pocieszyć dziecko.

Czeka nas sporo przygotowań. Musimy opracować szczegóły. Przede wszystkim potrzebuję munduru. Ben siedzi z dziećmi, podczas gdy Ringer i ja odkopujemy ciała. Najniższy rekrut ma na sobie mundur we właściwym rozmiarze, ale z tyłu kurtki zieje dziura po kuli. Trudno mi to będzie wytłumaczyć. Ringer wyciąga kolejne ciało w brudnych, ale nierozzerwanych kulami i prawie niesplamionych krwią ciuchach. Wyjaśnia, że rozwaliła temu dzieckowi czaszkę dwudziestocalową felgą. Zapewnia, że nic nie poczuł. Niczego się nie spodziewał. W porządku. Ściska mnie w gardle. W porządku. Przebieram się tuż przy drodze pod nagim niebem. Ha. Nagie niebo. A nade mną Kasjopeja przykuta do tronu przygląda się, jak jej imienniczka obnaża siebie i martwego chłopca. Przyłapuję Ringer na tym, że na niego patrzy, a jej twarz jest jeszcze bledsza niż zazwyczaj. Podążam za jej wzrokiem ku ramieniu dziecka, na którym w blasku gwiazd połyskują nieforemne strupy. Co to jest? Litery?

– Co to? – pytam, podwijając nogawki. Są o co najmniej dziesięć centymetrów za długie.

– To po łacinie – odpowiada. – Ten skrót oznacza „zwycięża, kto wytrwa”.

– Dlaczego on ma to wycięte na ręce?

Kręci głową i dotyka własnego przedramienia. Myśli, że tego nie zauważam.

– Ty też masz takie, prawda?

– Nie. – Klęka przy chłopcu, ściskając w dłoni jego nóż.

Robi nacięcie wzdłuż cienkiej blizny na jego karku i ostrożnie wydobywa z rany urządzenie naprowadzające.

– Proszę. Włóż to do ust.

– Chyba sobie jaja robisz.

Ringer umieszcza implant w zaokrąglonej dłoni i spluwa na niego. Obtacza kulkę wielkości ryżu w ślinie, żeby obmyć ją z krwi.

– Lepiej?

– Pod jakim względem teraz miałyby być lepiej?

Chwyta moją dłoń i wkłada do niej śliską kulkę.

– W takim razie sama ją wyczyść.

Zawiązuję buty, podczas gdy ona nacina kark kolejnego dziecka, wyławia implant czubkiem noża, po czym wsuwa ostrze do ust. Jest w tym geście coś tak realnie pierwotnego, że słyszę w głowie

echo jej słów: „Jestem tym, co ze mnie zrobili”.

Przygotowania. Szczegóły. Potrzebuję sprzętu, ale tylko takiego, który zmieści się w kieszeni munduru. Dodatkowe magazynki do karabinu i pistoletu, nóż, mała latarka, kilka granatów, dwie butelki wody i, po naciskach Bena, trzy batoniki energetyczne. Parish miał jakąś dziwną, napakowaną przesadami wiarę w batoniki energetyczne, która była totalnie bzdurna, w odróżnieniu od mojej wiary w moc pluszowych misiów.

– A jeśli się mylisz? – pytam Ringer. – Jeśli nikt nie wróci po tych żołnierzach?

Wzrusza ramionami.

– Będziemy w dupie.

Jest taka pogodna i radosna. Istny promyczek. Budzę Sama i Megan i każę im coś zjeść, podczas gdy Ben i Ringer są na zewnątrz i przygotowują się do ataku. Coś się między nimi dzieje. Coś przede mną kryją. Zaczynam żałować, że nie potrafię czytać w myślach jak Evan. Zanurzyłabym się w głowie Bena Parisha i dotarłabym do prawdy. Wydawało mi się, że tym argumentem obalę teorię Ringer o tym, że „uciszczacie się takimi samymi ludźmi jak my, tylko bardziej”. Jakim cudem dusza Evana dostała się do mojej i z nią połączyła? Aby zrozumieć jej odpowiedź, musiałabym mieć dyplomy z robotyki, bioniki i fizyki elektromagnetycznej. Procesor wszczepiony do mózgu Evana interpretuje moje biologiczne sprzężenie zwrotne, tworząc informacyjną pętlę, w której moje dane mieszały się z jego. Bła, bla, bla. Nauka jest naprawdę super, ale dlaczego wysysa ze świata całą radosną tajemnicę? Może i miłość to tylko złożone interakcje pomiędzy hormonami, uwarunkowane zachowanie i pozytywna motywacja, ale spróbujcie napisać o tym wiersz.

Przygotowania. Szczegóły.

Opowiadam Samowi i Megs o naszym planie. Sammy w to wchodzi. I chociaż wolałby infiltrować bazę, przynajmniej spędzi trochę czasu ze swoim ukochanym Zombie'em. Megan nic nie mówi i obawiam się, że w krytycznym momencie wszystko udaremni. Nie można jej jednak winić. Kiedy ostatnim razem zaufała dorosłym, wepchnęli jej do gardła bombę.

Zostawiam Samowi misia dla bezpieczeństwa – i misia, i jego samego. On wręcza go Megan. Jezu. Jest już za duży na pluszaki. Jak dzieci szybko rosną.

Każę im wziąć koce. Dla każdego – oprócz Ringer – po jednym. A teraz trzeba jeszcze tylko ostatni raz wspiąć się po schodach. Ujmuję rękę Sammy'ego, on bierze za rękę Megan, a ona misia, po czym wszyscy razem wychodzimy na powierzchnię. Schody jęczą i trzeszczą. Mogą runąć.

My nie.



## Zombie

Obserwuję Ringer niosącą dwa ostatnie ciała do wnęki w dawnym warsztacie, po jednym pod każdym ramieniem. Wiem, jakim sposobem jest to możliwe, a jednak dziwnie się na to patrzy. Czekałam na nią przy pustym grobie. Nie wraca. No ładnie. I co teraz?

W warsztacie unosi się zapach benzyny i smaru, który przywodzi na myśl przeszłość. Zanim pojawił się Zombie, był sobie chłopak zwany Benem Parishem, który w niedzielne popołudnia grzebał ze swoim starszym wujkiem w samochodach – ostatnim z nich był wiśniowy chevrolet corvette z 1969 roku. Auto dostał na siedemnaste urodziny od ojca, faceta, którego nie było stać na taki wóz i który udawał, że to prezent dla jedyne go syna, chociaż obaj znali prawdę. Urodziny Bena były wymówką, żeby kupić samochód, a samochód był wymówką, żeby spędzić trochę czasu z synem, podczas gdy wskazówki zegara odmierzały czas do rozdania świadectw, college’u, potem wnuków, potem domu spokojnej starości, a potem grobu. Grób niespodziewanie wysunął się na prowadzenie, znalazł się jednak za samochodem. Przynajmniej przez kilka niedzielnych popołudni mieli samochód.

Ułożyła swoje ofiary jedną obok drugiej pośrodku wnęki i każdej skrzyżowała ramiona na piersi. Samej Ringer nigdzie nie widać. Przez chwilę panikuję. Za każdym razem, kiedy spodziewam się, że pójdzie w prawo, ona robi unik w lewo. Przenoszę ciężar ciała na zdrową nogę i przekładam karabin z ramienia do ręki.

Z głębokiego cienia na tyłach budynku wydobywa się ciche skomlenie przerywane pociąganiem nosa. Kuśtykam wzdłuż rzędów skrzynek na narzędzia i między beczkami na ropę, za którymi ją znajduję. Siedzi oparta o ścianę z pustaków, przyciągając kolana do piersi.

Nie mogę tak stać. To za bardzo boli. Siadam obok niej. Wyciera policzki. Pierwszy raz widzę płaczącą Ringer. Nigdy nie widziałem jej uśmiechu i pewnie nigdy go nie zobaczę, ale teraz mogę powiedzieć, że widziałem jej łzy. To pokręcone.

– Nie miałaś wyboru – mówię jej. Wykopanie tych ciał musiało być dla niej trudne. – Poza tym im jest już wszystko jedno, prawda?

Kręci głową.

– Zombie...

– Mamy jeszcze czas, Ringer. Możemy to odwołać. Sullivan nie da sobie rady bez ciebie.

– Nie musiałyby tego robić, gdybyś nie zasłonił Walkera.

– Może bym go nie zasłonił, gdybyś okazała mi zaufanie i powiedziała prawdę.

– Prawdę – powtarza.

– Powinnaś się raczej skupić na „zaufaniu”.

– Ufam ci, Zombie.

– Dziwnie to okazujesz.

Kręci głową. *Ten głupi Zombie, znowu się myli.*

– Wiem, że nikomu nie powiesz.

Wyciąga nogi, a z klatki piersiowej na uda spada jej plastikowy pojemniczek. W środku chlupocze jaskrawozielona substancja. To butelka z płynem chłodzącym.

– Jedna nakrętka powinna wystarczyć – jej głos jest tak cichy, że chyba nie mówi do mnie. –

Dwunasty układ mnie ochroni. Mnie...

Zabieram pojemnik z jej kolan.

– Cholera jasna, Ringer. Chyba jeszcze tego nie wypiałś?

– Oddaj mi to, Zombie.

Wypuszczam wstrzymywany oddech. Rozumiem, że nie.

– Opowiedziałaś mi o tym, co się stało, ale nie mówiłaś, jak do tego doszło.

– No wiesz. – Macha ręką w powietrzu. – Normalnie.

Okej. Sam chciałem.

– Miał na imię Brzytwa. – Marszczy brew. – Nie. Miał na imię Alex.

– To ten rekrut, który zastrzelił Filiżankę...

– Dla mnie. Żebym mogła uciec.

– To on pomógł Voschowi cię zrobić.

– Tak.

– A potem Vosch was spiknął.

Spogląda na mnie tym swoim niewzruszonym wzrokiem.

– Co masz na myśli?

– Vosch zostawił cię z nim tamtej nocy. Musiał wiedzieć... Brzytwa miał... Że zostawienie was samych może doprowadzić do...

– To idiotyczne, Zombie. Gdyby Voschowi przeszło to przez myśl, nigdy nie postawiłby Aleksa na warcie.

– Jak to?

– Bo miłość to najniebezpieczniejsza broń na ziemi. Bardziej niestabilna niż uran.

Przełykam ślinę. Mam sucho w gardle.

– Miłość.

– Tak, miłość. Czy teraz mi to oddasz?

– Nie.

– Mogę ci to odebrać.

Spogląda na mnie z odległości nie większej niż na wyciągnięcie pięści, a jej oczy są tylko odrobinę jaśniejsze niż otaczająca je ciemność.

– Wiem o tym.

Sztywniej. Mam wrażenie, że mogłaby mnie pozbawić przytomności kiwnięciem palca.

– Chcesz wiedzieć, czy go kochałam. Chcesz mnie o to zapytać – mówi.

– To nie moja sprawa.

– Nikogo nie kocham, Zombie.

– W porządku. Jesteś jeszcze młoda.

– Przestań. Przestań się starać mnie rozśmieszyć. To okrutne.

W brzuchu czuję obracający się nóż. Towarzyszy mi tak ogromny ból, że rana w nodze to przy nim użądlenie komara. Z jakiegoś powodu, ilekroć przebywam w obecności tej dziewczyny, pojawia się ból, nie tylko fizyczny. Znam już oba rodzaje i zdecydowanie wolałbym być kilkanaście razy postrzelony, niż żeby ktoś rozdzierał moje serce na pół.

– Dupek z ciebie – informuje mnie. Odkręca pojemnik z płynem. – Zawsze tak uważałam. – Napełnia nakrętkę do połowy. Płyn migocze jaskrawą zielenią. To ich kolor. – Do tego właśnie doprowadzili, Zombie. Oto świat, który stworzyli. Świat, w którym dawanie życia jest okrutniejsze niż jego odbieranie. Zachowuję się miłosiernie. Mądrze.

Unosi nakrętkę do ust. Jej dłoń drży. Jasnozielony płyn przelewa się przez krawędź i spływa po jej palcach. A w jej oczach panuje taka sama ciemność, jaka zalewa moje wnętrze.

Kiedy łapię ją za nadgarstek, nie wykręca się. Nie atakuje mnie i nie urywa mi głowy. Kiedy zmuszam ją, by opuściła rękę, prawie się nie opiera.

– Zgubiłam się, Zombie.

– Znajdę cię.

– Nie mogę się ruszać.

– Wezmę cię na rękę.

Przechyliła się i opiera o mnie bokiem. Otaczam ją ramieniem. Obejmuję twarz dłonią. Przeczesauję palcami jej włosy.

Ciemność opada. Nie potrafi się utrzymać.

Zmierzamy właśnie z powrotem do dziury, kiedy Cassie i dzieciaki wyłaniają się z piwnicy zdemolowanej kryjówki, niosąc koce.

– Zombie – woła Nugget. Biegnie w naszą stronę, a stos koców podskakuje w jego ramionach. Zatrzymuje się, kiedy udaje mu się spojrzeć Ringer w twarz. Od razu wie, że coś jest nie tak. Tylko psy potrafią odczytywać wyrazy twarzy lepiej niż małe dzieci.

– Co się dzieje, szeregowy? – pytam.

– Cassie nie pozwala mi nosić broni.

– Pracuję nad tym.

Krzywi się. Nie wierzy mi. Szturcham go pięścią w ramię i dodaję:

– Najpierw muszę pogrzebać Ringer. Potem pogadamy o broni.

Zbliża się Cassie, na wpół prowadząc, a na wpół ciągnąc Megan za nadgarstek. Mam nadzieję, że dobrze ją trzyma. Coś mi mówi, że jeśli ją puści, dziewczynka rzuci się do ucieczki. Ringer gwałtownie odwraca głowę w stronę warsztatu – tam – i mówi:

– Helikopter będzie za dziesięć minut.

– Skąd wiesz? – pyta Sullivan.

– Słyszę go.

Cassie rzuca mi znaczące spojrzenie i unosi brew. *Załapałeś? Powiedziała, że go słyszy.* Podczas gdy wszyscy inni słyszą tylko wiatr hulający po ogołconych polach.

– Po co wam ten wąż? – pyta mnie.

– Żeby nie straciła przytomności ani się nie udusiła – odpowiada Ringer.

– Myślałam, że zostałaś... Jak ty to mówisz...? Ulepszona.

– Bo to prawda. Ale wciąż potrzebuję tlenu.

– Jak rekin – rzuca Cassie.

Ringer kiwa głową.

– Właśnie tak.

Sullivan prowadzi dzieciaki do warsztatu. Ringer wskakuje do dziury i kładzie się na plecach. Podaję jej upuszczony karabin. Kręci głową.

– Zostaw go tam.

– Jesteś pewna?

Kiwa głową. Jej twarz skąpana jest w świetle gwiazd. Wstrzymuję oddech.

– Co jest? – pyta.

Odwracam wzrok.

– Nic.

– Zombie.

Odchrząkuję.

– To nic takiego. Po prostu pomyślałem... Przez chwilę... Przeszło mi przez myśl...

– Zombie.

– Dobra. Jesteś piękna. Tyle. To znaczy... Chciałaś wiedzieć...

– Robisz się sentymentalny w najdziwniejszych momentach. Wąż.

Rzucam jej jedną końcówkę. Zaciska wargi na wylocie węża i unosi kciuki.

Słyszę helikopter – na razie jego dźwięk jest cichy, ale przybiera na sile. Zrzucam ziemię, zmiotam ją prawą ręką do dziury, lewą wciąż trzymając wąż. Ringer nie musi nic mówić. Widzę to w jej oczach. *Pospiesz się, Zombie.*

Przyprawiający o mdłości odgłos ziemi uderzającej o jej ciało. Postanawiam nie patrzeć. Grzebiąc ją, spoglądam w niebo i ściskam wąż tak mocno, że kostki dłoni bieleją. Przez myśl przechodzi mi nieskończona liczba rzeczy, które mogą pójść nie tak. A jeśli na pokładzie tego helikoptera znajduje się cały oddział? A jeśli nie przyleciał jeden black hawk, tylko dwa? Albo trzy lub cztery? A jeśli, a jeśli, a jeśli, a jeśli, a jeśli, a jeśli, a niech to.

Nie zdążę wrócić do warsztatu. Ringer jest już całkiem pod ziemią, ale ja znajduję się na widoku z przestreloną nogą i muszę jeszcze pokonać kilkaset metrów, zanim nadleci helikopter – jego sylwetka rysuje się już na tle rozgwieżdżonego nieba niczym czarne zero na połyskującej bieli. Jeszcze nigdy nie próbowałem biec z kulą w nodze. Nigdy nie musiałem. Cóż, zawsze jest ten pierwszy raz.

Nie docieram zbyt daleko. Przebiegam może czterdzieści pięć, pięćdziesiąt metrów. Potykam się i ląduję twarzą w ziemi. Dlaczego to nie Cassie zakopała Ringer? Lepiej by było, żebym to ja schował się z dzieciakami, poza tym Sullivan na pewno podchwyciłaby ten pomysł.

Podnoszę się na nogi. Stoję pionowo może przez pięć sekund, po czym znowu upadam. Jest już za późno. Na pewno widzą mnie już w podczerwieni.

Słyszę tupot biegnących w moją stronę butów. Para rąk podnosi mnie do góry. Cassie przekłada sobie moje ramię przez bark i ciągnie mnie naprzód, podczas gdy ja próbuję unosić chorą nogę, podskakiwać na zdrowej, unosić chorą, podskakiwać na zdrowej, ale to ona przyjmuje na siebie największy ciężar. Komu potrzebny dwunasty układ, kiedy ma się serce takie jak Cassie Sullivan?

Wpadamy do wnęki warsztatu, a Cassie narzuca na mnie koc. Dzieciaki są już zakryte, a ja krzyczę:

– Jeszcze nie! – Ciepło ich ciał zgromadzi się pod pledem i wszystko weźmie w łeb.

– Czekaście na mój znak – przykazuję im, po czym zwracam się do Cassie: – Uda ci się.

To niewiarygodne, ale dziewczyna uśmiecha się do mnie i kiwa głową.

– Wiem.

## Cassie

– Teraz! – krzyczy Ben, prawdopodobnie za późno. Helikopter przelatuje nad nami z hukiem. Nurkujemy pod koce i zaczynamy odliczanie.

„Skąd będę wiedzieć, że to już?“, zapytałam Ringer. „Po dwóch minutach“. „Dlaczego po dwóch?“. „Jeśli nie uda nam się to po dwóch minutach, nie uda nam się w ogóle“. Co to miało znaczyć? Nie pytałam, ale zaczynałam podejrzewać, że dwa to po prostu cyfra z dupy, którą sobie wymyśliła. Mimo to zaczynam liczyć... Pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt dziewięć, sześćdziesiąt... Stary koc cuchnie pleśnią i szczurzymi sikami. Nic nie widzę. Słyszę tylko helikopter, który brzmi tak, jakby znajdował się pół metra dalej. Czy już wylądował? Czy wysłano już specjalną drużynę, żeby sprawdziła tajemniczy kopczyk ziemi podejrzanie przypominający grób? Pytania spowijają krajobraz mojego umysłu niczym skradająca się mgła. Trudno myśleć, kiedy się liczy... Może dlatego to takie doskonale lekarstwo na bezsenność.

... dziewięćdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt trzy, dziewięćdziesiąt cztery...

Trudno mi się oddycha. Może dlatego, że stopniowo zaczynam się dusić.

Mniej więcej przy siedemdziesiątej piątej sekundzie silnik helikoptera przycicha. Nie gaśnie, ale jego ton i głośność opadają. Wylądował? Przy dziewięćdziesiątej piątej sekundzie huk silnika znowu przybiera na sile. Zostać tu, aż miną przypadkowe dwie minuty Ringer, czy słuchać tego mądrego głosiku wrzeszczącego mi do ucha: „Teraz! Biegnij, biegnij, biegnij!”?

Przy dziewięćdziesiątej siódmej sekundzie zrywam się do biegu.

Kiedy wydostaję się ze swojego wełnianego kokonu, świat zdaje się oślepiająco jasny.

Przez drzwi, ostro w prawo, potem pola, drzewa, gwiazdy, droga, w końcu helikopter. Dwa metry od ziemi. I wznoszący się do góry.

Cholera.

Obok dołu Ringer, przy rozdartej ziemi dostrzegam wirujący cień. I kolejny cień, który dla odmiany porusza się tak wolno, że zdaje się nie poruszać wcale. Ringer złapała ekipę poszukiwawczą w pułapkę. *Sayonara, frajerzy!*

Rzucam się biegiem do śmigłowca, zawartość kieszeni munduru ciąży mi tak, że mam wrażenie, iż niosę cegły, karabin obija mi się o plecy, niech to szlag, jest już za daleko i szybko się unosi. *Zatrzymaj się, Cassie, zatrzymaj się, nie zdążysz na czas, trzeba wdrożyć plan B.* Tylko że my nie

mamy planu B. Dwie minuty, tak, Ringer? Jeśli jesteś taktycznym mózgiem tej operacji, to mamy przerabane. Przestrzeń pomiędzy mną a helikopterem się kurczy, podczas gdy nos maszyny lekko nurkuje. *Jak dobrze radzisz sobie z podróżowaniem w pionie, Sullivan?*

Skaczę. Czas się zatrzymuje. Helikopter zawisa niczym dziecięca karuzela nad moim rozciągniętym ciałem – obciągnęłam nawet palce – i nie słyszę już niczego poza odgłosem powietrza mielonego przez śmigła, które unoszą maszynę i spychają mnie w dół.

Była sobie mała dziewczynka – już jej nie ma – o chudych ramionach i patykowatych nogach oraz głowie pokrytej sprężystymi rudymi lokami, a także (bardzo prostym) nosie i o wyjątkowym talencie, o którym wiedzieli tylko ona i jej tatuś.

Umiała latać.

Moje rozciągnięte palce uderzyły o skraj otwartego wylazu. Wyczuwam coś zimnego i metalicznego, i łapię za to obiema dłońmi, podczas gdy maszyna wznosi się pionowo do nieba, a ziemia oddala się od moich wierzgających nóg. Pięćdziesiąt metrów w górę, sto, kołyszę się we wszystkie strony, próbując zarzucić nogę na platformę. Dwieście metrów, dwieście pięćdziesiąt i moja prawa ręka się ześlizguje, trzymam się teraz tylko jedną, a hałas mnie ogłusza, więc nie słyszę własnych wrzasków. W dole dostrzegam warsztat i stojący po przeciwnej stronie ulicy dom, a przy drodze czarną smugę w miejscu, w którym dawniej znajdował się dom Grace. Skąpane w świetle gwiazd pola i lasy lśnią srebrzystoszaro, a droga rozciąga się od jednego krańca horyzontu po drugi.

Spadnę. Przynajmniej będzie szybko. Plasnę o ziemię jak robal o przednią szybę samochodu. Moja lewa ręka się ześlizguje. Kciuk oraz palce mały i serdeczny zawisają w powietrzu. Trzymam się helikoptera dwoma palcami. Po chwili i one się ześlizgują.



Okazuje się, że jednak można usłyszeć swój krzyk poprzez huk turbinowych silników śmigłowca.

Co więcej, nieprawdą jest, jakoby tuż przed śmiercią życie przelatywało człowiekowi przed oczami. Jediną rzeczą, jaka przeleciała mi przed oczami, były oczy misia, niewzruszone, bezdenne, pozbawione emocji, a jednocześnie tak ich pełne.

Powinnam spadać kilkaset metrów. Spadam niecały jeden i zatrzymuję się tak gwałtownie, że ramię prawie wyrywa mi się ze stawu. Nie chwyciłam niczego, co przerwałoby lot. Ktoś mnie złapał, a teraz ten ktoś wciąga mnie na pokład.

Czyjeś ręce rzucają mnie na podłogę luku helikoptera. Pierwsza myśl to: żyję!, a potem już tylko: umrę!, bo ten, kto mnie uratował, stawia mnie na nogi, a ja mam do wyboru trzy reakcje, właściwie cztery, jeśli doliczyć pozorną opcję złapania za broń, bo strzelanie z broni w środku metalowego kokonu śmigłowca to bardzo zły pomysł.

Mam pięści, gaz pieprzowy schowany w jednej z dwudziestu dziewięciu milionów kieszeni nowego munduru oraz największą, najbardziej przerażającą broń z arsenału Cassie Sullivan – swoją głowę.

Obracam się gwałtownie i wbijam czoło w sam środek twarzy: trzask złamanego nosa, po czym pojawia się krew. Dużo krwi, cały gejzer, ale to by było na tyle, jeśli chodzi o efekt mojego ciosu. Dziewczyna nie cofa się ani o centymetr. Nawet nie mruga. Została... Jakiego słowa użyła, żeby opisać tę potworną, przerażającą procedurę, którą zafundował jej Vosch? Ulepszona.

– Spokojnie, Sullivan – mówi Ringer, obracając głowę, by wypluć glut krwi wielkości piłeczki do golfa.

## Ringer

Popycham Sullivan na miejsce i krzyczę jej do ucha:

– Szykuj się. Zaraz stąd zjeżdżamy!

Nie odpowiada, tylko tępo wpatruje się w moją zakrwawioną twarz. Tętnice są kauteryzowane przez nanoroboty pływające w moim krwiobiegu, receptory bólu zostały odcięte przez procesor. Może i wyglądam fatalnie, za to czuję się świetnie.

Omijam ją, wchodzę do kokpitu i opadam na fotel drugiego pilota. Mężczyzna od razu mnie rozpoznaje.

To porucznik Bob. Ten sam porucznik Bob, któremu złamałam palec w czasie „ucieczki” z Brzytwą i Filizanką.

– Cholera! To ty! – wrzeszczy.

– Powstałam z grobu – oznajmiam i jest to najprawdziwsza prawda. Wskazuję palcem na podłogę.  
– Ląduj!

– Pierdol się!

Reaguję bez zastanowienia. Procesor decyduje za mnie – to właśnie w dwunastym układzie przeraża mnie najbardziej. Sama już nie wiem, gdzie kończy się on, a gdzie zaczynam ja. Nie jestem ani prawdziwym człowiekiem, ani prawdziwą kosmitką, nie jestem ani jednym, ani drugim, coś się we mnie naderwało, coś pękło.

Dopiero po jakimś czasie uświadamiam sobie błyskotliwość całego planu: najcenniejszym zasobem pilota jest jego wzrok.

Zrywam kask z jego głowy i wpycham mężczyźnie kciuk w oko. Pilot wierzga nogami i podrywa rękę, żeby złapać mnie za nadgarstek, a dziób śmigłowca opada. Przechwytyuję jego dłoń i przenoszę ją z powrotem na drążek, wlewając w niego swoją świadomość: panikę zastępuję rozluźnieniem, strach spokojem. Ból ukojeniem.

Wiem, że nie zachowa się jak kamikaze, bo nie jest w stanie nic przede mną ukryć. Znam jego pragnienia, którym zaprzeczyłby nawet przed samym sobą, ale pragnienia śmierci w nim nie ma.

Niewątpliwie porucznik Bob ma też świadomość, że potrzebuje mnie żywej.

Okazuje się, że kilka miesięcy temu Zombie miał rację. Sanktuaria przepadły w czasie apokalipsy, ale jaskinie z West Liberty były teraz rewelacyjne.

Nic dziwnego, że ksiądz uciszacz uznał je za swój teren.

Litry wody pitnej. Cała komnata pełna suchego prowiantu i konserw. Zaopatrzenie medyczne, pościel, puszki paliwa grzewczego, nafty i benzyny. Ubrania, narzędzia i dość broni oraz materiałów wybuchowych, by wyposażyć niewielką armię. Idealna kryjówka, którą można by nawet nazwać przytulną, pod warunkiem, że zignoruje się panujący tam zapach.

Tutejsze jaskinie cuchnęły krwią.

Najgorsza była największa komnata. Ukryta głęboko pod ziemią i wilgotna, niemal pozbawiona wentylacji. Ani ten zapach, ani sama krew nie miały możliwości się stamtąd wydostać. W świetle naszych latarek kamienna podłoga wciąż połyskuje szkarłatną czerwienią.

To tu odbyła się rzeź. Albo fałszywy ksiądz pozbierał wszystkie łuski, albo rozplątał swoje ofiary jedną po drugiej. Pod ścianą natykamy się na śpiwór, stos książek (w tym wysłużoną Biblię), lampę naftową, torbę z przyborami toaletowymi i kilkoma różańcami.

– Ze wszystkich miejsc, w których mógł się rozłożyć, wybrał to – sapie Zombie. Przyciska do twarzy kawałek szmatki, żeby nie czuć wiszącego w powietrzu odoru. – Psychol.

– Nie był psycholem, Zombie – poprawiam go. – Był chory. Zainfekowano go wirusem, jeszcze zanim się urodził. Najlepiej myśleć o tym w ten sposób.

Zombie powoli kiwa głową.

– Masz rację. Najlepiej myśleć o tym w ten sposób.

Zostawiliśmy pilota Boba z Cassie i dwojgiem dzieciaków w innej komnacie. Po opatrzeniu i obandażowaniu jego rany daliśmy mu antybiotyki oraz ogromną dawkę morfiny. Dziś wieczorem nie będzie w stanie już nigdzie polecieć. Już dotarcie do jaskiń było ponad jego siły, ale siedziałam obok niego i pilnowałam, by był skoncentrowany i spokojny – stałam się jego balastem i kotwicą.

Wycofujemy się wyżej wraz z Zombie'em, który przedzierając się wąskimi korytarzami, trzyma mi rękę na ramieniu i niezgrabnie dźwiga chorą nogę, przy każdym kroku sycząc z bólu. Przykazuję sobie sprawdzić jego ranę przed odlotem. Pocisk powinno się raczej usunąć, ale obawiam się, że zabieg wyrządzi Zombie'emu więcej szkody niż pożytku. Nawet po podaniu antybiotyków ryzyko, że w nogę wda się infekcja, jest wysokie, a draśnięcie dużej tętnicy zakończyłoby się katastrofą.

– Na dół prowadzą dwie ścieżki – mówi. – To nam pasuje. Jeśli jedną z nich zabarykadujemy, zostanie nam tylko jedno wejście do pilnowania.

– Racja.

– Myślisz, że znajdujemy się wystarczająco daleko od Urbany?

– Wystarczająco daleko od Urbany, żeby co?

– Żeby nie wyparować. – Uśmiecha się, a w świetle lampy jego zęby połyskują niezwykle bielą.

Kręcę głową.

– Nie wiem.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim przerażające? Wydajesz się wiedzieć więcej od nas wszystkich, ale ilekroć pojawia się naprawdę ważna kwestia, na przykład taka, czy za kilka dni nie zostaniemy zmieceni z powierzchni ziemi, nigdy nie znasz odpowiedzi.

Ścieżka jest stroma. Ben musi odpocząć. Nie wiem, czy zdaje sobie sprawę z tego, że przez to, iż jego ręka dotyka mojego ramienia, znam jego emocje. Nie wiem, czy to by go pocieszyło, czy przestraszyło. Pewnie jedno i drugie.

– Poczekaj, Zombie. – Udaję, że muszę odsapnąć.

Opieram się o wystające skały. Zgrywa twardziela i nie siada. Ale po kilku chwilach przestaje udawać. Ześlizguje się na podłogę, stękając z wysiłku. Odkąd się poznaliśmy, niemal zawsze towarzyszy mu ból, którego sprawcą jestem najczęściej ja.

– Boli? – pyta.

– Co?

Wskazuje na mój nos.

– Sullivan wspomniała, że nieźle ci przywaliła.

– To prawda.

– Nie jest nawet spuchnięty. I nie masz śliwy pod okiem.

Odwracam głowę.

– To dzięki Voschowi.

– Mam nadzieję, że podziękujesz mu od nas wszystkich. – Kiwam głową, po czym nią potrząsam. Po chwili znowu nią kiwam. Zombie wie, że stąpa po cienkim lodzie. Szybko zmienia temat na bezpieczniejszy. – I co? Wcale cię nie boli?

Patrzę mu prosto w oczy.

– Nie, Zombie. Wcale mnie nie boli. – Przykucam, opierając pośladki na piętach, i odstawiam lampę na podłogę. Choć siedzimy niecały metr od siebie, mam wrażenie, że dzielą nas kilometry. – Zauważyłeś, kiedy wchodziliśmy, że ktoś wybudował tu odkryty prysznic? Chyba się jeszcze wykąpie przed odlotem.

Krew zaschnięta na mojej twarzy, brudne włosy i wilgotna ziemia rozsmarowana na każdym odsłoniętym centymetrze mojego ciała. Od momentu kiedy Zombie mnie pogrzebał, minęła wieczność. Przed oczami wciąż mam wstrząśnięte, przerażone twarze, które ujrzałam, kiedy wyskoczyłam z grobu. Tych dwóch rekrutów wysłano po kolegów z oddziału, zostawionych tu, żeby nas wybić. Sullivan miała podobną minę, kiedy walnęła mnie głową w nos. Stałam się kuriozum, bohaterką koszmarów.

Chcę być czysta. Chcę się znowu poczuć jak człowiek.

– Nie będzie ci przeszkadzało, że woda jest zimna? – pyta Zombie.

– Nie poczuję tego.

Kiwa głową, jakby rozumiał.

– To ja powinienem tam być. Nie pod prysznicem. Cha, cha. Chciałem powiedzieć, że to ja powinienem z tobą lecieć. Nie Cassie. Przepraszam, Ringer. – Udaje, że przygląda się wyszczerbionym zębiskom groty wiszącym nad naszymi głowami jak zamrożona w połowie kłapanięcia paszcza smoka. – Jaki on był? Tamten facet. No wiesz...

Wiem.

– Twardy. Zabawny. Mądry. Uwielbiał mówić. I uwielbiał baseball.

– A ty? – pyta Zombie.

– Nie mam zdania na temat baseballu.

– Nie o to mi chodzi. Nie udawaj, że tego nie wiesz.

– To nie ma znaczenia – odpowiadam. – On nie żyje.

– To wciąż ma znaczenie.

– To jego powinność o to zapytać.

– Nie mogę. On nie żyje. Dlatego pytam ciebie.

– Czego ode mnie chcesz, Zombie? Pytam poważnie. Czego ty właściwie chcesz? Był dla mnie dobry...

– Okłamywał cię.

– Nie, kiedy to miało znaczenie. Nie w ważnych kwestiach.

– Zdradził cię. Oddał Voschowi.

– Oddał za mnie życie.

– Zamordował Filiżankę.

– Wystarczy, Zombie. Dość. – Wstaję. – Nie powinnam była nic mówić.

– To dlaczego powiedziałaś?

*Bo przy tobie mogę przestać wciskać kit. Ale nie powiem mu tego. Bo to dla ciebie wyszłam z dziczy. Nie, tego też nie. Nie powiem też: bo jesteś jedyną osobą, której wciąż ufam.*

Zamiast tego mówię:

– Przyłapałeś mnie w chwili słabości.

– Cóż. – Uśmiech Bena Parisha. Niemal bolesny widok. – Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała egoistycznego dupka, możesz na mnie liczyć. – Odczekuje chwilę, po czym dodaje: – No weź, Ringer, uśmiechnij się. Ten żart ma tyle różnych poziomów, że nawet nie jest zabawny.

– Masz rację – odpowiadam. – Nie jest zabawny.

Staję obok odkrytego prysznica i wyślizguję się z ciuchów. Zbiornik nad głową był pusty, więc musiałam go napełnić wodą z cysterny ustawionej przy informacji turystycznej. Cysterna ważyła chyba z pięćdziesiąt kilogramów, ale przeniosłam ją na ramieniu, jak gdyby nie była cięższa od Nuggeta.

Wiem, że woda jest zimna, ale – tak jak mówiłam Zombie’emu – chroni mnie dar od Voscha. Nie czuję nic poza wilgocią. Woda zmywa ze mnie krew i brud.

Przesuwam dłońmi po brzuchu. Oddał za mnie życie. Chłopak oparty o framugę, oświetlony ogniem ze stosu pogrzebowego, wycinający sobie litery na ręce.

Dotykam swojego ramienia. Skóra jest gładka i miękka. Dwunasty układ zasklepił ranę w kilka minut po tym, jak ją sobie zadałam. Jestem jak spływająca po mnie woda, odporna na trwałość, wciąż się odnawiam. Jestem wodą. Jestem życiem. Forma może się zmieniać, ale istota zostaje ta sama. Możesz mnie powalić, a ja powstanę.

*Vincit qui patitur.*

Spuszczam powieki i widzę jego oczy. Bystre, błyszczące, jasnoniebieskie oczy, które potrafią zatopić się w tobie głębiej niż nóż wbity aż po kość. Stworzyłeś mnie, a teraz twoje dzieło po ciebie wraca. Powracam niczym deszcz wnikający w wyschniętą ziemię.

A woda zmywa krew i brud.

## Cassie

Oto coś, co daje do myślenia. Urokliwa prawda o świecie, który budują Przybysze.

Mój braciszek zapomniał alfabet, ale wie, jak zrobić bombę.

Rok temu zajmowały go kredki, kolorowanki, brystol i klej do papieru. Teraz interesuje się zapalnikami, materiałami wybuchowymi, kablami i prochem.

Po co czytać książki, skoro można wysadzić coś w powietrze?

Siedząca obok mnie Megan obserwuje go tak, jak obserwuje wszystko inne – w milczeniu. Przyciska do piersi miśka, kolejnego milczącego świadka ewolucji, jaką przechodzi Samuel J. Sullivan.

Pracuje z Ringer. Klęczą obok siebie jak dwuosobowa linia produkcyjna. W obozie musieli uczestniczyć w tych samych zajęciach z używania materiałów wybuchowych. W świetle lampy wilgotne włosy Ringer błyszczą jak skóra czarnego węża. Jej alabastrowa cera połyskuje. Kilka godzin temu strzeliłam ją z główki i złamałam jej nos, ale nie jest nawet spuchnięty, nie widać, bym zrobiła jej jakąkolwiek krzywdę. Nie można tego powiedzieć o moim nosie, który będzie krzywy aż po kres moich dni. Życie jest niesprawiedliwe.

– Jak dostałaś się do helikoptera? – pytam ją. Ta kwestia nie przestaje mnie gnębić.

– Tak samo jak ty – odpowiada. – Skoczyłam.

– Plan zakładał, że to ja mam skoczyć.

– I zrobiłaś to. Trzymałaś się paznokciem – odparła. – Chyba nie miałam innego wyjścia.

Innymi słowy: uratowałam cię, ty bezwartościowa, piegowata, krzywonośna dupo. O co się pieklisz?

Nie, żeby mój nos miał dupę. Muszę naprawdę skończyć z wlewaniem myśli do czyjejś głowy.

Ringer zakłada kosmyk jedwabistych włosów za ucho. Jest w tym geście coś tak niewymuszenie i niewytłumaczalnie powabnego, że to niemal przerażające. Co się z tobą stało, Ringer?

Oczywiście wiem, co się z nią stało. Otrzymała dar, jak to nazwał Evan. Cały ludzki potencjał pomnożony przez sto. „Mam serce do tego, co muszę zrobić”, powiedział mi kiedyś Evan. Zapomniał wówczas wspomnieć, że mówi dosłownie i w przenośni. Zapomniał wspomnieć o wielu rzeczach... Drań nawet nie zasługuje na ratunek.



O czym ja, do cholery, myślę? Spoglądając na delikatne palce Ringer układające się w arabeski przy konstruowaniu bomby, uświadamiam sobie, że najstraszniejsze w tej dziewczynie nie jest to, co Vosch zrobił z jej ciałem, tylko to, co jej wzmocnione ciało zrobiło z jej umysłem. Co się dzieje z naszymi ograniczeniami moralnymi, kiedy pozbawi się nas ograniczeń fizycznych? Jestem prawie pewna, że wcześniejsza wersja Ringer nie potrafiłaby w pojedynkę zmasakrować pięciorga uzbrojonych po zęby, świetnie wyszkolonych rekrutów. Podejrzewam też, że jej wcześniejsza wersja nie wepchnęłaby drugiemu człowiekowi kciuka w oko. To wymagało skoku ewolucyjnego zupełnie innego rodzaju.

A skoro mowa o Bobie.

– Jesteście powaleni – mówi. On także obserwuje nas zdrowym okiem.

– Nie, Bob – odpowiada Ringer, nie podnosząc wzroku. – To świat jest powalony. My po prostu w nim żyjemy.

– Już niedługo! Nie zbliżycie się nawet na sto pięćdziesiąt kilometrów do bazy. – Jego spanikowany głos wypełnia komorę, która pachnie chemikaliami i starą krwią. – Wiedzą, gdzie jesteście. W tym pieprzonym helikopterze znajduje się GPS. Dopadną was i zniszczą.

Ringer spogląda na niego. Odrzuca grzywkę. Błyska ciemnymi oczami.

– Na to właśnie liczę.

– Długo jeszcze? – pytam ją. Wszystko zależy od tego, czy dotrzemy do bazy przed wschodem słońca.

– Jeszcze kilka bomb i będziemy gotowi.

– Jasne – krzyczy Bob. – Szykujcie się! Odmów modlitwę, bo zaraz będzie po tobie, dorotko!

– Ona nie jest dorotką! – krzyczy do niego Sam. – Ty nią jesteś.

– Stul pysk – odparowuje Bob.

– Hej, Bob – wołam do niego. – Odczep się od mojego brata.

Bob leży skulony w kącie, trzęsąc się i pocąc – najwyraźniej końska dawka morfiny to za mało. Nie ma więcej niż dwadzieścia pięć lat. Według standardów sprzed inwazji jest młody. Według tych nowych – w średnim wieku.

– Jak powstrzymasz mnie przed rozbiciem się na pieprzonej plantacji kukurydzy, co? – chce wiedzieć. – Co zrobisz? Wydłubiesz mi drugie oko? – mówi, po czym zanosi się śmiechem. Ringer go lekceważy, przez co tylko dolewa oliwy do ognia. – To i tak nie ma znaczenia. Nie macie żadnych szans. Kiedy tylko wylądujemy, będzie po was. Wydrążą was jak dynie na Halloween. Róbcie więc swoje bombki i układajcie swoje małe intrygi. I tak jesteście już padliną.

– Masz rację, Bob – mówię mu. – Dobrze to podsumowałeś.

Nie jestem sarkastyczna (choć raz). Mówię szczerze. Jeśli Bob nie rozbije śmigłowca na plantacji kukurydzy, jeśli nie zestrzeli nas zmierzająca już pewnie w naszą stronę armada, jeśli w

bazie nie pojną nas i nie zabiją tysiące żołnierzy, którzy „już nas oczekują”, jeśli jakimś cudem Evan wciąż żyje i jeszcze większym cudem uda mi się go znaleźć i jeśli Ringer zabije Voscha, czyli stworzenie, które najbardziej ze wszystkich przedstawicieli naszego gatunku przypomina niezniszczalnego karalucha, to będziemy potrzebowali strategii ucieczki. Nie mamy jej. Kupujemy bilet w jedną stronę i odjeżdżamy w zapomnienie.

A te bilety tanie nie są, myślę, patrząc, jak Sam kończy konstruować bombę.

Och, Sam. Kredki i kolorowanki. Brystol i klej. Pluszaki i śpiochy, huśtawki, bajki na dobranoc i wszystko to, co znaliśmy. I tak miałeś to porzucić, ale nie tak wcześnie. Nie tak to miało wyglądać.

Och, Sam. Masz twarz dziecka, ale oczy starca.

Było już za późno. Zaryzykowałam wszystko, żeby uratować cię przed końcem, ale koniec zdążył cię już dopaść.

Podnoszę się. Wszyscy na mnie patrzą poza Samem. Mój brat nuci cicho i nieco fałszywie. Ścieżka dźwiękowa do konstruowania bomb. Już dawno nie widziałam go tak szczęśliwego.

– Muszę porozmawiać z Samem – informuję Ringer.

– W porządku – odpowiada. – Poradzę sobie.

– Nie pytałam cię o pozwolenie.

Chwytam go za nadgarstek i wyciągam z groty do wąskiego korytarzyka, a następnie na wznoszącą się ścieżkę – zatrzymuję się dopiero, kiedy jestem pewna, że nikt nas nie słyszy. No, prawie pewna. Ringer słyszy pewnie nawet motyla trzepoczącego skrzydłami gdzieś w Meksyku.

– O co chodzi? – pyta, marszcząc brwi, a przynajmniej tak mi się wydaje. Nie wzięłam ze sobą latarki. Ledwo widzę jego twarz.

Cholernie dobre pytanie, dzieciaku. Znowu jestem nieprzygotowana i muszę improwizować. Na ułożenie tej mowy powinnam była poświęcić wiele tygodni.

– Wiesz, że robię to dla ciebie – mówię mu.

– Niby co?

– Zostawiam cię tu.

Wzrusza ramionami. Wzrusza ramionami!

– Przecież wrócisz, prawda?

Oto i ono: zaproszenie do złożenia obietnicy, której złożyć nie mogę. Biorę go za rękę.

– Pamiętasz tamto lato, kiedy łapałeś tęczę? – Sam spogląda na mnie, całkowicie zbity z tropu. – Może nie pamiętasz. Chyba wciąż jeszcze nosiłeś pieluchy. Staliśmy w ogródku, a ja trzymałam wąż, z którego tryskała woda. Kiedy promienie słońca padły na krople... No wiesz, zrobiła się tęcza. A ja kazałam ci ją gonić. Mówiłam ci, żebyś złapał tęczę... – Czuję, że zaraz sama zaleję się łzami. – Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że było to w sumie dość okrutne.

– To dlaczego o tym myślisz?

– Bo nie chcę... Nie chcę, żebyś zapomniał o pewnych rzeczach, Sam.

– O jakich rzeczach?

– Musisz pamiętać, że nie zawsze tak to wyglądało.

Konstruowanie bomb, ukrywanie się w jaskiniach i patrzenie na śmierć ukochanych osób.

– Pamiętam różne rzeczy – oznajmia. – Pamiętam już, jak wyglądała mamusia.

– Naprawdę?

Entuzjastycznie kiwa głową.

– Przypomniałem sobie tuż przed tym, jak zastrzeliłem tę kobietę.

Moja mina musiała zdradzić, co czuję. Podejrzewam, że to mieszanina szoku, przerażenia i bezdenne smutku. Sam odwraca się na pięcie i wpada z powrotem do groty z bronią, a po chwili wraca, niosąc miśka.

O rany, ten cholerny miś.

– Nie, Sams – szepczę.

– Ostatnim razem przyniósł ci szczęście.

– On... Teraz należy do Megan.

– Nie, jest mój. Zawsze będzie mój.

Wyciąga go w moją stronę. Delikatnie odpycham miśka i przyciskam go bratu do piersi.

– I musisz go zatrzymać. Wiem, że jesteś już na niego za duży. Wiem, że jesteś żołnierzem, komandosem i tak dalej. Ale któregoś dnia może pojawić się dziecko, które naprawdę będzie potrzebowało misia. Bo... cóż, bo tak. – Klękam przed nim. – A więc dobrze go pilnuj, okej? Opiekuj się nim i chroń go, i nie pozwól, by ktokolwiek go skrzywdził. Patrząc z szerszej perspektywy, misiek jest bardzo ważny. Jest jak grawitacja. Bez niego wszechświat rozpadłby się na kawałki.

Przez dłuższą chwilę Sam w milczeniu przygląda się mojej twarzy. Zapamiętaj ją, Sams. Przyjrzyj się każdemu posiniaczonemu, podrapanemu, zabliznionemu, skrzywionemu centymetrowi. Żebyś nie zapomniał. Żebyś nigdy nie zapomniał. Zapamiętaj moją twarz, choćby nie wiem co. Choćby. Nie wiem. Co.

– Zwariowałaś, Cassie – mówi i na chwilę, dosłownie na moment, powraca ten mały chłopczyk i widzę jego twarz z przeszłości, rozpromienioną zdumieniem i śmiechem. Chłopczyk, który próbował złapać tęczę.

**Ringer Zeskakuje z pokładu śmigłowca. Zombie patrzy, jak zarzucam plecak na ramię i mówi: –**

**Zrobione?**

– Zrobione.

– Ile ci jeszcze zostało? – Wskazuje głową torbę.

– Pięć.

Marszczy czoło.

– Myślisz, że to wystarczy?

– Nie ma innego wyjścia. Będzie musiało.

– W takim razie czas ruszać – rzuca.

– Czas ruszać.

Nasze oczy się spotykają. Wie, o czym myślę.

– Nie złożę tej obietnicy – mówi.

– Nie możesz ruszyć za mną, Zombie.

– Nie złożę tej obietnicy – powtarza.

– I nie możesz tu zostać. Kiedy statek matka zrzuci bomby, kieruj się na południe. Użyj tych nadajników ode mnie. Nie ukryją cię przed wykrywaczami na podczerwień ani przed uciszaczami, ale...

– Ringer.

– Jeszcze nie skończyłam.

– Wiem, co mam robić.

– Pamiętaj o Dumbo. Pamiętaj, jaką cenę zapłacisz, jeśli za mną ruszysz. Czasem trzeba odpuścić, Zombie. Czasem...

Chwyta moją twarz w obie dłonie i mocno całuje mnie w usta.

– Jeden uśmiech – szepcze. – Tylko jeden uśmiech i puszcze cię wolno.

Moja twarz w jego dłoniach i moje dłonie na jego biodrach. Jego czoło dotyka mojego, nad nami obracają się gwiazdy, pod nami Ziemia, a czas ucieka, ucieka.

– Nie byłby szczery – mówię.

– Już o to nie dbam.

Odpycham go. Delikatnie.

– A ja wciąż tak.

Bomby zostały załadowane. Czas załadować Boba.

– Myślisz, że nie jestem gotowy na śmierć? – pyta, kiedy prowadzę go na fotel.

– Ja to wiem.

Przypinam go pasami. Przez otwarty właz dostrzegam Zombie'ego i Cassie, która próbuje się nie rozkleić. Cassie Sullivan jest sentymentalna, niedojrzała i niewiarygodnie pochłonięta sobą, ale nawet ona zdaje sobie sprawę, że przekraczamy granicę, zza której nie ma powrotu.

– Nie ma żadnego planu – szepcze do Zombie'ego. Nie chce, żebym ją słyszała i ja też tego nie chcę. Dar Voscha bywa też przekleństwem. – Nic nie jest zapisane.

– Przeznaczenie nie istnieje – odpowiada Zombie.

*Nie ma żadnego planu. Nic nie jest zapisane. Przeznaczenie nie istnieje.*

To brzmi jak cytaty z katechizmu albo wyznanie wiary, a właściwie jej przeciwieństwa.

Cassie wspina się na palce i całuje go w policzek.

– Wiesz, co teraz powiem.

Zombie się uśmiecha.

– Nic mu nie będzie, Cassie. – Chwyta ją za rękę i mocno ściska. – Przysięgam na swoje życie.

Jej odpowiedź jest natychmiastowa i żarliwa.

– Nie na swoje życie, Parish. Na swoją śmierć.

Zauważa mnie przez ramię i wyrywa rękę z uścisku Bena. Kiwam głową. Już czas. Odwracam się do naszego jednookiego pilota.

– Uruchom maszynę, Bob.

Ziemia się oddala. Zombie staje się coraz mniejszy, aż w końcu stanowi tylko czarną kropkę na szarym tle. Droga obraca się w prawo niczym duża wskazówka ziemskiego zegara, wskazując czas, który jest już stracony i którego nie można odzyskać. Skracamy na północ, wznosimy się, nad nami eksplodują niezliczone gwiazdy, rozżarzone centrum galaktyki stanowi oprawę dla fosforyzującej zieleni statku matki, którego brzuszysko wypełnione jest bombami mającymi wymazać pozostałe ślady cywilizacji. Ile miast istnieje na świecie? Pięć tysięcy? Dziesięć? Nie wiem tego, ale oni tak. Za niecałe trzy godziny, w całkowitej ciszy, drzwi wjazdu się rozsuną i statek zwymiotuje tysiącami nakierowanych pocisków o głowicach nie większych niż bochenek chleba. Jedno okrążenie planety. To, co wybudowaliśmy w ciągu dziesięciu wieków, zniknie w jeden dzień.

Gruzy opadną. Deszcze opłuczą zeschniętą, jałową ziemię. Rzeki podejmą dawny bieg. Lasy, polany, bagna i łąki odzyskają to, co zostało ścięte i zrównane z ziemią, wypełnione, wygładzone i pogrzebane pod tonami asfaltu i betonu. Populacja zwierząt gwałtownie wzrośnie. Wilki powrócą z północy, a stada bizonów liczące trzydzieści milionów sztuk znów zapełnią równiny. Będzie tak, jak gdybyśmy nigdy nie istnieli, raj się odrodzi. Jakaś pierwotna część mnie, ukryta głęboko w pamięci genów, się tym raduje.

„Tym właśnie jestem? Zbawicielem?”, zapytał mnie Vosch.

Sullivan przygląda mi się z naprzeciwka. Jest taka drobna w przydużym mundurze, że wygląda jak dziecko wybierające się na bal przebierańców. Jakie to dziwne, że koniec końców jesteśmy na siebie skazane. Znieubiła mnie od pierwszego wejrzenia. Jeśli chodzi o nią, to wydawało mi się, że po prostu nie za bardzo ma się czym pochwalić. Znałam wiele dziewczyn pokroju Cassie Sullivan – nieśmiałych, a jednocześnie aroganckich, skromnych, a jednocześnie impulsywnych, naiwnych, a jednocześnie poważnych, wrażliwych, a jednocześnie impertynenckich. Uczucia znaczą dla niej więcej niż fakty, a zwłaszcza fakt, że jej misja skazana jest na niepowodzenie.

Moja jest beznadziejna. Obie to samobójstwo. Jednak żadnej z nich nie da się uniknąć. Słyszę trzask w słuchawkach. To Bob.

– Mamy towarzystwo.

– Ile ich jest?

– Hmm. Sześć.

– Idę do ciebie.

Kiedy odpinam pas, Sullivan zrywa się z miejsca. W drodze na fotel drugiego pilota klepię ją po ramieniu. Wszystko okej. Spodziewaliśmy się tego.

Z przodu Bob wskazuje nadlatujące śmigłowce widoczne na ekranie.

– Czekam na rozkazy, szefowo. – Jedyne odrobina sarkazmu. – Nawiązać kontakt czy zrobić unik? A może postawić maszynę?

– Utrzymaj kurs. Zaraz skontaktują się z...

– Chwila. Próbują się z nami skontaktować. – Bob nasłuchuje. Przez szybę dostrzegam lecące w szyku bojowym śmigłowce. – Dobra – mówi, zwracając się do mnie. – Zgaduj. Masz trzy próby. Pierwsze dwie się nie liczą.

– Nakazują nam wylądować.

– Teraz ja. Mają się odwalić, racja?

Kręcę głową.

– Nic nie mów. Leć dalej.

– Zdajesz sobie sprawę, że nas zestrzelą?

– Daj mi znać, kiedy znajdą się w naszym zasięgu.

– Ach, a więc tak wygląda nasz plan. To my je zestrzelimy. Wszystkie sześć.

– Mój błąd, Bob. Chciałam powiedzieć: kiedy my znajdziemy się w ich zasięgu. Jaką mamy prędkość?

– Sto czterdzieści węzłów. A co?

– Zwiększ ją dwukrotnie.

– Nie mogę jej zwiększyć dwukrotnie. Ten helikopter wyciągnie maksymalnie sto dziewięćdziesiąt węzłów.

– A więc podnieś prędkość do maksymalnej. Utrzymaj kierunek.

Prosto w wasze gardła. Szykujcie się.

Zrywamy się naprzód. Powłokę helikoptera przeszywa dreszcz. Silnik wyje. Wiatr wrzeszczy w luku. Po kilku minutach nawet nieulepszone oko Boba widzi śmigłowiec lecący wprost na nas.

– Znów każą nam wylądować! – krzyczy Bob. – W zasięgu za trzydzieści sekund!

– Co się dzieje? – Sullivan wtyka głowę między nas. Kiedy orientuje się w sytuacji, rozdziawia usta.

– Dwadzieścia? – woła Bob.

– Co dwadzieścia!?! – wrzeszczy Cassie.

Podniosą maszyny, jestem tego pewna. Podniosą je albo złamią szyk, żeby pozwolić nam przelecieć. Nie zestrzelą nas. Ze względu na ryzyko. Vosch powiedział mi, że ryzyko odgrywa kluczową rolę. Wie już zapewne o martwej drużynie uderzeniowej i o przejętym śmigłowcu.



Constance by tego nie zrobiła, a Walker został pojmany. Zostaje jedna osoba, która mogła coś takiego przeprowadzić – jego własny twór.

– Dziesięć sekund!

Zamykam oczy. Procesor, najwierniejszy towarzysz, odcina moje zmysły i spycha mnie w przestrzeń pozbawioną dźwięku i światła.

Nadchodzę, ty sukinsynu. Chciałeś stworzyć człowieka pozbawionego człowieczeństwa. No to go dostaniesz.

# IV

## OSTATNI DZIEŃ

**Evan Walker**

Pomieszczenie, do którego go wrzucili, było małe, puste i bardzo zimne. Kiedy zdjęli mu kaptur z głowy, oślepiło go jaskrawe światło. Instynktownie zasłonił oczy.

Jeden ze strażników zażądał, by Evan oddał mu ubranie. Chłopak rozebrał się do bokserów. To też. Zdjął majtki i kopniakiem posłał je w stronę drzwi, gdzie stali dwaj chłopcy w mundurach moro. Jeden z nich – ten młodszy – zachichotał.

Wyszli z pokoju. Drzwi zatrzęsły się z hukiem. Chłód, cisza i jaskrawe światło – wszystko było takie intensywne. Spojrzał w dół i pośrodku wykafelkowanej podłogi zobaczył duży odpływ. Podniósł wzrok i jak na rozkaz z zamontowanych na suficie natrysków wypłynęła woda.

Zatoczył się do tyłu i oparł o ścianę, po czym nakrył głowę dłońmi. Zimno wrzynało się w jego skórę i mięśnie aż do kości i szpiku. Nogi ugięły się pod nim i opadł na podłogę, opierając głowę na uniesionych kolanach i obejmując je ramionami. W maleńkiej przestrzeni ryknął bezcielesny głos: „WSTAWAJ!”. Zignorował go.

W jednej chwili woda z lodowatej zrobiła się wrząca, a Evan skoczył na równe nogi, rozchyłając usta z szoku i bólu. Jaskrawe światło przedzierało się przez parującą mżawkę i rozszczenia na niezliczone tęcze, które podskakiwały i wirowały, rzucając promienie na wyprane z koloru kafelki. Woda znów zrobiła się zimna, po czym nagle przestała lecieć. Evan oparł się o ścianę, próbując złapać oddech, a z głośnika znowu huknął głos: „NIE DOTYKAJ ŚCIANY. ZŁĄCZ NOGI I OPUŚĆ RĘCE WZDŁUŻ TUŁOWIA”.

Odepchnął się od ściany. Jeszcze nigdy, nawet w najmroźniejszy zimowy dzień na rodzinnej farmie, kiedy wiatr smagał pola, a konary drzew łamały się pod ciężarem lodu, nie było mu tak zimno. Ten chłód był jak żywe stworzenie, jak bestia, która złapała jego ciało w swoje szczęki, które powoli go miażdżyły. Instynktownie czuł, że powinien się ruszyć. Wysilek fizyczny podniesie mu ciśnienie oraz tętno i rozprowadzi ciepło do kończyn. „NIE RUSZAJ SIĘ”.

Nie mógł się skupić. Jego myśli wirowały jak niezliczone tęcze zrodzone przez rozprysk wody. Może spróbuje zamknąć oczy. „NIE ZAMYKAJ OCZU”.

Zimno. Wyobrażał sobie, że woda na jego ciele zamarza, a w jego włosach tworzą się sople lodu. Dostanie hipotermii. Jego serce się zatrzyma. Zwinął dłonie w pięści i wbił sobie paznokcie w skórę. Ból pozwoli mu zebrać myśli. Ból zawsze tak działa. „ROZPROSTUJ DŁONIE. OTWÓRZ OCZY. NIE RUSZAJ

SIĘ”. Posłuchał. Jeśli będzie robił wszystko, co mu każą, jeśli wykona każdy rozkaz, zgodzi się na każde żądanie, nie będą mieli powodu, by użyć jedynej broni, przed którą nie potrafił się obronić.

Uniesie każde brzemie, zniesie każdy trud, wytrzyma każdą torturę, jeśli jego cierpienie sprawi, że ona będzie mogła żyć jeszcze chwilę dłużej.

Chciał dla niej poświęcić całą cywilizację. Jego własne życie było nieskończenie mniej ważne, niewiele warte. Odkąd tamtego dnia wyciągnął ją z zasy, zawsze wiedział, co znaczy ocalenie jej życia. Co znaczy obdarzenie jej miłością. Drzwi celi się zatrzęsły, a jemu wręczono wyrok śmierci.

Jednak nie przyprowadzono go do tego pomieszczenia wypełnionego zimnym, rozszczępionym światłem, żeby go zabić.

Na to jeszcze przyjdzie czas.

Po tym jak złamią jego ciało, zmiążdżą wolę i rozkroją mózg, aż dotrą do ostatniej synapsy.

Anulowanie Evana Walkera oficjalnie się rozpoczęło.

Minęło wiele godzin. Jego ciało zrobiło się odrętwiałe. Miał wrażenie, że dryfuje wewnątrz swojej nieożywionej powłoki. Biała ściana przed jego oczami ciągnęła się w nieskończoność. Dryfował w bezkresnej pustce, a jego myśli rozszczepiły się na kawałki. Jego spragniony bodźców umysł przywoływał przypadkowe wspomnienia z dzieciństwa: Boże Narodzenie z jego ludzką rodziną, to, jak siadywali z braćmi na werandzie, to, jak wiercił się w kościelnej ławce. A także o wiele dawniejsze sceny z innego życia: zapierające dech w piersiach zachody chylącej się ku upadkowi gwiazdy, szybowanie w srebrnych maszynach nad pasmami górskimi trzykrotnie wyższymi niż Himalaje, lot nad granią, pozbawiona życia dolina w dole, plony spalone przez ultrafioletową truciznę ich konającego słońca. Kiedy zamykał oczy, głos ryczał, żeby je otworzył. Jeśli się chwiało, głos nakazywał mu stać bez ruchu.

To, że upadnie, było tylko kwestią czasu.

Nie pamiętał, kiedy to się stało. Nie pamiętał też głosu wrzeszczącego, że ma się podnieść. W jednej chwili stał prosto, a w następnej leżał zwinięty w kłębek w rogu białego pokoju. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło – nie wiedział nawet, czy minął jakikolwiek czas. W białym pokoju czas nie istniał.

Otworzył oczy. W drzwiach stał jakiś mężczyzna. Wysoki, wysportowany, z jasnoniebieskimi, głęboko osadzonymi oczami, w mundurze pułkownika. Znał tego mężczyznę, chociaż nigdy się nie spotkali. Znał jego twarz, jak również twarz kryjącą się pod nią. Znał jego prawdziwe imię i jego ludzkie imię. Nigdy wcześniej go nie widział. Znał go od dziesięciu tysięcy lat.

– Wiesz, dlaczego cię tu sprowadziłem? – zapytał mężczyzna.

Evan otworzył usta. Jego wargi pękły i zaczęły krwawić. Język poruszył się leniwie. Nawet go nie czuł.

– Zdradziłem.

– Zdradziłeś? Och, nie. Wręcz przeciwnie. Jeśli można cię opisać jakimś słowem, to byłoby to raczej „oddany”.

Odsunął się na bok, a do pomieszczenia wkroczyła kobieta w białym stroju pchająca przed sobą wózek inwalidzki. Za nią weszło dwóch żołnierzy. Podnieśli go z podłogi i rzucili na wózek. Nad nim wisiła pojedyncza kropla wody przyczepiona do natrysku. Patrzył, jak drży, i nie potrafił odwrócić od niej wzroku. Ramię opleciono mu rękawem do mierzenia ciśnienia. Nie poczuł go. Do czoła przytknięto termometr. Jego także nie poczuł.

Zaświecono mu w oczy jasnym światłem. Kobieta badała jego nagie ciało, naciskała mu na brzuch, masowała kark i miednicę przyjemnie ciepłymi dłońmi.

– Jak się nazywam? – zapytał pułkownik.

– Vosch.

– Nie, Evanie. Jak się nazywam?

Evan przełknął ślinę. Bardzo chciało mu się pić.

– Nie można tego wymówić.

– Spróbuj.

Pokręcił głową. To było niemożliwe. Ich język powstał w następstwie ewolucji zupełnie innej anatomii. Równie dobrze Vosch mógł poprosić szympansa, żeby zaczął recytować Shakespeare'a.

Kobieta w białym fartuchu ciepłymi dłońmi wbiła mu igłę w ramię. Jego ciało się odprężyło. Nie było mu już zimno ani nie był spragniony, a jego umysł się oczyścił.

– Skąd pochodzisz? – zapytał Vosch.

– Z Ohio.

– Przedtem.

– Nie da się tego wymówić.

– Oduść sobie nazwę. Powiedz, skąd pochodzisz.

– Z gwiazdozbioru Lutni, z drugiej planety od karła. Ludzie odkryli ją w dwa tysiące czternastym roku i obdarzyli nazwą Kepler-438b.

Vosch się uśmiechnął.

– Oczywiście. Kepler-438b. Ale dlaczego ze wszystkich planet wybrałeś właśnie Ziemię? Dlaczego na nią przybyłeś?

Evan odwrócił głowę, żeby popatrzeć na mężczyznę.

– Znasz odpowiedź. Znasz wszystkie odpowiedzi.

Pułkownik się uśmiechnął, jednak jego oczy pozostały nieprzejednane i pozbawione wesołości. Zwrócił się do kobiety:

– Ubierzcie go. Czas, żeby Alicja udała się w głąb króliczej nory.

Przynieśli mu niebieski kombinezon i parę lekkich białych butów. Evan zwrócił się do pilnujących go żołnierzy: – To kłamstwo. Wszystko, co wam powiedział. Jest taki jak ja. Wykorzystuje was, żebyście mordowali swoich. – Chłopcy milczeli. Nerwowo gładzili swoje karabiny. – Wojna, którą zamierzacie rozpętać, nie jest prawdziwa. Będziecie zabijać niewinnych ludzi, takich samych ocalałych jak wy, dopóki nie padnie ostatni z nich, a wtedy my zabijemy was. Bierzecie udział w zagładzie własnego gatunku.

– I co z tego? Jesteś tylko pieprzonym kawałkiem zainfekowanego gówna – wypalił młodszy chłopiec. – A kiedy dowódca z tobą skończy, odda cię nam.

Evan westchnął. Nie było sposobu, by przedrzeć się przez to kłamstwo, bo prawda by ich złamała. „Dziś grzech to dobry uczynek, a dobry uczynek to grzech”.

Wyprawdzają go z pokoju. Długi korytarz, trzy kondygnacje w dół na najniższy poziom. Kolejny długi korytarz i na prawo, w trzeci, który ciągnie się wzdłuż całej bazy, kolejne nieoznaczone drzwi, ściany z szarych pustaków i sterylny blask jarzeniówek. Tu nigdy nie zapadała noc. Tu światło trwało wiecznie.

Dotarli do ostatnich drzwi na końcu szarego tunelu. Do tej pory mijane drzwi były białe. Te miały kolor zielony. Kiedy przed nimi stanęli, rozwarły się gwałtownie.

W pomieszczeniu znajdował się opuszczany fotel z pasami na podłokietnikach i podnóżku. Cała masa monitorów i klawiatura. Technik na niego czekał, beznamiętny i ustawiony na baczność.

Był też Vosch.

– Wiesz, co to jest – powiedział. Evan skinął głową.

– Kraina Czarów.

– Co tam znajdę?

– Nic, o czym już byś nie wiedział.

– Gdybym wiedział to, czego potrzebuję, nie zadawałbym sobie tyle trudu, żeby cię tu sprowadzić.

Technik przypiął go do krzesła. Evan zamknął oczy. Orientował się, że zgrywanie wspomnień nie będzie bolesne fizycznie, jak również że pod względem psychologicznym rozsypie się na kawałki. Ludzki umysł miał niezwykłą umiejętność chronienia i sortowania doświadczeń, obrony przed tym, co nieznosne. Kraina Czarów wyłuskiwała obnażone doświadczenie bez udziału mózgu, wydobywała doświadczenie życiowe, nie interpretując danych. Nie stawiała niczego w kontekście, nie filtrowała

życia, nie zanieczyszczała wspomnień charakterystyczną dla mózgu racjonalizacją, negacją i nie tworzyła wygodnych dziur.

Pamiętamy swoje życie. Kraina Czarów zmusza nas, żeby przeżyć te wspomnienia raz jeszcze. Wszystko trwało dwie minuty. Dwie bardzo długie minuty. Po katastrofie ciszy i światła, która nastąpiła później, rozległ się głos Voscha: – Jest w tobie wada. Wiesz o tym. Coś poszło nie tak, a my musimy poznać powód.

Bolały go nogi, a naciągnięte pasy otarły mu skórę nadgarstków do krwi.

– Nigdy tego nie zrozumiecie.

– Może masz rację. Ale mój ludzki imperatyw każe mi spróbować.

Na monitorach przepływały kolumny cyfr, a jego życie posortowano w sekwencje kubitów: to, co widział, czuł, słyszał, mówił, myślał, i to, czego próbował, a także najbardziej złożone pakiety informacji we wszechświecie – ludzkie emocje.

– Przeprowadzenie testów diagnostycznych zajmie trochę czasu – powiedział Vosch. – Chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać.

Schodząc z fotela, prawie upadł. Vosch go podtrzymał i delikatnie podciągnął na nogi.

– Co ci się stało? – zapytał. – Dlaczego jesteś taki słaby?

– Zapytaj ich. – Skinął w stronę monitorów.

– Dwunasty układ się zawiesił? Kiedy to się stało?

Złożył obietnicę. Musiał ją znaleźć, zanim zrobi to Grace.

Biegł wzdłuż autostrady, biegł tak długo, aż jego dar się rozsypał. Bo nie miało znaczenia nic poza obietnicą, nic poza nią.

Evan spojrzał w jasnoniebieskie, ptasie oczy Voscha i spytał: – Co mi pokażesz?

Vosch się uśmiechnął.

– Chodź i sam zobacz.



Na lewo od klatki schodowej znajdował się ciągnący się kilometrami korytarz zakończony zielonymi drzwiami do Krainy Czarów. Skręciwszy w prawo, docierało się w ślepy zaułek zamknięty gładką ścianą.

Vosch przytknął do niej kciuk. Koła zębate zazgrzytały, w tynku uwidoczniło się spojenie, ściana rozstąpiła się pośrodku, a jej połówki cofnęły, ukazując wąski korytarzyk, który nikał w sterylnym blasku jarzeniówek i zatapiał się w całkowitej ciemności.

Z ukrytego głośnika wydobył się nagrany komunikat: „UWAGA! WKACZASZ DO STREFY DOSTĘPNEJ JEDYNIEM AUTORYZOWANEMU PERSONELOWI, ZGODNIE ZE SPECJALNYM ROZKAZEM NUMER JEDENAŚCIE. NIEUPOWAŻNIENI PRACOWNICY PRZEBYWAJĄCY W TEJ STREFIE ZOSTANĄ OBJĘCI NATYCHMIASTOWYM DZIAŁANIEM DYSCYPLINARNYM. UWAGA! WKACZASZ DO STREFY DOSTĘPNEJ JEDYNIEM AUTORYZOWANEMU PERSONELOWI...”.

Głos podążał za nimi w ciemność. „UWAGA!”. Na końcu wąskiego korytarza połyskiwała bladozielona smuga. Zatrzymali się przed drzwiami bez klamki. Vosch znów przyłożył palec do ich środkowej części i drzwi cicho się otworzyły. Zwrócił się do Evana.

– To miejsce nazywamy Strefą 51 – bez cienia ironii poinformował go pułkownik.

Kiedy przekroczyli próg, zamigotało światło. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył Evan, była jajowata kapsuła, identyczna jak ta, którą uciekł z obozu Przystań. Różnił je jedynie rozmiar: ta była dwa razy większa. Zajmowała połowę komory. Powyżej dostrzegł wzmocnioną betonem wyrzutnię prowadzącą na powierzchnię.

– To chciałeś mi pokazać? – Nie rozumiał. Wiedział, że Vosch musi mieć w bazie kapsułę, by po wypuszczeniu piątej fali móc wrócić na statek. Za kilka godzin identyczne kapsuły zostaną wypuszczone ze statku matki, aby uratować resztę ukrytych w ludzkich ciałach ziomek. Dlaczego Vosch chciał, by to zobaczył?

– To coś wyjątkowego – powiedział. – Na świecie jest tylko dwanaście takich kapsuł. Po jednej dla każdego z nas.

– Dlaczego to robisz? – Kończyła mu się cierpliwość. – Dlaczego mówisz do mnie zagadkami i kłamiesz, jakbym był jedną z twoich ludzkich ofiar. Jest nas więcej niż dwanaścioro. Są nas dziesiątki tysięcy.

– Nie. Tylko dwanaścioro. – Machnął ręką na prawo. – Podejź tu. Myślę, że bardzo cię to zainteresuje.

Na poziomie wzroku unosił się zwisający z sufitu sześciometrowy przedmiot w kształcie cygara o lśniącej, zielonoszarej powłoce. Po trzeciej fali tego typu drony zapełniły przestrzeń powietrzną. „Oczy Voscha. To właśnie dzięki nim cię obserwuje”, wyjaśnił kiedyś Cassie.

– Ważny element wojny – oznajmił Vosch. – Ważny, ale nie decydujący. Po ich utracie musieliśmy trochę improwizować, żeby cię dopaść... Zastanawiałeś się pewnie, dlaczego konieczne było ulepszenie zwyczajnego człowieka?

Mówił o Ringer. Ale Evan nie dostrzegął związku.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Celem dronów nie było wskazanie kryjówek ocalałych, tylko namierzenie ciebie. Ciebie i tysiący takich jak ty, którzy w najbliższych dniach, kiedy nadejdzie piąta fala, porzucą przypisane im terytoria i uświadomią sobie, że nie będzie żadnego ratunku ani sposobu, by dostać się na statek matkę.

Evan pokręcił głową. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że Vosch mógł oszaleć. Tego właśnie bali się najbardziej, kiedy planowali oczyszczenie Ziemi. Dzielenie ludzkiego ciała z ludzką świadomością mogło się okazać zbyt przytłaczające – mogło być ciężarem nie do udźwignięcia.

– Zastanawiasz się, czy przypadkiem nie zwariowałem – rzucił Vosch z uśmiechem. – Nie brzmię jak ten, którego znałeś przez większość swojego liczącego dziesięć tysięcy lat życia. Prawda jest taka, Evanie, że nigdy się nie spotkaliśmy. Do dziś nie wiedziałem nawet, jak wyglądasz.

Vosch delikatnie ujął go za łokieć i zaprowadził w głąb komory.

Evan czuł się coraz bardziej zdenerwowany. Ta cała sytuacja budziła w nim głęboki niepokój. Nie rozumiał, dlaczego Vosch go tu przyprowadził, dlaczego po prostu go nie zabił. Czy to, że jego ludzkie ciało umrze, miało jakiegokolwiek znaczenie? Jego świadomość wciąż istniała na statku matce. Po co ta cała dziwaczna pokazówka?

W rogu stała drewniana podpórka, na której przycupnął duży drapieżny ptak. Pochylał głowę do przodu, miał zamknięte oczy i najwyraźniej spał. Evana ścisnęło w żołądku. Minione lata rozpadły się na kawałki, a on znowu był chłopcem i leżał w łóżku zawieszony w tej dziwnej przestrzeni pomiędzy snem a przebudzeniem: spoglądał na sowę, która przyglądała mu się z parapetu, błyskając w ciemności jasnymi, okrągłymi oczami, i miał wrażenie, że jego ciało zostało zatopione w bursztynie, niezdolne do ruchu, niezdolne do tego, by odwrócić wzrok.

Stojący za nim Vosch wymamrotał:

– *Bubo virginianus*. Puchacz wirginijski. Imponujący, nieprawdaż? Nieustraszony drapieżnik, samotnie polujący w nocy. Kiedy jego ofiara orientuje się, co się dzieje, często jest już za późno. To twój demon, rodzaj zwierzęcego *alter ego*. Zaprojektowano cię tak, byś był jego ludzkim odpowiednikiem.

Skrzydła się poruszyły. Szeroka pierś uniosła. Ptak zadarł głowę, podniósł powieki i ich oczy się

spotkały.

– Oczywiście nie jest prawdziwy – ciągnął Vosch. – To tylko rodzaj usługi dostawczej. Maszyna. Jeden z nich przyleciał do twojej matki, kiedy znajdowałaś się w jej łonie, i przyniósł program, który został przeniesiony do twojego rozwijającego się mózgu. Drugi odwiedził cię, kiedy twój program się załadował. Stało się to po przebudzeniu, tak to się chyba określa, żebyś został wyposażony w dwunasty układ.

Nie potrafił się odwrócić. Oczy sowy zatopiły się w jego wzroku, całkiem go pochłoneły.

– Nie ma w tobie żadnej kosmicznej istoty – powiedział Vosch. – Nie ma jej w żadnym z nas ani na pokładzie statku matki. Wszystko jest tak zautomatyzowane jak ten twój stary przyjaciel, zaprojektowane przez twórców po wiekach wnikliwych badań i namysłu i wysłane na tę planetę, aby zmniejszyć ludzką populację do zrównoważonego poziomu. A także oczywiście po to, by utrzymać ją tu w nieskończoność, zmieniając jej ludzką naturę.

Evan odzyskał głos.

– Nie wierzę ci – oznajmił. Te oczy. Nie mógł się od nich oderwać.

– Doskonała, samopodtrzymująca się pętla, nieskazitelny system, w którym nigdy nie zakorzenia się zaufanie ani współpraca. Postęp staje się niemożliwy, ponieważ wszyscy obcy ludzie są potencjalnymi wrogami, „przybyszami”, których trzeba wytropić i dopaść, aż zabraknie kul. Twoim zadaniem nigdy nie było sianie destrukcji, Evanie. Jesteś jednym z elementów zbawienia Ziemi. A przynajmniej byłeś nim, dopóki coś w twoim oprogramowaniu nie zaszwankowało. To dlatego cię tu przyprowadziłem. Nie po to, żeby cię torturować czy zabić. Przyprowadziłem cię tu, by cię ocalić.

Położył dłoń na ramieniu Evana w geście pocieszenia, a jego dotyk sprawił, że chłopak zerwał kontakt wzrokowy z sową. Gwałtownie odwrócił się do swojego oprawcy. Zabije go. Udusi gołymi rękami.

Jego pięść trafiła w powietrze, a siła zamachu prawie zwała go z nóg.

Vosch zniknął.

Choć utrzymał się na nogach, Evan miał wrażenie, że spada z dużej wysokości. Pokój wirował, a ściany co rusz traciły ostrość. Po drugiej stronie komory w drzwiach stała jakaś postać – wizualna kotwica, która pomogła mu odzyskać równowagę. Zrobił niepewny krok naprzód i się zatrzymał.

– Co pamiętasz? – zawołał Vosch od progu. – Czy stałem obok ciebie? Czy położyłem ci dłoń na ramieniu? Czy nasze wspomnienia stanowią niezaprzeczalny dowód na nasze istnienie? A co, gdybym ci powiedział, że wszystko, co pamiętasz, odkąd weszliśmy do tego pomieszczenia, wszystko, jest kłamstwem, fałszywym wspomnieniem przeniesionym do twojego mózgu przez siedzącą za twoimi plecami sowę?

– Wiem, że to kłamstwo – odparł Evan. – Wiem, kim jestem.

Cały się trząsł. Było mu zimniej niż w białym pokoju pod strumieniem lodowatej wody.

– Ależ to, co „usłyszałeś”, jest prawdą. Fałszywe jest tylko wspomnienie. – Vosch westchnął. – Uparciuch z ciebie, co?

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? – zawołał Evan. – Kim jesteś, żebym miał ci zaufać?

– Ponieważ jestem jednym z wybranych. Powierzono mi największą misję w ludzkiej historii: uratowanie naszego gatunku. Podobnie jak ty od dziecka wiedziałem, że to nadchodzi. W przeciwieństwie do ciebie jednak znałem prawdę.

Oczy Voscha przeniosły się na kapsułę. Z jego głosu zniknęła surowość, a zastąpiła ją zaduma.

– Trudno wyrazić, jaki byłem samotny. Tylko garstka nas zna prawdę. Na tym ślepym świecie tylko my mieliśmy widzące oczy. Nie dano nam wyboru... Musisz to zrozumieć. Nie było wyboru. Nie jestem za to odpowiedzialny. Jestem taką samą ofiarą jak oni, jak ty. – Podniósł w gniewie głos: – Oto koszt! Oto cena! I ja ją zapłaciłem. Zrobiłem wszystko, czego ode mnie wymagano. Dotrzymałem obietnicy i moje zadanie dobiegło końca.

Wyciągnął rękę.

– Chodź ze mną. Pozwól, że wręcę ci ostatni dar. Chodź ze mną, Evanie, i zrzucić z siebie to brzemię.

Wyszedł za Voschem – miał inny wybór? – ruszył długim korytarzem i dotarł do zielonych drzwi.

Na ich widok technik wstał i powiedział:

– Panie dowódcu, przeprowadziłem test trzykrotnie i wciąż nie mogę się dopatrzeć żadnych anomalii w tym programie. Czy mam go uruchomić jeszcze raz?

– Tak – odparł Vosch. – Ale nie teraz. – Odwrócił się do Evana. – Usiądź, proszę.

Skinął do technika, który znów przypiął Evana do fotela. Hydrauliczne siłowniki jęknęły. Oparcie odchyliło się w tył, a twarz Evana wpatrywała się w nijaki biały sufit. Usłyszał, że drzwi się otwierają. Kobieta, która badała go w białym pokoju, weszła do środka, pchając przed sobą błyszczący wózek ze stali. W równym rzędzie leżało na nim trzynaście strzykawek wypełnionych bursztynowym płynem.

– Wiesz, co to jest – powiedział Vosch. Evan skinął głową. Dwunasty układ. Dar. Ale dlaczego chciał mu go ofiarować ponownie? – Dlatego że jestem optymistą, niepoprawnym romantykiem takim jak ty – powiedział, jak gdyby odczytał myśli Evana. – Wierzę, że tam, gdzie jest życie, jest i nadzieja. – Uśmiechnął się. – Ale przede wszystkim dlatego, że pięcioro młodych ludzi poległo, co oznacza, że ona wciąż jeszcze może żyć. A jeśli żyje, ma tylko jeden wybór.

– Ringer?

Vosch skinął głową.

– Jest tym, czym ją uczyniłem. I nadchodzi, żebym odpowiedział za swoje czyny.

Nachylił się nad Evanem. Jego oczy pały opalizującym ogniem, a niebieskie płomienie przypalały go aż do kości.

– To ty będziesz moją odpowiedzią. – Odwrócił się do technika, który skulił się pod intensywnym spojrzeniem dowódcy. – Może ona ma rację: niewykluczone, że miłość jest czymś niezwykłym, niewytłumaczalnym, nieposkromionym, niewysłowioną tajemnicą, niemożliwą do przewidzenia czy kontrolowania, wirusem, który zainfekował program zaprojektowany przez istoty, w zestawieniu z którymi nasz rozwój ewolucyjny można porównać z tym, który przeszedł karaluch. – Następnie znów zwrócił się do Evana: – A więc spełnię swój obowiązek. Spalę wioskę, aby ją ocalić. – Cofnął się o krok. – Zgraj go jeszcze raz. A potem wykasuj.

– Mam go wykasować, panie pułkowniku?

– Wykasuj z niego człowieka. Resztę zostaw. – Głos dowódcy wypełniał maleńką przestrzeń. – Nie możemy kochać tego, czego nie pamiętamy.

W jesiennym lesie stał namiot, a w nim ukrywała się dziewczyna, która spała z karabinem w jednej ręce i pluszowym misiem w drugiej. A kiedy ona spała, czuwał nad nią myśliwy – niewidoczny towarzysz, który wycofywał się, kiedy tylko się budziła. Przyszedł, żeby ją zabić. Ona miała uratować mu życie.

Niekończące się spory z samym sobą, próżność własnego rozumu zadającego pozbawione odpowiedzi pytanie: dlaczego ona miała przetrwać w świecie skazanym na zagładę? Im bardziej usiłował schwytać tę odpowiedź, tym bardziej mu się wymykała.

Jego zadaniem było mordowanie, ale nie potrafił jej zamordować. Miał serce myśliwego, który nie miał serca do zabijania.

W swoim dzienniku napisała: „To ja jestem ludzkością”, i te cztery słowa sprawiły, że rozpadł się na pół.

Była jętką, żyła przez jeden dzień, a potem zniknęła. Była ostatnią gwiazdą jaśniejącą w morzu bezkresnej ciemności.

*Wykasuj z niego człowieka.*

W eksplozji oślepiającego światła gwiazda Cassiopeia przestała istnieć, a świat zalała ciemność.

Evan Walker został anulowany.

**Cassie**

Nie minęło nawet dziesięć minut, a ja zaczynam myśleć, że ta cała *mission impossible* mająca na celu zabicie Voscha i uratowanie Evana była fatalnym pomysłem.

Jednooki pilot Bob krzyczy:

– Dziesięć sekund!

Ringer zamyka oczy i w tej okropnej, przyprawiającej o mdłości chwili jestem pewna, że nas wrobiono. Że taki właśnie był jej plan. Zostawić Bena i dzieciaki całkowicie bezbronnych, następnie zabić nas obie w stylu kamikaze na wysokości półtora kilometra, bo kogo to obchodzi? W końcu w Krainie Czarów istnieje kopia Ringer. Kiedy wszyscy zginiemy, ją wgra się po prostu w nowe ciało.

Nareszcie masz swoją szansę, Cass. Wyjmij nóż i rozplataj jej to zdradzieckie serce... Jeśli je znajdziesz. Jeśli w ogóle je ma.

– Łamią szyk! – ogłasza Bob.

Ringer gwałtownie otwiera oczy. Moja szansa przepada.

– Utrzymaj kurs, Bob – mówi spokojnie.

Helikoptery nacierają na nas i rozpierzchają się tak, by każdy z nich miał dobry cel i nikt nie czuł, że go pominięto i odebrano mu szansę, by rozwalić nas na gazylion kawałków.

Bob utrzymuje kurs, ale asekuracyjnie nakierowuje raketę w główny śmigłowiec. Jego kciuk zawisa nad przyciskiem. Nie mogę uwierzyć w to, jak szybko Bob przeszedł na drugą stronę. Kiedy dziś rano otworzył oczy – jedno i drugie – nie miał wątpliwości, w której jest drużynie. W mgnieniu oka (ha! wybacz, Bob!) stanął na baczność, gotowy unicestwić towarzyszy broni.

No więc tak to wygląda. Można kochać drzemiące w nas dobro i nienawidzić zła, ale ono także w nas jest. Bez niego nie bylibyśmy sobą.

W tej chwili mam ochotę tylko na jedno: mocno uściskać Boba.

– Zmiażdżą nas! – krzyczy pilot. – Musimy nurkować. Musimy nurkować!

– Nie – mówi Ringer. – Zaufaj mi, Bob.

Bob dostaje ataku śmiechu. Mknijemy w stronę głównego śmigłowca, a on leci w naszą stronę – obie maszyny na pełnych obrotach.

– No jasne! Dlaczego nie miałbym ci zaufać? – Jego dłonie bieleją na drążku, kciuk gładzi

przycisk i za kilka sekund nie będzie miało znaczenia to, co rozkaże mu Ringer, będzie strzelał. Koniec końców Bob jest zawsze po stronie Boba.

– Zrób unik – szepcze Ringer do wielkiej czarnej pięści mierzącej w naszą twarz. – Teraz.

Za późno. Bob wciska guzik, naszym śmigłowcem targa wstrząs, jak gdyby od kopniaka gigantycznej stopy, a z wyrzutni wystrzeliwiają pociski Hellfire. Kokpit rozświetla się jak południowe słońce. Ktoś krzyczy (to mogłam być ja). Na pół sekundy otacza nas wir ognia, o kadłub uderzają odłamki, po czym wypadamy po drugiej stronie płomienistej kuli.

– Jezu Chryste! – wrzeszczy Bob.

Ringer się nie odzywa. Spogląda na pozostałych pięć białych punkcików widocznych na ekranie. Cztery z nich się odłączają, dwa na prawo i dwa na lewo, a trzeci leci prosto, zbliżając się do krawędzi ekranu. O nie. Dokąd on leci?

– Wywołaj ich – mówi Ringer do Boba. – Powiedz, że się poddajemy.

– Że co? – mówimy jednocześnie Bob i ja.

– Potem utrzymaj kurs. Nie zmuszą nas, żebyśmy wylądowali, i nas nie zestrzelą.

– Skąd wiesz? – pyta Bob.

– Bo gdyby zamierzali, już dawno by to zrobili.

– A co z tym ostatnim? – pytam. – Odleciał. Już za nami nie podąża.

Ringer obrzuca mnie spojrzeniem.

– Jak myślisz, dokąd leci? – pyta i znowu się odwraca. – Będzie dobrze, Sullivan. Zombie wie, co robić.

Jak już mówiłam, to był fatalny pomysł.



Opadam na fotel i próbuję zaczerpnąć tchu. Wygląda na to, że tam z przodu zapomniałam o oddychaniu. Moje usta wyschły na wiór. Biorę łyk wody, ale tylko tyle, by zwilżyć wargi, bo martwię się tym, żeby w czasie operacji nie zachciało mi się siusiu. Ringer dość szczegółowo opisała mi bazę, łącznie z położeniem pokoju z Krainą Czarów, ale nie zapytałam jej o toalety.

W słuchawce irytująco trzeszczy głos Ringer.

– Odpocznij, Sullivan. Czeka nas jeszcze kilka godzin lotu.

Wygląda na to, że zbliża się wschód słońca. Będziemy na styk. Nie jestem ekspertką w przeprowadzaniu tajnych operacji, ale zgaduję, że w ciemności poszłoby nam nieco łatwiej. Poza tym jeśli Evan miał rację, dziś jest D-Day – dzień, kiedy z nieba spadną kule piekielnego ognia.

Grzebię w kieszeniach, aż udaje mi się wreszcie namierzyć jeden z cudownych batoników energetycznych Bena Parisha. Gdyby nie to, pewnie wybuchnęłabym płaczem. Postanowiłam nie płakać, dopóki znowu nie zobaczę Sama. Tylko on wart jest moich łez.

I co ona właściwie miała na myśli, mówiąc: „Zombie wie, co robić”?

To dobrze, Sullivan. Lepiej, żeby wiedział, bo ty na pewno tego nie wiesz. Gdybyś wiedziała, co robić, nie leciałabyś teraz tym cholernym śmigłowcem. Byłabyś ze swoim braciszkiem. Zmądrzej. Wiesz, dlaczego naprawdę tu jesteś. Możesz sobie powtarzać, że robisz to dla Sama, ale i tak nikogo nie oszukasz.

Boże, jestem okropnym człowiekiem. Gorszym od Jednookiego Boba. Porzuciłam rodzinę dla jakiegoś faceta. To jest tak bardzo złe, że wszystkie inne rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobiłam, wydają się w porządku. Ben powiedział mi, że Evan kłamie, zwariował albo jedno i drugie, bo jaki człowiek planuje zniszczyć całą cywilizację dla dziewczyny? No nie wiem, Ben. Może taki sam jak ten, który poświęca bliskich, żeby spłacić dług, którego nie zaciągnął.

Przecież nigdy go nie prosiłam, żeby mnie uratował. Podobnie jak nie prosiłam, żeby postrzelił mnie w nogę. Nigdy o nic go nie prosiłam. On po prostu dawał. Dawał tak wiele, że ocierał się o szaleństwo. Czy to właśnie jest miłość? I czy właśnie dlatego to wszystko wydaje mi się bez sensu, bo nigdy jej nie czułam – ani do niego, ani do Bena Parisha, ani do nikogo.

Nie, nie, nie, błagam, mózgu, nie rób tego. Nie podsuwaj mi znowu Vermont i tego cholernego psa. Obiecuję, że przestanę tyle myśleć. Natłok myśli to mój odwieczny problem. Za bardzo skupiałam się na wszystkim: na tym, dlaczego przylecieli Przybysze, na tym, kim jest Evan, a także na

przedziwnym fakcie, że ja żyję, podczas gdy prawie cała ludzkość wyginęła. Jak również na tym, dlaczego siedząca przede mną dziewczyna ma najpiękniejsze, najbardziej jedwabiste włosy, jakie widziałam, w odróżnieniu ode mnie, i dlaczego ma idealną alabastrową cerę, w odróżnieniu ode mnie. I ten nos. Chryste Panie, jakie to głupie. Co za strata czasu. To tylko geny wspomóżone kosmiczną technologią, wielkie mi mecyje.

Dojadam batonik i zgniatam opakowanie w pięści. Rzucenie go na podłogę wydaje mi się niewłaściwe.

Opieram się o zagłówek i zamykam oczy. Byłby to idealny czas na modlitwę, gdybym potrafiła jakąś ułożyć, ale moja głowa jest tak zapełniona, że myśli muszą się ustawiać w kolejce i przypominają tłumy w Disneylandzie, więc nie potrafię wymyślić niczego, co mogłabym powiedzieć Bogu.

W ogóle nie wiem, czy chce mi się gadać z tym enigmatycznym draniem. Mam wrażenie, że założył ręce i odwrócił się tyłem, i zastanawiam się, czy Noe czuł się na swojej arce tak jak ja teraz. „Dobra, doceniam to, Boże, ale co z resztą?”, na co Bóg odpowiada: „Ach, nie zadawaj tylu pytań, Noe. Zobacz, zrobiłem dla ciebie tęczę!”.

Jedyną rzeczą, jaka pojawia się w mojej głowie, jest wieczorny pacierz Sama, ale jestem trochę zdesperowana, więc macham na to ręką. „Gdy do snu skłaniam głowę...” Cóż, nie do końca pasuje... „I budzę się w brzasku światłości...” To pewnie też się nie zdarzy... „Ty naucz mnie stąpać ścieżką miłości...”

Tak! To jest dobre! Proszę, Boże. Tylko tyle. Nie zawal tej jednej rzeczy. Naucz mnie.

## Zombie

Stoję na warcie przy wejściu do jaskiń i podziwiam nocne niebo – poza tym jednym zielonym punkcikiem unoszącym się nad horyzontem – kiedy jedna z gwiazd odrywa się od firmamentu i zniża w naszą stronę. Szybko. Bardzo szybko. Nugget łapie mnie za rękaw i mówi: – Zobacz, Zombie! Spadająca gwiazda!

Odpycham się od starej, rozklekotanej poręczy.

– To nie gwiazda, mały.

– Bomba? – Jego oczy rozszerzają się ze strachu.

Przez jedną mrozącą krew w żyłach chwilę myślę, że to prawdopodobne. Z jakiegoś powodu przyspieszyli działania i rozpoczęli zrównywanie miast z ziemią.

– Chodź, biegniemy na dół. Szybko.

Nie muszę mu tego powtarzać. Kiedy docieramy do pierwszej groty, wyprzedza mnie o kilka metrów. Podnoszę Megan z ziemi. Dziewczynka upuszcza misia. Nugget go podnosi. Znoszę Megan w głąb jaskiń, oparłszy ją sobie na biodrze zdrowej nogi, ale każdy krok powoduje ból, od którego prawie eksploduje mi głowa. Jest tu półka skalna: długie na metr i głębokie na półtora metra rozcięcie w kamieniu wydrążone przez pradawną rzekę. Podsadam Megan, a ona wpełza w głąb, aż pogrzeże się w cieniu. Cholera. Prawie zapomniałem. Daję jej znać, żeby wróciła.

Wyciągam z kieszeni nadajnik jednego z martwych rekrutów. To pomysł Ringer i muszę przyznać, że miała nosa.

– Włóż to do ust – mówię Megan.

Jest oszołomiona. Patrzy na mnie tak, jakbym kazał jej odrąbać sobie głowę. Poruszyłem drażliwy temat.

– Zobacz, Nugget to robi. – Wtykam mu nadajnik w dłoń. – O, tam, szeregowy – mówię, odciągając swoją wargę i wtykając czip pomiędzy policzek i dziąsła. Następnie zwracam się do Megan: – Widzisz? – Ale dziewczynka zniknęła już w ciemności. Cholera. Wręczam Nuggetowi drugi nadajnik. – Dopilnuj, żeby to zrobiła, dobrze? Ciebie posłucha.

– O nie, Zombie – odpowiada Nugget poważnie. – Megan nikogo nie słucha.

Wrzuca misia w ciemność i woła cicho:

– Megan! Weź miśka. Będziesz przy nim bezpieczna, tak jak przy grawitacji. – Po tej wypowiedzi,

której logikę może zrozumieć tylko dziecko, Nugget podciąga spodnie, wtyka pięści do kieszeni, wysuwa drobny podbródek i mówi: – Nadchodzą, prawda?

Jak gdyby w odpowiedzi na jego pytanie obaj go słyszemy: ryk silników helikoptera, przybierający na sile z każdym naszym przyspieszonym oddechem. Ciemność u wejścia przecinają jasne światła reflektorów.

– Idź, Nugget. Dołącz do Megan.

– Ale ja walczę u twego boku, Zombie.

To prawda. I to w najgorszym możliwym momencie. Za jego plecami dostrzegam światło migoczące w komnacie z bronią. Niech to szlag, i to podwójnie.

– Oto, co możesz zrobić. Wyłącz tamto światło i wróć tu do mnie. Jeśli będziemy mieć szczęście, nie wylądują.

– Szczęście?

Mam wrażenie, że on chce, by wylądowali.

– Nie zapominaj, Nugget, że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

Chłopiec marszczy brwi.

– Jak możemy być po tej samej stronie, skoro oni chcą nas zabić?

– Bo oni nie wiedzą, że jesteśmy po tej samej stronie. Idź. Wyłącz to cholerne światło... Idź!

Nugget pędzi ścieżką w górę. Światła śmigłowca gasną, ale jego silniki nie. Pewnie robią przeszukanie. Jesteśmy raczej na tyle głęboko, żeby nie wykryły nas czujniki podczerwieni, ale gwarancji nie ma.

Lampa gaśnie i jaskinia pogrąża się w ciemności. Nie widzę niczego w promieniu dwóch centymetrów od mojego nosa. Po kilku sekundach wpada na mnie coś małego. Jestem prawie pewny, że to on. Tylko „prawie”, bo szepczę: – Nugget?

– W porządku, Zombie – informuje mnie rzeczowo. – Wziąłem sobie broń.

Mam wrażenie, że coś przeoczyłem. Ale co to może być?

– Masz, Zombie, zapomniałeś tego. – Wpycha mi w pierś maskę gazową. Niech cię Bóg błogosławi, mały. I niech Bóg błogosławi uciszaczy takich jak Grace i fałszywy ksiądz, którzy wiedzieli, jakie zapasy przydadzą się przy nadejściu końca świata. Nugget jest przeszkolony i ma już maskę na twarzy.

– Wziąłeś też dla Megan? – Głupie pytanie. Oczywiście, że tak. – Dobra, kolego, do góry.

– Zombie, posłuchaj...

– To rozkaz, szeregowy!

– Nie, Zombie! Posłuchaj.

Nasłuchuję. Dociera do mnie tylko własny zdyszany oddech w masce.

– Odlecieli – mówi Nugget.

– Cii...

Brzdęk, brzdęk, brzdęk. Odgłos metalu odbijającego się o skałę. Cholera, Ringer, strasznie mnie wkurza to, że zawsze masz rację.

Wrzucili do jaskini pojemniki z gazem.

Pamiętam niedawną rozmowę z Ringer.

– Powiedzmy, że nie uda wam się ich odeprzeć. Jak wejdą do środka? – zapytałem, kiedy zabarykadowywaliśmy tylne wejście.

– Nigdy nie uważałeś na zajęciach – odparła.

– Czy zawsze musimy się koncentrować na mnie? – Próba nakłonienia jej do uśmiechu z hobby zamieniła się już w obsesję.

– Najpierw rzucają gaz.

– Myślisz? Ja najpierw wrzuciłbym kilka lasek C4, żeby zamknąć dostęp do wyjścia, a potem wykończyłbym nas kilkoma bombami podziemnymi.

– To zrobią pewnie w drugiej kolejności – stwierdziła.

I rzeczywiście, za nami w okolicy głównego wejścia cztery puszkę gazu łzawiącego eksplodują z głośnym trzaskiem. Chwytam Nuggeta w pasie i podsadam do rozpadliny, gdzie siedzi już Megan.

– Załóż jej maskę. Natychmiast! – krzyczę, po czym kuśtykam w górę ścieżki, w duchu dziękując Nuggetowi, że pamiętał o maskach. Chłopak zasługuje na awans.

„Jedno jest pewne – powiedziała Ringer. – Nie przystąpią do oblężenia. Jeśli planują walkę w przestrzeni zamkniętej, wybiorą prawdopodobnie główne wejście, a to da wam pewną przewagę: jest wąskie jak krowi odbyt. Wpadną prosto w wasze ręce”.

Biegnę na oślep. Cóż, określenie tego „biegiem” jest może małą przesadą. Zaaplikowałem sobie sporą dawkę leków przeciwbólowych, więc przynajmniej noga niespecjalnie mi dokucza. Adrenalina też pomaga. Sprawdzić spust karabinu. Sprawdzić zaciski na masce. W całkowitej ciemności. W całkowitej niepewności.

Jeśli wpadną przez tylne wejście w manewrze okrążającym, już po nas. Jeśli uderzą przytłaczającą siłą od przodu, już po nas. Jeśli mnie zmrozi i w krytycznym momencie dam ciała, już po nas.

Zmrozi mnie jak wtedy w Dayton. Jak w Urbanie. Wracam myślami wciąż do tej samej chwili – do momentu, kiedy straciłem siostrę, kiedy uciekłem, zamiast walczyć. Łańcuszek, który zerwałem z jej szyi, a który zaginął, wciąż mnie krępuje. Umpa. Dumbo. Pączek. Nawet Filiżanka. Ona także by żyła, gdybym wykonał swoje zadanie.

Teraz łańcuszek oplata Nuggeta i Megan jak stryczek, a pętla się zacieśnia.

*Nie tym razem, Parish, ty pieprzony zombie. Tym razem to ty zerwiesz łańcuch, ty przetniesz pętlę.*

*Uratujesz te dzieciaki, choćby nie wiem co.*

Zabiję ich, kiedy wpadną tu tunelem. Pozabijam ich wszystkich. Nie ma znaczenia, że to tacy sami ludzie jak ja. Ani to, że utknęli w tej samej chorej grze i muszą grać role, których sobie nie wybrali. Zabiję jednego po drugim.

Całkowita ciemność. Całkowita pewność.

Eksplozja zwala mnie z nóg. Lecę do tyłu i uderzam głową o skałę. Świat kręci się jak bączek. Powietrze wrze od odgłosów kolejnych uderzających o siebie skał i wejście się zapada.

Maska mi się przekrzywiła, kiedy się przewracałem, więc wdycham ogromny haust trującego gazu. Nóż wbija się w moje płuca, usta wypełnia ogień. Przetaczam się na bok, dławiąc się i kaszląc.

Upadając, upuściłem karabin. Macam ziemię wokół, ale nie mogę go znaleźć. Nieważne, to bez znaczenia, wiem, co się liczy, podciągam się na nogi, poprawiam maskę i czuję na języku drobinki skalnego pyłu, kuśtykam tam, skąd przyszedłem, jedną ręką badając ciemność, a drugą ściskając pistolet, bo wiem, co teraz będzie, bo to przewidziałem i Ringer wiedziała, że to przewidzę, „to zrobią pewnie w drugiej kolejności”, i krzyczę przez maskę:

– Nie ruszajcie się, Nugget! Nie ruszajcie się! – Ale poza mną chyba nikt inny nie słyszy mojego głosu.

Drugi wybuch rozlega się przy tylnym wejściu, ale udaje mi się utrzymać na nogach, kiedy ziemia pęka, stalaktyty się odrywają i spadają, a naprawdę spory kawałek jednego z nich omija moją głowę o kilka centymetrów. Dobiega mnie cichy głos Nuggeta wołającego moje imię. Skupiam się na tym dźwięku i docieram z powrotem do rozpadliny. Wyciągam go.

– Zapłombowali nas w środku – wzdycham. Pali mnie gardło. Połknąłem ogień. – Gdzie Megan?

– Wszystko w porządku. – Czuję, że chłopiec drży. – Jest z miśkiem.

Wołam ją. Odpowiada mi cichy głosik stłumiony maską. Nugget trzyma się mojej kurtki obiema dłońmi i myśli chyba, że gdy ją puści, pochłonie mnie ciemność.

– Nie powinniśmy byli tu zostawać! – krzyczy Nugget. Nawet małe dziecko potrafi powiedzieć coś bardzo mądrego, ale nie mieliśmy dokąd uciekać i gdzie się skryć. Rzuciliśmy kośćmi i uznaliśmy, że śmigłowiec Boba ich odciągnie. Przegraliśmy. Bombowiec pewnie już leci z ładunkiem, który zamieni tę liczącą dwieście pięćdziesiąt tysięcy lat jaskinię w długi na sześć kilometrów i głęboki na trzydzieści metrów basen.

Mamy tylko kilka minut.

Kładę Nuggetowi dłonie na ramionach i mocno go ściskam.

– Dwie sprawy, szeregowy – mówię. – Potrzebujemy światła i materiałów wybuchowych.

– Ale Ringer zabrała ze sobą wszystkie bomby!

– To raz-dwa zrobimy jeszcze jedną.

Schodzimy do groty z bronią. Nugget prowadzi, moje dłonie wciąż spoczywają na jego ramionach.

Uspokajam go, a on mnie, a łączący nas łańcuch jest tym, co nas wyzwoli.



Mam wrażenie, że coś przeoczyłem. Ale co to może być?

Nugget pochyla się nisko nad zadaniem. Grota dusi się od dymu i pyłu. To tak, jakby układać puzzle w gęstej mgle, co można też właściwie powiedzieć o całej tej cholernej inwazji. To, co znajome, rozpadło się w bezładną mieszaninę, której elementy zdają się do siebie nie pasować. Wróg jest pośród nas. A jednocześnie go nie ma. Są tu na dole, tam u góry – nigdzie ich nie ma. Pragną Ziemi, chcą, żebyśmy to my ją zatrzymali. Przybyli, żeby nas zniszczyć – przybyli, żeby nas uratować. A roztrzaskana prawda już zawsze będzie się wymykać – jedyną pewną rzeczą jest niepewność. Vosch przypomniał mi jedyną prawdę, której warto się trzymać: „Umrzesz tak samo jak my wszyscy. Żaden z nas nie jest w stanie temu zapobiec”. Tak brzmiała prawda przed inwazją i tak brzmi do dzisiaj: jedyną pewną rzeczą jest niepewność, poza twoją własną śmiercią, której możesz być całkowicie pewien.

Jego palce drżą. Jego oddech uwięziony w masce jest głośny i przyspieszony. Jeden niewłaściwy ruch i wysadzi nas w powietrze. Moje życie znajduje się w rękach przedszkolaka.

Przytwierdzenie detonatora. Dołączenie drutu. Sullivan może przeżywać, że jej brat zapomniał alfabet, ale gówniarz potrafi przynajmniej zrobić bombę.

– Gotowe? – pytam.

– Gotowe! – Triumfalnie unosi ładunek.

Odbieram go od niego. Boże, mam nadzieję, że się nie myli.

Mam wrażenie, że coś przeoczyłem. Coś ważnego. Ale co to może być?

Czas zająć się kolejnym dylematem. Rozwalić tylne wyjście czy to od frontu?

Jedna bomba. Jedna szansa. Zostawiam Nuggeta z Megan i sprawdzam najpierw tylne wyjście. O ile dobrze zapamiętałem punkty orientacyjne, znajduje się tam teraz gruby na dwa metry mur z kamieni.

Przesuwam się wzdłuż jaskini do frontowego wejścia. Poruszam się zbyt wolno. Zajmuje mi to za dużo czasu. W końcu docieram na miejsce i znajduję to, czego się spodziewałem: kolejną kamienną ścianę nieokreślonej grubości, i wciąż nie mam pojęcia, którą stroną lepiej się wydostać.

Chrzanić to.

Wsuwam rurę z PCW do najgłębszej, najwyżej położonej szpary, jakiej dosięgam. Lont wydaje się zbyt krótki. Mogę nie zdążyć oddalić się na bezpieczną odległość.

*Pewność niepewności.*

Podpalam lont i biegnę z powrotem w górę ścieżki, powłócząc chorą nogą jak zniechęcony dzieciak w pierwszym dniu szkoły. Odgłos eksplozji wydaje się stłumiony i jest żalonym echem dwóch bomb, które nas tu uwięziły.

Dziesięć minut później jedną ręką prowadzę Nuggeta, a drugą Megan. Nugget się namęczył, żeby ją wyciągnąć z kryjówki. W ciasnej wnęce dziewczynka czuła się bezpiecznie i służbowa hierarchia obchodziła ją tyle, ile zeszłoroczny śnieg. Osobą dowodzącą Megan jest Megan.

Otwór na górze nie jest duży i nie wygląda stabilnie, ale wpada tamtędy świeże powietrze i dostrzegam punkcik światła.

– Może powinniśmy po prostu tu zostać, Zombie – mówi Nugget. Pewnie myśli o tym samym co ja: zaplombowali wyjścia, ustawili snajperów na pozycjach po obu stronach jaskini i rozpoczęli grę na przeczekanie. Nikt nie robi już bomb penetrujących. Po co marnować cenną amunicję potrzebną do prawdziwej wojny na dwoje dzieciaków i kulawego żołnierza? Wyjdą. Muszą wyjść. Ryzyko, jakie niesie za sobą pozostanie w jaskini, jest nie do przyjęcia.

– Nie mamy wyboru, Nugget. – Nie mamy też wyboru, jeśli chodzi o to, kto wyjdzie pierwszy. Łapię go za rękaw i odciągam od Megan. Nie chcę, żeby to usłyszała. – Poczekaj na mój sygnał, rozumiano? – Kiwa głową. – Co masz robić, jeśli nie wrócę?

Kręci głową. Światło jest za słabe, a szybka maski zbyt zaparowana, żebym mógł dojrzeć oczy chłopca, ale jego głos drży, jakby Nugget miał się zaraz rozpłakać.

– Ale przecież ty wrócisz!

– Jeśli wciąż będę oddychał, możesz być o to spokojny. No ale w razie, gdyby mi się nie udało?

Jego podbródek się unosi. Piersь wypina.

– Powystrzelam ich!

Podciągam się do dziury. Plecami uderzam o sufit, a ramionami ocieram się o ścianki – ledwo się mieszczę. W połowie drogi postanawiam zdjąć maskę. Mam już dość wrażenia, że się duszę. Moją twarz owiewa świeże, rześkie powietrze. Chryste, jakie to wspaniałe uczucie!

Otwór prowadzący na zewnątrz jest tak mały, że nie przecisnąłby się przez niego nawet jeden z przysmaków kociary. Gołymi dłońmi popycham poluzowane kamienie. Skrawek nocnego nieba, kawałek trawy i biegnącej przez środek jednopasmowej drogi dojazdowej. Poza świstem wiatru – cisza. Naprzód.

Wyczołguję się na zewnątrz. Sięgam po karabin, który zarzuciłem sobie na ramię. Tyle że na moim ramieniu nie ma żadnego karabinu. Zapomniałem go zabrać w drodze do wyjścia. A więc o tym właśnie zapomniałem. O swoim karabinie. Prawda?

Przykucam przy dziurze, ściskając pistolet pomiędzy nogami, nasłuchuję i rozglądam się wokoło. *Nie spiesz się. Bądź pewny.* Wydostanie się z pułapki to cudowne uczucie, ale co dalej? Zbliży się świt, a statek matka zaraz zacznie krążyć nad wybranymi punktami. Widzę, jak balansuje na horyzoncie niczym zielone światło sygnalizatora: „Naprzód!”.

Wstaję. To dla mnie wyzwanie, bo noga mi zeszywniała i oparcie na niej ciężaru całego ciała boli jak cholera.

Oto jestem, chłopcy. Czekam na wasz najlepszy strzał.

Nie widzę nic poza drogą, trawą i niebem. Nie słyszę nic poza wiatrem.

Gwiżdżę w głąb otworu na Nuggeta. Dwa krótkie dźwięki, jeden długi. Po mniej więcej stu latach wytyka główkę, następnie wysuwają się barki. Pomagam mu się wydostać, ciągnąc go za ramiona. Zrywa maskę gazową i wdycha świeże powietrze, po czym zza tylnego paska spodni wyciąga pistolet. Obraca się w lewo i w prawo na lekko ugiętych kolanach z bronią wyciągniętą do przodu, tak jak kiedyś chłopcy w jego wieku uzbrojeni w plastikowe karabiny i pistolety na wodę.

Gwiżdżę teraz na Megan. Nie reaguje, więc wołam:

– Megan! Pospiesz się, dziewczyno!

Obok mnie Nugget głęboko wzdycha.

– Ale ona mnie wkurza.

Tak bardzo przypomina teraz swoją siostrę, że wybucham śmiechem. Spogląda na mnie zdziwiony, przekrzywiając głowę.

– Zombie? Masz z boku twarzy czerwoną kropkę.

W Urbanie Dumbo nawet się nie zastanawiał. Ja też tego nie robię. Napieram na pierś Nuggeta i przewracam go na ziemię. Kula wbija się w stos kamieni za naszymi plecami. Chwilę później dobiega mnie huk karabinu snajpera. Strzał oddano z prawej strony, gdzieś z zagajnika przy głównej drodze. Nugget zaczyna się podnosić. Łapię go za kostkę i ściągam z powrotem na dół.

– Czołgaj się z głową przy ziemi – szepczę mu do ucha. – Tak jak uczyli nas w obozie, pamiętasz?  
 – Chłopiec zaczyna się odwracać w stronę otworu i fałszywego bezpieczeństwa jaskini wypełnionej zapasami i bronią. Nie winię go. Sam instynktownie mam na to ochotę. Jednak powrót do jaskini tylko odsunie w czasie to, co nieuniknione. Jeśli wykurzenie nas z dziury i wystrzelanie się nie uda, sięgną po bomby penetrujące. – Chodź za mną, Nugget.

Ruszam w stronę informacji turystycznej. Dach jest idealnym punktem obserwacyjnym dla snajpera, ale najlepszym wyjściem dla nas jest oddalenie się od strzelca, który dał o sobie znać.

– Megan... – syczy. – Co z Megan?

No właśnie. Co z Megan?

– Ona nie wyjdzie – szepczę. Błagam, zostań tam, dzieciaku. – Poczekaj.

– Na co?

Aż historia się powtórzy. Aż domknie się krąg.

Przychodzi mi do głowy tylko jedno miejsce, w którym będziemy względnie bezpieczni. Nie cieszę się na tę myśl i wiem, że Nugget będzie cholernie niezadowolony. Ale ten dzieciak jest twardy. Poradzi sobie.

– Wzdłuż budynku, a potem mniej więcej dwadzieścia metrów na wprost – mówię, kiedy podciągamy się na brzuchach. – Duży dół. Wypełniony ciałami.

– Ciałami?

Wyobrażam sobie czerwoną kropkę drgającą pomiędzy moimi łopatkami albo na potylicy Nuggeta. Obserwuję go uważnie, a jeśli zobaczę na nim laserowy punkcik, znowu odstawię Dumbo. Kiedy zbliżamy się do jaru, teren nieco się wznosi i dosięga nas odór, od którego Nugget ma odruch wymiotny. Biorę go pod rękę i przyciągam do krawędzi. Nie chce patrzeć, ale patrzy.

– To tylko zwłoki – rzucam. – Chodź, pomogę ci tam zejść.

Wyrywa mi się.

– Nie uda mi się stamtąd wydostać.

– Tu jest bezpiecznie, Nugget. Całkowicie bezpieczne. – Niefortunny dobór słów. – Gdyby wiedzieli, gdzie jesteśmy, już dawno by strzelali.

Kiwa głową. Ten argument do niego trafia.

– Ale Megan...

– Wracam po nią. – Spogląda na mnie, jakbym zwariował. Ujmuję go za nadgarstki i opuszczam do jaru. – Jeśli cokolwiek usłyszysz, udawaj martwego – napominam Nuggeta.

– Niedobrze mi.

– Oddychaj przez usta.

Jego wargi się rozchylają. W środku dostrzegam maleńką, połyskującą kapsułkę. Pokazuję oba kciuki. Chłopiec powoli unosi prawą rękę i saltuje.

Czołgając się w stronę jaskiń, doskonale wiem, co się wydarzy. Wiem, że umrę.

I tak już dawno powinienem nie żyć, a przecież ostatecznie nie da się przechytrzyć śmierci. Prędzej czy później trzeba będzie zapłacić z naddatkiem. Modlę się tylko o to, by Nugget i Megan nie zapłacili życiem za to, że opuściłem swoją siostrę. Zwracam się więc do Boga: w ramach spłaty długu zabrałeś Dumbo, Pączka i Filiżankę. Wystarczy. Niech to już wystarczy. Weź mnie, ale pozwól im żyć.

Grunt tuż przede mną eksploduje. Na moją twarz lecą grudy ziemi i kamienie. Cholera, czołganie się nie ma już za bardzo sensu. Podnoszę się, ale chora noga się pode mną ugina i upadam. Kolejna kula rozrywa mi rękaw, kalecząc biceps, i wypada z drugiej strony. Prawie tego nie czuję. Instynktownie zwijam się w kulkę i czekam na ostateczną rundę. Wiem, co się dzieje. To żołnierze piątej fali. W ich serca wiano nienawiść, a umysły wyszkolono do bestialskich czynów. Bawią się ze mną. Trochę to potrwa, zarażone sukinsyny! Będzie impreza!

Przed oczami widzę twarz siostry, następnie twarze Dumbo i Pączka, i Filiżanki, a później więcej twarzy, niż potrafię zliczyć, takich, które wyglądają znajomo, i takich, których nie rozpoznaję. Są Nugget i Megan, Cassie i Ringer, są rekruci z obozu i ciała ciągnące się od ściany do ściany hangaru, setki twarzy, tysiące, dziesiątki tysięcy, żywych i umarłych, ale głównie umarłych. W jarze za moimi plecami jedna żywa twarz wśród tysięcy martwych, ale i do tego chłopca można zastosować zasadę Voscha.

Salutująca dłoń. Rozwarte usta i połyskująca w środku kapsułka.

Jasna cholera, Parish. Nadajnik. To właśnie o nim zapomniałeś.

Wsuwam dłoń do kieszeni, wyciągam kapsułkę i wpycham ją do ust. W zagajniku po przeciwnej stronie drogi, na dachu informacji turystycznej i w innych kryjówkach snajperzy wstrzymują ogień, kiedy wokół mojej głowy gaśnie piekielna zielona poświata.

Imię moje Zombie.

Wszystko mnie boli. Nawet mruganie przynosi cierpienie. Ale powstaję. Bo to właśnie robią zombie.

Powstają.

Może na początku strzelcy nic nie zauważają. Może skupili się na czymś innym, może szukają zielonych celów. Tak czy siak, kiedy się podnoszę, nikt mnie nie zdejmuję. Tym razem nie utykam, nie ciągnę za sobą przestrelonej nogi, nie wlokę się jak jakiś cholerny zombie. Biegnę ile sił, nie zważając na ból, wołając Megan, i wyciągam dłonie w ciemności, aż wreszcie moje palce zaciskają się na jej nadgarstkach.

Wydostaję ją na zewnątrz. Jej ramię wokół mojej szyi. Jej oddech w moim uchu.

Wiem, że krąg się domknął. Wiem, że czas zapłacić. Tylko, miłosierny Chryste, pozwól mi ją najpierw uratować. Nie pozwól jej umrzeć.

Niczego nie dostrzegam. Megan tak. Pluszowy miś upada na ziemię. Usta dziewczynki otwierają się w niemym krzyku.

Coś wbija mi się w podstawę czaszki. Świat staje się biały, a potem nastaje pustka, całkowita pustka.

## Cassie

Widać ją już z odległości kilku kilometrów. Baza lotnicza to wyspa jaskrawego światła pośród ciemnego, bezkresnego morza, rozpalony do białości węgielek cywilizacji jaśniejący pośród jałowej ciemności, chociaż słowo „cywilizacja” brzmi w tym kontekście zbyt ładnie. Wszystko, co pozostało po nas – po naszych snach i po ich urzeczywistnieniu – to te bazy, rozświetleni głupcy, którym „ogarek przyświecał w drodze ku prochom śmierci”<sup>\*</sup>.

Nigdy nie przepadałam za *Makbetem*, a tu proszę...

Śmigłowiec przechyla się na lewo i zbliżamy się do bazy od wschodu. Przelatujemy nad rzeką, której czarne wody odbijają pożogę wiszących nad nią gwiazd. Następnie otaczająca obóz, bezdrzewna strefa buforowa poprzecinana okopami, drutem kolczastym i naszpikowana minami lądowymi w obawie przed wrogiem, który nigdy nie nadejdzie, którego nawet tu nie ma i którego prawdopodobnie nie ma nawet tam – na statku matce, który pojawia się na horyzoncie, kiedy przystępujemy do zniżania. Spoglądam na niego. On spogląda na mnie.

Czym jesteście? No czym? Innymi, ale czy my nie jesteśmy tym samym dla was? Jesteśmy inni niż wy, a więc was niegodni. Niegodni życia.

Kim jesteście? Pasterz zarzyna swoje stado. Gospodyni kupuje środek na pluskwy. Krew opadającego na kolana baranka, drgawki leżącego na grzbiecie karalucha. Żadne z nich nie spodziewa się noża ani trucizny. Pasterz i gospodyni nawet się nie przejmą. Nie ma w tym nic nieetycznego. To morderstwo bez przestępstwa, zabijanie bez grzechu.

To właśnie zrobili. Taką nauzkę nam dali. Przypomniano nam, kim jesteśmy: nikiem szczególnym, i jacy jesteśmy: zbyt liczni. Pluskwy mogą umykać, owce uciekać – to wszystko bez znaczenia. Już nigdy nie będziemy się wychylać. Dopilnują tego. Patrzą na unoszący się na naszym niebie obiekt, który pozostanie tam do czasu, aż nasze niebo zniknie.

Eskorta odrywa się od helikoptera, kiedy maszyna znajduje się nad lądowiskiem. Pozostaną w powietrzu, żeby monitorować sytuację po tym, jak wylądujemy. Pod nami tłoczą się pojazdy i ludzie: ciężarówki i uzbrojone hummery pędzą w stronę pasa startowego, żołnierze roją się jak mrówki z rozwalonego kopniakiem mrowiska. Syreny wyją, reflektory dźgają powietrze, obrona przeciwlotnicza zajmuje pozycje. Zapowiada się świetna zabawa.

Ringer klepie Boba w ramię.



– Dobra robota, Bob.

– Pierdol się!

Och, Bob. Będę za tobą tęsknić. I to jak! Ringer dołącza do mnie w luku, podnosi torbę z bombami Sammy’ego i opada na fotel naprzeciwko. Jej ciemne oczy błyszczą. Jest jak pocisk w komorze, jak proch w lufie.

Nie można się jej dziwić. Evan już dawno to zauważył: jeśli to wszystko ma mieć jakiegokolwiek znaczenie, trzeba żyć tak długo, aż znaczenie będzie miała nasza śmierć. Nieważne, czy ta śmierć coś zmieni – ani jej śmierć, ani moja tego nie sprawi – wystarczy, żeby miała znaczenie.

Chce mi się siku.

– VQP, Sullivan! – krzyczy.

Zdejmujemy słuchawki. Kiwam głową. Unoszę kciuki. VQP, no raczej. Maszyna się zniża. Luk oświetlają reflektory. Pyłki kurzu błyszczą i wirują wokół jej głowy – święta Ringer, kruczowłosa anioł śmierci. Na zewnątrz błękitnego kręgu, w którym ląduje Bob, widzimy żołnierzy wewnątrz barykady z uzbrojonych pojazdów otoczonych przez wieże strażnicze, w których znajdują się snajperzy, a ponad nami cztery śmigłowce bojowe.

Już po nas.

---

\* W. Shakespeare, *Makbet*, [w:] tegoż, *Romeo i Julia. Hamlet. Makbet*, tłum. S. Barańczak, Kraków 2006, s. 541.

Ringer rozpiera się w fotelu i zamyka oczy, jakby chciała zdrzemnąć się przed ważnym egzaminem. W jednej dłoni trzyma torbę, w drugiej detonator. Ja mam karabin, pistolet, bardzo duży nóż, kilka granatów i wypełnioną do połowy (pozytywne myślenie to podstawa!) butelkę z wodą, dwa batony energetyczne oraz pełen pęcherz. Bob osadza helikopter przy pełnej prędkości i teraz naprawdę ogłusza nas wycie syren. Ringer gwałtownie otwiera oczy i wpatruje się we mnie, jakby chciała zapamiętać moją twarz... Wolę tak myśleć, niż wpaść w obsesję na punkcie skrzywionego nosa.

– Do zobaczenia przy punkcie kontrolnym, Sullivan – mówi tak cicho, że ledwie ją słyszę.

Jednooki Bob rozpiną pasy i wrzeszczy do Ringer:

– On chciał, żebyś wróciła, ty głupia suko! Jak myślisz, dlaczego wciąż żyjesz? – Następnie wyskakuje z kokpitu i jeszcze zanim jego stopy dotkną ziemi, zaczyna przebierać nogami jak postać z kreskówki, machać rękami nad głową i wrzeszczeć tak głośno, żeby przekrzyczeć syreny.

– Cofnijcie się! Cofnijcie się! Ona ma bombę! Ma bombę!

Ringer zeskakuje na prawo, a ja na lewo w stronę tarasowego ogrodu wojskowych mundurów, takich jak ten, który mam na sobie, pierwszy rząd klęczy, drugi stoi z karabinami wycelowanymi w moją głowę. Nagle Ringer wciska detonator i helikopter podrywa się w powietrze na wysokość półtora metra z głośnym łuuup. Wstrząs popycha mnie prosto na pierwszy szereg żołnierzy, a gorący podmuch eksplozji osmala im twarze i przypala mi włosy na karku. Toczę się w stronę żołnierzy, którzy – tak jak przewidziała Ringer – instynktownie się cofają i przypadając do asfaltu, zakrywają dłońmi głowy.

„Będziesz miała ochotę uciec, ale musisz ją zwalczyć”, powiedziała mi Ringer, kiedy byliśmy jeszcze w jaskini. „Kiedy śmigłowiec wyleci w powietrze, stracą cię z oczu, więc musisz na mnie zaczekać”.

Czekam więc – jeszcze jeden żołnierz leżący na brzuchu jak setki rekrutów otaczających Ringer, z rękami na głowie, z policzkiem przyciśniętym do lodowatego betonu. Ubrać się tak jak oni, wyglądać tak jak oni, zachowywać się tak jak oni: gra, którą wymyślił Vosch, obróciła się przeciwko niemu.

Ludzie wykrzykują rozkazy, ale nikt ich nie słyszy, bo dźwięk syren wszystko zagłusza. Czekam, aż ktoś postuka mnie w ramię, ale nie podniosłam się jeszcze z czworaków, kiedy pięćdziesiąt metrów dalej, w pobliżu hangaru, Ringer detonuje bombę. Powstaje panika. Wszystko, co przypominałoby rozkaz, zostaje zagłuszone, a żołnierze rzucają się w poszukiwaniu schronienia. Rucham w stronę wieży kontroli lotów i stojących za nią białych budynków.

Czyjaś ręka łapie mnie za ramię i gwałtownie odwraca. Staję twarzą w twarz z jakimś przypadkowym nastolatkiem, który ma tego pecha, że zaraz go zabiję.

– Kim ty jesteś, kurwa!?! – wrzeszczy mi w twarz.

Jego ciało sztywnieje przy kontakcie z kulą. Nie moją. Ja nie zdążyłam jeszcze wyciągnąć pistoletu z kabury. Ta ofiara należy do nieludzkiego człowieka Voscha, do Ringer, która strzeliła z odległości połowy boiska do futbolu. Dzieciak ginie na miejscu. Znowu zaczynam biec.

Odwracam się tylko raz, u stóp wieży. Reflektory krzyżują się nad polem, śmigłowiec płonie, oddziały rozpierzchają się, gdzie popadnie, hummery rozjeżdżają się na wszystkie strony z piskiem opon. Ringer obiecała chaos i oto mamy chaos.

Przerzucam karabin do rąk i ruszam sprintem w stronę białych zabudowań, kierując się do zlokalizowanego pośrodku kompleksu centrum dowodzenia. Tam (mam nadzieję) znajdę klucz, który otworzy kraty w drzwiach prowadzących do pokoju, gdzie zapewnię bezpieczeństwo mojemu bratu.

Kiedy wpadam pomiędzy rekrutów tłoczących się w drzwiach do pierwszego budynku, Ringer detonuje drugą bombę. Ktoś krzyczy: „Jezus Maria!” i zator się przerywa. Wszyscy wpadamy do środka jak klauni wydostający się z samochodu na arenie cyrku.

Część mnie ma nadzieję, że znajdę go pierwsza. Nie Evana. Twórcę Ringer. Wiele czasu spędziłam na wyobrażaniu sobie, co mu zrobię... Jak odpłacę mu za krew siedmiu miliardów ludzi. Większość moich pomysłów jest zbyt obrzydliwa, żeby je opisać.

Znajduję się w lobby głównego budynku administracyjnego. Z sufitu zwisają ogromne bannery z hasłami JESTEŚMY LUDZKOŚCIĄ i JESTEŚMY JEDNOŚCIĄ. Kolejny głosi wspólnotę, inny znów krzyczy o odwadze. Największy ciągnie się wzdłuż całej ściany: VINCIT QUI PATITUR. Przebiegam pod nim.

W korytarzu po przeciwnej stronie lobby wiruje czerwone światło. Podskakuję, słysząc ryczący z sufitu głos: „OBOWIĄZUJE ROZKAZ NUMER CZTERY. POWTARZAM. OBOWIĄZUJE ROZKAZ NUMER CZTERY. TO NIE SĄ ĆWICZENIA. MACIE PIĘĆ MINUT, ABY ZGŁOSIĆ SIĘ DO WYZNACZONEJ STREFY BEZPIECZEŃSTWA. POWTARZAM. TO NIE SĄ ĆWICZENIA. MACIE PIĘĆ MINUT, ABY ZGŁOSIĆ SIĘ DO...”.

Przez drzwi na końcu korytarza. W górę po schodach na wprost do następnych drzwi. Które są zamknięte. Zabezpieczone klawiaturą numeryczną. Przyciskam plecy do ściany obok klawiatury i czekam. Jeden, dwa, trzy... Kiedy liczę, na zewnątrz wybucha trzecia bomba. Stłumione „bum!”, jak gdyby ktoś w sąsiednim pomieszczeniu kichnął. Następnie dobiega mnie „bum-bum, bum-bum-bum” broni ręcznej. Jestem przy tysiąc ośmiu, gdy drzwi otwierają się i przebiega obok mnie drużyna żołnierzy. Mijają mnie i nawet nie odwracają głów. To za proste. Zaraz wyczerpie mi się limit szczęścia.

Rzucam się przez drzwi i biegnę następnym korytarzem, który niepokojąco przypomina poprzedni. To samo wirujące czerwone światło, to samo wysokie wycie syren, ten sam irytujący głos naćpanej

Siri: „OBOWIĄZUJE ROZKAZ NUMER CZTERY. MACIE PIĘĆ MINUT, ABY ZGŁOSIĆ SIĘ DO WYZNACZONEJ STREFY BEZPIECZEŃSTWA...”. To wszystko jest jak sen, z którego nie można się obudzić. Na końcu tego korytarza znajdują się identyczne drzwi z identyczną klawiaturą. Jediną różnicą jest to, że te mają z boku okno.

Bez wahania wypuszczam serię z karabinu M16. Szyba eksploduje, a ja natychmiast przedostaję się przez otwór. Niech zwą mnie „Buntowniczką”! Jestem na zewnątrz, wdychając świeże kanadyjskie powietrze, biegnę wzdłuż wąskiego kawałka ziemi pomiędzy budynkami. Z ciemności wydobywa się głos:

– Stać!

Strzelam, celując mniej więcej tam, skąd dochodzi. Nawet się nie oglądam. Skręcam w lewo nieopodal świeżo wyremontowanego arsenału, kiedy wybucha czwarta bomba. Tuż nad moją głową ryczy śmigłowiec, przeczesując ziemię światłami reflektorów, a ja rzucam się do ściany i przywieram ciałem do wzmocnionego stalą betonu.

Helikopter odlatuje, a ja ruszam dalej wokół budynku aż do biegnącej wzdłuż niego kawałka ścieżki, po jednej stronie ściana, po drugiej – trzymetrowe ogrodzenie z siatki zwieńczone drutem kolczastym. Na samym końcu powinna się znajdować zamykana na klawiaturę numeryczną bramka.

„Przestrzelę zamek”, zapewniłam Ringer w jaskiniach. „To się udaje tylko na filmach, Sullivan”. „Masz rację, dobrze, że to nie film, bo w przeciwnym razie ta tyranizująca wszystkich, arogancka, irytująca bohaterka drugoplanowa z pewnością byłaby już martwa”.

„To nie są ćwiczenia. Obowiązuje rozkaz numer cztery. Macie pięć minut, aby zgłosić się do...”.

Dobra już, starczy. Kumam. Obowiązuje rozkaz numer cztery.

Czym, u licha, jest rozkaz numer cztery? Ringer nigdy nie wspominała o rozkazach – ani o czwartym, ani o jakimkolwiek innym. Musi oznaczać odcięcie bazy, osadzenie wszystkich na stanowiskach bojowych i tak dalej. Postanawiam, że tak właśnie jest. Poza tym to, co zrobią oni, nie wpływa na to, co muszę zrobić ja.

Wtykam granat do otworu w kształcie diamentu w ogrodzeniu, tuż nad zamkiem i wyciągam zawleczkę, po czym rzucam się tam, skąd przybiegłam, na tyle daleko, by nie oberwać odłamkiem, a jednocześnie na tyle blisko, że uderza we mnie tysiąc maleńkich igiełek. Gdybym w ostatniej chwili się nie odwróciła, moja twarz zamieniłaby się w sieczkę. Największy kawałek wbija mi się w środek pleców, a ból jest dziesięciokrotnie większy niż przy ukąszeniu osy. Mojej lewej ręce też się dostało. Spoglądam w dół i widzę swoją dłoń obleczoną mokrą rękawiczką krwi połyskującej w świetle gwiazd.

Nie dość, że granat rozwalił zamek, to jeszcze wyrwał całą bramę z zawiasów. Leży teraz w głębi podwórza, tuż obok pomnika jakiegoś bohatera wojennego z czasów, kiedy wojny miały jeszcze bohaterów. No wiecie, stare dobre czasy, kiedy ludzie zarzynali się z właściwych powodów.

Biegnę w stronę budynku po drugiej stronie podwórza. W ścianie znajduje się troje drzwi rozmieszczonych w równych odstępach, a według Ringer z jednych, dwojga lub wszystkich mogę się spodziewać komitetu powitalnego. Nie rozczarowuję się. Środkowe drzwi rozwierają się tuż przed tym, jak rzucam w nie granatem, a ktoś przewidująco krzyczy „Granat!” i zatrzaskuje je z powrotem – z granatem w środku.

Wybuch sprawia, że drzwi przelatują ponad moją głową. Daję nura w bok. „W tym momencie zrobi się trudno – powiedziała Ringer. – Poleje się krew”.

„Ile krwi?” „A ile krwi zniesiesz?” „A ty co? Bawisz się w mojego *sensei*? Ilu żołnierzy piątej fali będę musiała zabić?”

Okazuje się, że co najmniej trzech. Właśnie tyle karabinów samopowtarzalnych widzę po drugiej stronie nieistniejących drzwi, ale mogę się mylić. Trudno podać dokładną liczbę, kiedy cały oddział rozerwało na strzępy. Prześlizguję się przez tę jatkę i biegnę w głąb korytarza, zostawiając za sobą krwawe ślady.

Czerwone światełko. Syrena. Głos. „OBOWIĄZUJE ROZKAZ NUMER CZTERY. MACIE JEDNĄ MINUTĘ, ABY ZGŁOSIĆ SIĘ DO...” Gdzieś w bazie wybucha kolejna bomba, co oznacza dwie rzeczy: Ringer wciąż jest na wolności i została jej ostatnia bomba. Jeden budynek dzieli mnie od centrum dowodzenia, pod którym znajduje się bunkier z Krainą Czarów. To także, co wielokrotnie podkreślała Ringer, ślepa uliczka. Jeśli zostaniemy uwięzione lub przyparte do muru, nie mamy szans ani na *vincit*, ani na *patitur*.

„Liliputy poszły po lody dla Guliwera”. Wymyśliłam ten sprytny kod, żeby odnaleźć się w przedostatnim budynku. Na pierwszym rozwidleniu skręcam w lewo, potem w prawo, potem znowu w prawo, a potem w lewo. „Guliwer” oznacza „górze”, czyli to, że dotarłam do pierwszej klatki schodowej po „lodach”. Oczywiście mogłam po prostu użyć słowa „góra”, ale to zepsułoby całą mnemotechnikę. „Liliputy poszły po lody na górę”? Bez sensu.

Nikogo nie widzę i nikogo nie słyszę poza upiornym głosem obwieszczającym czwarty rozkaz, który odbija się echem w pustych korytarzach. „MACIE TRZYDZIEŚCI SEKUND”... Zaczynam mieć złe przeczucia co do tego całego czwartego rozkazu i przeklinam Ringer, bo wygląda na to, że czwarty rozkaz jest ważną informacją wywiadowczą, o której powinna wiedzieć i o której z siebie tylko wiadomych powodów nie wspomniała.

Kiedy wbiegam po schodach, zaczyna się odliczanie. „DZIESIĘĆ SEKUND... DZIEWIĘĆ... OSIEM... SIEDEM... SZEŚĆ...”

Półpiętro. Jeszcze raz na prawo. A potem prosto aż do przejścia łączącego ten budynek z centrum dowodzenia. Już prawie dotarłaś, Cassie. Uda ci się.

„TRZY... DWA... JEDEN”. Otwieram drzwi. Przygniata mnie całkowita ciemność.

Zero światła. Zero syren. Zero głosu tak kojącego, że aż działa na nerwy. Całkowita ciemność, totalna cisza. Moja pierwsza myśl jest taka, że Ringer pewnie odcięła zasilanie. Druga, że byłoby to dziwne, bo przecież nie omawialiśmy takiego scenariusza. Trzecia? Że Ringer jest pionkiem, podwójną agentką współpracującą z Voschem, aby zrealizować jego nikczemny plan zdobycia przewagi nad światem. Pewnie zawarli układ, że podzielą się władzą: „Świetnie. W takim razie postanowione. Obejmiesz cały teren na zachód od Missisipi...”.

Szukam w kieszeniach latarki. Wiem, że ją wzięłam. Pamiętam, jak przed schowaniem jej do munduru sprawdzałam baterie. W panice – no dobra, nie w panice, w pośpiechu, bo się spieszę – wyciągam batonik energetyczny i szukam przycisku, którego tam nie ma. Do diabła z tobą, Benie Parishu. I do diabła z twoimi cholernymi batonikami! Ciskam opakowaniem w pustkę.

Nie zgubiłam się. Wiem, gdzie jestem. Na wprost znajduje się przejście do centrum dowodzenia. Mogę szukać latarki, idąc. Łatwizna. Kiedy znajdę się już w centrum, będę musiała przejść przez kilka mocno obsadzonych punktów kontrolnych, pokonać kilkoro stalowych drzwi zabezpieczonych elektronicznymi zamkami, cztery kondygnacje schodów i kilometrowy korytarz zakończony zielonymi drzwiami, których koloru nie będę w stanie odróżnić, o ile nie znajdę tej pieprzonej latarki.

Posuwam się naprzód, wyciągając przed siebie jedną rękę, a drugą macając mundur, grzebiąc w kieszeniach i szarpiąc za materiał. Za dużo kieszeni. Za dużo cholernych kieszeni. Mój oddech przypomina tornado przetaczające się przez prerię. Serce – pociąg towarowy pędzący po szynach. Czy powinnam się zatrzymać i opróżnić kieszenie? Czy w ten sposób nie zaoszczędziłabym czasu? Idę dalej, w głębi duszy dziwiąc się, że zbiła mnie z tropu utrata latarki.

Wyluzuj, Cassie. W takich sytuacjach ciemność jest twoim przyjacielem.

O ile nie używają podczerwieni, której oczywiście używają. Oślepiłi mnie, ale sami na pewno nie są ślepi.

Podążam naprzód. W pośpiechu. Nie w panice.

Jestem już w połowie przejścia. Wiem, że to połowa, bo odszukuję latarkę i włączam to nieuchwytnie cholerstwo. Snop światła pada na matowe szkło znajdujących się przede mną drzwi – niewyraźną plamę jasności. Wyciągam pistolet. Po drugiej stronie tych drzwi znajduje się pierwszy punkt kontrolny. To fakt – fakt dostarczony mi przez Ringer. To także miejsce, w którym mamy się spotkać, głównie dlatego, że tylko dotąd mogłam dotrzeć jako pozbawiony ulepszeń, zwyczajny śmiertelnik.

Centrum dowodzenia jest najlepiej ufortyfikowanym budynkiem w bazie, obsadzonym najlepszymi żołnierzami i chronionym najnowocześniejszą aparaturą obserwacyjną. Po zdetonowaniu ostatniej bomby i odwróceniu uwagi żołnierzy Ringer miała się dostać do centrum z przeciwnej strony (użyła słowa „spenetrować”, od którego zrobiło mi się jakoś niedobrze) i spotkać się ze mną tutaj po tym, jak już zrobi to, co Ringer potrafi najlepiej: pozabija ludzi.

„Zamierzasz zabić Voscha, zanim się tam ze mną spotkasz?”, zapytałam. „Jeśli go znajdę”. „Nie próbuj tego za wszelką cenę. Im szybciej dostaniemy się do Krainy Czarów...” Spojrzała na mnie tak, jakby chciała powiedzieć: „Nie mów”. Odpowiedziałam spojrzeniem komunikującym: „Mówię”. Teraz muszę tylko czekać. Staję pod ścianą. Zamieniam pistolet na karabin. Próbuję nie myśleć o tym, gdzie jest Ringer, czy w ogóle jeszcze jest i dlaczego tak długo to trwa. Poza tym chce mi się siku.

„Kiedy usłyszę, że piąta bomba eksplodowała...” „Czwarta. Piątą zachowam na wszelki wypadek”. „Na jaki wypadek?” „Wepchnę mu ją do gardła i odpalę”. Powiedziała to bez emocji. Bez nienawiści czy niecierpliwości. Owszem, większość jej wypowiedzi pozbawiona jest emocji, ale to jedna z tych sytuacji, w których człowiek oczekuje nieco zaangażowania.

„Musisz go naprawdę nienawidzić”. „Nienawiść to nie jest odpowiedź”. „Nie zadawałam żadnego pytania”. „Ani nienawiść, ani wściekłość nie dają odpowiedzi, Sullivan”. „No dobra, w takim razie co ją daje?” Poczułam się tak, jakbym została zmanipulowana. Ringer się odwróciła.

Czekam obok szklanych drzwi. Mija dziesięć długich minut. Boże, ile czasu może zająć nadludzkiej broni masowego rażenia pokonanie kilku strażników i rozbicie nowoczesnego systemu zabezpieczeń? Po szalonej gonitwie, żeby się tu dostać, bezczynność. Zanudziłabym się na śmierć, gdyby nie to, że akurat śmiertelnie się boję. Gdzie, u diabła, jest Ringer?

Klik. Wyłączam światło, żeby nie zużyć baterii. Przykrym skutkiem ubocznym mojej oszczędności jest to, że ponownie zapada ciemność. Klik. Włączam. Klik. Wyłączam. Klik, klik, klik, klik.

Sss... Słyszę syczenie, a zaraz potem tryska na mnie woda. Pada.

Klik. Oświetlam latarką sufit. Zraszacze są rozkręcone na maksimum. Chłodna woda spryskuje moją uniesioną twarz.

Świetnie. To pewnie wina jednej z bomb Ringer.

W kilka minut przemakam do suchej nitki. Wiem, że to totalnie niesprawiedliwe, ale obarczam ją winą. Jestem mokra, zziębnięta i nabuzowana adrenaliną, poza tym teraz naprawdę chce mi się siku.

Wciąż ani śladu Ringer.

„Jak długo mam na ciebie czekać?” „Nie wiem, ile czasu to zajmie”. „No dobra, ale w pewnym momencie chyba się zorientuję, że nie przyjdiesz?” „Wtedy przestaniesz czekać, Sullivan”. Jasne. Zaczynam naprawdę żałować, że nie rąbnęłam jej w nos, kiedy miałam okazję. Zaraz. Przecież rąbnęłam ją w nos, kiedy miałam okazję. I dobrze. O jedno zmartwienie mniej.

Nie mogę tu siedzieć w nieskończoność, skulona w mokrą, nieszczęśliwą kulkę. Jeśli śmierć ma mnie zastać mokrą i nieszczęśliwą, stawię jej czoła na stojąco. Sprawdzam drzwi. Popycham je lekko, żeby zobaczyć, czy się otworzą. Jestem prawie pewna, że po drugiej stronie nikogo nie ma, bo dostrzegliby światło latarki albo mój cień i pochwycili mnie w ciemnościach.

Krople wody spływają mi po czole, zwisają z końcówek włosów i znaczą linię szczęki jak palec kochanka. Mokre podeszwy skrzypią przy każdym kroku. Ranna ręka boleśnie szczypie, tysiąc maleńkich szpileczek wbija mi się w skórę. Wtedy czuję pieczenie głowy. Wrażenie się rozprzestrzenia. Kark, plecy, klatka piersiowa, brzuch, twarz. Całe moje ciało płonie. Cofam się spod drzwi do przytulnego kącika pod ścianą. Coś tu nie gra. Przedwieczna cząstka mojego mózgu drze się na cały głos. Coś tu nie gra.

Włączam latarkę i oświetlam swoją dłoń. Moja skóra pokrywa się wielkimi pęcherzami. Z ran po odłamkach zaczyna się sączyć krew, która szybko nabiera głębokiego, aksamitnego odcienia purpury, jak gdyby wchodziła w reakcję z jakimś składnikiem wody.

Jakiś składnik wody.

Pieczenie jest prawie nieznośne i czuję się tak, jakby ktoś oblał mnie wrzątkiem, tylko że spadający z sufitu płyn nie jest gorący. Oświetlam latarką drugą dłoń. Skóra pokryta jest jasnoczerwonymi kropkami wielkości dziesięciocentówek. Pospiesznie – nie w panice – rozpinam kurtkę, podnoszę koszulkę i dostrzegam pole szkarłatnych gwiazd płonących na jasnoróżowym tle.

Mam trzy możliwości: stać jak idiotka pod trującym prysznicem, jak idiotka wedrzeć się przez



oszkłone drzwi prowadzące nie wiadomo gdzie albo rozsądnie wydostać się z budynku, zanim moja skóra się roztopi i odsłoni szkielet.

Wybieram trzecią z nich.

Kiedy biegnę, moje małe światełko przecina mżawkę i roztacza wokół tęczę. Wpadam na schody, odbijam się od ściany, ślizgam się na mokrym betonie i spadam jedną kondygnację w dół. Światełko wylatuje mi z ręki i gaśnie. Muszę się wydostać na zewnątrz, na zewnątrz, na zewnątrz. Kiedy wybiegnę z budynku, ściągnę ubranie i naga wytarżam się w błocie jak świnia. Do oczu wciskają mi się podpalone zapalki, łzy płyną po policzkach, rozżarzone węgle palą w usta i gardło, a każdy centymetr ciała pokrywa się morowymi czyrakami.

Czym, Cassie? Jakimi czyrakami?

Teraz to do mnie dociera. Teraz rozumiem.

Odciąć zasilanie. Otworzyć służę. Uwolnić zarazę. Rozkaz numer cztery to inwazja w mikrokosmosie, akustyczna wersja pierwszych trzech ogólnoświatowych fal, ta sama melodia, inne słowa, a każdy trafiony nimi intruz to wcielenie ludzkości.

Czyli ja. Ja jestem ludzkością.

Na zewnątrz, na zewnątrz, na zewnątrz! Jestem na parterze, na pozbawionym okien parterze, który odtwarzam z pamięci, bo nie mam latarki ani migającego czerwonego znaku, które doprowadziłyby mnie do wyjścia. To już nie pośpiech. To absolutna panika.

Już to przerabiałam. Wiem, co będzie po trzeciej fali.

## Uciszacz

Dziesięć mileniów dryfowania.

Dziesięć tysięcy lat nieograniczonych przestrzenią ani czasem, bez zmysłów, tylko czysta myśl, substancja bez formy, ruch bez gestu, spetryfikowana siła.

Nagle ciemność się rozstała i stała się światłość.

Powietrze wypełniło jego płuca. Krew zaczęła krążyć w żyłach. Uwięziony w swoim bezkresnym umyśle przez dziesięć mileniów wreszcie uzyskał granice. Był wolny.

Wspina się po schodach na powierzchnię.

Pulsujące czerwone światło. Rycząca syrena. Ludzki głos napastujący jego uszy: „OBOWIĄZUJE ROZKAZ NUMER CZTERY. MACIE JEDNĄ MINUTĘ, ABY ZGŁOSIĆ SIĘ DO WYZNACZONEJ STREFY BEZPIECZEŃSTWA...”.

Wydostaje się z otchłani.

Drzwi powyżej rozwierają się z hukiem i wpada przez nie oddział robactwa z gromady ssaków. Uzbrojone młode osobniki. W zamkniętej przestrzeni klatki schodowej ich ludzki odór jest przytłaczający.

– A ty co, kurwa, głuchy jesteś!? – krzyczy jeden z nich. Jego głos jest zgrzytliwy, a brzmienie ich języka paskudne. – Ogłoszono rozkaz czwarty, kretynie! Zabieraj tyłek z powrotem do bunk...

Skręca młodemu kark. Pozostałych zabija sprawnie i szybko. Ich ciała gromadzą się u jego stóp. Skręcone karki, rozszarpane serca, roztrzaskane czaszki. Może tuż przed śmiercią spojrzeli mu w oczy, puste i nieruchome, w oczy rekina, bezdusznego drapieznika wypływającego z otchłani.

„Trzy... Dwa... Jeden...”

Klatka schodowa pogrąża się w ciemności. Zwyczajny człowiek byłby tu niewidomy. Jednak jego ludzkie opakowanie nie jest zwyczajne.

Zostało ulepszone.

Na pierwszym piętrze centrum dowodzenia uruchamia się system zraszaczy. Uciszacz unosi twarz i pije letni płyn. Od dziesięciu tysiącleci nie próbował wody, a jej smak jest jednocześnie zaskakujący i rozkoszny.

Korytarz opustoszał. Robactwo wycofało się do schronów, gdzie pozostaną, aż dwoje intruzów zostanie uciszonych.

Uciszonych przez nieludzką istotę w jego ludzkim ciele.

Ulewa sprawia, że mokry mundur szybko przywiera do jego mocnej sylwetki. To stworzenie uwolnione jest od ciężaru historii swojego ciała. Nie pamięta dzieciństwa ani farmy, gdzie dorastała jego ludzka skorupa, nie pamięta ludzkiej rodziny, która kochała go i wspierała, a której członkowie umarli jeden po drugim, podczas gdy ono stało obok i nie reagowało.

Nie znalazło dziewczyny w namiocie, z karabinem w jednej ręce i pluszowym misiem w drugiej. Nie niosło jej poranionego ciała przez morze bieli, nie ściągnęło jej znad krawędzi śmierci. Nie uratowało ani jej, ani jej brata, nie przysięgało chronić jej za wszelką cenę.

Nie pozostało w nim nic ludzkiego, absolutnie nic.

Nie pamięta przeszłości, co oznacza, że przeszłość nie istnieje. Jego człowieczeństwo nie istnieje.

Nie ma nawet imienia.

Processor informuje go, że do wody został wprowadzony środek chemiczny. Nie odczuje działania trucizny. Został zaprojektowany tak, by znosić ból, by być odpornym na cierpienie, swoje i swoich ofiar. Starożytni używali przy takich okazjach powiedzenia *vincit qui patitur*, które odnosiło się zarówno do pokonanego, jak i do zwycięzcy. Aby zwyciężyć, trzeba znieść nie tylko własne cierpienie, ale i cierpienie innych. Obojętność to najważniejsza zdobycz ewolucji, najwyższy szczebel na drabinie natury. Ci, którzy stworzyli program kierujący ludzkim ciałem noszącym kiedyś nazwisko Evan Walker, rozumieli to. Badali ten problem przez milenia.

Fundamentalną skazą ludzkości było człowieczeństwo. Bezżyteczna, zagadkowa, autodestrukcyjna ludzka tendencja do miłości, współczucia, poświęcenia, zaufania, wyobrażania sobie czegośkolwiek poza granicami własnej skóry – właśnie te cechy zawiodły ten gatunek nad przepaść destrukcji. Co gorsza, ten jeden organizm zagrażał przetrwaniu życia na Ziemi.

Twórcy uciszacza nie musieli długo szukać rozwiązania. Odpowiedź leżała w innym gatunku, który podbił całe swe królestwo i przez miliony lat miał nad nim niekwestionowaną władzę.

Rekiny zostały idealnie zaprojektowane, ale powodem, dla którego rządzą oceanem, jest ich całkowita obojętność na wszystko poza żywieniem, prokreacją i obroną własnego terytorium. Rekin nie kocha. Nie czuje empatii. Nie ufa. Żyje w pełnej harmonii ze swoim środowiskiem, bowiem nie ma żadnych aspiracji ani pragnień. Ani litości. Rekin nie odczuwa żalu, skruchy, nie ma na nic nadziei, o niczym nie śni, nie ma złudzeń na swój ani jakikolwiek inny temat.

Kiedyś człowiek o nazwisku Evan Walker miał sen – sen, którego już nie pamięta. W tym śnie ujrzał stojący w lesie namiot, a w nim dziewczynę, która nazywała siebie ludzkością, dziewczynę, która była dla niego więcej warta niż jego własne życie.

To już przeszłość.

Kiedy ją znajdzie, a tak się stanie, zabije ją. Bez skruchy, bez litości. Zabije tę, którą kochał Evan Walker, i odczuje wówczas takie same emocje jak człowiek rozdeptujący karalucha.

Uciszacz się przebudził.

## Zombie

Pierwszą osobą, jaką widzę, jest Dumbo. Właśnie dlatego wiem, że umarłem. „Idę tam, gdzie ty, sierzancie”. Cóż, Bo, tym razem to chyba ja poszedłem za tobą.

Przez połyskującą mgiełkę spoglądam, jak wyciąga z apteczki okład ze sztucznego lodu i przełamuje plombę, pozwalając, by substancje chemiczne się połączyły. Ma znajomą, poważną minę – jego twarz pokrywa maska zmartwienia – jakby los całego świata spoczywał na jego barkach. Brakowało mi tego.

– Sztuczny lód? – pytam. – Co to za niebo, u diabła?

Spogląda na mnie tak, jakby chciał powiedzieć: „Zamknij się i daj mi pracować”. Następnie wciska mi do ręki okład i nakazuje przyłożyć go do potylicy. W połyskującej mgle jego uszy wydają się mniejsze. Może to jego niebiańska nagroda: mniejsze uszy.

– Nie powinienem był cię zostawiać, Bo – wyznaję. – Przepraszam.

Chłopak znika we mgle. Zastanawiam się, kto się teraz zjawi. Filiżanka? Pączek? Może Flintstone albo Tank? Mam nadzieję, że nie będzie to mój dawny współlokator z namiotu, Chris. Moi rodzice? Siostra? Na myśl o tym, że ją zobaczę, ściska mnie w żołądku. Dobry Boże, czyli w niebie wciąż ma się żołądek? Ciekawe, co tu dają do żarcia.

Nie rozpoznaję twarzy, która pojawia się w polu mojego widzenia. To czarnoskóra dziewczyna, mniej więcej w moim wieku, o idealnych kościach policzkowych i pięknych oczach pozbawionych ciepła, które błyszczą jak wypolerowany marmur. Ma na sobie mundur z belkami sierżanta na rękawach.

Cholera. Na razie wygląda na to, że życie pozagrobowe w przygnębiający sposób przypomina to przedgrobowe.

– Gdzie ona jest? – pyta dziewczyna. Kuca przede mną, opierając przedramiona na udach. Smukłe ciało biegaczki. Długie, zgrabne palce, ładnie przycięte paznokcie. – Coś ci obiecuję – mówi. – Nie będę ci wciskać kitu, jeśli ty nie będziesz go wciskać mnie. Gdzie ona jest?

Kręcę głową.

– Nie wiem, o kim mówisz.

Lodowy okład rozkosznie łagodzi pulsujący ból głowy, ale to by było na tyle. Zaczyna mi świtać, że może nie jestem tak martwy, jak mi się wydawało.

Dziewczyna sięga do kieszeni na piersi, wyciąga pogniecioną kartkę i rzuca mi ją na kolana. Boże, Ringer leżąca na szpitalnym łóżku, naszpikowana rurkami – to jakiś zrzut obrazu z kamery. Zrobiono go pewnie w czasie, kiedy Vosch wszczepił jej dwunasty układ.

Podnoszę wzrok na sierżant i mówię:

– Pierwszy raz widzę tę osobę.

Dziewczyna wzdycha, zabiera zdjęcie i wtyka je z powrotem do kieszeni. Wpatruje się w brunatne pola lśniące w blasku gwiazd. Mgła nieco się podnosi. Połamana drewniana balustrada, wyblakła biała ściana gospodarskiego domu, zarys silosu widoczny za ramieniem dziewczyny. Zgaduję, że znajdujemy się na werandzie.

– Dokąd się wybrała? – pyta dziewczyna. – I co zamierzała zrobić na miejscu?

– Sądząc po tym zdjęciu, chyba jeszcze długo nigdzie nie pójdzie.

Dzieciaki. Co zrobiłaś z Megan i Nuggetem? Zaciskam wargi, żeby nie zadać tego pytania. Schwytali Megan, nie mam co do tego wątpliwości... Była ze mną, zanim na głowę spadła mi Mount Rushmore. Może Nugget ocalał. Może wciąż ukrywa się w jarze.

– Nazywasz się Benjamin Thomas Parish – informuje mnie. – *Alias* Zombie, dawny rekrut i obecny sierżant pięćdziesiątego trzeciego oddziału, który ostatniej jesieni odwalił dorotkę i jest ścigany, odkąd prowadzona przez ciebie operacja zniszczyła obóz Przystań. Członkowie twojego oddziału nie żyją albo uznano ich za zaginionych, poza szeregową, której zdjęcie właśnie ci pokazałam, Mariką Kimurą *alias* Ringer, która przejęła jeden z naszych śmigłowców i kieruje się na północ stąd. Wydaje nam się, że znamy cel jej misji, ale chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego tam poleciała i co planuje.

Czeka. Mam wrażenie, że przerwała, żebym mógł wypełnić ciszę. Ringer to Marika Kimura. Dlaczego musiałem się dowiedzieć jej imienia oraz nazwiska od obcych ludzi?

Milczenie się przeciąga. Mam wrażenie, że dziewczyna mogłaby czekać w nieskończoność, chociaż oboje wiemy, że nie ma tyle czasu.

– Nie jestem dorotką – mówię w końcu. – Jedno z nas nią jest, ale to nie ja.

Dziewczyna kręci głową.

– Stary, twoje zdrowie psychiczne uciekło tak daleko, że nie widzę go nawet przez cholerny teleskop. – Chwyta mnie tymi swoimi długimi palcami za podbródek i ściska. Mocno. – Nie mam cierpliwości, żeby słuchać tych bzdur, a ty nie masz czasu. Jaki jest plan, sierżancie Zombie? W co gra Ringer?

Silna z niej cholera. Muszę się postarać, żeby otworzyć usta.

– W szachy.

Jeszcze przez chwilę trzyma mnie za podbródek, po czym puszcza, parszając z obrzydzeniem. Macha w stronę frontowych drzwi domu, z którego wychodzą dwie postaci: jedna wysoka, druga

niska, o wzroście Nuggeta.

Sierżant wstaje i przyciąga do siebie Nuggeta, po czym trzyma go przed sobą, mocno ściskając za ramiona.

– Mów – żąda. Nugget wpatruje mi się w oczy. – Powiedz coś – nakazuje sierżant. Wyjmuje pistolet z kabury i przyciska lufę do skroni chłopca. Nugget nawet nie drga. Nie jęczy ani nie krzyczy. Jego ciało jest równie nieruchome co jego oczy, a te mówią: „Nie, Zombie. Nie”.

– Zrób to, a zobaczysz, co za to dostaniesz – oznajmiam.

– Załatwię oboje – obiecuje. – Najpierw jego, a potem dziewczynkę. – Przesuwa broń i opiera ją o potylicę Nuggeta. Na początku nie rozumiem, po co to robi, a kiedy w końcu to do mnie dociera, żałuję. Kiedy pociągnie za spust, moją twarz oblepi mózg chłopca.

– Dobra – mówię, starając się opanować... na tyle, na ile to możliwe. – A potem możesz załatwić mnie. Wszyscy umrzemy, a ty będziesz mogła się wytłumaczyć z tego niefortunnego faktu swojemu dowódcy.

Wtedy robię coś, co całkiem wytrąca ją z równowagi – to właśnie cel, fenomen przedsięwzięcia, które nie zawodzi, odkąd skończyłem dwanaście lat – uśmiecham się. Serwuję jej Popisowy Numer Parisha.

– Czym się zajmowałaś, zanim rozpętało się to całe gównno? – pytam. – Byłaś sprinterką, prawda? A może uprawiałaś biegi długodystansowe? Ja grałem w futbol. Na pozycji rozgrywającego. Nie byłem szybki, ale miałem dobre ręce. – Kiwam głową. – Ręce. – Spoglądam jej w oczy ponad głową Nuggeta. Widzę odbijające się w nich światło gwiazd, płonące jak srebrny ogień. – Co się z nami stało, sierżant Sprinter? Co oni z nami zrobili? Czy rok temu potrafiłabyś sobie wyobrazić, że zdołasz odstrzelić głowę małemu dziecku? Nie znam cię, ale coś mi mówi, że byś się na to nie zdobyła. Mów mi „dorotko”, ale wśród siedmiu miliardów ludzi nie znalazłoby się nawet dziesięcioro takich. A teraz wpychamy im do gardeł bomby i wkładamy broń do rąk, jakby to była najbardziej naturalna sprawa na ziemi, taka jak włożenie ciuchów i umycie zębów. Człowiek zastanawia się, co będzie dalej. Czy kiedy osiągnie się ten moment, można spaść jeszcze głębiej na dno?

– Tego mi właśnie trzeba – mówi, obnażając zęby i wyszydzając Popisowy Numer Parisha. – Żebyś serwował mi tu te swoje dorotkowe bzdury.

– Marika wraca do miejsca, w którym zrobiono to zdjęcie – mówię, ścierając uśmiech z warg. Oczy Nuggeta się rozszerzają. *Zombie! Nie!* – Kiedy tam dotrze, odnajdzie tego sukinsyna, który nas wszystkich wydymał: ją, ciebie, mnie i wszystkich ludzi na tej półkuli. A kiedy go znajdzie, zabije go. Wtedy pozabija też wszystkich rekrutów o wypranych mózgach w tej bazie. A kiedy tam wrócisz... O ile uda ci się wrócić, zanim ten wielki zielony dupek zacznie srać zielonymi, śmiercionośnymi cegłami... Wtedy i ciebie zabije. – Z powrotem włączam uśmiech. Oślepiający. Olśniewający. Uroczy. Cóż, przynajmniej tak mi kiedyś mówiono. – A teraz odłóż broń, sierżant Sprinter, i zabierajmy się

jak najdalej stąd.



Dziewczyna podciąga mnie na nogi i wpycha do domu wraz z Nuggetem, Megan i dwoma groźnie wyglądającymi koleśkami, którzy sprawiają wrażenie futbolistów i którzy zdjęli kurtki, żeby pokazać, jacy są twardzi. Na wyrzeźbionych bicepsach mają identyczne tatuaże: VQP. Znajdujemy się w salonie z przodu budynku, Megan siedzi na kanapie, ściskając pluszowego misia, a Nugget przycupnął tuż obok mnie, chociaż chwilowo nie jest mną zachwycony.

– Wypaplałeś – rzuca oskarżycielsko.

Wzruszam ramionami.

– Kula opuściła lufę, Nugget. Teraz już nic na to nie poradzą. – Potrząsa głową. Nie załapał metafory. Przechyliam się i szepczę mu do ucha: – Ale przynajmniej nie powiedziałem im o Cassie, no nie?

Na dźwięk imienia siostry prawie traci nad sobą panowanie. Wypycha dolną wargę, a jego oczy wypełniają się łzami.

– Hej, już dobrze. Co się dzieje? Szeregowy, wasze dzisiejsze zachowanie potwierdziło wyjątkową odwagę wykraczającą poza zakres waszych obowiązków. Wiecie, czym jest awans na polu walki?

Nugget ponuro kręci głową.

– Nie.

– Cóż, właśnie go otrzymaliście, kapralu Nugget. – Przytykam kant dłoni do czoła. Chłopiec wypina pierś, jego podbródek wędruje do góry, a oczy płoną starym dobrem ogniem Sullivanów. Elegancko odwzajemnia salut.

Na werandzie sierżant toczy płomienną dyskusję ze swoim zastępcą. Temat nie jest zagadką. Przez otwarte drzwi słyhać każde słowo. Zastępca dowodzi, że ich misja dobiegła końca, że czas nas załatwić i wracać do bazy. „Pochwycić i przetrzymać – odpowiada sierżant. – Nie dostałam rozkazu załatwienia kogokolwiek”. Dziewczyna się jednak waha. Słyhać to w jej głosie. Zastępca odwzajemnia się moim argumentem o srającej bombami bestii zawieszanej wysoko na orbicie. Niezależnie od tego, co postanowi sierżant w kwestii dorotek, muszą powrócić do bazy przed świtem albo będą obserwować Armagedon z pierwszego rzędu.

Pokryte moskitierą drzwi rozwierają się i dziewczyna zatrzymuje się tuż przed moją twarzą, na tyle blisko, żeby owionął mnie zapach perfum. Już od tak dawna nie czułem niczego podobnego, że migrena zadziwiająco znika w jednej chwili.

– Jak ona to zrobi? – krzyczy. – Jak jedna osoba może...?

– Wystarczy jedna. – Cicha odpowiedź jest jak kontrapunkt do jej głośnego pytania. – Tylko jedna, żeby zmienić cały świat. To nie precedens, pani sierżant.

Dziewczyna spogląda na mnie ciemnymi, zimnymi oczami wypełnionymi sztyletami światła.

– Kapralu – warczy do swojego zastępcy, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy. – Robimy odwrót. Odprowadź więźniów do helikoptera. Zafundujemy im podróż w głąb króliczej nory. – Po tych słowach zwraca się do mnie: – Pamiętasz Krainę Czarów?

Kiwam głową.

– To dobrze.

Czarny śmigłowiec się wznosi, odrywamy się od ziemi – z powietrza nie widać jaskiń. Farma i pola połyskują srebrzyście, a podmuch zimnego wiatru jest jak krzyk świata. Kiedy ostatnim razem leciałem helikopterem, wracałem do innego obozu w ramach misji uratowania dziecka, które siedzi obok mnie, a którego okrągła kiedyś twarz jest teraz szczupła, surowa i pełna groźnej determinacji. Któregoś dnia zapyta swoje wnuki: „Opowiadałem wam już, jak w wieku sześciu lat zostałem awansowany na kaprala?”.

Swoje wnuki. Ringer twierdzi, że będą toczyły tę samą wojnę co on. Podobnie jak ich wnuki i wnuki ich wnuków. Dopóki wrogi statek będzie spokojnie krążyć nad naszymi głowami, wojna się nie zakończy. Jak może się zakończyć, skoro naszym potomkom wystarczy tylko spojrzeć w górę?

Podobnie jak sierżant Sprinter obserwująca mnie z przeciwnej strony wąskiego przejścia w luku. Doskonale strasznym i strasznie doskonałym elementem ich planu jest to, że choć dziewczyna wie, że nie jestem zarażony, nie ma to dla niej znaczenia. Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam. Tego typu myślenie już nieraz niemal położyło kres historii. Tym razem tak się stało.

Przenoszę wzrok z jej twarzy i na wrzeszczący świat na zewnątrz kabiny śmigłowca. Nie widzę ziemi, tylko cienką czarną granicę horyzontu, gromady milionów gwiazd i zielonego satelitę w kształcie oka tuż nad linią oddzielającą niebo od ziemi.

Ktoś dotyka mojego uda. I nie jest to ktoś, kogo się spodziewałem. Brudne, podrapane ręce, połamane paznokcie, patykowate ramiona, wychudzona buzia, głowa splątanych włosów, które oparły się bohaterskim próbom rozczesania ich przez Sullivan. Dotykam włosów dziewczynki, a kiedy zakładam jej kosmyk za ucho, Megan spogląda na mnie nieśmiało, ale się nie wyrywa. Gdy ostatnim razem leciała helikopterem, ludzie, którym ufała, umieścili jej bombę w gardle. Byli to ci sami ludzie, do których teraz wracała. Jak poradzić sobie z czymś takim? Jak nadać temu sens? Ledwo powstrzymuję się przed wypowiedzeniem tego na głos. Słowa cisną mi się na usta i prawie udaje im się wymknąć. Nie pozwolę na to, Megs. Tym razem jesteś bezpieczna.

Sierżant wrzeszczy coś przez słuchawki. Dociera do mnie około dziesięciu procent jej słów. „Rozkaz czwarty? Na pewno?” oraz „Starczy nam paliwa?”. A potem wiązanka przekleństw, których nie można uwzględnić w wymienionym odsetku. Słowa „rozkaz czwarty” sprawiają, że pozostali rekruci sztywnieją. Nie wiem, co, do diabła, oznacza „rozkaz czwarty”, ale nie brzmi to dobrze.

Brzmi to bardzo źle.

## Ringer

Z dachu centrum dowodzenia słyszę, jak dwieście metrów dalej roztrzaskuje się szyba. Z budynku wypada ciało w mundurze upstrzonym odłamkami szkła i jęcząc z bólu, wije się w błocie pod rozbitym oknem. Nie dostrzegam jej twarzy, ale nawet z tej odległości rozpoznaję plątanie jasnorudych loków.

Rzucam się wzdłuż dachu, jednym susem przedostaję się na sąsiedni budynek odległy o dwanaście metrów, po czym zeskakuję na ziemię, trzy piętra w dół. Sullivan dostrzega moje buty na trawie, trzydzieści centymetrów od swojej głowy, i krzyczy. Wyjmuje pistolet. Wytrącam go kopniakiem z jej dłoni i stawiam ją na nogi. Jej mundur jest przemoczony. Oczy dziewczyny są spuchnięte i czerwone, a twarz poznaczona wściekle szkarłatnymi czyrakami. Cała się trzęsie i jest w szoku. Muszę działać szybko.

Przerzucam ją sobie przez ramię i biegnę w stronę niewielkiego magazynu mieszczącego się na tyłach budynku. Drzwi są zamknięte na kłódkę. Rozwalam ją kopnięciem i wnoszę Sullivan do środka. Procesor analizuje dane transmitowane przez nanoroboty węchowe: coś w wodzie, coś toksycznego.

Ściągam jej kurtkę. Rozdzieram koszulę i bluzkę. Sullivan to traci, to odzyskuje przytomność i nie stawia oporu. Buty, skarpetki, spodnie, bielizna. Jej skóra jest rozpalona i lepka w dotyku. Przyciskam dłoń do jej piersi i pod palcami czuję walące serce. Spoglądam w jej zapłakane, niewidzące oczy i wdzieram się do środka. Toksyna jej nie zabije – taką mam nadzieję – ale może ją zabić strach.

Gaszę panikę, by spowolnić jej tętno. Prymitywna część jej umysłu odpowiada: instynktowna reakcja, by walczyć albo uciekać, jest starsza i o wiele potężniejsza niż technologia obecna w moim ciele. Zmagania trwają kilka minut.

Nasze serca – wojna.

Jej ciało – pole bitwy.

Zarzucając moją kurtkę na jej obnażone ramiona. Opatula się nią, dzięki czemu wiem, że jeszcze jej nie straciłam.

– Gdzieś. Ty. U diabła. Była?

– Obserwowałam, jak ten cały obóz się zapada – oznajmiam. – Odcięli zasilanie...

Śmieje się szorstko, po czym odwraca głowę i spluwa. Jej plwocina zawiera krew, a ja myślę o zarazie.

– Tak? Nie zauważyłam.

– To całkiem sprytne – dodaję. – Wywabić nas na zewnątrz, gdzie mamy ograniczone możliwości, a następnie wyekspediować ulepszonych żołnierzy, żeby wykończyć...

Kręci głową.

– Nie mamy żadnych opcji, Ringer. Kraina Czarów. Musimy do niej dotrzeć... – Próbuje wstać. Kolana się pod nią uginają i Sullivan upada na ziemię. – Gdzie, do jasnej cholery, są moje ciuchy?

– Proszę, weź moje. Ja przebiorę się w twoje.

Z jakiegoś powodu wybucha śmiechem.

– Na komandosa. Zabawne.

Nie kumam. Kiedy naciągam jej mundur, czuję, jak toksyna wżera się w moje nogi, a tysiąc nanorobotów roi się, by zneutralizować jej działanie. Podaję jej moją suchą koszulę, a sama wciskam się w jej przemoczoną.

– Trucizna ci nie szkodzi? – pyta.

– Nic nie czuję.

Przewraca oczami.

– To już wiem.

– Wszystkim się zajmę – przykazuję jej. – Ty tu zostań.

– Chyba sobie żartujesz.

– Sullivan, ryzyko jest...

– W dupie mam twoje ryzyko.

– Nie mówię o ryzyku, jakie niesie ze sobą misja, tylko o tym, jakie ponosisz ty.

– To bez znaczenia. – Wstaje. Tym razem udaje jej się nie upaść. – Gdzie mój karabin?

Kręcę głową.

– Nie zauważyłam go.

– W porządku. A mój pistolet?

Biorę głęboki oddech. To się nie uda. Dziewczyna stanowi teraz raczej obciążenie niż atut, którym i tak nigdy do końca nie była. Spowolni mnie. Może doprowadzić do tego, że mnie zabiją. Powinnam ją tu zostawić. Jeśli trzeba, pozbawić ją przytomności. Pieprzyć naszą umowę. Walker nie żyje. Musi nie żyć. Po skopiowaniu go do Krainy Czarów Vosch nie miałby powodów, by utrzymać go przy życiu. Co oznacza, że Sullivan ryzykuje wszystko dla niczego.

Podobnie jak ja. Robię to dla czegoś, czego nie potrafię nawet zwerbalizować. Dla tego samego czegoś, co zobaczyłam w jej oczach, a czego nie potrafię nazwać. Dla czegoś, co nie ma nic wspólnego z Voschem ani pomszczeniem tego, co mi zrobił. To coś o wiele ważniejszego. Coś solidniejszego. Nie potrafię tego opisać w żaden inny sposób.

To coś nietykalnego.

Nie mówię tego. Moje usta rozchylają się i wypowiadam następujące słowa: – Nie potrzebujesz broni, Sullivan. Masz mnie.

Na jakiś czas ją zostawiam. Wcześniej jednak każę jej obiecać, że nie ruszy się z magazynu. Nie zamierza składać żadnych obietnic. Woli je otrzymać. Obiecuję więc, że po nią wrócę.

Kiedy wracam, zdaje się już lepiej czuć. Jej twarz wciąż jest zaczerwieniona, ale wysypka i czyraki (czy co to tam było) już prawie zniknęły. Nie jest zadowolona, ale zarzuca mi ramię na szyję i opiera się o mnie w drodze do centrum dowodzenia.

W całej bazie panuje niepokojąca cisza. Nasze kroki brzmią niczym grzmoty. „Obserwujesz nas – mówię cicho do Voscha. – Wiem, że nas obserwujesz”. Kiedy docieramy do drzwi, Sullivan się ode mnie odrywa.

– Jak to zrobisz? – chce wiedzieć. – Toksyna spali nas żywcem.

– Nie sądzę. Właśnie wyłączyłam główny dopływ wody.

Rozwalam pięścią stalowe drzwi i zdejmuję rygiel zasunięty po drugiej stronie. Nie rozlega się żaden alarm. Nie oślepia nas żadne światło. Nie dosięga żadna kula. Cisza jest dusząca.

Sullivan sapie mi do ucha:

– To fale, Ringer. Prąd. Woda. Zaraza. Wiesz, co będzie dalej. Wiesz, co nadchodzi.

Kiwam głową.

– Wiem.

Znajdujemy ciała na klatce schodowej prowadzącej do podziemnego kompleksu. Siedmiu rekrutów, zero krwi czy zadrapań. To jasne, że ten, kto to zrobił, został ulepszony. Głowy dwóch chłopaków zostały skręcone tak, że spoglądają na nas, chociaż teoretycznie ofiary powinny leżeć twarzą do ziemi. Wręczam Sullivan jeden z pistoletów znaleziony przy żołnierzach. Omijamy stos trupów i schodzimy na dół. Sullivan w jednej dłoni ściska broń, drugą trzyma mnie za rękaw. Nie dostrzegła rekrutów i nie zapytała o to, co się stało, ani o to, co widziałam. Nie chce wiedzieć albo uznała, że to bez znaczenia.

„Liczy się tylko jedno”, powiedziała. Ma rację. Tylko sama nie wiem, czy któraś z nas potrafi wyjaśnić, co to takiego.

Na samym dole panuje ciemność i cisza i nawet moje ulepszone oczy nie widzą końca tego korytarza. Ale pamiętam, gdzie jestem. Już kiedyś tu byłam, oświetlona jednostajnym światłem. To tu odnalazł mnie Brzytwa, tu mnie uratował, wlał we mnie nadzieję, po czym mnie zdradził.

Zatrzymuję się. Jej dłoń zaciska się na moim rękawie.

– Nic nie widzę – szepcze Sullivan. – Gdzie te zielone drzwi?

– Stoisz przed nimi.

Przesuwam ją w bok i truchtam w głąb korytarza, żeby się rozpędzić. Domyślam się, że nawet ulepszona istota ludzka nie jest w stanie rozwalić mechanizmu zabezpieczającego drzwi. Nie mam jednak wyboru. W połowie dzielącej mnie od nich odległości osiągam pełną prędkość i właściwie nie mam już miejsca, żeby zwolnić, kiedy Sullivan zachodzi mi drogę i naciska klamkę.

Drzwi się otwierają. Hamuję przez dwa metry. Cieszę się, że nie zobaczyła przerażenia na mojej twarzy. Śmiałyby się.

– Nie muszą zamykać drzwi, skoro nie ma prądu – zauważa. – Kraina Czarów potrzebuje zasilania, prawda?

Rzecz jasna ma rację. Głupio mi, że nie przewidziałam czegoś tak oczywistego.

– Rozumiem – mówi, czytając mi w myślach. – Nie przywykłaś do tego, by czuć się głupio. Wierz mi, do tego można się przyzwyczaić. – Uśmiecha się. – Może Kraina Czarów wyposażona jest w osobny system energetyczny... Na wszelki wypadek.

Wchodzimy do pomieszczenia. Sullivan zamyka za nami drzwi. Muska palcami niedziałającą klawiaturę i opuszcza dłoń. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, ta dziewczyna wciąż ma nadzieję.

– Co teraz? – pyta, kiedy bezskutecznie wciskam kilka guzików na konsoli.

Nie wiem, Sullivan. To ty żądałaś, żebyśmy tu przyszły, chociaż wiedziałaś, że odcięli zasilanie.

– Nie mają zasilania awaryjnego? – pyta. – Przecież powinni mieć jakiś agregat, w razie gdyby przypadkowo odcięto im prąd. – I dodaje po chwili, głównie po to, by wypełnić ciszę: – Zostanę tu. Ty idź odszukać elektrownię czy coś w tym stylu, która przywróci zasilanie.

– Sullivan, ja myślę.

– Myślisz.

– Tak.

– To właśnie robisz. Myślisz.

– To wychodzi mi najlepiej.

– No proszę, a ja myślałam, że najlepiej wychodzi ci zabijanie.

– Cóż, gdybym mogła wybrać dwie rzeczy, w których jestem naprawdę dobra...

– Nie żartuj – mówi.

– Nigdy tego nie robię.

– No widzisz? I to jest właśnie istota. To właśnie twoja podstawowa wada.

– Wadą jest też nadmierne gadulstwo.

– Masz rację. Powinnam więcej zabijać i mniej gadać.

Przesuwam dłońmi po blacie. Nic. Opadam na podłogę i wczołguję się pod biurko. Plątanina kabli,



złączek, przedłużaczy. Wstaję. Na ścianie i przy płaskich monitorach nie ma żadnych łączów – pewnie są bezprzewodowe. Do Krainy Czarów nie podpięto niczego poza klawiaturą, ale przecież musi być tego więcej. Gdzie przechowują dane? Gdzie znajduje się procesor? No jasne, przecież to kosmiczna technologia. Vosch może nosić procesor w kieszeni. Może się znajdować na czipie wielkości ziarnka piasku, wszczepionym w jego mózg.

Najbardziej niezrozumiałe jest tu ryzyko. Kraina Czarów to podstawowy sprzęt, ważny element selekcji żołnierzy piątej fali, klucz do wytypowania czarnych owiec, włącznie z Evanem Walkerem, najczarniejszą owcą w stadzie.

W pokoju jest sucho. Zraszacze się tu nie uruchomiły. A więc gdzie jest prąd? Może go nie być w żadnej innej części kompleksu, ale tu powinien dochodzić. W przeciwnym razie ryzyko byłoby zbyt wielkie.

– Ringer? – To, że mnie nie widzi, wytrąca ją z równowagi. Zauważam, że wyciąga dłoń w moim kierunku. – O czym teraz myślisz?

– Nie ryzykowałiby utratą zasilania Krainy Czarów.

– Dlatego poruszyłam kwestię zapasowego agregatu lub...

Głupia. Głupia, głupia, głupia. Mam nadzieję, że Sullivan się nie myli. Mam nadzieję, że przywyknę do wrażenia, że jestem głupia. Mijam ją i włączam światło.

Kraina Czarów budzi się do życia.

Cassie siada. Biały fotel skrzypi. Dziewczyna się odchyła i leży twarzą do białego sufitu. Zapinam jej pasy.

– Nigdy tego nie robiłam – wyznaje. – Chociaż w obozie Przystań byłam blisko.

– Co się stało?

– Udusiłam doktor Pam jednym z tych pasów.

– Gratulacje – mówię szczerze. – Jestem pod wrażeniem.

Podchodzę do klawiatury. Jestem pewna, że program poprosi mnie o hasło. Nie robi tego. Wciskam przypadkowy klawisz, a na głównym monitorze pokazuje się strona startowa.

– Co się dzieje? – pyta. Z fotela widzi tylko biały sufit.

Baza danych.

– Znalazłam.

Wciskam przycisk.

– Co teraz? – chce wiedzieć.

Wszystko zapisane jest kodem. Tysiące numerycznych kombinacji najprawdopodobniej symbolizujących osoby, których wspomnienia zostały zapisane w programie. Nie wiadomo, która sekwencja przedstawia Walkera. Możemy spróbować pierwszą, a jeśli nie trafimy, przejdziemy do kolejnego punktu z listy, ale...

– Ringer, nic nie mówisz.

– Myślę.

Wzdycha głośno. Chce powiedzieć coś w stylu: „Przecież mówiłaś, że jesteś w tym dobra”, ale tego nie robi.

– Nie wiesz, które wspomnienia należą do Evana – zgaduje w końcu.

– Już to przerabialiśmy – przypominam jej. – Nawet jeśli uda mi się zlokalizować jego dane, nie wiesz, czy jego wspomnienia cię do niego doprowadzą. Po tym, jak Evana zgrano do programu, Vosch pewnie...

Sullivan unosi głowę z fotela na tyle, na ile to możliwe, i warczy: – On tu gdzieś jest. Daj mi wszystkie.

Mam wrażenie, że się przesłyszałam.

– Sullivan, są ich tysiące.

– Mam to gdzieś. Przejrzę te wszystkie cholerne wspomnienia, aż go znajdę.

– Jestem prawie pewna, że to tak nie działa.

– Co ty w ogóle wiesz? Ile tak naprawdę wiesz, Ringer, a ile z tego, co „wiesz”, to bzdury, w które każe ci wierzyć Vosch? Prawda jest taka, że gówno wiesz. Gówno wiesz! Wszyscy gówno wiemy.

Jej głowa opada. Dziewczyna ściska pasy palcami. Może ma ochotę jednym z nich mnie udusić.

– Powiedziałaś, że Vosch zgrał ich wszystkich do swojej głowy – mówi dalej. – I dlatego wiedział, jak tobą manipulować. Skoro on przechowuje w sobie wszystkie wspomnienia, to musi być bezpieczne. Całkowicie bezpieczne.

Jestem gotowa wykonać komendę, choćby po to, żeby się zamknęła.

– Dlaczego się boisz? – pyta.

Kręcę głową.

– A dlaczego ty się nie boisz?

Uruchamiam komendę, a dziesiątki milionów nieprzefiltrowanych wspomnień trafiają do mózgu Cassie Sullivan.

Jej ciało się napręża. Materiał pasów zaczyna się pruć i może pęknąć. Po chwili dziewczyna sztywnieje jak ktoś, kto ma napad padaczkowy. Gałki wywracają jej się do wewnątrz czaszki. Sullivan zaciska szczęki. Jeden z jej paznokci odłamuje się i leci przez całe pomieszczenie.

Na monitorach rozmazane linijki kodu przesuwają się zbyt szybko nawet dla mojego ulepszanego wzroku. Ile danych zawierają umysły dziesięciu tysięcy ludzi? To, co dzieje się z Sullivan, przypomina próbę wciśnięcia Układu Słonecznego do łupinki orzecha. To ją zabije. Jej umysł eksploduje jak osobliwość w momencie stworzenia.

Nie mam wątpliwości, że Vosch wykorzystał Krainę Czarów, by zgrać doświadczenia poszczególnych osób – jestem przekonana, że zgrał też moje – i mam niemal całkowitą pewność, że po tym, jak spełniły swoją funkcję, te doświadczenia zostały w jakiś sposób oczyszczone. Żaden człowiek nie jest w stanie pomieścić w sobie sumy całego ludzkiego doświadczenia. W najlepszym razie zniszczyłoby to jego osobowość. Jak można utrzymać istotę swojego istnienia w obliczu tylu możliwości?

Sullivan jęczy. Jej krzyki są ciche i dochodzą z głębin jej wnętrza. *Jest słaba. Powinnaś była wiedzieć. Powinnaś była zająć jej miejsce. Technologia, którą cię zainfekowano, by sobie z tym poradziła. Dwunasty układ by cię ochronił. Dlaczego jej na to pozwoliłaś?*

Znam odpowiedź na to pytanie. Dwunasty układ jedynie ulepsza ludzkie ciało – w konfrontacji z lękiem jest bezsilny. Nie może dać mi tego, czego Cassie Sullivan ma aż nadto. Wydawało mi się, że wiem, czym jest odwaga. Byłam nawet na tyle arogancka, by pouczać w tej kwestii Zombie’ego. Jednak aż do tej chwili nie miałam pojęcia, czym jest prawdziwa, czysta odwaga. To niemożliwe do zidentyfikowania coś, co zobaczyłam w oczach Cassie, jest elementem tej odwagi, rdzeniem, z którego ona wyrasta. Mój palec zawisa nad klawiszem „przerwij”. Czy wciśnięcie go byłoby aktem odwagi, czy porażką ludzkiej części mojej osobowości – tej części, która wciąż ma nadzieję, kiedy miejsca dla nadziei już ma, wierzy, kiedy nie ma powodów do wiary, ufa, kiedy zerwano łańcuch zaufania? Czy wciśnięcie tego guzika oznaczałoby ostateczny triumf Voscha nade mną? *Widzisz, Mariko? Nawet ty należysz teraz do nas. Nawet ty.*

To wszystko trwa niecałe pięć minut. Pięć ciągnących się w nieskończoność minut. Nawet wszechświat kształtował się krócej.

Monitory gasną. Ciało Cassie robi się bezwładne. Zbliżam się ostrożnie. Boję się jej dotknąć. Boję się tego, co czuję. Obawiam się o własny umysł, własne zdrowie psychiczne. Już zanurzenie się w

świadomości jednego człowieka jest niebezpieczne. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak to jest zanurzyć się w tysiącu.

– Cassie?

Jej powieki drgają. W jej zielonych oczach widzę odbicie białego sufitu. I coś jeszcze. Coś szokującego. Nie przerażenie. Nie rozpacz. Nie dezorientację, ból czy strach. Żadnej z tych rzeczy, na które musiała się natknąć w Krainie Czarów.

Zamiast tego jej oczy, twarz i całe ciało rozpaliło się czymś, co stanowi przeciwieństwo tych emocji, czymś, co było tu przez cały czas, niepokonane, niezwyknięte, nieśmiertelne. Rdzeń jej odwagi. Podstawa całego życia, często ukryta, ale nigdy zagubiona.

Radość.

Bierze długi, drżący oddech i mówi:

– Jesteśmy na miejscu.

Jej twarz promienieje. Oczy błyszczą. Na ustach błąka się uśmiech.

– Nie uwierzyłyabyś... – szepcze. – Nie wiesz...

Potrząsam głową.

– Nie, nie wiem.

– To jest takie piękne... Takie piękne... Nie mogę. Boże, Mariko. Nie mogę...

Szlocha. Ujmuję jej twarz w dłonie, błagając procesor, by utrzymał mnie na zewnątrz. Nie chcę się znaleźć w tym samym miejscu co ona. Chyba bym tego nie zniosła.

– Sammy tu jest – płacze. – On tutaj jest. – Szamocze się w postrzępionych pasach, jak gdyby chciała otoczyć brata ramionami. – I Ben także. Boże, Chryste, powiedziałam, że jest złamany. Dlaczego to zrobiłam? Jest silny... taki silny... Nic dziwnego, że nie potrafią go zabić... – Jej oczy przesuwają się po nijakiej bieli, ramiona drżą. – Wszyscy tu są. Dumbo, Filiżanka i Pączek...

Odsuwam się. Wiem, co teraz będzie. Mam wrażenie, że obserwuję pociąg pędzący prosto na mnie. Pokonuję niemal obezwładniającą pokusę, żeby rzucić się do ucieczki.

– Przepraszam, Mariko. Za wszystko. Nie wiedziałam. Nie rozumiałam.

– Nie musimy o tym rozmawiać, Cassie – mamroczę. Proszę, nie rozmawiajmy o tym.

– On cię kochał. Brzytwa... Alex. Nie mógł się do tego przyznać. Nie potrafił się do tego przyznać nawet przed samym sobą. Już wcześniej wiedział, że odda za ciebie życie.

– Walker – rzucam ochryłym głosem. – Co z Walkerem?

Ignoruje mnie albo nie słyszy pytania. Przebywa tutaj, a jednocześnie jej tu nie ma. Jest Cassie Sullivan i jest wszystkimi innymi.

Stała się sumą nas wszystkich.

– Tęczowe palce – wzdycha, a ja wstrzymuję oddech. Widzi mojego ojca trzymającego mnie za rękę. Przypomina sobie ten moment, to, w jaki sposób ja się czułam, ściskając dłoń ojca.

– Nie mamy czasu – mówię, żeby wyciągnąć ją z moich wspomnień. – Cassie, posłuchaj. Czy Walker tam jest?

Kiwa głową. Znowu zaczyna płakać.

– Mówił prawdę. Tam rzeczywiście była muzyka. I to piękna... Widzę to, Mariko. Jego planetę. Statek. To, jak wyglądał... O Boże, jakie to obrzydliwe. – Potrząsa głową, by pozbyć się tej wizji. – Mariko, on mówił prawdę. To wszystko prawda... prawda...

– Nie, Cassie. Posłuchaj mnie. Te wspomnienia nie są prawdziwe.

Krzyczy. Szamocze się w pasach. Całe szczęście, że jej nie uwolniłam, bo mogłaby wydrapać sobie oczy.

Nie mam wyboru. Muszę zaryzykować.

Chwytam ją za ramiona i zmuszam, by się oparła. W moim umyśle eksploduje kakofonia emocji i przez sekundę boję się, że stracę przytomność. Jak ona to znosi? Jak jeden umysł może znieść ciężar dziesięciu tysięcy innych? To przechodzi ludzkie pojęcie. Jest jak próba zdefiniowania Boga.

Cassie Sullivan ma w sobie tak bezdenną grozę, że nie sposób opisać jej słowami. Ludzie podłączani do Krainy Czarów stracili wszystkich bliskich, a większość z załadowanych osób stanowią dzieci. Ich ból należy teraz do niej. Podobnie jak ich dezorientacja i rozpacz, gniew, poczucie beznadziei i strach. To zbyt wiele. Nie mogę dłużej przebywać w jej wnętrzu. Wycofuję się, aż uderzam w biurko.

– Wiem, gdzie on jest – mówi, próbując złapać oddech. – A przynajmniej gdzie może być, jeśli umieścili go z powrotem w tym samym miejscu. Rozwiąż mnie, Mariko.

Podnoszę oparty o ścianę karabin.

– Mariko – prosi, a ja podchodzę do drzwi. – Mariko!

– Wróć – udaje mi się tylko wykrztusić.

Sullivan raz jeszcze wykrzykuje moje imię i teraz nie mam już wyboru. Jeśli wcześniej nas nie słyszał, to teraz na pewno usłyszał Cassie.

Bo ja usłyszałam jego.

Ktoś schodzi po schodach na końcu ciągnącego się kilometrami korytarza. Nie wiem, kim jest, ale wiem, czym jest.

I wiem, dlaczego nadchodzi.

– Tu będziesz bezpieczna – kłamię. To jedno z tych budzących nadzieję kłamstw, które opowiada się dzieciom. – Nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało.

Otwieram drzwi, chwiejnym krokiem wychodzę ze światła i wkraczam w ciemność.

Nawet moje ulepszone ciało nie porusza się tak szybko, bym zdołała dopaść drzwi do klatki schodowej przed nim. Ale przy odrobinie szczęścia znajdę się na tyle blisko, by móc trafić z karabinu.

Jestem pewna, że to Vosch. Kto inny mógłby to być? Wie, że tu jestem. Wie, po co tu wróciłam. Łączy nas więź twórcy ze swoim dziełem, stworzenia z kreatorem. Jest tylko jeden sposób, aby ją zerwać. Tylko jeden sposób, by się uwolnić.

Rzucam się w głąb korytarza niczym ludzki pocisk. Słyszę, jak nadchodzi. On też musi mnie słyszeć.

Zasięg karabinu M16 to pięćset pięćdziesiąt metrów. Procesor przelicza moją prędkość i odległość dzielącą mnie od klatki schodowej. Nic z tego. Olewam wyliczenia i biegnę dalej. Dziewięćset metrów, osiemset, siedemset. Procesor wszczepiony w moją korę mózgową szaleje, dokonuje kolejnych pomiarów, zawodzi i wysyła mi coraz wyraźniejsze ostrzeżenia. *Uciekaj. Kryj się. Nie ma czasu. Nie ma czasu, nie ma czasu, niemaczasuniemaczasuniemaczasu.*

Ignoruję go. Nie służę dwunastemu układowi. To on służy mnie.

Chyba że uzna, że ma dość.

Procesor odcina nanoroboty, które wspomagają moje mięśnie – skoro nie może mnie zatrzymać, próbuje mnie przynajmniej spowolnić. Moja prędkość spada. Porzucona, biegnę jak zwykły człowiek. Czuję się jednocześnie skuta łańcuchem i wyzwolona.

W korytarzu rozbłyskuje światło. Drzwi klatki schodowej otwierają się i pojawia się w nich wysoka postać. Otwieram ogień, posuwając się naprzód i najszybciej jak to możliwe zmniejszam dzielącą nas odległość. Postać potyka się, opiera o ścianę i instynktownie unosi ręce, żeby zasłonić twarz.

Jestem już w zasięgu... Ja o tym wiem, wróg o tym wie i procesor także. To już koniec. Celuję w głowę przeciwnika. Mój palec zaciska się na spuście.

Po chwili dostrzegam niebieski kombinezon, a nie mundur pułkownika. To nie ten wzrost. I nie ta waga. Przez chwilę się waham i właśnie w tej chwili postać opuszcza ręce.

W pierwszej chwili myślę o Cassie... Że niepotrzebnie przecierpiała Krainę Czarów. Ryzykowała wszystko, żeby go odnaleźć... aż on odnalazł ją.

Evan Walker ma dryg do odnajdywania Sullivan. Zawsze go miał.

Zatrzymuję się w odległości stu metrów od niego, ale nie opuszczam karabinu. Kto wie, co się



wydarzyło pomiędzy jego zniknięciem a tym spotkaniem. Procesor się ze mną zgadza. Martwy Walker nie stanowi żadnego ryzyka, żywy – ogromne. Wartość, jaką miał, zniknęła i znajduje się teraz w świadomości Cassie Sullivan.

– Gdzie jest Vosch? – pytam.

Bez słowa opuszcza głowę i atakuje. Jest już w połowie drogi, gdy otwieram ogień, najpierw lekceważąc nalegania procesora, żebym celowała w głowę, a następnie żądanie wycofania się, nim wróg mnie dopadnie. Pakuję mu sześć kul w nogi, sądząc, że go to powali. Nic z tego. Wtedy wykonuję wrzaskliwy rozkaz procesora, ale jest już za późno.

Wytrąca mi karabin z rąk. Tak szybko, że nie spodziewam się nadchodzącego ciosu. Nie spodziewam się także następnego – pięści, która wbija mi się w szyję i ciska mną o ścianę. Beton pęka przy uderzeniu.

W jednej chwili Walker zaciska mi palce wokół gardła. W następnej przerywam jego chwyt lewą ręką i z całej siły uderzam go prawą dłońią w sam środek klatki piersiowej, żeby złamać mu mostek i wbić pękniętą kość w serce. Czuję się tak, jakbym grzmotnęła pięścią w siedmiocentymetrową stalową płytę. Kość pęka, ale się nie łamie.

W następnej chwili moja twarz przywiera do chłodnego betonu, a usta wypełniają się krwią plamiącą ścianę, w którą uderzyłam głową... Tylko że to nie ściana – to podłoga. Rzucono mną na odległość stu metrów i wylądowałam na brzuchu.

Za szybko. Porusza się szybciej niż tamten ksiądz w jaskiniach, szybciej niż Claire w szpitalnej łazience. A nawet szybciej niż Vosch. To, że człowiek porusza się tak szybko, przeczy prawom fizyki.

Zanim kosmiczny procesor w moim mózgu zdąży wykorzystać nanosekundę potrzebną, by przeliczyć moje szanse, znam wynik: Evan Walker mnie zabije.

Podnosi mnie z podłogi za kostkę i rzuca mną o ścianę. Cegły rozszczepiają się, podobnie jak moje kości. Nie puszcza. Uderza moim ciałem o przeciwległą ścianę. Robi to raz po raz, aż beton się rozpada i zwała na podłogę lawiną gruzu i pyłu. Nic nie czuję. Procesor odciął receptory bólu. Walker unosi mnie nad głowę i ciska mną o swoje uniesione kolano.

Nie czuję, że pęka mi kręgosłup, ale słyszę jego chrupnięcie tysiąckrotnie wzmocnione przez słuchowe nanoroboty wszczepione do moich uszu.

Upuszcza moje bezwładne ciało na podłogę. Zamykam oczy, czekając na ostateczny cios. Przynajmniej szybko będzie po wszystkim. Przynajmniej wiem, że ostatnim prezentem, jaki otrzymam od dwunastego układu, będzie bezbolesna śmierć.

Przewraca mnie na plecy kopnięciem. Następnie kuca przy mnie, a jego oczy przypominają bezdenne dziury, do których nie dociera światło i z których się ono nie wydostaje. W tych oczach nie ma życia, nie ma w nich nienawiści, gniewu, rozbawienia ani nawet odrobiny ciekawości. Oczy Evana Walkera są puste jak u lalki, a jego spojrzenie niewzruszone.

– Jest jeszcze jedno – mówi. – Gdzie się schowało?

Przemawia beznamiętnym głosem całkowicie pozbawionym człowieczeństwa. Dawny Evan Walker przestał istnieć.

Kiedy nie odpowiadam, to coś, co kiedyś było Evanem Walkerem, ujmuję moją twarz w dłonie z nieprzyzwoitą delikatnością i wdziera się do mojej świadomości. Istota gwałcąca moją duszę jest jej pozbawiona, to Przybysz, obcy. Nie mogę się wyrwać. Nie mogę się poruszyć. Gdyby dwunasty układ miał odrobinę czasu – ale go nie ma – mógłby naprawić mój uszkodzony kręgosłup, na razie jednak jestem sparaliżowana. Otwieram usta. Nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Ono już wie. Puszczą mnie. Wstaje.

Udaje mi się dobyć głosu, więc krzyczę najgłośniejszym głosem, jak potrafię:

– Cassie! Cassie, to nadchodzi!

Ale ono już ciężko stąpa korytarzem w kierunku zielonych drzwi.

A zielone drzwi się otworzą. Ona spojrzy na niego oczami, które widziały wszystko to, co widział on, i sercem, które czuło wszystko to, co czuł. Pomyśli, że przybył ją uratować... Że jego miłość znów dotrzyma obietnicy.

Mój głos więdnie i przeradza się w żalosny skowyt.

– Cassie, to nadchodzi. Nadchodzi...

Nie słyszy mnie. Niczego się nie domyśla.

Modlę się, żeby nie zdążyła się nawet zorientować. Modlę się, żeby to, co kiedyś było Evanem Walkerem, działało szybko.

## Uciszacz

Na końcu korytarza znajdują się zielone drzwi. Po drugiej stronie zielonych drzwi znajduje się biały pokój. W tym pokoju znajduje się ofiara przytroczone do białego fotela, koziół przywiązany do słupka, ranna foka uwięziona w wartkim nurcie. Roztrzaska jej czaszkę. Gołymi rękami wyrwie z jej piersi bijące serce. Ta, którą Evan Walker ocalił pierwszego dnia, by ostatniego dnia jego pozbawione duszy szczątki mogły ją zabić. W jego okrucieństwie nie ma ironii. Jest tylko okrucieństwo.

Jednak fotel jest pusty. Jego ofiara zniknęła. Uciszacz przygląda się pasom, które ją ścisnęły. Włosy, skóra, krew. Musiała się z nich wyrwać.

Opuszcza głowę, nasłuchuje. Ma niezwykle wyczulony słuch. Słyszy, jak niemal kilometr dalej, na drugim końcu korytarza, oddycha ta druga istota ludzka, ta, której złamał kręgosłup i której kości roztrzaskał o betonową ścianę. Słyszy oddechy żołnierzy skulonych w schronach na terenie bazy, czekających na odwołanie alarmu, słyszy ich ciche głosy, szelest mundurów, ich przyspieszony puls. Słyszy elektryczność wibrującą w przewodach ukrytych w ścianach tego pokoju. Odsiewa dezorientującą mieszaninę dźwięków, żeby namierzyć swoją ofiarę. Nasłuchuje bicia jej serca, wyczuwa znajdujący się blisko oddech. Nie mogła odejść daleko.

Kiedy oznacza jej położenie, nie czuje satysfakcji. Rekin też nie doświadcza satysfakcji, rejestrując obecność młodej foki wśród fal.

Wypada z pomieszczenia na nogach, których nie czuje. Procesor z jego mózgu odciął ból płynący z ran, a nanoroboty z arterii odcięły przypływ krwi do otworów zrobionych przez kule. Jego nogi są odrętwiałe w takim samym stopniu jak serce, równie niewrażliwe jak jego umysł.

Trzecie drzwi na prawo. Przez chwilę stoi przed nimi bez ruchu, nasłuchując z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia i z pochyloną głową. Jakimś cudem jego ofiara знаła kod i udało jej się wejść do tego pomieszczenia. Nie zastanawia się, jak udało jej się to zrobić. Nie rozważa tego, dlaczego dziewczyna była w białym pokoju, ani tego, co jej się tam przydarzyło. Nie myśli o tym, skąd wzięła się jego ofiara, ani o tym, jak przedtem wyglądało jej życie... To wszystko nie ma znaczenia. W kierunku dryfującej na powierzchni foki z głębin nadpływa bestia.

Dziewczyna jest blisko. Bardzo blisko. Słyszy jej oddech po drugiej stronie drzwi. Rozpoznaje bicie jej serca. Ofiara przyciska ucho do drzwi. Nasłuchuje.

Ręka uciszacza się cofa, a palce zaciskają się w pięść.

Obraca się, aby zwiększyć siłę uderzenia, i przebija się pięścią przez wzmocnione drzwi. Po drugiej stronie ofiara się cofa, ale jest już za późno. Chwyta ją za włosy. Dziewczyna wykręca mu się z przerażonym okrzykiem, a w jego dłoni zostaje garść jej loków.

Uciszacz wyrywa drzwi z zawiasów i wpada do środka. Ofiara ślizga się po mokrej podłodze i wpada pomiędzy dwa rzędy skrzynek z przyłączami elektrycznymi znajdujących się po obu stronach wąskiego przejścia. Przyparł ją do muru w jednej z należących do bazy rozdzielni elektrycznych. Aby się stąd wydostać, musiałaby wyminąć uciszacza, a to będzie niemożliwe.

Uciszacz się nie spieszy. Nie musi. Powoli przesuwają się wzdłuż kałuż z wodą, skracając odległość. Ofiara zatrzymuje się przy tylnej ścianie. Może zdaje sobie sprawę, że nie ma dokąd uciec, że nie ma się gdzie schronić, że nie ma wyboru i że prędzej czy później będzie musiała się z tym zmierzyć. Skręca na prawo i skacze, sięgając uchwytu w metrowej przestrzeni pomiędzy górną częścią skrzynki i sufitem. Jej dłoń owija się wokół jednego z wychodzących ze skrzynki kabli i dziewczyna wciska się w małą niszę.

Jest w pułapce.

Najstarsza część jego ludzkiego mózgu ostrzega go wcześniej niż zaawansowany procesor wszczepiony w jego korę mózgową: coś jest nie tak.

Uciszacz wstrzymuje atak.

Obiekt pierwszy: gruby, rdzawy przewód wysokiego napięcia zwisa luźno... przecięty lub wyrwany ze skrzynki przyłączonej.

Obiekt drugi: cienka warstwa wody pokrywa podłogę i zbiera się u jego stóp.

Procesor w jego głowie nie może spowolnić upływu czasu, ale może spowolnić postrzeganie go przez swojego gospodarza. W bolesnej chwili, kiedy czas zwalnia i zaczyna się wlec, przewód wysuwa się z dłoni ofiary, zataczając elegancki, szeroki łuk. Światło iskrzy z odsłoniętych przewodów, kiedy te opadają niespiesznie jak płatki śniegu.

Stoi zbyt daleko od drzwi, żeby uciec. A skrzynki po obu stronach uciszacza pną się aż pod sufit. Brak tu wolnej przestrzeni, w której można by się skryć.

Uciszacz skacze, wyciągając ciało na całą długość równoległe do ziemi i przelatując trzydzieści centymetrów ponad podłogą, z wyciągniętym ramieniem i rozcapierzonymi palcami, a jego jedyną nadzieją jest to, że chwyci szkarłatny przewód, zanim ten zetknie się z wodą.

Kabel z gracją prześlizguje się między palcami uciszacza. Światło rozbłyskuje w przewodach, które opadają na ziemię cicho jak płatki śniegu.

## Ringer

Już kiedyś tu byłam – już kiedyś leżałam bezradnie pod sterylnym jednostajnym światłem.

Brzytwa przychodził do mnie, kiedy moje ciało toczyło z góry przegraną bitwę z czterdziestoma tysiącami najeźdźców, które wszczepił w nie wróg. Brzytwa do mnie przychodził, a jego wizyty utrzymywały mnie przy życiu. Nadzieja zaś, którą mi dawał, była niczym łańcuch, który nie pozwalał mi stoczyć się w próżnię.

Umarł, by mnie uratować, a teraz jego dziecko umrze razem ze mną.

Drzwi na klatce schodowej trzaskają. Na kamiennej posadzce słychać tupot wojskowych butów. Znam ten dźwięk. Rozpoznaję rytm jego kroku.

To dlatego uciszacz cię nie zabił. Zachował cię dla niego.

– Mariko. – Vosch góruje nade mną. Mierzy trzy tysiące metrów i jest wykuty z litego kamienia. Przypomina niezdojane blanki, których nie można skruszyć ani powalić. Jego lazurowe oczy błyszczą, kiedy spogląda na mnie z niemierzalnych wyżyn. – Zapomniałaś o czymś – mówi. – A teraz jest już za późno. O czym zapomniałaś, Mariko?

Dziecko przedziera się przez kruche łądygi zmarzniętej pszenicy, a w ustach trzyma kapsułkę z bombą. Ludzki oddech otacza dziecko i wszystko staje w zielonym ogniu, po którym pozostaje tylko pustka.

Kapsułka. Jego pożegnalny dar w kieszeni mojej kurtki, na piersi. Zmuszam moją dłoń, by się podniosła, ale ona pozostaje nieruchoma.

– Wiedziałem, że wrócisz – mówi Vosch. – Któż inny mógłby ci udzielić ostatecznej odpowiedzi, jeżeli nie ten, który cię stworzył?

Słowa zamierają mi na ustach. Wciąż mogę mówić, ale po co? On już wie, o co chcę zapytać. To jedyne pytanie, jakie mi pozostało.

– Tak, byłem na pokładzie ich statku. Jest tak niezwykły, jak sobie wyobrażasz. Widziałem ich, naszych wybawców, i owszem, oni także są tak niezwykli, jak sobie wyobrażasz. Oczywiście nie ma ich tam w cielesnej postaci, ale zdążyłaś się już tego domyślić. Nie ma ich tam, Mariko. Nigdy ich tam nie było. – Jego oczy płoną transcendentną radością jak u proroka, który ujrział raj. – Podobnie jak my zbudowani są na bazie węgla, ale na tym podobieństwa się kończą. Bardzo dużo czasu zajęło im zrozumienie naszego gatunku, zaakceptowanie tego, co się tu dzieje, i zastosowanie jedyne realnego

rozwiązania tego problemu. Mnie także dużo czasu zajęło zrozumienie i zaakceptowanie ich rozwiązania. Trudno jest zlekceważyć ludzkość, stanąć obok i ujrzeć się oczami zupełnie innego gatunku. Na tym samym od początku polegał twój problem, Mariko. Miałem nadzieję, że pewnego dnia uda ci się go pokonać. Jesteś człowiekiem, z którym najłatwiej jest mi się utożsamiać.

Coś w mojej twarzy przykuwa jego uwagę i Vosch klęka obok. Dociska palec do mojego policzka, a pojedyncza łza spływa po jego kłykciach.

– Odchodzę, Mariko. Musiałaś się tego domyślać. Moja świadomość zostanie po wieki zachowana na statku matce, na zawsze wolna, na zawsze bezpieczna od tego, co stanie się tutaj. Taka była moja cena. A oni zgodzili się ją zapłacić. – Uśmiecha się. Jego uśmiech jest dobrotliwy tak jak uśmiech, którym ojciec obdarza ukochane dziecko. – Czy teraz jesteś usatysfakcjonowana? Czy odpowiedziałem na wszystkie twoje pytania?

– Nie – szepczę. – Nie powiedziałaś dlaczego.

Nie mówi, że przecież właśnie mi to wyjaśnił. Wie, że nie pytam o jego motywację.

– Ponieważ wszechświat nie ma granic, ale życie tak. Życie to coś rzadkiego, Mariko, a co za tym idzie: cennego. Trzeba je chronić. Jeśli można powiedzieć, że posiadają coś, co przypomina ludzką wiarę, to właśnie to. Każde życie warte jest istnienia. Ziemia nie jest pierwszą planetą, którą ocalili. – Obejmuje moją twarz dłońmi. – Nie chcę cię stracić – mówi. – Dobre uczynki stały się grzechami i tak jak powiedziałaś: ten konkretny grzech nie stosuje się do żadnych zasad, nawet własnych. Popełniłem grzech śmiertelny, Mariko, i tylko ty możesz mi udzielić rozgrzeszenia. – Wsuwa mi dłoń pod głowę i delikatnie unosi ją z podłogi. Klęka obok mnie, stwórca i ojciec, kołysząc moją głowę w dłoniach. – Znaleźliśmy ją, Mariko. Anomalię w oprogramowaniu Walkera. Wada tego systemu polega na tym, że jej nie ma. Rozumiesz? Ważne jest, żebyś to pojęła. Osobliwość ponad czasem i przestrzenią, niezaprzeczalna stałość, która przekracza wszelkie pojęcie... Nie potrafili udzielić na to odpowiedzi, więc tego nie zrobili. Jak mogli? Czy mogli ująć miłość w jakikolwiek algorytm? – Jego oczy błyszczą, tym razem od łez. – Chodź ze mną, Mariko. Odejdźmy razem do miejsca, w którym nie będzie już bólu ani rozpacz. To wszystko w jednej chwili zniknie. – Macha dłonią, wskazując na bazę, naszą planetę, przeszłość. – Zabiorą wspomnienia, które zadają ci cierpienie. Będiesz nieśmiertelna, wiecznie młoda, wiecznie wolna. Dadzą mi to. Obdarzą mnie łaską, żebym mógł obdarzyć tym wszystkim ciebie.

– Jest już za późno – szepczę.

– Nie! Złamane ciało nic nie znaczy. Jest bezużyteczne. Nie jest jeszcze za późno.

– Jest. Dla ciebie – rzucam.

Za jego plecami Cassie Sullivan reaguje na sygnał. Przyciska broń do potylicy mojego stwórcy i pociąga za spust.

Broń wypada jej z dłoni. Cassie chwieje się, spoglądając w dół na ciało Voscha i półkole krwi, które powoli rośnie wokół jego głowy niczym ohydna parodia aureoli. To chwila, o której marzyła od dawna, ale nie czuje tego, czego się spodziewała. Nie przeżywa momentu triumfu i zemsty, który sobie wyobrażała. Nie wiem, co czuje. Jej twarz pozbawiona jest wyrazu, a jej wzrok skierowany do wewnątrz.

– Evan nie żyje – mówi pustym głosem.

– Wiem – odpowiadam. – To on mi to zrobił.

Odrywa wzrok od Voscha i spogląda na mnie.

– Co ci zrobił?

– Złamał mi kręgosłup. Nie mam czucia w nogach, Cassie. – Sullivan kręci głową. Evan. Vosch. Ja. To wszystko ją przerasta. – Co się stało? – pytam.

Spogląda w głąb korytarza.

– Rozdzielnia elektryczna. Wiedziałam dokładnie, gdzie się znajduje. Znałam też kod do drzwi. – Znow odwraca się do mnie. – Wiem prawie wszystko o tej bazie. – Jej oczy są suche, ale czuję, że ma ochotę się rozplakać. Słyszę to w głosie wypełnionym bolesnym zdumieniem. – Zabiłam go, Ringer. Zabiłam Evana Walkera.

– Nie, Cassie. To, co mnie zaatakowało, nie było człowiekiem. Myślę, że Vosch wymazał mu pamięć... Jego ludzką pamięć i...

– Wiem o tym – przerywa mi. – To była ostatnia rzecz, jaką usłyszał, zanim mu ją odebrali: „Wykasuj z niego człowieka”.

Wstrzymuje oddech. Doświadczenia Evana są teraz jej doświadczeniami. Współdzieli z nim koszmar tej chwili, ostatniej chwili życia Walkera.

– I jesteś pewna, że on nie żyje? – pytam.

Bezradnie macha ręką w powietrzu.

– Tak. – Marszczy czoło. – Zostawiłaś mnie przywiązaną do tego pieprzonego fotela.

– Wydawało mi się, że zdążę...

– Nie zdążyłaś.

Głośniki pod sufitem budzą się do życia: „ROZKAZ NUMER CZTERY ZOSTAJE ODWOŁANY. WSZYSCY AKTYWNI CZŁONKOWIE PERSONELU POWINNI NATYCHMIAST ZGŁOSIĆ SIĘ NA STANOWISKA BOJOWE...”.

Słyszę, jak kolejne oddziały opuszczają bunkry rozmieszczone na terenie bazy.

Lada chwila rozlegnie się tętent wojskowych butów, błysnie stal i posypie się grad kul. Cassie przekrzywia głowę, jak gdyby również jej nieulepszone uszy to słyszały. Ale ona została ulepszona w inny, głębszy sposób, a ja mogę tylko udawać, że rozumiem w jaki.

– Muszę iść – oznajmia. Nie patrzy na mnie. Mam wrażenie, że nawet do mnie nie mówi. Mogę tylko obserwować, jak wyciąga nóż z pokrowca przywiązanego do mojego lewego uda, podchodzi do Voscha, przyciska jego dłoń do podłogi i dwoma mocnymi ciachnięciami pozbawia go prawego kciuka.

Wsuwa zakrwawiony palec do kieszeni munduru.

– Nie mogę cię tu zostawić, Mariko.

Wsuwa dłonie pod moje ramiona i zaciąga mnie do najbliższych drzwi.

– Nie! Daj sobie spokój, Cassie. Już po mnie.

– Cicho bądź – mamrocze. Na klawiaturze numerycznej wybiera kod i wciąga mnie do pomieszczenia. – Czy sprawiam ci ból?

– Nie. Nic mnie nie boli.

Opiera mnie o ścianę naprzeciwko drzwi i wciska mi pistolet w dłoń. Kręcę głową. Ukrywanie się w tym pomieszczeniu z bronią tylko odwleka to, co nieuniknione.

Istnieje inne rozwiązanie – noszę je w kieszeni na piersi.

„Kiedy nadejdzie czas – a on nadejdzie – będziesz chciała z tego skorzystać”.

– Uciekaj stąd – mówię. Mój czas nadszedł, ale jej jeszcze nie. – Jeśli uda ci się opuścić budynek, może dotrzesz do obrzeży...

Niecierpliwie potrząsa głową.

– To żadne rozwiązanie, Mariko. – Jej oczy znowu zasnuwa mgła. – To niedaleko. Pięć minut stąd? – Kiwa głową, jakby ktoś udzielił jej odpowiedzi. – Tak. Na końcu korytarza. Około pięciu minut.

– Na końcu korytarza?

– Strefa pięćdziesiąt jeden. – Podnosi się. Stoi teraz pewnie, a jej usta są zacięte. – On tego nie zrozumie. Będzie wkurzony, ale mu to wyjaśnisz. Powiesz mu, co i dlaczego się wydarzyło, i się nim zajmiesz, rozumiano? Zapewnisz mu bezpieczeństwo, przypilnujesz, żeby się kąpał i mył zęby, i przycinał paznokcie, i wkładał czystą bieliznę, i żeby nauczył się czytać. Naucz go cierpliwości, życzliwości dla ludzi i ufności. Nawet do nieznanomych. Zwłaszcza do nich. – Urywa. – Było coś jeszcze. A tak. Wytłumacz mu, że to nie przypadek. Że siedem miliardów miliardów atomów nie mogło się przypadkowo połączyć w jedną osobę zwaną Samuelem Jacksonem Sullivanem. Co jeszcze? Aha! Już do końca życia nikt nie ma prawa zwracać się do niego *per* Nugget. Poważnie. To idiotyczne. Obiecuj mi, Mariko. Obiecuj.





## Siedem miliardów miliardów

Jesteśmy ludzkością. Jesteśmy jednym. Jesteśmy dziewczyną o przetrąconym kręgosłupie leżącą w pustym pomieszczeniu i czekającą na koniec. Jesteśmy mężczyzną, który upadł kilometr dalej, a jedyna rzecz, która wciąż w nas żyje, jest martwa – to kosmiczne urządzenie, które kieruje wszystkimi zasobami tak, by ocalić nasze ciało leżące na zimnym kamieniu, porazić serce prądem, by znów zaczęło bić. Pomiedzy nami i układem nie ma żadnej różnicy. Dwunasty układ jest nami, a my jesteśmy dwunastym układem. Jeśli jedno zawiedzie, drugie umrze.

Jesteśmy więźniami na pokładzie helikoptera, który okrąża bazę na kurczącym się paliwie w baku, który przechyła się nad szeroką rzeką pełną kotłującą się czarnej, wartkiej wody i w którym nasze głosy są stłumione przez wiatr wyjący w otwartym luku, a nasze dłonie zaciśnięte. Jesteśmy połączeni ze sobą nieprzerwanym łańcuchem.

Jesteśmy rekrutami spieszącymi, by zająć miejsca bojowe, ocalałymi, przesianymi, będącymi zniwem zgromadzonym w autobusach i podzielonymi na grupy, w których nasze ciała zostały utwardzone, a nasze dusze opróżnione, następnie zaś ponownie wypełnione nienawiścią i nadzieją. Wybiegając z bunkrów, wiemy, że nadchodzi świt, a wraz z nim wojna, na to właśnie czekaliśmy i tego się obawialiśmy: końca zimy, końca nas. Pamiętamy Brzytwę i cenę, jaką zapłacił. Na jego cześć wycięliśmy sobie na skórze litery VQP. Pamiętamy umarłych, ale nie możemy sobie przypomnieć własnych nazwisk.

Jesteśmy zagubionymi, opuszczonymi ludźmi, tymi, którzy nie wsiedli do autobusów pędzących autostradami, pustymi ulicami miast, zapomnianymi drogami wśród pól. Okopaliśmy się na zimę, spoglądaliśmy w niebo i nie ufaliśmy obcym. Przetrwali ci z nas, którzy nie umarli z głodu, zimna lub zwykłych infekcji, na które z pewnością pomogłyby niedostępne nam antybiotyki. Ugięliśmy się, ale nie daliśmy się zniszczyć.

Jesteśmy samotnymi myśliwymi zaprojektowanymi przez naszych stwórców, by zgromadzić ocalałych w autobusach przeszukujących prowincję i zabić tych, którzy odmawiają wejścia na pokład. Jesteśmy wyjątkowi, jesteśmy osobni, jesteśmy inni. Obudzono nas do życia w kłamstwie tak wiarygodnym, że odrzucenie go byłoby szaleństwem. Wykonaliśmy już zadanie i teraz spoglądamy w niebo, czekając na wybawienie, które nigdy nie nadejdzie.

Jesteśmy siedmioma miliardami, które poświęcono, a nasze ciała rozebrano do kości. Jesteśmy

tymi, których odsunięto na bok, odrzucono, tymi, których nazwiska zostały zapomniane, a twarze wysmagane przez wiatr i piasek. Nikt nie będzie nas pamiętał, nasze ślady zostaną wymazane, nasza spuścizna zniszczona, a nasze dzieci, ich dzieci i dzieci ich dzieci będą toczyć ze sobą wojnę aż po ostatnie pokolenie, aż do końca świata.

Jesteśmy ludzkością. Nazywamy się Cassiopeia. Jest w nas gniew, jest w nas rozpacz, jest w nas strach. Jest w nas wiara, jest w nas nadzieja, jest w nas miłość. Jesteśmy zbiornikiem z dziesięcioma tysiącami dusz. Nosimy je, trzymamy, chronimy. Dźwigamy ich brzemień i dzięki nam ich życie zostaje odkupione.

Spoczywają w nas, a my w nich. Nasze serce mieści w sobie wszystkie pozostałe. Jedno serce, jedno życie, tuż przed ostatnim lotem jętki.

## Cassie

Kosmici są głupi. Mieli dziesięć tysięcy lat, by nas zanalizować i zgłębić do ostatniego elektronu, a i tak tego nie kumają. Wciąż nie rozumieją.

Kretyni.

Kapsuła znajduje się na uniesionej platformie trzy schodki nad podłogą. Jest jajowata, zielonkawa jak skorupa żółwia i ma wielkość dużej terenówki, takiej jak suburban czy escalade. Właz jest zamknięty, ale mam klucz. Przyciskam opuszek odciętego kciuka Voscha do okrągłego czujnika znajdującego się obok wejścia i drzwi bezdźwięcznie się rozsuwają.

Światło się zapala, zalewając wnętrze opalizującą zielenią. W środku znajduje się jedno siedzenie i ekran dotykowy, i to wszystko. Żadnej tablicy rozdzielczej. Żadnych małych monitorów. Nic oprócz fotela, ekranu i małego okienka, z którego można ewentualnie pomachać na pożegnanie.

Evan się mylił i miał rację. Wierzył w ich kłamstwa, ale wiedział, że liczy się tylko prawda. Prawda liczyła się przed ich przybyciem, podczas ich przybycia i będzie się liczyła po nim.

Nie wiedzieli, jak odpowiedzieć na miłość.

Myśleli, że mogą ją z nas wyplenić, wypalić ją z naszych mózgów, zastąpić miłość jej przeciwieństwem – nie nienawiścią, ale obojętnością. Wydawało im się, że mogą zamienić ludzi w rekiny.

Ale nie wzięli pod uwagę jednej, drobnej sprawy. Nie wiedzieli, jak na nią odpowiedzieć, bo na miłość nie ma odpowiedzi. Miłość nie jest nawet pytaniem.

Nie wzięli pod uwagę kwestii tego cholernego misia.

**Ringer Kiedy Cassie wychodzi, odrzucam broń. Nie potrzebuję jej. W kieszeni mam dar Voscha. Jestem dzieckiem wśród pszenicy. Odgłos wojskowych butów na chodniku, na wypolerowanych betonowych posadzkach, na metalowych mostkach, od pasa startowego po centrum dowodzenia, tupot tysięcy stóp jak drapanie szczurów w ścianach starego hotelu.**

Jestem otoczona.

Ofiaruję jej jedyną rzecz, jaką mogę jej ofiarować, myślę, sięgając do kieszeni po zieloną kapsułkę. Jedyną, jaka mi pozostała.

Moje palce zanurzają się w kieszeni kurtki. W pustej kieszeni kurtki. Przeszukuję pozostałe. Nie. To nie moje kieszenie. To kieszenie Cassie – zamieniłyśmy się ubraniami wtedy w magazynie, zanim dostałyśmy się do centrum dowodzenia.

Nie mam zielonej kapsułki. Cassie ją ma.

Odgłos wojskowych butów na chodniku, na wypolerowanych betonowych posadzkach, na metalowych mostkach. Odpycham się od ściany i czołgam w stronę drzwi. Nie jest daleko. Znajduje się za drzwiami, kilka metrów w głąb korytarza. Jeśli zdołam do niego dotrzeć, zanim znajdą się na tym poziomie, może wciąż będę miała szansę – oni nie, ale ja tak. I Cassie także.

Drzwi. Pociągam za klamkę, uchylam drzwi, po czym szybko wsuwam się w szparę, żeby przytrzymać je ciałem. Widzę go, bezimiennego mordercę siedmiu miliardów, który powinien był mnie zabić, kiedy miał okazję – a miał ich wiele – ale nie mógł. Nie mógł tego zrobić, bo nawet jego zbiła z tropu nieprzewidywalna trajektoria miłości.

Korytarz. Wciąż musi mieć przy sobie to urządzenie. Wszędzie je ze sobą nosił. Było lekkie, nie większe niż telefon komórkowy i śledziło każdego zaimplantowanego rekruta w bazie. Wystarczyło przesunąć kciukiem po ekranie, żeby wysłać sygnał do czujników wszczepionych w ich karki i wszystkich uśmiercić.

Vosch. Leżąc na brzuchu, wyciągam rękę w jego stronę, chwytam go za tył munduru i przetaczam na plecy. Krwawa masa, w jaką zamieniła się jego twarz, zwrócona jest ku rozświetlonym sterylnym blaskiem sufitowi. Słyszę ich na schodach, buty na metalowych mostkach, coraz głośniejszy tupot. Gdzie to jest? Oddawaj, ty sukinsynu.

Kieszeń na piersi. Tam gdzie zawsze to trzymał. Na ekranie roi się od zielonych kropek, a w moją stronę podąża chmara tylu żołnierzy, że mogliby utworzyć trzy oddziały. Zaznaczam ich wszystkich... Każdego rekruta w bazie, ponad pięć tysięcy ludzi, a zielony guzik pod moim kciukiem migocze, i to jest właśnie powód, dla którego nie chciałam wracać. Wiedziałam, co się wydarzy. Wiedziałam. Będę zabijać, aż stracę rachubę. Będę zabijać, aż prowadzenie rachuby przestanie mieć znaczenie.

Wpatruję się w ekran rozświetlony pięcioma tysiącami maleńkich pulsujących punkcików, z których każdy jest nieszczęśliwą ofiarą, każdy jest człowiekiem.

Powtarzam sobie, że nie mam wyboru. Powtarzam sobie, że nie jestem jego dziełem. Nie jestem tym, co ze mnie zrobił.

## Zombie

W czasie naszego siedemnastego przelotu nad granicą bazy – a może osiemnastego, straciłem rachubę – w budynkach niespodziewanie zapala się światło, a siedząca naprzeciwko mnie sierżant Sprinter warczy do mikrofonu:

– Podaj status!

Krążymy nad bazą już od ponad godziny i pewnie kończy nam się paliwo. Wkrótce będziemy musieli wylądować. Nie wiadomo tylko, gdzie to zrobimy – w bazie czy poza nią. Na razie znów zbliżamy się do rzeki. Spodziewam się, że pilot obierze inny kurs i skieruje maszynę nad ląd, ale tego nie robi.

Megan wcisnęła mi się pod ramię, a jej głowa znajduje się tuż pod moją brodą. Nugget przyciska się do mojego drugiego ramienia i obserwuje znajdującą się na dole bazę. Tam gdzieś jest jego siostra. Może żywa, prawdopodobnie martwa. Przywrócenie zasilania to zły znak.

Skrećamy nad rzekę, tak że baza znajduje się po naszej lewej stronie, i widzimy inne śmigłowce, także krążące nad budynkami, czekające na sygnał, że można lądować. Przez mgłę poprzedzającą brzask przedzierają się ich reflektory przypominające kolumny połyskliwej bieli. Jesteśmy teraz nad rzeką spuchniętą od wczesnowiosennej odwilży.

Ponad nami niebo robi się szare, a gwiazdy zaczynają blaknąć.

*Oto nadszedł. D-Day. Dzień, w którym spadną bomby.* Szukam statku matki, ale nie dostrzegam go na przejaśniającym się niebie.

Kiedy konwersacja z ziemią dobiega końca, sierżant ściąga słuchawki. Wpatruje się w moją twarz, a jej dłoń spoczywa na kolbie pistoletu. Siedzący obok Nugget sztywnieje. Wie, co się stanie, jeszcze zanim ja się domyślę. Zaczyna szarpać pas, chociaż nie ma dokąd uciekać ani gdzie się ukryć.

Rozkazy się zmieniły. Dziewczyna wyjmuje broń i mierzy w jego głowę.

Rzucam się, żeby go zakryć. W końcu krąg się domyka. Czas spłacić dług.

## Cassie

Przez otwarte drzwi za moimi plecami do środka wlewa się tłum żołnierzy. Szybko rozpierzchają się od ściany do ściany i stoją ramię w ramię w dwóch rzędach, z których pierwszy klęczy. Dwadzieścia kilka karabinów mierzy do jednego celu o kręconych włosach i krzywym nosie. Odwracam się w ich stronę. Nie znają mnie, ale ja znam ich. Rozpoznaję twarze tych, którzy przybyli mnie zabić.

Wiem, co pamiętają, a czego nie. Przechowuję ich w swoim wnętrzu. Czuję się tak, jakbym miała zostać zamordowana przez ludzką mozaikę z samej siebie. Pytanie nasuwa się samo: czy to morderstwo, czy samobójstwo?

Zamykam oczy. Przepraszam, Sams. Próbowałam. Mój brat jest teraz ze mną. Wyczuwam go. To dobrze. Przynajmniej nie będę umierać samotnie.



## Ringer

Drzwi klatki schodowej otwierają się z trzaskiem i żołnierze wypadają na korytarz z wycelowanymi karabinami. Ich palce zaciskają się na spustach.

Dla nich jest już za późno. Podobnie jak dla mnie. Naciskam guzik.

## Zombie

Siedząca naprzeciwko sierżant podskakuje na siedzeniu. Jej piękne ciemne oczy zapadają się do środka, a czaszka uderza o zagłówek, po czym dziewczyna opada bezwładnie, przytrzymywana przez pasy. Megan zrywa się z przerażonym okrzykiem. Wszyscy rekruci w luku podzielili los sierżant.

Łącznie z pilotem.

Przód helikoptera gwałtownie się nachyla, mocno skręcając na prawo i sprawiając, że wpadam na Nuggeta, który nie marnuje czasu i natychmiast rozpina pasy. Ten cholerny dzieciak zawsze wyprzedza mnie o krok.

Wdaję się w szybką, desperacką szarpaninę z Megan, próbując wyswobodzić ją jako pierwszą. Nugget spada z siedzenia – łapię go za rękaw i przyciągam do piersi. Udało mi się rozpiąć pasy Megan, ale nie swoje – jedną ręką przytrzymuję dziewczynkę, a drugą Nuggeta.

– Rzeka! – krzyczę do niego.

Kiwa głową. Jest najbardziej opanowany z nas wszystkich. Jego małe paluszki uwalniają mnie z pasa.

Helikopter pikuje w stronę wody.

– Trzymajcie się mnie! – krzyczę. – Nie puszczajcie!

Spadamy bokiem. Rzeka przypomina gładką czarną ścianę zbliżającą się do otwartego luku obok Nuggeta.

– Jeden! – Nugget zamyka oczy. – Dwa! – Megan krzyczy. – Trzy! – Wypadam z fotela i trzymając po jednym dziecku z każdej strony, wysuwam się stopami przez otwór.

**Cassie Żołnierze upadają na ziemię. W jednej chwili stoją, w drugiej leżą. Ktoś usmażył im mózgi. Nie jestem pewna jak, ale mam pewne podejrzenia kto.**

Odwracam się. Widziałam już tyle ciał, że wystarczy mi na dziesięć tysięcy żywotów, od mojej matki topiącej się we własnej krwi po ojca zwijającego się na ziemi z raną postrzałową, od tych, którzy byli przedtem, po tych, którzy byli potem, i przez tych, którzy byli pomiędzy, od moich trupów po ich trupy, nasze trupy.

Tak, dość już widziałam.

Poza tym te dzieciaki, które właśnie poległy, są w pewnym sensie moimi ciałami. To tak, jakbym patrzyła na własne zwłoki. Razy dwadzieścia.

Wchodzę do kapsuły. Opadam na fotel. Zapinam się, naciągając pasy, które krzyżują mi się na piersi. W dłoni trzymam kciuk martwego mężczyzny. W kieszeni mam zieloną plastikową kapsułkę. W głowie tysiące głosów, które śpiewają w zadziwiającym unisono. A w moim sercu panuje bezruch – to nietknięta oaza znajdująca się poza przestrzenią i nieograniczona czasem.

*Cassie, chcesz polecieć?*

Zielona kapsułka wypadła, kiedy udało mi się wyrwać z fotela Krainy Czarów, a ja podniosłam ją bez zastanowienia, nawet na nią nie patrząc. Potem zobaczyłam Ringer leżącą na korytarzu i przypomniałam sobie, że zamieniłyśmy się kurtkami. Przez cały czas miała przy sobie bombę i nikomu o tym nie powiedziała. Chyba wiem dlaczego. Znam ją tak dobrze, jak ona siebie. A nawet lepiej, bo pamiętam to, o czym ona zapomniała.

Odciętym kciukiem Voscha dotykam przycisku uruchamiającego kapsułę. Właz się zamyka, a mechanizm blokujący drzwi buczy. Włącza się system wentylacyjny, a moje policzki owiewa chłodne powietrze.

Kapsuła zaczyna drżeć. Mam ochotę unieść rękę.

Tak, tatusiu. Chcę polecieć.

## Zombie

Kiedy wpadamy do wody, tracę dzieciaki. Siła uderzenia wyrywa mi je z rąk. Helikopter wpada w kipieli kilkaset metrów w górę rzeki, a kule ognia znaczą jej powierzchnię ciemnopomarańczowymi plamami. Najpierw dostrzegam Megan, której udaje się wydostać na powierzchnię na tyle długo, by wydać bulgoczący okrzyk. Chwytam ją za nadgarstek i przyciągam do siebie.

– Kapitan! – krzyczy.

– Co?

– Zgubiłam Kapitana!

Kopie mnie po nogach, wolną ręką próbując dosięgnąć pluszowego misia, który leniwie się od nas oddala. Chryste. Ten cholerny misiek.

Spoglądam przez ramię. Nugget, gdzie jesteś? Po chwili dostrzegam go w pobliżu brzegu, gdzie wciąż po pas zanurzony w rzece, zgięty wóół wykrztusza z płuc litr wody. Ten dzieciak naprawdę jest niezniszczalny.

– Okej, Megan. Wdrap się na mnie. Złapiemy go.

Biorę ją na barana, dziewczynka obejmuje moją szyję cienkimi ramionami, a tułów patykowatymi nóżkami. Podpływam do misia. Mam go. Potem długa droga do brzegu, który może nie znajduje się aż tak daleko, ale woda jest lodowata, a z Megan na plecach płynie mi się coraz trudniej.

Opadamy na brzegu obok Nuggeta. Przez kilka minut nikt nic nie mówi. Po chwili odzywa się Nugget:

– Zombie?

– Ktoś wcisnął wyłącznik. To jedyne logiczne wytłumaczenie, szeregowy.

– Kapralu – poprawia mnie, po czym dorzuca: – Ringer?

Kiwam głową.

– Ringer.

Przez chwilę to wszystko analizuje. Gdy wypowiada następne słowo, jego głos zaczyna drżeć. Boi się zapytać:

– Cassie?

**Cassie Kapsuła wystrzela z wyrzutni, a wtedy opada ręka Boga i wielka pięść wbija moje ciało w fotel, po czym zaciska się wokół mnie. Jakiś mądrała położył mi na piersi ważący dwie tony kamień i z trudem udaje mi się złapać oddech. Poza tym ktoś niedbający o moją wygodę i bezpieczeństwo wyłączył wszystkie światła – nie widzę nawet opalizującego zielonego blasku, który zdaje się sączyć zewsząd i znikąd. A może po prostu ktoś wepchnął mi oczy w głąb czaszki.**

**Zombie Nie, Nugget. Prawdopodobnie nie przeżyła. Nie wypowiadam tych słów, bo Megan uderza mnie w pierś i wskazuje na bazę. Rozjarzona kula zielonego światła przelatuje ponad koronami drzew w kierunku różowego nieba. Powidok utrzymuje się w naszych oczach jeszcze długo po tym, jak pojazd rozmywa się pośród atmosfery.**

– To spadająca gwiazda! – mówi.

Kręcę głową.

– Leci w niewłaściwą stronę.

Wygląda na to, że koniec końców to ja się myliłem.

## Cassie

Poczucie, że ktoś powoli zgniata mnie na śmierć w totalnej ciemności, towarzyszy mi przez kilka minut. Innymi słowy: wieczność. No dobra, „wieczność” to jedno słowo.

Słowo, którym przerzucamy się, jak gdybyśmy je pojmowali, jak gdyby wieczność była czymś, co ludzki umysł może objąć.

Pasy wokół mojej klatki piersiowej się rozluźniają. Dwutonowy głąz znika.

Biorę głęboki, drżący oddech i otwieram oczy. W kapsule panuje ciemność. Zielone światło zniknęło, i dobrze. Zawsze nienawidziłam zieleni Przybyszów, to zdecydowanie nie mój odcień. Wyglądam przez okienko i wzdycham.

Witaj, Ziemi.

A więc tak widzi cię Bóg, migoczący błękit jaśniejący na tle całkowitej czerni. Nic dziwnego, że cię stworzył. Nic dziwnego, że stworzył słońce i gwiazdy, by móc cię oglądać.

„Piękny” to kolejne słowo, którego bezmyślnie nadużywaliśmy, określając nim wszystko od samochodów po lakier do paznokci, aż w końcu rozpadło się pod ciężarem banalności. Ale świat jest piękny. Mam nadzieję, że ludzie nigdy o tym nie zapomną. Świat jest piękny.

Przed moimi oczami unosi się kropla wody. Dryfuje w powietrzu – to najdziwniejsza łza, jaką kiedykolwiek otarłam.

Nigdy o tym nie zapomnij, Sams. Miłość trwa wiecznie. Gdyby tak nie było, nie byłaby miłością. Świat jest piękny. Gdyby taki nie był, nie byłby światem. Co jest najdziwniejszego w tym, że noszę w sobie wspomnienia brata? Oglądanie siebie jego oczami, słyszenie go jego uszami, żeglowanie po Morzu Cassiopei w trójwymiarze, tak jak doświadczamy niemal wszystkiego poza tym, co powinniśmy rozumieć najlepiej: poza nami samymi. Dla Sama istnieje wiązanka kolorów, zapachów i doświadczeń, które składają się na Cassie, i ta Cassie nie jest Cassie Bena ani Cassie Mariki, ani Cassie Evana, ani nawet Cassie Cassie. Należy do Sama i tylko do niego.

Kapsuła wiruje, a jasnoniebieska kula znika z pola mojego widzenia i po raz ostatni w życiu odczuwam strach, jak gdybym spadła z krawędzi świata, co właściwie w pewnym sensie się stało. Instynktownie sięgam w stronę niewidocznej Ziemi – moje palce uderzają o szybę.

Żegnaj.

Och, jestem zbyt daleko. I zbyt blisko. Oto jestem pośród dziczy i słyszę cichy głosik: „Sama, sama, sama, Cassie. Jesteś sama”. Oto jestem i spoglądam oczami Evana na dziewczynę z nieodłącznym pluszowym misiem i bezużytecznym karabinem, skuloną w śpiworze w głębi lasu i przekonaną, że jest ostatnim człowiekiem na Ziemi. Obserwuję ją co noc i przeglądam jej rzeczy, kiedy opuszcza namiot w poszukiwaniu jedzenia. Dotykając jej rzeczy i czytając dziennik, zachowuję się jak drań. Dlaczego nie mogę jej po prostu zabić?

„Tak się właśnie nazywam. Cassie jak Cassiopeia”. Sama jak gwiazdy i tak jak one samotna.

Teraz odkrywam siebie w nim i nie jestem osobą, jaką spodziewałam się znaleźć. Jego Cassie rozświetla ciemność jasnością miliarda słońc. On jest tym tak samo zaskoczony jak ja, jak ludzkość, jak Przybysze. Nie wie, dlaczego. Nie istnieje żaden powód ani wyjaśnienie. Zrozumienie tego jest niemożliwe i niemożliwie nieistotne, jak pytanie, dlaczego cokolwiek istnieje.

Znał odpowiedź. Nie była to jednak odpowiedź, której szukałam.

Przykro mi, Evanie. Myliłam się. Nie kochałeś wyobrażenia o mnie, teraz to wiem. Gwiazdy za oknem bledną, przytłoczone budzącą obrzydzenie zieloną poświatą, a po minucie w polu widzenia pojawia się kadłub statku matki.

Ty suko. Przez rok nienawidziłam cię w całej twojej zieloności. Obserwowałam cię, pełna nienawiści i strachu, i oto teraz jesteśmy tylko ty i ja – Przybysz i ludzkość.

Tak się nazywam. Nie Cassie jak Cassandra, nie Cassie jak Cassidy. Ani nie Cassie jak Cassiopeia. Już nie. Jestem teraz kimś o wiele większym.

Jestem nimi wszystkimi. Evanem i Benem, Mariką, Megan i Samem. Jestem Dumbo i Pączkiem, i Filiżanką. Jestem wszystkimi tymi, których opróżniłaś, których życie zniszczyłaś, których odrzuciłaś. Tysiącami ludzi, których wydawało ci się, że zabiłaś, ale którzy żyją dalej w moim wnętrzu.

Ale jestem kimś o wiele większym. Jestem wszystkimi tymi, których oni pamiętają, tymi, których kochali, tymi wszystkimi, których znali i wszystkimi, o których tylko słyszeli. Ile osób mieszczę w sobie? Policz gwiazdy. No dalej, oszacuj liczbę ziaren piasku. To właśnie ja.

Jestem ludzkością.



**Zombie Skrywamy się w cieniu drzew. Jeśli mam rację i ktoś rozwalił wszystkich w bazie, nie ryzykuję za bardzo, zabierając dzieciaki ze sobą, ale trochę jednak ryzykuję, a ktoś obeznany z tematem powiedział mi kiedyś, że ryzyko odgrywa kluczową rolę.**

Nugget jest wściekły. Megan zdaje się odczuwać ulgę.

– Kto będzie jej pilnował, jeśli pójdiesz ze mną? – pytam go.

– Nie obchodzi mnie to!

– Ale jednego z nas obchodzi. I to tego, który ma tu decydujący głos.

Przez las i ziemię niczyją otaczającą teren bazy w kierunku najbliższej bramy i znajdującej się obok wieży strażniczej. Nie mam karabinu i w razie konieczności nie będę się miał czym obronić. Łatwy cel. Nie mam jednak wyboru. Idę dalej.

Chociaż jestem przemoczony do suchej nitki, a temperatura powietrza wynosi około pięciu stopni Celsjusza, nie jest mi zimno. Czuję się świetnie. Nawet noga przestała mnie boleć.

## Cassiopeia

Połyskująca zieleń powłoki statku wypełnia okienko, przesłaniając gwiazdy. Nie dostrzegam teraz nic oprócz statku, a światło słoneczne odbija się od jego gładkiej powierzchni. Mówili, że jak jest duży? Ma mniej więcej czterdzieści kilometrów od czubka do końca i rozmiarem przypomina Manhattan. Dostrzegam tylko niewielki skrawek gigantycznej całości. Serce mi wali. Mój oddech się skraca i wypada z moich ust w zmaconych smugach bieli. Jest lodowato. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek było mi tak zimno.

Drżącymi palcami sięgam do kieszeni i wydobywam kapsułkę. Wypada mi z garści i wiruje jak przynęta w wodzie aż pod sufit. Po kilku próbach udaje mi się ją złapać i zacisnąć w dłoni.

Cholera, ależ tu zimno. Szczękam zębami. Nie potrafię jasno myśleć. Co jeszcze? Czy jest coś jeszcze? Coś, czego nie domknęłam? Zostało niewiele... Jestem teraz czymś więcej niż sumą swoich doświadczeń. Otrzymałam ich dziesięć tysięcy razy więcej.

No bo chodzi o to: spojrzenie na siebie oczami kogoś innego sprawia, że przesuwa się punkt ciężkości. Nie zmienia to sposobu, w jaki zaczynasz postrzegać siebie. Zmienia sposób, w jaki postrzegasz świat. Nie siebie – wszystko poza sobą.

Nie darzę cię już nienawiścią, mówię statkowi matce. I już się ciebie nie boję. Niczego nie darzę nienawiścią. Niczego się nie boję.

W centrum, w samym środku pola mojego widzenia rośnie czarna dziura, która przypomina powoli rozwierającą się paszczę. Kapsuła zmierza prosto do niej.

Umieszczam kapsułkę między wargami.

*Nie, nienawiść nie jest odpowiedzią.*

Czarna dziura się powiększa. Wpadam w mroczną jamę, w pustkę, we wszechświat z czasów, zanim stał się wszechświatem.

*Odpowiedzią nie jest też strach.*

Gdzieś na statku matce dwadzieścia tysięcy bomb dwudziestokrotnie większych niż ta w moich ustach toczy się po torach do wyrzutni. Mam nadzieję, że wciąż jeszcze tam są. Mam nadzieję, że rzuty się jeszcze nie zaczęły. Mam nadzieję, że zdążyłam.

Kapsuła wlatuje do statku matki i gwałtownie się zatrzymuje. Okienko pokryte jest szronem, ale na zewnątrz panuje teraz jasność. Światło migocze na lodzie. Właz za mną syczy. Muszę poczekać, aż się otworzy. Muszę się podnieść z tego fotela. Muszę się odwrócić i stawić czoła temu, co mnie tam czeka.

Evan powiedział mi, że jesteśmy, a potem już nas nie ma, i że nie jest ważne to, ile czasu tu spędzimy. Nie da się nas rozplątać, nie ma miejsca, w którym zaczynam się ja i kończy on.

Nie da się rozplątać tego wszystkiego. Jestem ściśle związana ze wszystkim, od jętek po najdalszą

gwiazdę. Nie mam granic, jestem niezmierna i otwarta na dzieło stworzenia, podobnie jak kwiat jest otwarty na deszcz.

Nie jest mi już zimno. Otaczają mnie ramiona siedmiu miliardów. Podnoszę się. „Gdy do snu skłaniam głowę...” Głęboko wciągam ostatni oddech. „I budzę się w brzasku światłości...” Mocno zaciskam zęby. Plomba pęka. „Ty ucz mnie stąpać ścieżką miłości...” Wstępuję tam i wypuszczam powietrze.

## Zombie

Docieram do zwirowej ścieżki, która okala ogrodzenie, kiedy słońce przebija się przez horyzont – nie, nie słońce, to niemożliwe, chyba że postanowiło wzejść na północy i zmienić barwę na zieloną. Odwracam się na prawo i widzę, że gwiazdy gasną jedna po drugiej, zamazane przez potężny rozbłysk światła na północnym skraju horyzontu – eksplozja w wyższych partiach atmosfery zalewa krajobraz falą oślepiającej zieleni.

W pierwszym odruchu pomyślałem o dzieciakach. Nie wiem, co się, u diabła, dzieje, i nie skojarzyłem jeszcze pocisku wypadającego z bazy z tym oszałamiającym blaskiem na północy. Nie przychodzi mi do głowy, że po raz pierwszy od dłuższego czasu coś mogło pójść dobrze. Szczerze mówiąc, kiedy ujrzałem to światło, przypuszczałem, że rozpoczęło się bombardowanie i że jestem świadkiem pierwszej salwy w ramach zniszczenia wszystkich miast na Ziemi. Idea, że statek matka mógłby zniknąć, nawet nie przemknęła mi przez myśl. Ten statek był równie niedostępny co księżyc.

Waham się i próbuję zdecydować, czy iść naprzód, czy zawrócić. Jednak zielone światło blaknie, niebo znowu robi się różowe, a z lasu nie wypada żadne przerażone dziecko szukające ratunku. Postanawiam utrzymać kurs. Wierzę w Nuggeta. I w to, że nie ruszy się z miejsca do mojego powrotu.

Po dziesięciu minutach w bazie natykam się na pierwsze z wielu ciał. To miejsce przypomina katakumby. Idę po polu usłanym trupami. Leżą w stosach, po sześć, dziesięć osób, a ich ciała są powykręcane tak, że stanowią obraz milczącej agonii. Zatrzymuję się i przyglądam każdej upiornej stercie, szukając dwóch znajomych twarzy. Nie zamierzam się spieszyć, chociaż głosik w mojej głowie co raz krzyczy: „szybciej, szybciej!”. Towarzyszy mi wspomnienie tego, co wydarzyło się w obozie Przystań – tego, że Vosch był skłonny poświęcić wioskę, żeby ją ocalić.

Może to wcale nie robota Ringer, ale efekt tego, że Vosch wykonał ostatnie zadanie.

Dopiero po kilku godzinach docieram na ostatni poziom, na samo dno tego dołu śmierci.

Kiedy otwieram drzwi klatki schodowej, ledwo unosi głowę. Może krzyknąłem jej imię. Nie pamiętam.

Nie pamiętam też tego, że idąc, zrobiłem krok ponad ciałem Voscha, ale musiałem to zrobić, bo leżało na drodze. Butem uderzam w rzucony obok niej wyłącznik, który przelatuje po podłodze.

– Walker... – wzdycha, wskazując ponad moim ramieniem w głąb korytarza. – On chyba...

Kręcę głową. Choć jest ranna, wciąż myśli, że będę sobie nim zawracał głowę? Dotykam jej ramienia. Jej ciemne włosy muskają wierzch mojej dłoni. Jej oczy błyszczą. Ich bystre spojrzenie przeszywa mnie na wskroś.

– Znalazłeś mnie – mówi.

Kłękam obok. Ujmuję jej dłoń.

– Znalazłem.

– Mam złamany kręgosłup – mówi. – Nie mogę chodzić.

Wsuwam pod nią rękę.

– Będę cię niósł.

# MARBLE FALLS

## Ben

Późnopołudniowe słońce nadaje zakurzonym szybom supermarketu złoty połysk. W środku światło jest poszarzałe. Mamy niecałą godzinę, by dotrzeć do domu przed zmrokiem. Dzień należy do nas, ale w nocy rządzą kojoty i sfory dzikich psów blakających się nad brzegiem rzeki Kolorado i po przedmieściach Marble Falls. Jestem uzbrojony po zęby i nie darzę specjalną miłością kojotów, ale nienawidzę strzelać do psów. Te starsze były kiedyś czyimiś pupilkami. Czuję się wtedy tak, jakbym porzucił nadzieję na wybawienie.

Problemem są nie tylko psy i kojoty. Pod koniec lata, kilka tygodni po tym, jak dotarliśmy do Teksasu, Marika widziała uciekinierów z zoo u wodopoju kilka kilometrów w górę rzeki – lwicę i dwa lwiątko. Od tamtej pory Sam nie może się doczekać, aż urządzimy safari. Chce schwytać i ujarzmić słonia, żeby móc na nim jeździć jak Aladyn. Albo złapać i udomowić małpę. Nie jest wybredny.

– Hej, Sam! – krzyczę w głąb sklepowej alejki. Znow się oddalił w poszukiwaniu skarbu. Ostatnio było to lego. Wcześniej klocki do budowania domków z drewna. Upodobał sobie budowanie. Zrobił już fort, domek na drzewie i rozpoczął kopanie podziemnego bunkra w ogródku.

– Co? – woła z działu z zabawkami.

– Robi się późno. Musimy podjąć jakąś decyzję.

– Mówiłem ci, że wszystko mi jedno. Ty zdecyduj!

Coś spada z półki i chłopiec głośno przeklina.

– Hej, co ci mówiłem? – wołam do niego. – Nie wyrażaj się!

– Dupa, kurwa, sraka!

Wzdycham.

– Chodź, Sam. Musimy to taszczyć przez pięć kilometrów, a wolę tego nie robić w ciemności.

– Jestem zajęty.

Odwracam się z powrotem do wystawy. Cóż, te ze światełkami są bezużyteczne. Mam do wyboru stuosiemdziesięciocentymetrową, dwuipółmetrową albo trzymetrową. Trzymetrowa nie zmieści się pod sufitem. Zostaje stoosiemdziesiątka albo dwusetka. Tę pierwszą łatwiej byłoby przetransportować, ale wygląda do kitu. Tekskański upał jej nie służy. Miękkie i powyginane igły, łyse placki w miejscach, z których igliwie opadło. Dwusetki też nie wyglądają najlepiej, ale nie są aż tak mizerne. Tylko że... mierzą dwa metry, do cholery! Może na zapleczu znajdę jakieś nieodpakowane.

Wciąż rozważam, co zrobić, kiedy dobiega mnie aż nadto znajomy, przyprawiający o mdłości dźwięk: nabój wskakujący do magazynku pistoletu.

– Nie ruszaj się! – krzyczy Sam. – Pokaż ręce! Ręce!

Wyciągam broń i pędzę alejką na tyle szybko, na ile pozwala mi chora noga, ślizgam się na podłodze pokrytej szczerzymi odchodami, a następnie przeskakuję ponad zwalonymi półkami i

porozdzieranymi pudłami, aż docieram do działu z zabawkami i dzieciaka, który trzyma na muszce siedzącego na ziemi mężczyznę.

Jest w moim wieku. Ma na sobie mundur. Z jego wychudzonej szyi zwisa wizjer piątej fali. Opiera się o tylną ścianę pod regałem z planszówkami, jedną rękę przyciskając do brzucha, a drugą do czubka głowy. Zamiera mi serce. Nie sądzę, by był to uciszacz... Wiele miesięcy temu Marika zabiła tego patrolującego teren Marble Falls, ale... nigdy nie wiadomo.

– Druga ręka! – krzyczy Sam.

– Jestem nieuzbrojony... – wyrzuca z siebie mężczyzna z silnym teksańskim akcentem.

– Przeszukaj go, Zombie – zwraca się do mnie Sam.

– Gdzie twój oddział? – pytam. Mam wizję zasadzki.

– Nie ma żadnego oddziału. Jestem sam.

– Jesteś ranny – mówię. Na przedzie jego koszuli dostrzegam krew, w większości zaschniętą, ale też trochę świeżej. – Co się stało?

Może to zapalenie płuc.

– Snajper – mówi, kiedy udaje mu się zaczerpnąć tchu.

– Gdzie? Tu, w Marble Falls czy...?

Mężczyzna porusza ręką przyciśniętą do brzucha. Stojący obok mnie Sam sztywnieje, a ja kładę dłoń na lufie jego pistoletu.

– Czekał – mówię.

– Nic ci nie powiem, ty zarażony dupku.

– Dobra. W takim razie ja powiem coś tobie: nie jesteśmy zarażeni. Nikt nie jest. – Marnuję tylko czas. Równie dobrze mogę mu zacząć tłumaczyć, że jest pelargonią, która ma właśnie bardzo dziwny sen. – Chwila. – Zaciągam Sama na przeciwległy koniec alejki i szepczę: – Mamy problem.

Chłopiec gwałtownie potrząsa głową.

– Nieprawda. Musimy go zabić.

– Nikt nie będzie nikogo zabijał, Sam. To już skończone.

– Nie możemy go tu zostawić, Zombie. A jeśli kłamie o swoim oddziale? Jeśli udaje, że jest ranny? Musimy go zabić, zanim on zabije nas.

Unosi ku mnie twarz, a jego oczy błyszczą w gasnącym blasku dnia – błyszczą nienawiścią i strachem. Zabić go, zanim on zabije nas. Czasem, nieczęsto, ale czasem zastanawiam się, po co zginęła Cassie. Tygrys uciekł z klatki i nie ma jak go schwytać. Jak odbudować to, co utraciliśmy? W opuszczonym sklepie przerażona dziewczyna zabija niewinnego człowieka, bo jej ufność została zburzona. Nie ma innego sposobu, by zyskać pewność, nie ma innego sposobu, by być bezpiecznym.

„Jesteście tu bezpieczni. Całkowicie bezpieczni”. Te zdania wciąż mnie prześladowają. Prześladowają



mnie, bo zawsze są kłamstwem. Były nim, kiedy przybyli, i wciąż nim są. Nigdy nie jest się całkowicie bezpiecznym. Żaden człowiek na Ziemi nigdy nie był. Żyjąc, ryzykuje się własne życie, serce, wszystko. W przeciwnym razie byłoby się żywym trupem. Zombie.

– On niczym się od nas nie różni, Sam – mówię mu. – To się nie skończy, dopóki ktoś nie uzna, że trzeba złożyć broń.

Nie wyciągam jednak ręki po pistolet. To powinna być jego decyzja.

– Zombie...

– Co ci mówiłem? Mam na imię Ben.

Sam opuszcza broń.

W tej samej chwili po drugiej stronie alejki kolejna cicha bitwa się kończy. Żołnierz skłamał. Miał przy sobie broń. Wykorzystał czas, by przyłożyć ją sobie do skroni i pociągnąć za spust.

## Marika

W pierwszym odruchu powiedziałam mu, że to głupi pomysł. Kiedy nalegał, poprosiłam, by poczekał do jutra. Było późne popołudnie, a do sklepu pięć kilometrów. Nie starczyłoby im czasu, żeby wrócić przed zmrokiem. I tak poszedł.

– Jutro jest Boże Narodzenie – przypomniał mi Ben. – Poprzednie przegapiliśmy i będą to ostatnie święta, jakie mnie ominęły.

– Co takiego ważnego jest w Bożym Narodzeniu? – zapytałam.

– Wszystko – odparł i się uśmiechnął, jak gdyby jego uśmiech miał na mnie jakikolwiek wpływ.

– Nie zabieraj Sama.

– To właśnie ze względu na Sama tam idę. – Spojrzał ponad moim ramieniem na Megan bawiącą się przy kominku. – I na nią. – Po chwili dodał: – I na Cassie. Przede wszystkim ze względu na Cassie.

Obiecał, że niedługo wróci. Stałam na werandzie z widokiem na rzekę i patrzyłam, jak kierują się w stronę mostu – na Sama ciągnącego pusty drewniany wózek i Bena odciążającego chorą nogę – a słońce wydobywało ich cienie, jeden długi i jeden krótki, przypominające wskazówki zegara.

Kiedy zapadł zmierzch, rozległ się płacz. Jak zawsze. Usiadłam w bujanym fotelu, trzymając ją na kolanach. Niedawno ją karmiłam, więc nie była głodna. Objęłam jej policzek dłonią i delikatnie się w nią wtuliłam, próbując rozpoznać, czego potrzebuje. Bena. Potrzebowała Bena.

– Nie martw się – powiedziałam. – On wróci. Obiecał.

Dlaczego wybrał się w tak daleką drogę do sklepu? Po tej stronie rzeki znalazłoby się pewnie mnóstwo domów ze strychemi, na których zalegały choinki. Ale nie, on chciał „nowe” drzewko, i to sztuczne. Upierał się, że nie może to być nic, co umrze.

Ciaśniej owinęłam ją kocykiem. Noc była pochmurna, a znad rzeki wiał zimny wiatr. Światło z kominka falowało na szybach za moimi plecami i kładło się migoczącym blaskiem na boazerii.

Evan Walker wszedł na werandę i oparł karabin o balustradę. Podążył za moim wzrokiem w ciemność i na drugą stronę rzeki, skanując most i budynki na przeciwległym brzegu.

– Jeszcze nie wrócili? – zapytał.

– Nie.

Zerknął na mnie i się uśmiechnął.

– Wrócą.

Pierwszy zobaczył, jak zbliżają się do mostu, ciągnąc za sobą czerwony drewniany wózek z zielonym załadunkiem. Uśmiechnął się.

– Wygląda na to, że trafili na żyłę złota.

Zarzucił sobie broń na ramię i wrócił do środka. Wiatr zmienił kierunek. Wyczułam w nim zapach prochu. Cholera, Ben. Kiedy szedł po ścieżce, szczerząc się od ucha do ucha niczym triumfujący

myśliwy taszczący swoją zdobycz do jaskini, miałam ochotę walnąć go w potylicę. Podjął głupie ryzyko, żeby zdobyć cholerną plastikową choinkę.

Wstałam. Zobaczył moją minę i się zatrzymał. Sam przystanął za nim, jakby próbował się schować.

– No co? – zapytał Ben.

– Kto wystrzelił z pistoletu i po co?

– Usłyszałaś wystrzał czy go wywąchałaś? – westchnął. – Czasem naprawdę nienawidzę dwunastego układu.

– Mów prawdę, Parish.

– Uwielbiam, kiedy mówisz do mnie po nazwisku. Mówiłem ci to? Seksowna sprawa. – Całuje mnie, po czym dodaje: – To nie my strzelaliśmy, zresztą to długa historia. Wejdźmy do środka. Straszny mróz.

– Nie ma mrozu.

– Ale jest zimno. Chodź, Sullivan, zaczynamy imprezę!

Weszłam za nimi do domu. Megan poderwała się, porzucając lalki, i pisnęła z zachwytu. Plastikowe drzewko poruszyło w niej jakąś strunę. Walker wyszedł z kuchni i pomógł je rozstawić. Ja stałam w drzwiach z dzieckiem na biodrze. Mała zanosila się od płaczu, co Ben w końcu zauważył i porzucił drzewko, żeby ją ode mnie wziąć.

– Co tam, jęteczko? Co się dzieje?

Uderzyła go piąstką w nos, a Ben się zaśmiał. Zawsze się śmiał, kiedy udało jej się go pacnąć albo zrobić coś, czego nie należało pochwalać, na przykład kiedy domagała się, by w każdej wolnej chwili trzymać ją na rękach. Już w dniu narodzin owinęła go sobie wokół maleńkiego paluszka.

Po drugiej stronie pomieszczenia Evan Walker drgnął. Jętka. To słowo poniosło się echem – słowo, które nigdy nie będzie zwyczajnym słowem. Czasem zastanawiałam się, czy nie powinniśmy byli zostawić go w Kanadzie, czy przywrócenie mu wspomnień nie było zwyczajnym okrucieństwem, rodzajem psychologicznej tortury. Jednak pozostałych opcji nie mogliśmy wziąć pod uwagę: zabić go lub całkowicie go opróżnić, tak że stałby się ludzką powłoką pozbawioną wspomnień o niej. Obie z tych możliwości były bezbolesne. My wybraliśmy ból.

Ból jest niezbędny. Ból to życie. Bez bólu nie może być radości. Nauczyła mnie tego Cassie Sullivan.

Płacz nie ustawał. Nawet Ben i jego specjalne moce nie potrafiły jej uspokoić.

– Co się dzieje? – zapytał, jak gdybym wiedziała.

Postanowiłam zgadywać.

– Odszedłeś. Naruszyłeś porządek jej dnia. Nie znosi tego.

Przypominała swoją imienniczkę: płakała, machała piąstkami, żądała, potrzebowała. Może idea

reinkarnacji nie jest znowu taka abstrakcyjna. Niespokojna, nieusatysfakcjonowana, szybko wpadająca w złość, uparta i nieskończenie ciekawska. Cassie to przewidziała. Dawno temu nadała sobie miano. „Jestem ludzkością”.

Sam popędził korytarzem do swojego pokoju. Najwyraźniej nie mógł już znieść tego wycia. Myliłam się. Kiedy powrócił, trzymał coś za plecami.

– Zamierzałem poczekać do jutra, ale... – Wzruszył ramionami.

Miś najlepsze dni miał już za sobą. Brakowało mu ucha, futerko z brunatnego stało się brudnoszare i miał tyle szwów po cerowaniu, że wyglądał gorzej od potwora Frankensteina. Był pokiereszowany, zniszczony, ale wciąż nam towarzyszył. Wciąż był obecny.

Ben wziął od niego misia i zaczął nim tańczyć dla Cassie. Przykrótkie misiowe łapki machały. Nierówne misiowe nóżki – jedna krótsza, druga dłuższa – kręciły się i wirowały. Dziecko płakało jeszcze kilka minut, nie chcąc się rozstać z gniewem i niepokojem, aż prześlizgnęły się przez jej paluszki niematerialnie jak wiatr. Wyciągnęła rączki po zabawkę. Daj, daj, chcę, chcę.

– No proszę – rzucił Ben.

Spojrzał na mnie z uśmiechem tak szczerym – pozbawionym wyrachowania, próżności i pragnącym jedynie wyrazić to, co czuje – że nie mogłam i nie chciałam się mu opierać.

Odwzajemniłam uśmiech.

## Evan Walker

Każdej nocy od zmierzchu do świtu trzymał wartę na werandzie wychodzącej na rzekę. Co pół godziny opuszczał stanowisko i patrolował okolicę. Następnie wracał na werandę i stał na warcie, podczas gdy inni spali. Evan sypiał mało, zazwyczaj przez godzinę lub dwie po południu. Zawsze wybudzał się gwałtownie, dezorientowany, spanikowany, jak tonący człowiek wystawiający głowę ponad powierzchnię wody, która miała go pochłoniąć, nieokiełznany żywioł, który miał go zabić.

Jeśli miewał sny, żadnego z nich nie pamiętał.

Największy spokój czuł pośród ciemności, rozbudzony, kiedy pozostali pogrążeni byli we śnie. Podejrzewał, że leżało to w jego naturze, że odziedziczył to po ojcu i jego ojcu, farmerach, którzy uprawiali ziemię i opiekowali się bydłem. Żywiciele, opiekunowie, strażnicy żniw. Właśnie tę spuściznę miał odziedziczyć Evan Walker. Stał się jednak ich przeciwieństwem. Milczącym myśliwym. Tropiącym ludzi mordercą. Ile osób zabił, zanim tamtego jesiennego popołudnia znalazł ją ukrytą w lesie? Nie potrafił sobie przypomnieć. Nie pocieszała go wiedza, że został wykorzystany, jego grzechów nie zmywała świadomość, że był ofiarą w takim samym stopniu jak ci, których zabił – z oddali, zawsze z oddali.

Przebaczenie nie jest owocem niewinności lub niewiedzy. Przebaczenie jest owocem miłości.

O świcie opuścił werandę i wszedł do swojego pokoju. Nadszedł właściwy czas. Już i tak zbyt długo tu przebywał. Wpychał właśnie dodatkową kurtkę do płóciennej torby – kurtkę z nazwą drużyny kręglarskiej, którą zabrał z domu Grace, a której Cassie tak nie znosiła – kiedy w drzwiach pojawił się Ben. Miał goły tors, zaczerwienione oczy i świeży zarost.

– Odchodzisz – rzucił.

– Odchodzę.

– Marika to przewidziała. Ja jej nie wierzyłem.

– Dlaczego nie?

Ben wzruszył ramionami.

– Nie zawsze ma rację. Przez pół procent czasu ma tylko połowiczną rację. – Potarł oczy i ziewnął.

– I nie wrócisz – mówił dalej. – Już nigdy. Czy w tym także się nie myliła?

Evan pokręcił głową.

– Nie.

– Hmm... – Ben odwrócił wzrok, powoli drapiąc się po ramieniu. – Dokąd się wybierasz?

– Poszukać światła w mroku.

– Światła – powtórzył Ben. – Mówisz dosłownie czy...?

– Mam na myśli bazy. Kompleksy wojskowe. Najbliższy znajduje się jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów stąd. Zacznę od niego.

– Co zaczniesz?

– To, do czego ofiarowano mi talent.

– Zamierzasz wysadzić wszystkie bazy w Ameryce Północnej?

– W Południowej także, jeśli uda mi się przeżyć.

– Ambitny plan.

– Nie sądzę, żebym miał działać sam.

Ben się zamyślił.

– Uciszacze.

– Gdzie indziej mieliby się podziąć? Wiedzą, gdzie znajdują się ich wrogowie. Wiedzą, że każda baza wyposażona jest w kosmiczną artylerię jak ta w obozie Przystań. Po tym jak statek matka eksplodował, uświadomili sobie, że nie mają wyboru i muszą wysadzić bazy piątej fali. Cóż, przynajmniej tak mi się wydaje. Gdybym wciąż miał wiarę, wierzyłbym właśnie w to. Zobaczmy.

Zarzucił torbę na ramię i podszedł do drzwi. Ben zatarasował przejście. Jego twarz poczerwieniała z gniewu.

– Mówisz o wymordowaniu tysięcy niewinnych ludzi.

– Masz jakiś inny pomysł, Ben?

– Zostań tutaj. Pomóż nam. My... – Wziął głęboki oddech. Trudno było mu to powiedzieć. – My cię potrzebujemy.

– Do czego? Ty możesz przejąć nocną wartę, uprawiać ogród i zastąpić mnie w polowaniu.

– Cholera, Walker, o co ci chodzi? – Ben stracił nad sobą panowanie. – O co ci tak naprawdę chodzi? O to, by zakończyć wojnę, czy o to, by się zemścić? Możesz wysadzić pół świata, a i tak tego nie naprawisz, i tak nie przywrócisz jej życia.

Evan zachował spokój. Wielokrotnie słyszał te argumenty. Toczył te bitwy od wielu miesięcy, w samotności, w cichym wzburzeniu swojego serca.

– Na każdą osobę, którą zabiję, ocaleją dwie. To matematyka. Czy istnieje inna możliwość? Mam tu zostać, aż zrobi się zbyt niebezpiecznie, a następnie przenieść się w inne miejsce, potem jeszcze inne i jeszcze inne, ukrywać się, uciekać, wykorzystywać talent, który mi ofiarowali, żeby utrzymać się przy życiu? Po co? Cassie nie umarła po to, bym ja mógł żyć. Jej motywy były o wiele istotniejsze.

Ben kręcił głową.

– Dobra, więc może to ja zabiję ciebie i ocaleę dziesiątki tysięcy istnień? Jak ci się podoba taka matematyka?

– To ma sens – uśmiechnął się Evan. – Problem w tym, że nie jesteś zabójcą, Ben. Nigdy nim nie byłeś.

## Sam

Evan Walker na moście przechodzący na drugi brzeg. Evan Walker z torbą na jednym ramieniu i karabinem na drugim, malejący w oddali.

– Dokąd on idzie? – zapytała Megan. Sam potrząsnął głową. Nie wiedział. Patrzyli na niego, aż zniknął im z oczu. – Pobawmy się w coś – powiedziała dziewczynka.

– Muszę dokończyć bunkier.

– Kopiesz więcej niż kret.

– Sama jesteś kret.

– Oddałeś Kapitana.

Sam westchnął. Znowu to samo.

– On nie ma na imię Kapitan. I nie był twój. Był mój.

– Nawet nie zapytałeś. – Po chwili dodała: – Mam to gdzieś. Cassie może go sobie zatrzymać. Śmierdział.

– Sama śmierdzisz.

Odszedł od okna i ruszył do kuchni. Był głodny. Zabrał ze sobą ulubioną książkę do czytania przy jedzeniu. Tom wierszy dla dzieci *Where the Sidewalk Ends*. Evan Walker powiedział, że była to ulubiona książka Cassie.

„Jeśli jesteś marzycielem, wejdź...”\*

Evan Walker odszedł. Zombie twierdził, że na zawsze. Sammy nie chciał o tym myśleć. Nie chciał myśleć o odejściu Cassie, Dumbo czy Pączka ani żadnego innego członka swojego dawnego oddziału, ani ojca, ani matki, ani nikogo, kogo znał przed przybyciem do tego wielkiego domu nad rzeką. Nawet dobrze wychodziło mu niemyślenie o nich. Czasem Cassie przychodziła do niego we śnie i o wszystko się czepiała. Był niewystarczająco czysty. Niewystarczająco miły. Nie pamiętał rzeczy, które uważała za ważne. Kiedy śnił, miała prosty nos, dłuższe włosy i czystsze ubrania. Kiedy śnił, była Cassie z przeszłości.

*Jesteś grzeczny, Sam? Czy co noc odmawiasz pacierz?*

Którejś nocy obudził Zombie’ego – w głowie Sam wciąż nazywał go Zombie’em – a ten zabrał go do łazienki, zmył mu łzy z twarzy i powiedział, że on także za nią tęskni, a następnie wyprowadził chłopca na dwór i pokazał mu niebo.

– Widzisz te gwiazdy? Te, które wyglądają jak odwrócona literka W? Wiesz, co to jest?

Siedzieli na werandzie na tyłach domu i obserwowali gwiazdy, a Zombie opowiadał mu historię królowej o imieniu Kasjopeja, która żyła po wiek wieków na tronie na sklepieniu niebieskim.

– Tylko że jej tron jest przechylony – zauważył Sam, przyglądając się konstelacji. – Nie wypadnie z niego?

Zombie odchrząknął.

– Nie wypadnie. Jej tron odwrócony jest w tę stronę, żeby mogła czuwać nad swoim imperium.

– Co to jest imperium?

Zombie przyłożył dłoń do piersi Sama.

– To. – Dłoń Zombie’ego na sercu Sama. – O, tutaj.



\* S. Silverstein, *Where the Sidewalk Ends*, Nowy Jork 1974, s. 9.



Tytuł oryginału: *The Last Star*

Copyright © 2016 by Rick Yancey Copyright © for the translation by Maria Borzobohata-Sawicka

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska Adiustacja i korekta: Wydawnictwo PLUS

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © iStockphoto.com / efks ISBN 978-83-7515-712-3

moondrive

[www.moondrive.pl](http://www.moondrive.pl)

Dystrybucja: SIW Znak.

Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink **woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)